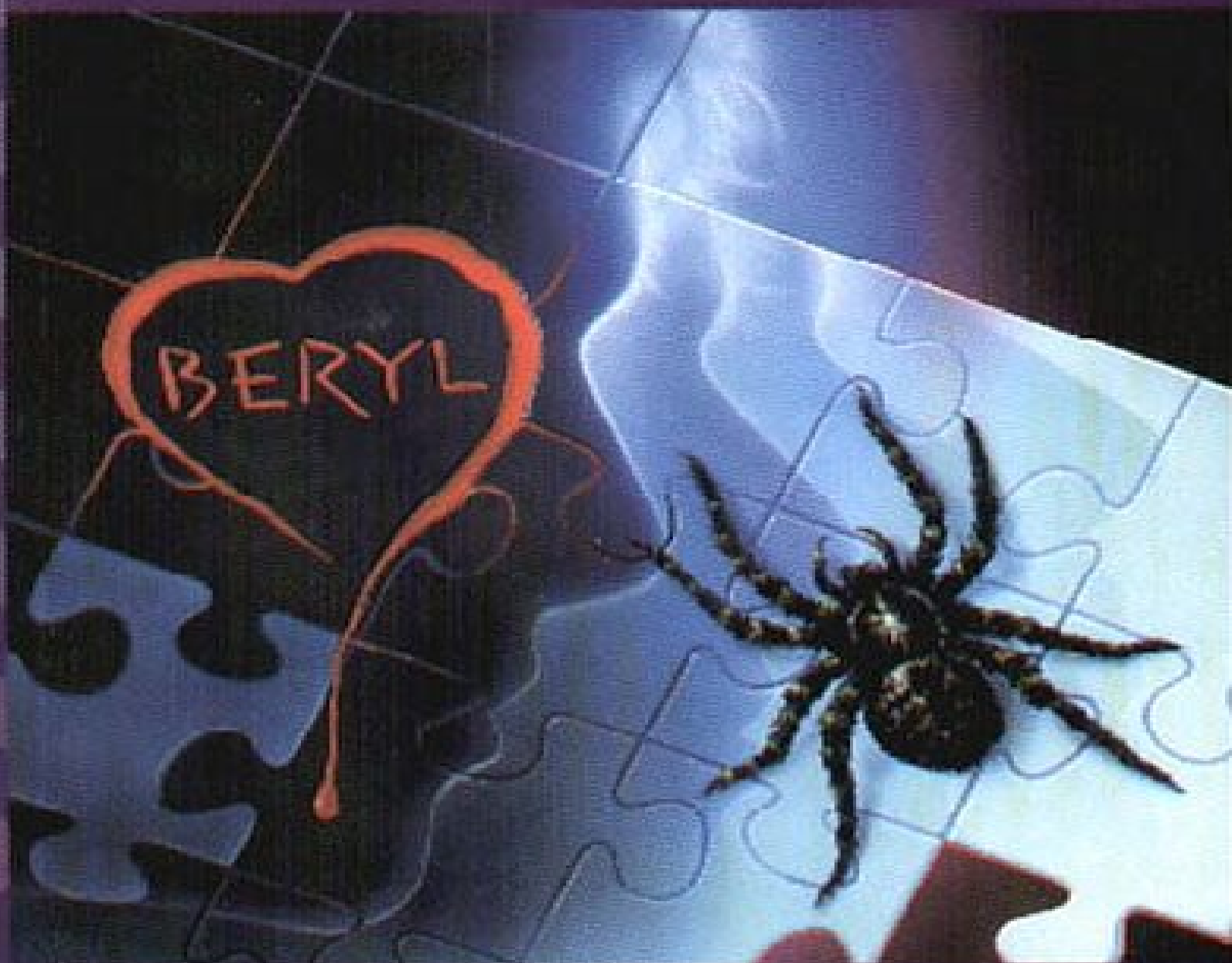


PATRICIA CORNWELL

MATERIAŁ DOWODOWY



Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL
MATERIAL
DOWODOWY

(Body of Evidence)

Przełożyła: Dorota Dziewońska



Prószyński i S-ka

2001

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

*Dla Eda, agenta specjalnego
i równie specjalnego przyjaciela.*

Prolog

13 sierpnia

Key West

Witaj J,

Jestem tu już trzydzieści dni. Ich mijanie zauważam po tym, jak ciemność okrywa słoneczne barwy dnia i zmieniają się powiewy wiatru.

Rano zazwyczaj przebywam u Louiego, gdzie na werandzie piszę i spoglądam na morze. Woda przypomina cętkowany szmaragd połyskujący zielenią ponad mozaiką piaszczystych wysepek i ciemnych głębin. Niebo rozciąga się w nieskończoność, a sennie przesuwane się chmurki wyglądają jak dym z papierosa. Morska bryza zagłusza odgłosy wydawane przez kąpiących się wczasowiczów i przycumowane tuż za rafą żaglówki. Weranda jest zadaszona, więc nawet gdy nagle zrywa się sztorm, co często zdarza się pod wieczór, pozostaję przy stoliku – napawam się wówczas wonią deszczu i podziwiam, jak spadające krople zmieniają powierzchnię wody, która wygląda jak futro czesane pod włos. Czasami jednocześnie leje i świeci słońce.

Nikt nie zakłóca mi spokoju. Stałam się już członkiem tej „restauracyjnej rodziny”, jak Zulu – czarny nowofundlandczyk, który z zapalem rzuca się na każde kółko do gry – i bezpańskie koty, które zakradają się cichaczem i potulnie czekają na resztki. Czworonożni strażnicy Louiego jędrzą lepiej niż

niejeden człowiek. To prawdziwy luksus patrzeć, jak świat dobrze traktuje swoje stworzenia. Nie mogę narzekać na spędzany tu czas.

Tylko w nocy ogarnia mnie przerażenie.

Kiedy myślę o ciemnych szczelinach i dopada mnie strach, rzucam się w zatłoczone ulice Starego Miasta i lgnę do gwarnych knajp niczym ćma do światła. Walt i P.J. podnieśli moje nocne obyczaje do rangi sztuki. Walt wraca do pokoju pierwszy, jak tylko się ściemni, bo jego interes ze srebrem na placu Mallory po zmierzchu zamiera. Otwieramy butelki piwa i czekamy na P.J. Potem wychodzimy i wałesamy się od baru do baru, żeby w końcu wylądować w barze Sloppy Joe's. Stajemy się coraz bardziej nierozłączni. Mam nadzieję, że oni dwaj zawsze będą razem. Ich miłość już mnie tak nie dziwi. Nic mnie już nie dziwi z wyjątkiem śmierci, z którą się tu spotykam.

Błdzi, wychudzeni ludzie, w których oczach widzę udręczone dusze. AIDS to zagłada tej małej wysepki. Może nawet powinnam dobrze się czuć wśród tych wyrzutków i umierających. Oni wszyscy mogą mnie przeżyć. Kiedy leżę w nocy z otwartymi oczami, wsłuchując się w szum wentylatora w oknie, nachodzą mnie wizje tego, jak się to stanie.

Za każdym razem, gdy dzwoni telefon, odzywają się wspomnienia. Zawsze, gdy słyszę za sobą kroki, odwracam się. Przed snem zaglądam do szafy, za zasłony i pod łóżko, a potem dosuwam krzesło do drzwi.

O Boże, nie chcę wracać do domu!

Beryl

30 września

Key West

Witaj J,

Wczoraj, gdy byłam u Louiego, Brent wyszedł na werandę i poprosił mnie do telefonu. Serce waliło mi jak młotem, gdy wchodziłam do środka, a potem usłyszałam tylko szumy i trzaski i połączenie zostało przerwane.

Tamto uczucie! Powtarzałam sobie, że jestem bliska paranoi. Przecież on by się odezwał i delektował moim strachem. Niemożliwe, żeby wiedział, gdzie jestem, nie mógł mnie tu odnaleźć. Jeden z kelnerów nazywa się Stu. Niedawno zerwał z przyjacielem z północy i przeniósł się tutaj. Może to dzwonił ten jego przyjaciel, poprosił „Stu”, ale były jakieś zakłócenia na linii i ktoś zrozumiał „Straw”. Kiedy usłyszał mój głos, odłożył słuchawkę.

Byłoby lepiej, gdybym nikomu nie zdradziła swojego przezwiska. Jestem Beryl. Jestem Straw. Jestem przerażona.

Książka jeszcze nieskończona, a ja jestem prawie bez pieniędzy. Pogoda się zmieniła. Ranek jest ciemny, wieje ostry wiatr. Zostałam w pokoju, bo gdybym próbowała pracować u Louiego, wiatr wyrывałby mi kartki. Zapaliły się lampy uliczne. Palmy gną się na wietrze, wyglądają jak wywinięte na zewnątrz parasole. Świat za oknem jęczy niczym zraniony zwierz, a kiedy krople deszczu uderzają o szyby, brzmi to tak, jakby do Key West wkraczała okupacyjna armia.

Niedługo będę musiała wyjechać. Opuszczę wyspę. Będę tęskniła za Waltem i P.J. Przy nich czułam, że komuś na mnie zależy i że jestem bezpieczna. Nie wiem, co zrobię, gdy wrócę do Richmond. Może od razu powinnam się przeprowadzić. Tylko dokąd.

Beryl

Rozdział pierwszy

Włożywszy listy z Key West z powrotem do szarej tekturowej teczki, wyjęłam paczkę rękawic chirurgicznych, wsunęłam je do czarnej torby lekarskiej i windą zjechałam o jedno piętro niżej – do kostnicy.

Wyłożony płytkami korytarz był jeszcze wilgotny po umyciu, sala sekcji zwłok zamknięta. Po przekątnej od windy stała chłodnia z nierdzewnej stali. Otworzyłam ciężkie drzwi i poczułam znajomy strumień zimnego, cuchnącego powietrza. Po smukłej stopie wystającej spod białego prześcieradła rozpoznałam właściwą szufladę bez czytania identyfikatora na palcu u nogi. Znałam każdy centymetr ciała Beryl Madison.

Szare oczy tępo spoglądały spod uchylonych powiek, nieruchomą twarz szpeciły pobladłe otwarte rany cięte, głównie po lewej stronie. Szyja rozcięta aż do kręgosłupa, oddzielone mięśnie ramion. Na lewej piersi dziewięć zgrupowanych blisko siebie ran kłutych, rozdziawionych niczym czerwone dziurki na guziki i niemal idealnie pionowych. Zadane zostały jedna po drugiej z taką siłą, że na skórze widać było ślady rękojęści. Rany cięte na przedramionach i dłoniach miały od sześciu milimetrów do jedenastu centymetrów długości. Wliczając dwie na plecach i nie licząc ran kłutych i podciętego gardła, było dwadzieścia siedem ran ciętych, wszystkie zadane szerokim, ostrym ostrzem, gdy próbowała umknąć ciosu.

Nie potrzebowałam zdjęć ani rysunków ciała. Zamknęłam oczy i zobaczyłam twarz Beryl Madison. Z najstraszliwszymi szczegółami widziałam gwałt zadany jej ciału. Lewe płuco przekłute cztery razy. Tętnica szyjna niemal doszczętnie pocięta. Łuk aorty, tętnica płucna, serce i worek

osierdziowy uszkodzone. Wszystko wskazywało na to, że już nie żyła, kiedy ten szaleniec omal nie odcinał jej głowy.

Usiłowałam coś z tego zrozumieć. Ktoś groził, że ją zabije. Uciekła do Key West. Była śmiertelnie przerażona. Nie chciała umierać. To stało się w nocy po jej powrocie do Richmond.

Dlaczego wpuściłaś go do domu? Czemu, na miłość boską, to zrobiłaś?

Nakryłam ciało prześcieradłem i wsunęłam szufladę z powrotem. Jutro o tej porze będzie już po kremacji i jej prochy znajdą się w drodze do Kalifornii. Za miesiąc Beryl Madison skończyłaby trzydzieści cztery lata. Nie miała żadnych żyjących krewnych, najwyraźniej nikogo na tym świecie, prócz przyrodniej siostry we Fresno. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się głucho.

Asfalt na parkingu za siedzibą Zakładu Medycyny Sądowej był ciepły i tym ciepłem dodawał otuchy. Czułam zapach kreozotu z pobliskich podkładów kolejowych, które topniały w niezwykle jak na te porę roku mocnym słońcu. Był ostatni dzień października.

Drzwi do garażu były szeroko otwarte. Jeden z moich asystentów polewał beton wodą. Wyginał gumowy wąż w górę, tak że woda spadając rozpryskiwała się o ziemię i poczułam wilgotną mgiełkę przy kostkach nóg.

– Co to, pani doktor, czyżby się pani zapatrzyła na godziny pracy banków?

Było trochę po wpół do piątej. Rzadko wychodziłam z biura przed szóstą.

– Podwieźć panią gdzieś? – dodał.

– Mam czym jechać. Dzięki – odparłam.

Urodziłam się w Miami. Nie były mi obce okolice, w których latem ukrywała się Beryl. Zamknęłam oczy i zobaczyłam barwy Key West. Jaskrawe zielenie i błękity, zachody słońca tak kiczowato piękne, że tylko

Bóg mógł je stworzyć bezkarnie. Beryl Madison nie powinna była wracać do domu.

Nowiutki crown victoria lśniący niczym czarne szkło powoli wjechał na parking. Spodziewałam się starego plymoutha, więc ze zdziwieniem patrzyłam, jak opuszczała się szyba nowego forda.

– Czekasz na autobus czy co?

W zwróconych w moją stronę lustrzankach ujrzałam zaskoczenie na własnej twarzy. Porucznik Pete Marino starał się wyglądać naturalnie, gdy elektroniczne zamki otwierały się z głośnym szczęknięciem.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziałam, wchodząc do luksusowego wnętrza.

– Dodatek do awansu – zwiększył obroty silnika – niezły, co?

Po latach używania chudych szkap Marino w końcu dosiadł ogiera.

Zauważyłam dziurę w desce rozdzielczej, gdy wyjmowałam papierosy.

– A cóż to, włączałeś odkurzacz czy tylko maszynkę do golenia?

– Niech to – poskarżył się – jakiś frajer zakosił mi zapalniczkę. W myjni. Miałem ten wóz dopiero jeden dzień. Za bardzo byłem przejęty tym wszystkim, szczotki złamały mi antenę, zacząłem wyzywać tych pętałów...

Czasami Marino tak bardzo przypominał moją matkę.

– ...I dopiero potem zauważyłem, że nie ma tej zapalniczki – przerwał i zaczął grzebać w kieszeniach, podczas gdy ja szukałam zapalek w torebce.

– Ale myślałem, że rzucasz palenie – powiedział z sarkazmem, rzucając mi na kolana zapalniczkę.

– Rzucam – mruknęłam. – Od jutra.

Tego wieczora, kiedy Beryl Madison została zamordowana, byłam na przesadnie wychwalanej operze, a potem w przereklamowanym angielskim pubie z emerytowanym sędzią, który im było później, tym mniej zasługiwał na szacunek. Nie miałam przy sobie pagera. Nie mogąc się ze mną

skontaktować, policjanci wezwali na miejsce mojego zastępcę, Fieldinga. Dlatego teraz miałam po raz pierwszy znaleźć się w domu brutalnie zamordowanej pisarki.

Windsor Farms nie jest okolicą, w której można by spodziewać się czegoś tak odrażającego. Domy są tam duże, oddalone od drogi, otoczone zadbanymi ogródkami. W większości budynków są alarmy, a wszystkie mają klimatyzację, która wyklucza potrzebę otwierania okien. Nie da się kupić wieczności, ale za pieniądze można osiągnąć pewien poziom bezpieczeństwa. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z przypadkiem zabójstwa w Farms.

– Musiała mieć pieniądze – zauważyłam, gdy Marino zatrzymał się przed znakiem stopu.

Kobieta o śnieżnobiałych włosach, która wyszła na spacer z maltańczykiem, popatrzyła na nas z ukosa, gdy jej pies obwąchiwał kępkę trawy, by ją wykorzystać do wiadomych celów.

– Co za bezsensowna włochata kulka – odezwał się Marino z pogardą, patrząc na kobietę i psa. Nie znoszę takich kundli. Tylko ujadają i sikają gdzie się da. Jak już mieć psa, to z porządnymi zębami.

– Niektórzy po prostu chcą mieć towarzystwo – zauważyłam.

– Jasne – odparł i urwał, a po chwili wrócił do mojej uwagi. – Beryl Madison miała forszę, większość trzymała w domu. Ale najwyraźniej wszystko, co miała, wydała tam, w Key West. Jeszcze grzebiemy w jej papierach.

– Macie już coś?

– Nie wygląda na to – odpowiedział. – Wiemy, że nieźle zarabiała na tym pisaniu. Zdaje się, że używała kilku pseudonimów. Adair Wilds, Emily Stratton, Edith Montague. – Lustrzanki znowu zwróciły się w moją stronę.

Żadne z tych imion i nazwisk nie brzmiało znajomo, z wyjątkiem Stratton.

– Miała Stratton na drugie imię – powiedziałam.

– Może stąd jej przyzwisko Straw* [Straw (ang.) znaczy słoma (przyp. tłum.).]

– No i blond włosy – zauważyłam.

Włosy Beryl były barwy miodu, gdzieniegdzie rozjaśnione słońcem. Twarz miała delikatną, o regularnych rysach. Możliwe, że za życia przyciągała uwagę. Jedyne zdjęcie żywej Beryl widziałam w jej prawie jazdy.

– Gdy rozmawiałem z jej przyrodnią siostrą, dowiedziałem się, że ci, z którymi Beryl była blisko, nazywali ją Straw. Do kogokolwiek pisała tam w Key West, ta osoba znała jej przyzwisko. Takie mam wrażenie – Marino opuścił osłonę przeciwsłoneczną. – Nie rozumiem tylko, po co kserowała te listy. Ciągłe mi to chodzi po głowie. Bo ile znasz osób, które robią ksero swoich prywatnych listów?

– Wspominałeś przecież, że chomikowała najróżniejsze papiery – przypomniałam mu.

– Racja. I to też nie daje mi spokoju. Widać, że ten drań straszył ją od miesięcy. Co robił? Co mówił? Nie wiemy, bo nie nagrywała jego telefonów ani nic nie zapisywała. Kobieta kseruje prywatne listy, ale nie rejestruje żadnych dowodów, gdy ktoś jej grozi. Czy to ma sens?

– Nie wszyscy myślą tak logicznie jak my.

– No, niektórzy nie myślą, bo tkwią w układach i nie chcą, by ktokolwiek się o tym dowiedział – oświadczył.

Zjechał na podjazd i zaparkował przed drzwiami garażu. Trawa od jakiegoś czasu nie była przycinana i spośród chaszczki przezierały wysokie żonkile kiwające się na wietrze. Obok skrzynki pocztowej widniała tablica

z napisem „Na sprzedaż”. Do frontowych drzwi nadal przyklepiona była policyjna żółta taśma oznaczająca miejsce przestępstwa.

– Jej wóz jest w garażu – powiedział Marino, gdyśmy wysiedli. – Ładna czarna honda Accord EX. Niektóre szczegóły mogą cię zainteresować.

Zatrzymaliśmy się na podjeździe, żeby się rozejrzeć. Ciepłe promienie słońca ogrzewały mi kark i ramiona. Powietrze było chłodne, słychać było tylko brzęczenie wszechobecnych owadów. Odetchnęłam powoli i głęboko. Nagle poczułam wielkie zmęczenie.

Jej dom był nowoczesny, bardzo prosty, z dużymi oknami na piętrze, co przywodziło na myśl statek z otwartym dolnym pokładem. Zbudowany z surowego kamienia i zabarwionego na szaro drewna, był to taki dom, jaki mogło zbudować młode bogate małżeństwo – duże pokoje, wysokie stropy, dużo cennej, a niewykorzystanej przestrzeni. Podjazd kończył się przy parkingu, co wyjaśniało, dlaczego nikt nic nie słyszał ani nie widział, aż było za późno. Dom z dwóch stron otaczały dęby i sosny odgradzające Beryl od najbliższych sąsiadów. Z tyłu teren gwałtownie zmieniał charakter – był tam wąwóz pełen kamieni i krzaków, a za nim jak okiem sięgnąć ciągnął się las.

– Niech to, założyłbym się, że hodowała jelenie – powiedział Malino, gdy znaleźliśmy się na tyłach. – Robi wrażenie, nie? Wyglądasz przez okno i myślisz, że masz cały świat dla siebie. A jak śnieg spadnie, to dopiero musi być widok. Chciałbym mieć taką chatę. Zimą rozpalić w kominku, nalać sobie burbona i tylko patrzeć na las. Dobrze jest być bogatym.

– Zwłaszcza żywym, żeby móc się tym cieszyć.

– Co racja to racja.

Liście szeleściły pod naszymi stopami, gdy okrążyliśmy zachodnie skrzydło budynku. Drzwi frontowe były na tym poziomie co patio. Zwróciłam uwagę na wizjer. Wgapiał się we mnie niczym maleńkie puste

oko. Marino strząsnął popiół z papierosa, rzucił niedopałek na trawę, po czym zaczął grzebać w kieszeni swoich szaroniebieskich spodni. Nie miał na sobie marynarki, widać więc było jego wielki brzuch zwisający ponad paskiem i białą koszulę z krótkim rękawem, rozpiętą pod szyją i pofałdowaną wokół pasków kabury.

Wyjął klucz z żółtą etykietką i gdy przyglądałam się, jak otwiera drzwi, po raz kolejny zadziwiły mnie rozmiary jego dłoni. Opalone i twarde, przypominały rękawice baseballowe. Z takimi dłońmi nie mógłby być muzykiem ani dentystą. Miał koło pięćdziesiątki, rzednące siwe włosy i twarz tak zniszczoną jak garnitury, które nosił, a mimo to swoją posturą potrafił niejednego wprowadzić w zdumienie. Tacy potężni policjanci rzadko wdają się w bójkę. Uliczni chuligani tylko na nich spojrzą i tracą całą odwagę.

Zatrzymaliśmy się w prostokacie światła w korytarzu, żeby założyć rękawiczki. W domu pachniało stęchlizną i kurzem, tak jak zazwyczaj w domach, które przez jakiś czas pozostają zamknięte. Choć policja z Richmond dokładnie zbadała miejsce zbrodni, nie było widać, by cokolwiek ruszano. Marino zapewniał mnie, że dom będzie wyglądał dokładnie tak, jak przed dwoma dniami, gdy znaleziono ciało Beryl. Zamknął drzwi i włączył światło.

– Jak widzisz – odezwał się – musiała sama wpuścić tego faceta. Żadnych śladów włamania, a w drzwiach jest potrójny alarm przeciwwłamaniowy – wskazał na tablicę z przyciskami przy futrynie i dodał – w tej chwili wyłączony. Ale gdyśmy tu przyszli, działał, obwieszczając o tym krwawym morderstwie. Zresztą właśnie dlatego tak szybko ją znaleźliśmy.

Przypomniał mi, że to, co okazało się zabójstwem, pierwotnie było jedynie wezwaniem do włączonego alarmu. Krótco po jedenastej

wieczorem ktoś z sąsiadów Beryl zadzwonił na policję, bo alarm był już ponad pół godziny. Przyjechał patrol, policjanci zastali otwarte drzwi frontowe. Chwilę potem dzwonili już po posiłki.

W salonie panował rozgardiasz. Przewrócona szklana ława, czasopisma, kryształowa popielniczka, kilka misek art deco i wazon leżały na dywanie. Bładoniebieski fotel był przewrócony, obok leżała poduszka stanowiąca część sofy. Na białej ścianie w lewo od drzwi prowadzących do korytarza widniały ciemne plamy zaschniętej krwi.

– Czy jej alarm działa z opóźnieniem? – spytałam.

– O tak. Po otwarciu drzwi cicho buczy około piętnastu sekund, co wystarczy, żeby wprowadzić kod, nim zacznie wyc.

– To znaczy, że musiała otworzyć drzwi, wyłączyć alarm, wpuścić tego gościa, a potem ustawić alarm, gdy on jeszcze był w środku. Inaczej alarm by się nie włączył, kiedy facet już wyszedł. Ciekawe.

– Właśnie – odparł Marino. – Ciekawe jak diabli.

Staliśmy w salonie obok przewróconej ławy. Cała pokryta była kurzem. Rozrzucone po podłodze pisma miały charakter literacki i publicystyczny, wszystkie były sprzed kilku miesięcy.

– Znaleźliście świeże gazety lub czasopisma? – zapytałam. – Jeśli kupiła tu jakąś gazetę, to mogłoby się przydać. Warto sprawdzić każde miejsce, w jakim była po wyjściu z samolotu.

Widziałam, jak zacisnął szczęki. Marino nie znosił, gdy mówiłam coś, co uważał za pouczanie go, jak ma wykonywać swoją robotę.

Powiedział:

– Było trochę rzeczy w jej sypialni na górze, tam gdzie walizka i torby. „Herald” z Miami i coś pod tytułem „Keynoter”, w którym są przede wszystkim ogłoszenia biur handlu nieruchomościami w Keys. Może

myślała o przewodniczce? Obie gazety z poniedziałku. Pewnie kupiła je na lotnisku w drodze do Richmond.

– Ciekawe, co ma do powiedzenia jej pośrednik handlu nieruchomościami...

– Nic, tyle ma do powiedzenia – przerwał mi Marino – nie ma pojęcia, gdzie była Beryl, i tylko raz pokazał ten dom, gdy jej nie było. Jakiemuś młodemu małżeństwu. Uznali, że jest za drogi. Beryl chciała za tę chatę trzysta tysięcy dolarów – rozejrzał się obojętnie. – Zdaje się, że teraz ktoś może zrobić niezły interes.

– Beryl jechała z lotniska taksówką – uparcie grzebałam się w szczegółach.

Marino wyjął papierosa i wskazał nim:

– Znaleźliśmy rachunek w korytarzu, na tym stoliku przy drzwiach. Sprawdziliśmy już kierowcę. Nazywa się Woodrow Hunnel. Tępy gość. Twierdzi, że stał w kolejce na lotnisku. Tam go złapała. Było przed ósmą, lało jak z cebra. Wyszła z taksówki tu, przed domem, jakieś czterdzieści minut później. Mówi, że przyniósł jej dwie walizki pod drzwi i odjechał. Zapłaciła dwadzieścia sześć dolarów łącznie z napiwkiem. Był z powrotem na lotnisku jakieś pół godziny później i od razu miał następny kurs.

– Jesteś tego pewien, czy tak ci powiedział?

– Pewien, jak tego, że tu stoję. – Postukał papierosem o dłoń i zaczął ścisnąć filtr kciukiem. – Sprawdziliśmy to. Hunnel mówił prawdę. On jej nie tknął. Nie miał czasu.

Popatrzyłam na ciemne plamy przy drzwiach. Ubranie zabójcy powinno być zakrwawione. Mało prawdopodobne, żeby kierowca taksówki w zakrwawionych ciuchach zabierał kolejnych klientów.

– Długo nie była w domu – powiedziałam. – Przyjechała koło dziewiętej, a sąsiad zadzwonił w sprawie alarmu o jedenastej. Alarm

dzwonił już pół godziny, co znaczy, że zabójca opuścił dom przed wpół do jedenastej.

– Tak – odparł. – To jest najtrudniejsza część zagadki. Z jej listów wynika, że była śmiertelnie przerażona. Wraca więc chyłkiem do miasta, zamyka się w domu, ma nawet w kuchni swoją trzysta osiemdziesiątkę... pokażę ci, jak tam pójdziemy. I wtedy bach! Dzwoni dzwonek czy co? Wiemy, że wpuściła drania do środka, a potem ustawiła alarm. To musiał być ktoś, kogo znała.

– Nie wykluczałabym obcego. Jeśli to ktoś bardzo uprzejmy, mogła mu zaufać i wpuścić z jakiejś przyczyny.

– O tej porze? – zatrzymał na mnie spojrzenie, którym wcześniej lustrował pokój. – Co? Sprzedaje prenumeratę o dziesiątej wieczorem?

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam. Zatrzymaliśmy się przy otwartych drzwiach prowadzących na korytarz.

– To jest pierwsza krew – powiedział Marino, spoglądając na zaschnięte plamy na ścianie. – Tu otrzymała pierwszy cios. Widzę, jak szybko ucieka, a on tnie.

Przypomniałam sobie rany na twarzy, ramionach i dłoniach Beryl.

– Domyślam się – ciągnął – że tutaj skaleczył ją w lewe ramię, w plecy albo w twarz. Ta krew tutaj na ścianie pochodzi z ostrza. Już dosięgnął ją co najmniej raz, a kiedy zamierzył się znowu, krople z noża zachlapały ścianę.

Plamy były owalne, miały około sześciu milimetrów średnicy, a im dalej drzwi, tym bardziej się wydłużały. W sumie zajmowały co najmniej pół ściany. Napastnik machał nożem jakby grał w squasha. Czułam związane z tym emocje. To nie była złość. To było coś gorszego. Dlaczego go wpuściła?

– Sądząc z położenia tych plam, myślę, że zabójca był dokładnie tutaj. – Marino stanął kilkadziesiąt centymetrów od drzwi i nieco w lewo od nich. –

Obraca się, jeszcze raz ją rani, a kiedy ostrze ją przebija, krew tryska na ścianę. Ślady, jak widzisz, zaczynają się tutaj – wskazał krople niemal na wysokości swojej głowy. – Potem opuszcza rękę i zatrzymuje ją kilkanaście centymetrów nad podłogą – przerwał, patrząc na mnie wyczekująco. – Badałaś ją. I co sądzisz? Jest praworęczny czy leworęczny?

Policjanci zawsze chcieli to wiedzieć. Choćbym im nie wiem ile razy powtarzała, że to tylko domysły, i tak o to pytali.

– Nie da się tego stwierdzić na podstawie tych śladów krwi. – Czułam w ustach suchość i smak kurzu. – To zależy od tego, jak był wobec niej ustawiony. Co do ran w klatce piersiowej, są jakby lekko pod kątem z lewej w prawo. To znaczy, że mógłby być leworęczny. Ale jeszcze raz powtarzam, że to zależy od tego, jak był ustawiony.

– Bo to ciekawe, że prawie wszystkie jej rany są po lewej stronie ciała. No wiesz, ona ucieka, on zbliża się z lewej, a nie z prawej strony. Dlatego podejrzewam, że jest leworęczny.

– Wszystko zależy od ustawienia ofiary i napastnika względem siebie – powtórzyłam z niecierpliwością.

– Pewnie – mruknął krótko – wszystko od czegoś zależy.

Za drzwiami była drewniana podłoga. Do schodów jakieś trzy metry w lewo od nas prowadziły ślady krwi otoczone kredą. Beryl uciekała tędy i schodami na górę. Szok i przerażenie były silniejsze od bólu. Na ścianie po lewej widać było, że każdy kolejny stopień znaczyły ślady krwi na boazerii, gdy krwawiącą dłonią przytrzymała się, by utrzymać równowagę.

Te czarne plamy były na podłodze, ścianach, suficie. Beryl dotarła do końca korytarza na górze, gdzie znalazła się w pułapce. Tam było bardzo dużo krwi. Pościg został najwidoczniej wznowiony, gdy rzuciła się z końca korytarza do swojej sypialni, gdzie mogła przed nim uciekać po olbrzymim

łóżku, kiedy on chodził wokół niego. Wtedy to albo rzuciła w niego walizką, albo, co bardziej prawdopodobne, walizka spadła z łóżka. Policja znalazła ją na dywanie, otwartą, do góry dnem, w pozycji przypominającej szalę. Wokół porozrzucone były papiery, w tym kserokopie listów, które pisała w Key West.

– Jakie jeszcze papiery znaleźliście tutaj? – zapytałem.

– Rachunki, kilka przewodników, folder z planem miasta – odparł Marino – mogę ci zrobić kopie, jeśli chcesz.

– Bardzo proszę – powiedziałam.

– Znaleźliśmy też stos kartek na tej toalecie – pokazał palcem. – Pewnie pisała to w Key West. Na marginesach jest mnóstwo notatek ołówkiem. Żadnych ważnych odcisków palców, kilka rozmazanych smug i kilka fragmentarycznych odcisków należących do niej.

Jej łóżko było rozkopane do materaca – zakrwawioną narzutę i pościel odesłano do laboratorium. Najwyraźniej osłabła i zaczęła tracić nadzieję. Powlokła się z powrotem na korytarz, gdzie potknęła się o orientalny chodnik modlitewny, który zapamiętałam ze zdjęć operacyjnych. Na podłodze widniały rozmazane ślady krwi i odciski dłoni. Beryl wczołgała się do pokoju gościnnego za łazienką i tam umarła.

– No... – mówił Marino. – To chyba nie było zabawne, cały ten pościg. Mógł ją złapać i zabić na dole w salonie, ale to by mu zepsuło zabawę. Pewnie uśmiechał się cały ten czas, patrzył, jak ona krwawi, krzyczy, błaga o litość. Gdy w końcu dotarła tutaj, upadła. Koniec przedstawienia. Koniec zabawy. Wtedy to skończył.

Pokój był chłodny, pomalowany na żółto w tak bladym odcieniu, że przypominał styczniowe słońce. Drewnianą podłogę przy podwójnym łóżku pokrywały czarne plamy, również na ścianie widniały czarne smugi i krople. Na zdjęciach policyjnych Beryl leżała na wznak z rozrzuconymi

nogami, ramionami ponad głową i twarzą zwróconą w stronę zasłoniętego okna. Była naga. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam te zdjęcia, nie potrafiłam stwierdzić, jak wyglądała, nawet jakiego koloru miała włosy. Widziałam tylko czerwień. Policja znalazła obok jej ciała zakrwawione spodnie w stylu safari. Nie było jej bluzki ani bielizny.

– Czy ten taksówkarz... Hunnel czy jak mu tam... pamiętał, w co Beryl była ubrana, kiedy zabierał ją z lotniska? – spytałam.

– Było ciemno – odparł Marino. – Nie był pewien, ale sądzi, że w spodnie i marynarkę. Wiemy, że kiedy została zaatakowana, miała na sobie spodnie, te jasnobrązowe, któreśmy tu znaleźli. Taka sama marynarka leżała na krześle w jej sypialni. Chyba nie przebrała się po przyjeździe. Tylko rzuciła marynarkę na krzesło. Wszystko, co jeszcze miała na sobie... bluzkę, bieliznę... zabójca zabrał.

– Na pamiątkę – myślałam głośno.

Marino wpatrywał się w to miejsce na poplamionej podłodze, gdzie znaleziono ciało.

– Ja to widzę tak – odezwał się – on każe jej się tu położyć, zdejmuję z niej ubranie, gwałci ją albo przynajmniej próbuje. Potem ją zarzyna i nieomal odcina głowę. Szkoda, że nie udało się zdobyć choć trochę spermy. Sądzę, że możemy się pożegnać z jego DNA.

– Chyba że trochę tej krwi, która poszła do analizy, jest jego – zauważyłam. – W przeciwnym wypadku żadnych szans na DNA.

– I żadnych włosów – dodał.

– Z wyjątkiem kilku należących do niej.

W domu panowała taka cisza, że nasze głosy brzmiały niepokojąco głośno. Gdziekolwiek spojrzełam, widziałam te okropne plamy. Moją wyobraźnię zaatakowały obrazy: rany kłute, ślady rękojęści, rana w szyi

rozwartą niczym ziewająca czerwona gardziel. Wyszłam z pokoju. W płucach czułam kurz. Oddychałam z trudem.

– Pokaż, gdzie leżała broń.

Kiedy policja przybyła na miejsce, znaleźli trzysta osiemdziesiątkę należącą do Beryl na blacie w kuchni, blisko mikrofalówki. Pistolet był załadowany i zabezpieczony. Jedyne fragmentaryczne odciski palców, jakie udało się zidentyfikować, należały do Beryl.

– Trzymała pudełko z nabojami w szafce przy łóżku – powiedział Marino. – Prawdopodobnie pistolet też tam był. Domyślam się, że wniosła bagaże na górę, rozpakowała się i wrzuciła większość ubrań do kosza na brudy w łazience. Potem włożyła walizki do szafy w sypialni. W którymś momencie wyjęła broń. To by potwierdzało, jak była niespokojna. O co się załóżysz, że sprawdziła każdy pokój, zanim się uspokoiła?

– Też bym tak zrobiła – skomentowałam.

Rozejrzał się po kuchni.

– A może przyszła tu coś przegryźć.

– Może o tym myślała, ale nic nie zjadła. W żołądku miała około 50 milimetrów ciemnobrązowego płynu. Cokolwiek stanowiło jej ostatni posiłek, było już całkiem strawione, nim zmarła, a właściwie nim została zaatakowana. W stanach ostrego stresu lub strachu trawienie się zatrzymuje. Gdyby coś zjadła chwilę przed pojawieniem się zabójcy, pożywienie nie wy dostałoby się z żołądka.

– No, a tutaj pusto – powiedział po otwarciu drzwiczek lodówki, jakby było to istotne spostrzeżenie.

Wewnątrz znaleźliśmy wyschniętą cytrynę, dwie kostki masła, kawałek nadpsutego sera Havarti, musztardę i butelkę toniku. Zawartość zamrażarki była nieco bardziej obiecująca. Leżało tam kilka opakowań piersi kurczących, gotowe dania mrożone i chuda mielona wołowina.

Najwyraźniej gotowanie nie było dla Beryl przyjemnością, lecz życiową koniecznością. Podświadomie porównałam tę kuchnię z własną i ta wydała mi się przygnębiająco sterylna. W bladym świetle wpadającym przez otwory w szarych żaluzjach nad zlewem widać było unoszące się strzępki kurzu. Zlew i suszarka na naczynia były puste i suche. Wszystkie nowoczesne urządzenia wyglądały na nieużywane.

- Możliwe też, że przyszła tu, by się napić – spekulował Marino.
- Nie wykryto alkoholu we krwi.
- To nie znaczy, że o tym nie myślała.

Otworzył szafkę nad zlewem. Trzy półki pełne były butelek z alkoholami: Jack Daniel's, Chivas Regal, Tanqueray, likiery i coś, co przyciągnęło moją uwagę. Przed butelką koniaku na górnej półce stała butelka haitańskiego rumu Barbancourt, który miał piętnaście lat i ceną dorównywał szkockiej.

Podniósłszy butelkę ręką w rękawiczce, postawiłam ją na blacie. Nie miała banderoli, a pieczęć wokół złotego korka była zerwana.

- Nie sądzę, żeby kupiła to gdzieś tutaj – powiedziałam. – Mogła to kupić w Miami, w Key West.
- Myślisz, że przywiozła to z Florydy?
- Możliwe. Widać z tego, że była koneserem dobrych trunków. Barbancourt to coś wyjątkowego.

– Chyba powinienem zacząć cię nazywać „Doktor Koneser”.

Butelka Barbancourt nie była zakurzona, choć kurz pokrywał wiele butelek obok niej.

- To mogłoby wyjaśniać, po co przyszła do kuchni – ciągnęłam. – Może zeszła tu, żeby odstawić ten rum. Może nawet chciała się napić przed snem, ale właśnie wtedy ktoś zjawił się przed drzwiami.

– Dobra, ale to nie wyjaśnia, dlaczego zostawiła broń tu, na blacie, gdy poszła otworzyć drzwi. Przecież była wystraszona, nie? Ciągłe mi się wydaje, że kogoś się spodziewała, że znała tego drania. No więc ma te wszystkie drogie trunki i co? Pije sama? Nie bardzo to widzę. Już bardziej prawdopodobne, że czasem lubi się rozerwać, może zaprasza sobie jakiegoś faceta. Może to ten J, do którego pisała z Key West? Może to na niego czekała tego wieczoru?

– Widzę, że podoba ci się wersja, iż to J jest zabójcą.

– A tobie nie?

Coraz pewniej przytaczał swoje argumenty, a to jego obracanie w palcach niezapalonego papierosa zaczynało grać mi na nerwach.

– Mnie zadowalałoby jakiegokolwiek wyjaśnienie – odparłam – również takie, że nie czekała na nikogo. Była w kuchni i wkładała do szafki rum. Może nawet zastanawiała się, czy sobie nalać. Była zdenerwowana, miała przy sobie pistolet. Poderwała się, kiedy nagle usłyszała dzwonek albo pukanie...

– No dobra – przerwał mi – trzęsie się ze strachu. To czemu zostawia broń w kuchni, gdy podchodzi do tych cholernych drzwi?

– Czy ona trenowała?

– Trenowała? Trenowała co?

– Strzelanie.

– No... nie wiem.

– Jeśli nie, to nie miała odruchu używania broni. Kobiety noszą w torebkach gaz łzawiący, ale kiedy je ktoś napadnie, nie przychodzi im do głowy, żeby go użyć, bo nie mają takiego odruchu.

– Nie wiem...

Ale ja wiedziałam. Miałam rewolwer ruger 38 naładowany pociskami Silvertip, jednymi z najniebezpieczniejszych, jakie można kupić. Tyle tylko,

że jedynym powodem dla mnie, by go wyjąć, były ćwiczenia w strzelaniu, zabierałam go na strzelnicę kilka razy w miesiącu. Kiedy byłam sama w domu, lepiej czułam się z bronią niż bez niej.

Było coś jeszcze. Pomyślałam o salonie, o narzędziach do obsługi kominka, które stały w mosiężnym stojaku na palenisku. Beryl walczyła z napastnikiem, ale zupełnie nie przyszło jej do głowy, żeby złapać za pogrzebacz albo szufłę. Samoobrona nie była jej odruchem. Jedynym jej odruchem była ucieczka, czy to po schodach na górę, czy też do Key West.

– Ona mogła nie znać się na broni, Marino. Dzwoni dzwonek. Jest zdenerwowana, nie wie, co robić. Idzie do holu i patrzy przez wizjer. Ktokolwiek to był, ufa tej osobie na tyle, że otwiera drzwi. Zapomina o spluwie.

– Albo spodziewała się tego, kto przyszedł – upierał się.

– To całkiem możliwe. Zakładając, że ktoś wiedział, że przyjechała.

– Może właśnie on wiedział.

– I może to on jest „J” – powiedziałam to, co chciał usłyszeć, i odstawiłam butelkę rumu na półkę.

– No właśnie. Teraz to ma sens, no nie?

Zamknęłam drzwi szafki.

– Marino, ktoś jej groził, straszył ją od miesięcy. Trudno mi uwierzyć, żeby to był bliski przyjaciel, a ona ani trochę go nie podejrzewała.

Wyglądał na poirytowanego, gdy spoglądał na zegarek, a potem wyciągał z kieszeni kolejny klucz. To, że Beryl otworzyła drzwi obcemu, brzmiało niedorzecznie, ale jeszcze bardziej absurdalne wydawało się, iż mógł ją zabić ktoś, komu ufała. Czemu go wpuściła? To pytanie nie dawało mi spokoju.

Dom połączony był z garażem krytym przejściem. Poprzez liście sączyły się promienie słońca.

– Zaraz coś zobaczysz – odezwał się Marino, gdy zamek szczęknął. – Wszedłem tu dopiero przed telefonem do ciebie. Mogliśmy wyważyć drzwi tej nocy, kiedy ją zamordowano, ale nie widziałem powodu – wzruszył potężnymi ramionami, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że naprawdę mógłby rozwalić drzwi, kłodę drewna czy też pojemnik na śmieci, gdyby tylko uznał to za stosowne. – Nie wchodziła tu, odkąd wyjechała na Florydę. Trochę nam zeszło, zanim znaleźliśmy ten cholerny klucz.

Pierwszy raz w życiu widziałam garaż wyłożony boazerią. Na podłodze drogie włoskie płytki w kolorze czerwonym tworzyły wzór węzowej skóry.

– Czy to naprawdę miał być garaż? – zapytałam.

– Drzwi są garażowe – wyjął kilka innych kluczy z kieszeni. – Niezłe miejsce na schowanie bryczki przed deszczem, nie?

Wewnątrz było duszno i pachniało kurzem, ale było czysto. Poza grabiami i szczotką w rogu nie dostrzegłam żadnych narzędzi, kosiarek do trawy ani innych sprzętów, jakich można by się spodziewać w takim miejscu. Cały ten garaż bardziej przypominał salon sprzedaży samochodów – pośrodku, na wyłożonej płytkami podłodze, stała czarna honda. Samochód był tak czysty i lśniący, że wyglądał jak nowy.

Marino otworzył drzwi po stronie kierowcy.

– Zapraszam do środka – powiedział.

Po chwili siedziałam w miękkim fotelu ze skóry, koloru kości słoniowej, i przez przednią szybę wpatrywałam się w boazerię.

Marino zrobił krok w tył i dodał:

– Posiedź sobie, dobra? Poczuj go, rozejrzyj się po wnętrzu i zobaczymy, co ci przyjdzie do głowy.

– Chcesz, żebym go zapaliła?

Wręczył mi kluczyki.

– W takim razie otwórz drzwi garażu, żebyśmy się tu nie zatruli.

Rozejrzał się, zmarszczył czoło i znalazł odpowiedni guzik, którym otworzył drzwi.

Silnik zaskoczył za pierwszym razem, potem obniżył ton o kilka oktaw i mruczał cicho. Licznik wskazywał niecałe siedem tysięcy mil, zbiornik paliwa wypełniony był w jednej czwartej. Radio i klimatyzacja włączone, osłona przeciwsłoneczna częściowo opuszczona. Na desce rozdzielczej leżał rachunek z pralni chemicznej z datą jedenasty lipca, czwartek. Beryl oddała tam spódnicę i marynarkę, których widocznie nie zdążyła odebrać. Na miejscu pasażera spostrzegłam rachunek ze sklepu z datą dwunasty lipca godz. 10.40. Wynikało z niego, że kupiła główkę sałaty, pomidory, ogórki, mieloną wołowinę, ser, sok pomarańczowy i paczkę miętowych dropsów na łączną sumę dziewięciu dolarów i trzynastu centów, a w kasie zapłaciła dziesięciodolarowym banknotem.

Obok rachunku leżała pusta wąska biała koperta opatrzona pieczętą banku i skórzany pokrowiec na okulary słoneczne – również pusty.

Na tylnym siedzeniu zobaczyłam rakietę tenisową Wimbledon i pomięty biały ręcznik, po który sięgnęłam. Na brzegu ręcznika widniał stempel KLUB TENISOWY WESTWOOD, który tworzyły małe niebieskie literki. Tę samą nazwę widziałam na czerwonej winylowej torbie, którą znalazłam na górze w szafie Beryl.

To, co najlepsze, Marino zachował na koniec. Wiedziałam, że wcześniej przejrzał wszystkie te rzeczy i chciał, żebym obejrzała je *in situ*. To nie były dowody. Zabójca w ogóle nie wszedł do garażu. Marino mnie sprawdzał. Sprawdzał mnie od chwili, gdy weszliśmy do tego domu. Ten jego zwyczaj zawsze mnie irytował.

Wyłączyłam silnik i wysiadłam z samochodu. Drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem.

Spojrzał na mnie z ciekawością.

- Kilka pytań – powiedziałam.
- Strzelaj.
- Westwood to ekskluzywny klub. Była członkiem?
Skinął potakująco głową.
- Sprawdziliście, kiedy ostatnio rezerwowała kort?
- W piątek, dwunastego lipca, o dziewiątej rano. Miała lekcję z instruktorem. Brała lekcje raz w tygodniu, tak często mniej więcej grywała.
- O ile pamiętam, wyleciała z Richmond w sobotę wcześnie rano, trzynastego lipca, i do Miami przybyła koło południa.

Kolejne skinienie.

– A więc odbyła lekcję, potem pojechała prosto do sklepu. Później być może wstąpiła do banku. Z niewiadomego powodu już po zrobieniu zakupów nagle postanowiła wyjechać z miasta. Gdyby wcześniej wiedziała, że następnego dnia wyjedzie, nie wybierałaby się do sklepu. Nie miała czasu na zjedzenie tego, co kupiła, nie zostawiła też jedzenia w lodówce. Widocznie wyrzuciła wszystko oprócz mielonej wołowiny, sera i może dropsów.

– Brzmi sensownie – powiedział od niechcienia.

– Zostawiła pokrowiec na okulary i inne drobiazgi na siedzeniu – ciągnęłam – do tego włączoną klimatyzację i radio, osłonę przeciwsłoneczną częściowo uchyloną. Wygląda na to, że wjechała do garażu, wyłączyła silnik i szybko pobiegła do domu, nie zdejmując nawet okularów. Zastanawiam się, czy coś się wydarzyło, gdy była w samochodzie w drodze do domu po lekcji tenisa...

– O tak. Jestem prawie pewien, że coś się stało. Obejdź auto dookoła i popatrz na drugą stronę... zwłaszcza na drzwi od strony pasażera.

Tak zrobiłam.

To, co zobaczyłam, przeszło moje oczekiwania. Pod samą klamką drzwi widniało wyryte w czarnym lakierze imię BERYL otoczone sercem.

– Robi wrażenie, nie? – powiedział.

– Jeśli to wydrapał, kiedy była w klubie albo w sklepie – myślałam głośno – mogło się zdarzyć, że ktoś go widział.

– Tak. Ale mógł to zrobić wcześniej – urwał, pochylając się nad napisem. – Kiedy ostatnio spojrzałaś na drzwi pasażera w swoim samochodzie?

Może kilka dni temu. Może tydzień temu.

– Poszła po zakupy – wreszcie zapalił tego papierosa – nie kupiła dużo – zaciągnął się głęboko, z lubością. – Prawdopodobnie wszystko zmieściło się do jednej torby. Moja żona, jeśli ma tylko jedną czy dwie torby, zawsze kładzie je z przodu, na podłodze albo na siedzeniu. Więc może Beryl podeszła od strony pasażera, żeby włożyć zakupy do samochodu.

I wtedy zauważyła to, co jej tu wydrapano. Może wiedziała, że to się stało tego dnia. A może nie. To nie ma znaczenia. Wytrącona z równowagi jedzie do domu albo do banku po gotówkę. Rezerwuje miejsce na najbliższy lot z Richmond i ucieka na Florydę.

Szłam za nim z garażu do jego samochodu. Szybko zapadała ciemność, powietrze stawało się chłodne. Włączył silnik, a ja w milczeniu wpatrywałam się przez boczną szybę w dom Beryl. Jego ostre krawędzie osnuwał cień, okna były ciemne. Nagle zapaliły się światła na ganku i w salonie.

– Jezu – mruknął Marino. – Psikus z okazji Halloween? Ki diabeł?

– Regulator czasowy – powiedziałam.

– Pewnie tak.

Rozdział drugi

Gdy dojeżdżałam do domu, księżyc nad Richmond był w pełni. Tylko najbardziej zagorzali uczestnicy obchodów Halloween chodzili jeszcze po domach. Światła samochodu wydobywały co jakiś czas z mroku ich dziecięce sylwetki i groźne maski. Zastanawiałam się, ile razy dzwonili dziś do moich drzwi. Chętnie mnie odwiedzali, gdyż nie mając własnych dzieci do rozpieszczania, szczerze obdarowywałam przebierańców słodyczami. Tak więc zostały mi cztery torby czekoladowych batonów do rozdania pracownikom następnego dnia.

Telefon zaczął dzwonić, gdy wchodziłam na schody. Podniosłam słuchawkę tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki. Z początku głos wydał mi się obcy, lecz po chwili go rozpoznałam...

– Kay? Tu Mark. Dobrze, że cię zastałem...

Głos Marka Jamesa brzmiał, jakby dobiegał spod ziemi. W tle słychać było przejeżdżające samochody.

– Gdzie jesteś? – zapytałam, wiedząc, że mój głos zdradza podenerwowanie.

– Na czterdziestej piątej, jakieś pięćdziesiąt mil na północ od Richmond.
– Usiadłam na krawędzi łóżka. – W budce. Nie wiem, jak się do ciebie jedzie. – Odczekał, aż przejadą samochody, i dodał: – Chciałbym się z tobą spotkać, Kay. Jestem w Waszyngtonie od tygodnia, całe popołudnie usiłuję cię złapać, w końcu zaryzykowałem i pożyczyłem samochód. Nie masz nic przeciwko temu?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Pomyślałem, że moglibyśmy się czegoś napić, pogadać – ciągnął mężczyzna, który kiedyś złamał mi serce. – Mam rezerwację u Radissona. Jutro wcześniej rano odlatuję z Richmond do Chicago. Pomyślałem więc... Właściwie chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Nie miałam pojęcia, o czym miałabym rozmawiać z Markiem.

– To jak, mogę przyjechać? Nie będzie ci to przeszkadzało? – zapytał jeszcze raz.

Wiedziałam, że będzie! Ale odpowiedziałam:

– Oczywiście, że możesz. Miło będzie cię zobaczyć.

Wytłumaczyłam mu, jak do mnie dojechać, i przeszłam do łazienki, żeby się odświeżyć. Tam dokonałam szybkiego podsumowania. Minęło ponad piętnaście lat od czasu, kiedy razem studiowaliśmy prawo. Nie widzieliśmy się bardzo długo. Teraz moje włosy były bardziej siwe niż blond, oczy nie miały już takiego blasku, nie były tak niebieskie jak kiedyś. Bezstronne lustro przypomniało mi też nieubłagane, że tylko raz ma się trzydzieści dziewięć lat i że istnieje coś takiego jak operacja plastyczna. Wciąż pamiętałam Marka jako niespełna dwudziestoczteroletniego młodzieńca, obiekt mojej namiętności i mojego uzależnienia, co w końcu doprowadziło mnie do skrajnej rozpacz. Gdy się z tym wreszcie uporałam, pozostała mi tylko praca.

Nadal jeździł szybko i lubił drogie samochody. Niecałe czterdzieści pięć minut później otworzyłam drzwi wejściowe i patrzyłam, jak wysiada z wynajętego sterlinga. Ciągle był tym Markiem, którego pamiętałam – ta sama szczupła sylwetka, długie nogi i pewny krok. Wchodząc zwinnie po schodach, lekko się uśmiechał

Uścisnęliśmy się i przez chwilę staliśmy zakłopotani w korytarzu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ciągle pijasz szkocką? – zapytałam wreszcie.

– To się nie zmieniło – odpowiedział, idąc za mną do kuchni.

Wyjęłam z barku Glenfiddich i odruchowo sporządziłam drinka dokładnie w taki sposób, w jaki robiłam to dawno temu: dwa kieliszki alkoholu, lód i trochę wody gazowanej. Mark obserwował mnie, gdy krzątałam się po kuchni i stawiałam drinki na stole. Pociągnąwszy łyk, chwilę wpatrywał się w swoją szklanekę, a potem zaczął powoli potrząsać lodem w taki sposób, w jaki robił to, gdy był zdenerwowany. Patrzyłam na niego uważnie, długo: przyglądałam się subtelnym rysom, wysokim kościom policzkowym i szarym oczom. Jego ciemne włosy zaczęły już siwieć na skroniach.

Przeniosłam spojrzenie na lód wolno kołyszący się w szklance.

– Rozumiem, że pracujesz w jakiejś firmie w Chicago.

Poprawił się na krześle, podniósł na mnie wzrok i powiedział:

– Zajmuję się głównie apelacjami, rzadko procesami. Czasami jeżdżę do Diesnera. Od niego się właśnie dowiedziałem, że jesteś w Richmond.

Diesner był naczelnym lekarzem sądowym w Chicago. Spotykaliśmy się na zebraniach i byliśmy razem w kilku komisjach. Nigdy nie wspominał, że zna Marka Jamesa, i nie mam pojęcia, skąd wiedział, że ja go znam.

– Zrobiłem ten błąd i powiedziałem mu, że znamy się ze studiów. Chyba wspomina czasem o tobie, żeby mi dopiec – wyjaśnił Mark, jakby odczytał moje myśli.

To brzmiało bardzo wiarygodnie. Diesner był bardzo nieokrzesany i niezbyt lubił obrońców. Niektóre z jego sporów i popisów na sali sądowej przeszły już do legendy.

Mark mówił dalej:

– Jak większość patologów sądowych jest po stronie oskarżenia. Ja reprezentuję interesy przestępcy, więc jestem tym złym. Diesnerowi sprawia satysfakcję, gdy uda mu się mnie zaczepić i niby to mimochodem

wspomnieć o jakimś twoim ostatnim artykule albo makabrycznej sprawie, nad jaką pracowałeś. Doktor Scarpetta. Słynna ekspert Scarpetta – roześmiał się, ale jego oczy pozostały poważne.

– To nieuczciwe twierdzić, że jesteśmy po stronie oskarżenia – odparłam. – To tylko tak wygląda, bo jeśli dowody są po stronie oskarżonego, ekspertyza nie trafia na salę sądową.

– Kay, przecież wiem, jak to działa – powiedział tym uspokajającym tonem, który dobrze pamiętałam. – Wiem, z czym masz do czynienia. I gdybym był na twoim miejscu, też chciałbym, żeby wszyscy ci dranie skończyli na krześle.

– Owszem, wiesz, z czym mam do czynienia – zaczęłam. Spieraliśmy się o to samo, co zawsze. Nie mogłam uwierzyć. Był tu niecałe piętnaście minut, a już podjęliśmy wymianę zdań w tym samym miejscu, w którym kiedyś ją przerwaliśmy. Niektóre z najgorszych naszych kłótni dotyczyły właśnie tego tematu. Gdyśmy się poznali, ja byłam już po medycynie i zaczęłam studiować prawo w Georgetown. Znałam tę ciemniejszą stronę życia, okrucieństwo, przypadkowe tragedie. Kładłam ręce w rękawiczkach na zakrwawionych ofiarach, widziałam z bliska cierpienie i śmierć. Mark był wyróżniającym się studentem jednego z najlepszych uniwersytetów i największą zbrodnią, jaką mógł sobie wyobrazić, było zdrapanie lakieru z jego jaguara. Miał zostać prawnikiem, bo jego ojciec i dziadek byli prawnikami. Ja byłam katoliczką, Mark protestantem. Ja byłam Włoszką, a on o równie angielskich korzeniach jak książę Karol. Ja wychowywałam się w biednej rodzinie, on w jednej z bogatszych dzielnic Bostonu. Kiedyś myślałam, że nasz ślub będzie czymś najwspanialszym na świecie.

– Nie zmieniałaś się, Kay – powiedział. – Może tylko teraz jesteś bardziej zdecydowana, twarda. Założę się, że w sądzie trzeba się z tobą liczyć.

– Nie chciałabym myśleć o sobie, że jestem twarda.

– To nie miała być krytyka. Mówię tylko, że wyglądasz wspaniale – rozejrzył się po kuchni. – I chyba odnosisz sukcesy. Jesteś szczęśliwa?

– Lubię Wirginię – odparłam, unikając jego spojrzenia. – Jedyne, co mi tu przeszkadza, to zimy, ale domyślałam się, że u ciebie jest jeszcze gorzej.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczyłam. Nie zniosłabyś tego. Taki cieplarniany kwiatek jak ty nie wytrzymałby tam miesiąca – pociągnął łyk szkockiej. – Nie masz męża.

– Miałam.

– Aha – zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć. – Tony jakiś tam... Pamiętam, że zaczęłaś się z nim spotykać... Benedetti, tak?... pod koniec trzeciego roku.

W zasadzie zdziwiło mnie, że Mark to pamiętał.

– Rozwiedliśmy się dość dawno.

– Przykro mi – odparł delikatnie.

Sięgnęłam po swoją szklanę.

– Spotykasz się z kimś miłym? – zapytał.

– W tej chwili z nikim, miłym ani niemiłym. Mark nie roześmiał się tak radośnie, jak

zwykł byt to czynić. Wyznał natomiast:

– Ja omal się nie ożeniłem parę lat temu, ale nam nie wyszło. Choć uczciwiej byłoby powiedzieć, że spanikowałem w ostatniej chwili.

Trudno mi było uwierzyć, że nigdy się nie ożenił. Musiał odczytać moje myśli, bo dodał:

– To było po śmierci Janet – zawahał się. – Byłem żonaty.

– Janet?

Znowu obracał lód w szklance.

– Poznałem ją w Pittsburghu. Była doradcą podatkowym w firmie.

Przyglądałam mu się uważnie, zdziwiona tym, co widziałam. Mark się zmienił. Siła, która kiedyś mnie w nim pociągała, była inna. Nie potrafiłam tego określić, ale było w nim coś mrocznego.

– Wypadek – wyjaśnił. – W sobotę wieczorem. Wyszła po prażoną kukurydzę. Zamierzaliśmy dłużej posiedzieć, obejrzeć film w telewizji. Najechał na nią pijany kierowca. Nawet nie miał włączonych świateł.

– Boże, Mark. Przykro mi – powiedziałam. – To straszne.

– To było osiem lat temu.

– Masz dzieci? – zapytałam cicho.

Potrząsnął głową. Zamilkliśmy.

– Moja firma otwiera biuro pod Waszyngtonem – odezwał się, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

Nie odpowiedziałam.

– Możliwe, że przeniosą mnie do Waszyngtonu. Rozrastamy się w zawrotnym tempie. Ponad stu prawników w biurach w Nowym Jorku, Atlancie, Houston.

– Kiedy zamierzasz się przenieść? – zapytałam bardzo cicho.

– Przed nowym rokiem.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Mam już szczerze dość Chicago, potrzebuję zmiany. Chciałem cię zawiadomić... dlatego tu jestem, w każdym razie przede wszystkim dlatego. Nie chciałbym przenieść się do Waszyngtonu i wpaść któregoś dnia na ciebie na ulicy. Będę mieszkał w północnej Wirginii. Masz tam biuro. Istnieje możliwość, że natknęlibyśmy się na siebie w restauracji, teatrze czy innym miejscu. Nie chciałem tego.

Wyobraziłam sobie, jak siedzę w Kennedy Center i nagle widzę Marka trzy rzędy przede mną, szepczącego coś do ucha pięknej młodej dziewczynie. Przypomniał mi się dawny ból, tak silny, że aż fizycznie

odczuwalny. Mark nie miał konkurencji. Był jedynym obiektem moich uczuć. Początkowo coś mi podpowiadało, że to nie jest wzajemne. Później byłam już tego pewna.

– Jestem tu przede wszystkim dlatego – powtórzył, tym razem jak prawnik zaczynający swą przemowę. – Ale jest jeszcze coś, co naprawdę nie ma nic wspólnego z nami.

Milczałam.

– Dwa dni temu tu, w Richmond, zamordowano kobietę. Beryl Madison...

Zaskoczenie na mojej twarzy sprawiło, że przerwał na chwilę.

– Berger, nasz wspólnik, powiedział mi o tym, kiedy zadzwonił do mnie do hotelu. Chciałbym z tobą o tym pomówić...

– A co to ma wspólnego z tobą? – zapytałam. – Znałeś ją?

– Poniekąd. Spotkałem ją raz, w Nowym Jorku zeszłej zimy. Nasze tamtejsze biuro zajmuje się prawami autorskimi. Beryl miała problemy z wydawcą... chodziło o umowę... i wynajęła Orndorff & Berger, żeby to załatwić. Byłem akurat w Nowym Jorku tego dnia, kiedy rozmawiała ze Sparacinem, prawnikiem, który przejął tę sprawę. W rezultacie Sparacino zaprosił mnie, żebym zjadł z nimi obiad w „Algonquin”.

– Jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że spór, o którym wspomniałeś, może mieć coś wspólnego z tym morderstwem, powinieneś porozmawiać z policją, nie ze mną – powiedziałam trochę poirytowana.

– Kay – odparł – moja firma nawet nie wie, że z tobą rozmawiam. Kiedy Berger wczoraj zadzwonił, miał zupełnie inną sprawę, rozumiesz? Przypadkiem wspomniał o morderstwie Beryl Madison, prosił, żebym poszukał papierów i spróbował się czego dowiedzieć.

– Rozumiem. Czytaj: zobaczył, czego możesz się dowiedzieć od swojej eks... – poczułam, jak po szyi pełźnie mi rumieniec. Eks... kogo?

– To nie tak – odwrócił wzrok. – Myślałem o tobie, o tym, żeby do ciebie zadzwonić, jeszcze przed telefonem Bergera, nim w ogóle się dowiedziałem o Beryl. Od dwóch dni trzymałem rękę na telefonie, dostałem już nawet twój numer z biura numerów. Ale nie umiałem się na to zdobyć. I może nigdy bym nie zadzwonił, gdyby Berger nie powiedział mi, co się stało. Może Beryl dała mi pretekst. Do tego się mogę przyznać. Ale to naprawdę nie jest tak, jak myślisz...

Nie słuchałam. Było mi głupio, że tak bardzo chciałam mu wierzyć.

– Jeśli twoja firma jest zainteresowana tym morderstwem, powiedz mi dokładnie, o co chodzi.

Zastanawiał się chwilę.

– Nie jestem pewien, czy jesteśmy formalnie zainteresowani tym morderstwem. Może to osobiste, takie poczucie przerażenia. Szok dla tych z nas, którzy się z nią zetknęli. Powiem ci też, że prowadziła dość ostry spór, miała kłopoty z umową, którą podpisała osiem lat temu. To skomplikowana sprawa. Dotyczy Cary’ego Harpera.

– Tego pisarza? – powiedziałam zdumiona. – Tego Cary’ego Harpera?

– Jak pewnie wiesz – ciągnął Mark – mieszka niedaleko stąd, w jakiejś osiemnastowiecznej posiadłości zwanej Cutler Grove. To gdzieś w Williamsburgu, nad rzeką James.

Usiłowałam sobie przypomnieć, co czytałam o Harperze, który jakieś trzydzieści lat temu wydał jedną powieść, za którą dostał Nagrodę Pulitzera. Był odludkiem, mieszkał tylko z siostrą. A może to ciotka? O jego prywatnym życiu krążyło wiele pogłosek. Im bardziej odmawiał wywiadów i unikał dziennikarzy, tym więcej domysłów narastało wokół jego osoby.

Zapaliłam papierosa.

– Miałem nadzieję, że przestałaś palić – powiedział.

– To by wymagało usunięcia przedniego płata mojego mózgu.

– Oto wszystko, co wiem. Beryl była z Harpirem dość blisko, już jako nastolatka i zaraz po dwudziestce. Jakiś czas mieszkała razem z nim i jego siostrą. Beryl była obiecującą pisarką, utalentowaną córką, jakiej Harper nigdy nie miał. Jego protegowaną. To dzięki jego koneksjom wydała swoją pierwszą książkę w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat. Jakiś romans pod pseudonimem Stratton. Harper napisał nawet notkę na okładkę, coś o intrygującej młodej autorce, którą odkrył. To wywołało spore zdumienie. Jej powieść była bliżej komercji niż wielkiej literatury, a Harper przez wiele lat nic nie napisał.

– Co to ma wspólnego z jej sporem o umowę?

Mark odparł ironicznie:

– Harper może mieć słabość do zachwyconej nim małolaty, ale drań jest ostrożny. Zanim pomógł jej wydać książkę, zmusił ją do podpisania umowy zabraniającej jej napisania kiedykolwiek choćby jednego słowa o nim czy o czymkolwiek, co go dotyczy, póki żyje on i jego siostra. Harper jest dopiero po pięćdziesiątce, jego siostra kilka lat starsza. W zasadzie ta umowa podcięła Beryl skrzydła na całe życie, blokując jej napisanie wspomnień. Bo jak mogłaby to zrobić, nie wspominając o Harperze?

– Może by mogła – odparłam – ale bez tego książka by się nie sprzedała.

– No właśnie.

– Czemu używała pseudonimów? To też część umowy z Harperem?

– Tak myślę. Podejrzewam, że chciał, aby Beryl była jego tajemnicą. Podarował jej sukces literacki, ale chciałby pozostała odizolowana od świata. Imię Beryl Madison nie jest znane, chociaż jej powieści przynoszą spore pieniądze.

– Mam rozumieć, że chciała zerwać tę umowę i dlatego zwróciła się do Orndorff & Berger?

Sączył drinka.

– Przypominam ci, że ona nie była moją klientką. Dlatego nie znam wszystkich szczegółów. Ale mam wrażenie, że już się wypaliła, chciała teraz napisać coś ważnego. I to jest ten fragment jej życia, który zapewne już znasz. Najwyraźniej miała kłopoty, ktoś jej groził, napastował ją...

– Kiedy?

– Zeszłej zimy, mniej więcej w tym czasie, gdy ją spotkałem na obiedzie. To był chyba koniec lutego.

– No, mów – powiedziała zaintrygowana.

– Nie miała pojęcia, kto jej grozi. Nie wiem na pewno, czy to się zaczęło, zanim postanowiła napisać to, nad czym ostatnio pracowała, czy też później.

– Jak miała zamiar poradzić sobie z tą umową?

– Nie sądzę, żeby jej się to w pełni udało – odparł Mark – ale Sparacino chciał tak pokierować sprawą, żeby dać Harperowi wybór. Mógł współpracować i wtedy efekt byłby dla niego prawie nieszkodliwy... innymi słowy, Harper miałby ograniczone prawo do cenzury. Albo mógł okazać się draniem i wtedy Sparacino poszedłby z tym do prasy i telewizji. Harper był w sytuacji bez wyjścia. Oczywiście, mógłby wytoczyć jej proces o odszkodowanie, ale ona nie miała aż tyle pieniędzy, w każdym razie jej zasoby to kropla w morzu jego fortuny. Taki proces sprawiłby tylko, że wszyscy kupowaliby jej książkę. Harper naprawdę nie mógł wygrać.

– Nie mógł uzyskać nakazu sądowego, żeby nie dopuścić do wydania? – zapytałam.

– To znaczy jeszcze większy rozgłos. A powstrzymanie mediów kosztowałoby go miliony.

– Teraz ona nie żyje – patrzyłam na papieros tłący się w popielniczce – książka, jak sądzę, nie jest skończona. Harper nie ma się o co martwić. Czy

do tego zmierzasz? Że Harper może być wplątany w to morderstwo?

– Mówię ci tylko, co wiem – odpowiedział.

Wpatrywał się we mnie byстрыm wzrokiem.

Przypomniałam sobie, że czasami jego wzrok potrafił być nieobecny.

– I co myślisz? – zapytał.

Nie powiedziałam, co naprawdę myślałam, a mianowicie, że wydało mi się bardzo dziwne, iż Mark mi to wszystko opowiedział. Co z tego, że Beryl nie była jego klientką. Znał zasady etyki prawniczej, które jasno mówią, że za wiedzę jednego pracownika firmy odpowiadają wszyscy jej pracownicy. Był o mały włos od naruszenia etyki, a to wydało mi się równie nieprawdopodobne w wypadku pełnego skrupułów Marka Jamesa, jakiego znałam, jak to, że nagle zobaczyłabym go całego w tatuażach.

– Myślę, że powinieneś porozmawiać z Marinem, prowadzącym śledztwo – odparłam. – Albo ja mu powtórzę to wszystko, co mi przed chwilą powiedziałaś. Tak czy inaczej będzie sprawdzał waszą firmę, zadawał pytania.

– Nie szkodzi. Zamilkliśmy na chwilę.

– Jaka ona była? – zapytałam, chrząknąwszy.

– Już ci mówiłem, że widziałem ją tylko raz. Ale zapadała w pamięć. Dynamiczna, dowcipna, atrakcyjna, ubrana na biało. W pięknym białym kostiumie. Powiedziałbym też, że była dość tajemnicza. Była w niej jakaś głębia, do której nikt nie mógł dotrzeć. I dużo piła, przynajmniej tego dnia podczas obiadu... wypła trzy koktajle, co uznałem za dość dużo jak na pierwszą połowę dnia. Choć może to nic nie znaczyło. Była zdenerwowana, niespokojna, spięta. Wizyta w Orndorff & Berger nie była dla niej przyjemnością. Na pewno cała ta sprawa z Harperem musiała ją niepokoić.

– Co piła?

– Słucham?

– Te trzy koktajle. Co to było? Zmarszczył czoło i wpatrywał się we mnie nad stołem.

– Do diabła, Kay, nie wiem. A czy to ma znaczenie?

– Nie wiem, czy ma znaczenie – powiedziałam, wspominając jej szafkę z alkoholami. – Mówiła coś o tych groźbach? To znaczy, przy tobie?

– Tak. I Sparacino o nich wspomniał. Wiem tylko, że otrzymywała jakieś dziwne telefony. Zawsze ten sam głos, nikt, kogo by znała, przynajmniej tak twierdziła. Były też inne dziwne zdarzenia. Nie pamiętam dokładnie... to było dość dawno.

– Czy rejestrowała te zdarzenia? – zapytałam.

– Nie wiem.

– I nie miała pojęcia, kto i dlaczego to robił?

– Takie sprawiała wrażenie – odsunął krzesło. Zbliżała się północ. Gdy odprowadzałam go do drzwi, nagle przyszło mi coś do głowy.

– Sparacino – powiedziałam. – Jak on ma na imię?

– Robert.

– Nie używa inicjału „J”?

– Nie – odparł, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

Zapadła krępująca cisza.

– Jedź ostrożnie.

– Dobranoc, Kay – powiedział z wahaniem. Może to tylko moja wyobraźnia, ale przez moment zdawało mi się, że zamierza mnie pocałować. Potem zszedł szybko po schodach, a ja wróciłam do domu. Chwilę później usłyszałam, jak odjeżdża.



Następny dzień zaczął się bardzo niespokojnie. Na zebraniu personelu Fielding poinformował, że czeka nas pięć sekcji, w tym „topielec”, czyli

rozkładające się ciało wyłowione z rzeki. Ta perspektywa zawsze psuła nam humory. Z miasta dowieziono nam dwie ofiary postrzałów, z których jedną zdążyłam zbadać, zanim wyszłam do sądu w sprawie innej strzelaniny, a potem do Akademii Medycznej na obiad z jednym z moich praktykantów. Cały czas próbowałam zapomnieć o wizycie Marka. Im bardziej starałam się o nim nie myśleć, tym mniej mi się to udawało. Był ostrożny. Uparty. To było do niego niepodobne, że skontaktował się ze mną po przeszło dziesięciu latach milczenia.

Dopiero po południu skapitulowałam i zadzwoniłam do Marina.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – powiedział, ledwie się odezwałam. – Już wyjeżdżam. Możemy się spotkać w biurze Bentona za godzinę, powiedzmy półtorej godziny?

– A o co chodzi? – nawet nie zdążyłam powiedzieć, dlaczego do niego dzwonię.

– Zdobyłem raporty w sprawie Beryl. Pomyślałem, że chciałabyś tego posłuchać.

Odłożył słuchawkę jak zawsze bez słowa pożegnania.

O umówionej godzinie wjechałam w ulicę East Grace i zaparkowałam na pierwszym wolnym miejscu, jakie mogłam znaleźć w rozsądnej odległości od biura Bentona. Nowoczesny dziesięciopiętrowy biurowiec wyglądał jak latarnia morska ponad morzem małych restauracji różnych grup etnicznych i sklepów ze starymi gratami określanymi mianem antyków. Po popękanych chodnikach sunęły tłumy przechodniów.

Wszedłszy do holu, okazałam strażnikowi dowód tożsamości i wjechałam windą na piąte piętro. W końcu korytarza były nieoznakowane drewniane drzwi. Lokalizacja biura terenowego FBI w Richmond to jeden z najlepiej strzeżonych sekretów w mieście. Sam gabinet równie mało rzuca się w oczy, jak zatrudnieni tu agenci w cywilnych ubraniach. Młody

mężczyzna za blatem ciągnącym się w poprzek ściany spojrział na mnie, nie przerywając rozmowy przez telefon. Zasłonił dłonią mikrofon i uniósł brwi, co miało znaczyć „W czym mogę pani pomóc?”. Wyjaśniłam mu, po co tu przyszedłam, a on wskazał mi krzesło.

Pomieszczenie było małe i o wyraźnie męskim charakterze – meble obite twardą granatową skórą, ława zavalona sportowymi czasopismami. Na wyłożonych boazerią ścianach wisiały zdjęcia byłych dyrektorów FBI, dyplomy za wzorową służbę oraz mosiężna tablica z wrytymi nazwiskami agentów, którzy zginęli podczas akcji. Otworzyły się drzwi i weszli wysocy, silni mężczyźni w ciemnych garniturach i okularach słonecznych. Żaden nawet nie spojrział w moją stronę.

Benton Wesley może był równie sztywny jak wszyscy pozostali, ale z biegiem lat zyskał sobie mój szacunek. Pod maską agenta krył się człowiek wart bliższego poznania. Był bystry i energiczny, no i na swój sposób elegancki w ciemnych spodniach od garnituru i krochmalonej białej koszuli. Miał idealnie zawiązany modny wąski krawat, przy pasku czarną kaburę, choć prawie nigdy nie nosił broni w budynku. Nie widziałam Wesleya od jakiegoś czasu. Zauważyłam, że wcale się nie zmienił. Był silny i przystojny, ze szpakowatymi włosami, które niezmiennie mnie zadziwiały u tak młodego mężczyzny.

– Przepraszam za spóźnienie, Kay – powiedział z uśmiechem.

Jego uścisk dłoni był stanowczy, lecz pozbawiony wszelkich oznak męskiej dominacji. Uściski dłoni wielu policjantów i prawników, jakich znam, są niczym pociągnięcie siłą piętnastu kilogramów za maleńki spust, co prawie łamie mi place.

– Marino już tu jest – dodał Wesley. – Musiałem omówić z nim parę rzeczy, zanim cię w to wprowadzimy.

Przytrzymał drzwi i weszłam za nim do pustego korytarzyka. Skierowawszy mnie do swojego małego gabinetu, poszedł po kawę.

– Wreszcie wczoraj wieczorem udało mi się skorzystać z komputera – powiedział Marino. Siedział wygodnie rozparty na krześle i oglądał rewolwer 357, najwyraźniej nowiutki.

– Komputer? Jaki komputer? – Czyżbym zapomniała papierosów? Nie, znowu są gdzieś na dnie torebki.

– W centrali. Cały czas się psuje. No, ale w końcu zdobyłem kopie tych raportów. Ciekawe. Przynajmniej moim zdaniem.

– Beryl? — zapytałam.

– Właśnie – położył broń na biurku Wesleya i dodał: – Niezły. Ten szczęściarz wygrał go na loterii na zjeździe szefów policji w Tampa w ubiegłym tygodniu. A ja nie mogę nawet wygrać dwóch dolców w lotto.

Nie potrafiłam się skupić. Biurko Wesleya zagracone było faktami, raportami, taśmami wideo i grubymi kopertami zawierającymi fotografie i dane dotyczące, jak sądziłam, różnych przestępstw, jakimi się aktualnie zajmowano. W biblioteczce za szybą widniała kolekcja broni – sztylet, mosiężny kastet, obrzyn, afrykańska włócznia – trofea z polowań, prezenty od wdzięcznych protegowanych. Stara fotografia przedstawiała uścisk dłoni Wiliama Webstera i Wesleya na tle helikoptera piechoty morskiej w Quantico. Żadnych śladów, że Wesley ma żonę i trójkę dzieci. Agenci FBI, podobnie jak większość policjantów, zazdrośnie strzegą swego życia prywatnego przed światem, zwłaszcza jeśli byli tak blisko piekła, żeby poczuć jego grozę. Wesley opracowywał charakterystyki podejrzanych. Wiedział, co to znaczy oglądać zdjęcia z nieprawdopodobnej masakry, a potem odwiedzać więzienia i patrzeć takim zbrodniarzom jak Charles Manson czy Ted Bundy prosto w oczy.

Wesley wrócił z kawą w dwóch jednorazowych kubkach, jeden wręczył Marinowi, drugi mnie. Zawsze pamiętał, że piję kawę bez mleka i że potrzebuję popielniczki.

Marino zebrał z kolan cienki plik kserokopii policyjnych raportów i zaczął je przeglądać.

– Po pierwsze – powiedział – są tylko trzy. Trzy raporty, które zostały odnotowane. Pierwszy nosi datę jedenastego marca, dziewięta trzydzieści, w poniedziałek rano. Beryl Madison zadzwoniła pod numer 911 poprzedniej nocy i zażądała, aby przysłano do jej domu policjanta, bo chce złożyć doniesienie. Telefon ten, nie dziwota, został uznany za mało ważny, bo akurat wtedy dużo się działo na ulicach. Funkcjonariusz pojawił się u niej dopiero rano. Hm, Jim Reed jest w wydziale od pięciu lat – podniósł na mnie wzrok.

Potrząsnęłam głową. Nie znałam Reeda.

Marino zaczął streszczać nam raport.

– Reed zapisał, że składająca doniesienie Beryl Madison była bardzo roztrzęsiona i oświadczyła, że poprzedniego wieczoru, tj. w niedzielę o ósmej piętnaście odebrała telefon z pogrózkami. Głos dzwoniącego określiła jako męski, prawdopodobnie należący do białego. Miał powiedzieć: „Założę się, że za mną tęsknisz, Beryl. Wciąż cię obserwuję, chociaż ty mnie nie widzisz. Widzę cię. Możesz uciekać, ale i tak się nie ukryjesz”. Składająca doniesienie zeznała dalej, że rozmówca powiedział, iż obserwował ją, jak tego dnia rano kupowała gazetę przed „Seven-Eleven”. Opisał dokładnie, w co była ubrana: „czerwony dres i bez stanika”. Poszkodowana potwierdziła, że pojechała do „Seven-Eleven” na Rosemount Avenue około dziesiątej rano w niedzielę i że była ubrana tak, jak to zostało opisane. Zaparkowała przed „Seven-Eleven” i kupiła „Washington Post” z automatu. Nie wchodziła do sklepu ani nie widziała

nikogo w pobliżu. Była bardzo zdenerwowana faktem, że dzwoniący znał te szczegóły, i była przekonana, że jest śledzona. Zapytana, czy wówczas zdawała sobie sprawę, że ktoś ją śledzi, odparła, że nie.

Marino obrócił kartkę i zajrzał do tajnej części raportu. Streścił go, mówiąc:

– Reed donosi tutaj, że panna Madison nie chciała wyjawić pewnych szczegółów dotyczących samych gróźb wypowiedzianych przez dzwoniącego. Dokładnie przepytana stwierdziła w końcu, że dzwoniący był „obsceniczny” i powiedział, że gdy wyobraża ją sobie bez ubrania, czuje chęć „zabicia” jej. W tym momencie – jak oświadczyła – odłożyła słuchawkę.

Marino położył kserokopię na krawędzi biurka Wesleya.

– Jaką radę dał jej funkcjonariusz Reed? – zapytałam.

– Standardową – powiedział Marino. – Poradził jej, żeby zaczęła prowadzić dziennik. I niech zapisuje rozmowy telefoniczne: datę, czas i treść. Poradził jej też, by zamykała drzwi, okna i zastanowiła się nad założeniem alarmu. A gdyby zauważyła jakieś dziwne pojazdy, niech zapisze numery rejestracyjne i zadzwoni na policję.

Przypomniałam sobie, co powiedział mi Mark o obiedzie z Beryl w lutym.

– Czy mówiła, że ta groźba, o której doniosła jedenastego marca, była pierwsza, jaką otrzymała?

Odpowiedział mi Wesley, który sięgnął po raport.

– Najwidoczniej nie – przerzucił kartkę. – Według Reeda Beryl twierdziła, że otrzymuje telefony z pogrózkami od początku roku, ale do tej pory nie zawiadamiała policji. Zdaje się, że poprzednie telefony nie były częste i nie tak konkretne, jak ten w niedzielę wieczorem, dziesiątego marca.

– Była pewna, że wcześniej dzwonił ten sam człowiek? – zwróciłam się do Marina.

– Powiedziała Reedowi, że głos brzmiał tak samo. Opisała go jako głos białego mężczyzny, miękki, z dobrą dykcją. Nie był to głos kogoś, kogo znała... przynajmniej tak twierdziła.

Marino przystąpił do streszczania drugiego raportu.

Beryl zadzwoniła na pager Reeda we wtorek wieczorem, o siódmej osiemnaście. Powiedziała, że musi się z nim zobaczyć. Przyjechał do nie do domu niecałą godzinę później, krótko po ósmej. I znowu, jak wynika z raportu, była bardzo zdenerwowana, utrzymywała, że odebrała kolejny telefon z pogroźkami i zaraz po nim zadzwoniła do Reeda. To był ten sam głos, ten sam mężczyzna, który dzwonił wcześniej. I mówił rzeczy podobne do tych z dziesiątego marca.

Marino zaczął czytać słowo po słowie:

– „«Wiem, że za mną tęsknisz, Beryl. Wkrótce przyjdę po ciebie. Wiem, gdzie mieszkasz, wiem o tobie wszystko. Możesz uciekać, ale i tak się nie ukryjesz». Oświadczył, że wie o jej nowym samochodzie, czarnej hondzie, i że odłamał jej antenę poprzedniej nocy, kiedy samochód stał na podjeździe. Składająca doniesienie potwierdziła, że poprzedniej nocy jej samochód był zaparkowany na podjeździe, a kiedy wyszła z domu rano we wtorek, zauważyła, że antena rzeczywiście była złamana. Choć nie odpadła, ale była odgięta i zbyt zniszczona, by działać. Niżej podpisany funkcjonariusz wyszedł obejrzeć samochód i stwierdził, że owa antena istotnie znajdowała się w stanie opisanym przez składającą doniesienie”.

– Jakie działania podjął Reed? – zapytałam.

Marino spojrział na drugą stronę i powiedział:

– Poradził jej, żeby trzymała samochód w garażu. Ona odparła, że nigdy nie używa garażu, bo zamierza przekształcić go w biuro. Wtedy

zasugerował, żeby poprosiła sąsiadów, by zwracali uwagę na obce pojazdy w okolicy i na nieznaną osobę kręcącą się wokół jej domu. Zaznacza w tym raporcie, że Beryl zapytała, czy powinna zaopatrzyć się w broń.

– I to wszystko? – zapytałam. – A co z dziennikiem, który Reed kazał jej prowadzić? Żadnej wzmianki?

– Nic. Napisał jeszcze coś takiego w tajnej części raportu: „Reakcja składająca doniesienie na zniszczoną antenę wydawała się przesadna. Poszkodowana okazywała coraz większe zdenerwowanie i w pewnej chwili obraziła piszącego raport”.

Marino podniósł wzrok.

– To znaczy: Reed daje do zrozumienia, że jej nie uwierzył. Może sama złamała antenę, rozdmuchując tę sprawę z pogrózkami.

– O Boże – jęknęłam z obrzydzeniem.

– Masz pojęcie, ile osób regularnie wydzwania z takimi głupstwami? Kobiety dzwonią cały czas, mają na sobie rany, zadrapania, donoszą o gwałtach. Niektóre wszystko to zmyślają. Zachowują się tak, żeby ktoś się nimi zainteresował...

Wiedziałam wszystko o urojonych chorobach i ranach, o syndromie Münchhausena, maniach i nieprzystosowaniach, które skłaniają ludzi do hipochondrii, a nawet do samookaleczenia. Nie potrzebowałam wykładu Marina.

– Dobra – powiedziałam. – Co było dalej?

Odłożył drugi raport na biurko Wesleya i zaczął czytać trzeci.

– Beryl ponownie zadzwoniła do Reeda, tym razem szóstego lipca, w sobotę rano, o jedenastej piętnaście. Pojawił się w jej domu tego popołudnia o czwartej i zastał ją zdenerwowaną i wrogo nastawioną...

– No, myślę – wtrąciłam – czekała na niego pięć cholernych godzin.

– Tym razem – Marino zignorował moją uwagę i czytał słowo po słowie – „Panna Madison stwierdziła, że ten sam podmiot zadzwonił do niej o jedenastej rano i przekazał jej następującą wiadomość: «Wciąż za mną tęsknisz? Już wkrótce, Beryl, już wkrótce. Przyszedłem po ciebie wczoraj w nocy. Nie było cię w domu. Rozjaśniasz włosy? Mam nadzieję, że nie». W tym miejscu panna Madison, która jest blondynką, próbowała nawiązać z nim rozmowę. Błagała go, by zostawił ją w spokoju, pytała, kim jest i dlaczego jej to robi. Zeznała, że nie odpowiedział i odłożył słuchawkę. Potwierdziła, że nie było jej w domu poprzedniej nocy, czyli wtedy, kiedy dzwoniący rzekomo do niej przyszedł. Gdy niżej podpisany zapytał ją, gdzie była, nie udzieliła odpowiedzi, powiedziała tylko, że nie było jej w mieście”.

– I co tym razem zrobił funkcjonariusz Reed, żeby pomóc kobiecie w potrzebie? – zapytałam.

Marino spojrzał na mnie obojętnie.

– Poradził jej, żeby sprawiła sobie psa, na co ona odparła, że ma alergię na psy.

Wesley otworzył teczkę z aktami.

– Kay, ty patrzysz na to z innej perspektywy, już po tym okropnym morderstwie. Ale Reed podchodził do tego od drugiego końca. Spójrz na to jego oczami. Młoda kobieta, która mieszka sama. Wpada w histerię. Reed robi, co może... daje jej nawet swój numer pagera. Reaguje szybko, niemal na samym początku sprawy. Ale ona unika odpowiedzi na konkretne pytania. Nie ma dowodów. Każdy policjant byłby sceptyczny.

– Gdybym to był ja – podchwycił Marino – wiem, co bym pomyślał. Podejrzewałbym, że babka czuje się samotna, pragnie zwrócić na siebie uwagę, chce mieć świadomość, że ktoś się nią opiekuje. Albo że rzucił ją facet i ona teraz szykuje grunt, żeby mu odpłacić.

– No tak – wyrwało mi się, nim zdążyłam pomyśleć. – A gdyby to jej chłopak albo mąż groził, że ją zabije, pomyślałbyś tak samo. I Beryl tak czy owak trafiłaby do kostnicy.

– Może – odparł Marino urażonym tonem – ale gdyby to był jej mąż... zakładając, że by go miała... przynajmniej miałbym podejrzanego i mógłbym zdobyć nakaz aresztowania, a sędzia mógłby go powstrzymać nakazem zaprzestania pod groźbą więzienia.

– Nakazy zaprzestania nie są warte tego papieru, na których się je pisze – parsknęłam, czując, jak moja złość zbliża się do granicy samokontroli. Nie było takiego roku, w którym nie robiłabym sekcji pół tuzina zmasakrowanych kobiet, których mężowie lub przyjaciele otrzymali sądowy nakaz zaprzestania molestowania.

Po długim milczeniu zwróciłam się do Wesleya:

– Czy Reed kiedykolwiek proponował założenie podsłuchu na jej telefonie?

– To by nic nie dało – odpowiedział. – Niełatwo jest zdobyć zezwolenie na podsłuch. Firma telekomunikacyjna potrzebuje długiego wykazu rozmów, niezbitego dowodu, że zachodzi molestowanie.

– To ona nie miała niezbitego dowodu?

Wesley powoli pokiwał głową.

– Kay, do tego trzeba, aby takich rozmów było znacznie więcej. Bardzo dużo. Jakiegoś wzoru, kiedy się odbywają. Poważnego nagrania. Bez tego wszystkiego nie ma mowy o podsłuchu.

– Wszystko wskazuje na to – dodał Marino – że Beryl odbierała takie telefony raz albo dwa razy w miesiącu. I nie prowadziła dziennika, o którym mówił jej Reed. A jeśli prowadziła, to nie znaleźliśmy go. Najwyraźniej nie nagrała też żadnej z tych rozmów.

– O Boże – mruknęłam. – Grożą człowiekowi śmiercią, ale trzeba by chyba ustawy Kongresu, żeby ktokolwiek potraktował to poważnie.

Wesley nie odpowiedział.

Marino odburknął:

– To tak jak w waszym zawodzie, pani doktor. Nie ma czegoś takiego jak medycyna prewencji sądowej. Jesteśmy tylko ludźmi do sprząwania. I możemy zacząć działać dopiero po fakcie, kiedy już istnieje niezbity materiał dowodowy. Jak na przykład zwłoki.

– Zachowanie Beryl powinno być wystarczającym materiałem dowodowym – odpowiedziałam. – Przejrzyj raporty. Zrobiła wszystko, co proponował jej ten Reed. Kazał jej założyć alarm, założyła. Kazał jej trzymać samochód w garażu, trzymała, mimo iż planowała przekształcić ten naraż w biuro. Zapytała go o broń, a polem ją sobie kupiła. Iza każdym razem dzwoniła do Reeda bezpośrednio po telefonie z pogroźkami od zabójcy. Innymi słowy, nie zwlekała i nie zawiadamiała policji kilka godzin albo dni później.

Wesley zaczął rozkładać kserokopie listów Beryl z Key West, raport i zdjęcia z miejsca przestępstwa, szereg zdjęć przedstawiających jej podwórko, wnętrze domu i w końcu zdjęcia jej zwłok w sypialni na górze. Przyglądał się temu w milczeniu, ze skupieniem na twarzy. Wyraźnie dawał w ten sposób do zrozumienia, że czas przystąpić do rzeczy, że już wystarczy tych dyskusji i narzekań. Nieważne, co zrobiła lub czego nie zrobiła policja. Ważne, by znaleźć zabójcę.

– Co mnie dziwi – zaczął Wesley – to niekonsekwencja w sposobie działania. Przebieg tego, jak jej grożono, wskazuje na osobowość psychopatyczną. Ktoś śledził ją i groził jej od miesięcy, ktoś, kto prawdopodobnie znał ją tylko na odległość. Bez wątplenia najwięcej przyjemności czerpał z fantazji, tej wcześniejszej fazy. Przedłużał to.

Możliwe, że ostateczny cios zadał akurat w tym momencie, bo Beryl rozdrażniła go, opuszczając miasto. Może bał się, że na dobre się wyprowadzi, więc zamordował ją, gdy tylko wróciła.

– Rozzłościła go nie na żarty – wtrącił Marino.

Wesley ciągnął, patrząc na zdjęcia.

– Widzę tu dużo złości i właśnie tutaj zaczyna się niekonsekwencja. Jego wściekłość zdaje się skierowana osobiście przeciwko niej. Zwłaszcza... to okaleczenie twarzy – stuknął palcem wskazującym w odpowiednie zdjęcie.

– Twarz to osoba. W typowym sadystycznym zabójstwie na tle seksualnym twarz ofiary pozostaje nietknięta. Ofiara nie jest konkretną osobą, tylko symbolem. W pewnym sensie dla zabójcy nie ma ona twarzy, bo dla niego jest nikim. Zabójca okalecza niektóre okolice, jeśli w ogóle dochodzi do okaleczeń... jak piersi, genitalia... – urwał, wyglądał na zagubionego. – W morderstwie Beryl widać akcenty osobiste. To odcięcie głowy, masakrowanie zwłok wskazywałoby, że zabójcą jest ktoś, kogo znała, może nawet dobrze. Ktoś, kto miał na jej punkcie silną obsesję. Z kolei obserwowanie jej z daleka, śledzenie zupełnie do tego nie pasuje. To by przemawiało raczej za kimś obcym.

Marino znowu zabawiał się rewolwerem wygranym przez Wesleya. Obracając bębenek, powiedział:

– Wiesz, co ja myślę? Ten drań ma pewnie kompleks Boga. No wiesz, póki grasz według jego reguł, nic ci nie zrobi. Beryl złamała reguły gry, wyjeżdżając z miasta i ustawiając przed domem tablicę „Na sprzedaż”. Wtedy koniec zabawy. Łamiesz zasady, zostajesz ukarana.

– Jak byś go opisał? – zwróciłam się do Wesleya.

– Biały, dwadzieścia kilka, trzydzieści kilka lat, bystry, z rozbitej rodziny, pozbawiony ojca. Mógł też być jako dziecko wykorzystywany, fizycznie, psychicznie albo i tak, i tak. Jest samotnikiem, co nie oznacza, że

mieszka samotnie. Może być żonaty, bo jest dobry w prowadzeniu życia na pokaz. Prowadzi podwójne życie. Jest w nim ten, którego widzi świat, i ten mroczny drań. Jest nałogowcem i podglądaczem.

– No – burknął Marino z przekąsem – zupełnie jak połowa tych, z którymi pracuję.

Wesley wzruszył ramionami.

– Może błędę po omacku, Pete. Jeszcze się temu dobrze nie przyjrzałem. Może to jakiś nieudacznik, który nadal mieszka z matką, może ma jakąś przeszłość... zakład psychiatryczny, więzienie. A może pracuje w dużej firmie ubezpieczeniowej i nie jest ani kryminalistą, ani chorym psychicznie. Zdaje się, że zwykle dzwonił do Beryl wieczorem. Jedyne telefon w ciągu dnia, o jakim wiemy, był w niedzielę. Ona pracowała poza domem, tam spędzała większość czasu. On dzwonił, gdy było to dla niego wygodne albo gdy istniało prawdopodobieństwo, że ją zastanie. Jestem skłonny podejrzewać, że ma stałą pracę biurową i jest wolny w weekendy.

– Chyba że dzwonił do niej z pracy – powiedział Marino.

– Zawsze istnieje taka możliwość – przyznał Wesley.

– A w jakim jest wieku? – zapytałam. – Nie sądzisz, że mógłby być starszy niż to przed chwilą zasugerowałeś?

– To by było niezwykle – powiedział Wesley – ale wszystko jest możliwe.

Pijąc kawę, która do tej pory już mi wystygła, zaczęłam im opowiadać o tym, czego dowiedziałam się od Marka o problemach Beryl z umową i o jej tajemniczych stosunkach z Carym Harperem. Kiedy skończyłam, Wesley i Marino przyglądali mi się ze zdziwieniem. Ta nagła wieczorna wizyta prawnika z Chicago wydawała się nieco dziwna. Do tego moi rozmówcy poczuli się trochę zawiedzeni. Prawdopodobnie ani Wesley, ani Marino nawet nie pomyśleli, że zabójstwo Beryl mogłoby mieć jakiś motyw. Ja

sama do poprzedniego wieczora nie dopuszczałam takiej możliwości. Najczęstszym motywem zabójstw na tle seksualnym jest brak motywu. Zabójca popełnia zbrodnię dlatego, że sprawia mu to przyjemność, i dlatego, że nadarza się okazja.

– Mam znajomego w policji w Williamsburgu – odezwał się Marino. – Mówi, że Harper to prawdziwy pustelnik. Jeździ starym roll-sroyce'em i jest mrukiem. Mieszka w tej wielkiej posiadłości nad rzeką, nikt go nie odwiedza. Ale ten facet jest stary.

– Nie taki stary – zaprzeczyłam – po pięćdziesiątce. Ale masz rację, że jest samotnikiem. Zdaje mi się, że mieszka z siostrą.

– To brzmi mało prawdopodobnie – powiedział Wesley. Wyglądał na spiętego. – Ale sprawdź, Pete, dokąd może nas to zaprowadzić. Może chociaż Harper mógłby pomóc w rozszyfrowaniu tego „J”, do którego pisała Beryl. Najwyraźniej był to ktoś, kogo dobrze znała. Przyjaciel, kochanek. Ktoś musi wiedzieć, kim on jest. Jeśli się tego dowiemy, to już będzie coś.

Marino nie był zadowolony.

– Wiem, co mówią – powiedział. – Harper nie będzie chciał ze mną rozmawiać, a ja nie mam wyraźnego powodu, żeby go do tego zmusić. Nie sądzę też, żeby to on załatwił Beryl, nawet jeśli miał motyw. Gdyby on to zrobił, pewnie załatwiłby to szybko. Po co ciągnąć sprawę dziewięć, dziesięć miesięcy? Poza tym ona rozpoznałaby jego głos.

– Harper mógł kogoś wynająć – odpowiedział Wesley.

– Tak. A my znaleźlibyśmy ją po tygodniu z czystą raną postrzałową w tyle głowy – odparł Marino. – Zawodowcy na ogół nie osaczają swoich ofiar, nie dzwonią do nich, nie używają noża, nie gwałcą.

– Na ogół nie – zgodził się Wesley. – Ale nie mamy też pewności, że dokonano gwałtu. Nie było spermy – spojrzał na mnie, a ja potwierdziłam

skinieniem głowy. – Facet może być impotentem. Ale też zbrodnia mogła być wyreżyserowana, ciało ułożone tak, by to wyglądało na napaść seksualną, chociaż tak nie było. To wszystko zależy od tego, kogo wynajęto, jeśli w ogóle, i jaki był plan. No bo na przykład, gdyby Beryl znaleziono zastrzeloną podczas trwania zaciętego sporu z Harperem, policja od razu by go podejrzewała. Ale jeśli morderstwo wygląda na czyn sadysty, psychopaty, Harper nikomu nawet nie przyjdzie do głowy.

Marino wpatrywał się w biblioteczkę, na jego pulchnej twarzy pojawiły się rumieńce. Powoli zwrócił się w moją stronę i zapytał:

– Co jeszcze wiesz o tej książce, którą pisała?

– Tylko tyle, ile wam powiedziałam. Że to coś autobiograficznego i prawdopodobnie zagrażającego reputacji Harpera.

– To nad tym pracowała w Key West?

– Na to wygląda. Ale nie mam pewności – odparłam.

Zawahał się.

– No cóż, przykro mi to mówić, ale w jej domu nie znaleźliśmy nic takiego.

Nawet Wesley wyglądał na zaskoczonego.

– A maszynopis w jej sypialni?

– A tak – Marino sięgnął po papierosy – przejrzałem to. Kolejna powieść o wojnie secesyjnej, romansach i takich tam. Na pewno nie ma nic wspólnego z tym, co opisuje nasza pani doktor.

– Jest tam jakiś tytuł albo data? – spytałam.

– Nie. To nawet nie wygląda na całość. Mniej więcej takiej grubości – Marino wskazał palcami około dwóch centymetrów. – Mnóstwo notatek na marginesach i jeszcze jakieś dziesięć stron zapisanych ręcznie.

– Musimy dokładniej się przyjrzeć wszystkim jej papierom i dyskietkom komputerowym i sprawdzić, czy gdzieś nie ma tej autobiografii –

powiedział Wesley. – Trzeba się też dowiedzieć, kto jest jej agentem albo wydawcą. Może wysłała ten maszynopis do kogoś przed wyjazdem z Key West. Musimy się upewnić, czy przywiozła go ze sobą do Richmond. Jeśli tak, a teraz go nie ma, byłoby to, delikatnie mówiąc, znaczące.

Wesley spojrział na zegarek, po czym odsunął krzesło i powiedział przepaszająco:

– Za pięć minut mam następne spotkanie – odprowadził nas do korytarza.

Nie mogłam się pozbyć Marina. Uparł się, że odprowadzi mnie do samochodu.

– Musisz mieć oczy otwarte – znowu zaczął udzielać mi tych swoich porad, jakimi raczył mnie już tyle razy. – Wiele kobiet zupełnie o tym nie myśli. Ciągłe spotykam takie, które idą ulicą i nawet się nie domyślają, że ktoś na nie patrzy, a może nawet je śledzi. A jak już dojdiesz do samochodu, wyjmij kluczyki i zajrzyj pod auto. Zdziwiłabyś się, ile kobiet o tym nie myśli. A co robisz, gdy jedziesz samochodem i wydaje ci się, że ktoś jedzie za tobą?

Zignorowałam go.

– Jedź do najbliższej siedziby straży pożarnej. Wiesz, dlaczego? Bo tam zawsze ktoś jest. Nawet o drugiej w nocy w Boże Narodzenie. To pierwsze miejsce, do którego powinnaś się udać.

Czekając na możliwość przejścia przez jezdnię, zaczęłam szukać w kieszeni kluczyków. Spojrzałam na swój służbowy samochód po drugiej stronie i zauważyłam złowieszczy biały prostokąt za wycieraczką. Czyżbym wrzuciła do parkometru za mało drobnych? Do diabła!

– Oni są wszędzie – ciągnął Marino. – Tylko się rozejrzyj w drodze do domu albo gdy jedziesz na zakupy.

Posłałam mu groźne spojrzenie, po czym szybko przeszłam przez ulicę.

– Hej – powiedział, gdy doszliśmy do mojego samochodu – nie gniewaj się na mnie. Powinnaś raczej uważać, że masz szczęście, że tak wlokę się za tobą niczym anioł stróż.

Mój czas na parkingu skończył się piętnaście minut wcześniej. Wyszarpnęłam mandat z za wycieraczki, zwinęłam go i wsunęłam Marinowi do kieszeni koszuli.

– Jak się powleciesz z powrotem do centrali – powiedziałam – proszę, zajmij się tym.

Gdy odjeżdżałam, na jego twarzy widziałam grymas niezadowolenia.

Rozdział trzeci

Dziesięć ulic dalej zatrzymałam się przy innym parkometrze i wrzuciłam ostatnie dwie dwudziestopięciocentówki. Czerwoną tabliczkę z napisem LEKARZ SĄDOWY zawsze trzymałam w widocznym miejscu na desce rozdzielczej samochodu, lecz policjanci z drogówki i tak nie zwracali na to uwagi. Kilka miesięcy temu jeden z nich miał czelność mnie spisać, gdy właśnie byłam na miejscu zbrodni, wezwana tam zresztą w środku dnia przez policję.

Wbiegłam po cementowych schodach, przeszłam przez szklane drzwi i znalazłam się wewnątrz głównego działu biblioteki publicznej. Panowała tu niezwykła cisza. Drewniane stoły zavalone były książkami. Ta cisza obudziła we mnie takie samo poczucie czci i szacunku, jakie wywoływała, gdy byłam dzieckiem. Ujrawszy szereg maszyn do mikrofilmu, podeszłam do jednej z nich. Przeglądałam indeks książek napisanych przez Beryl pod różnymi pseudonimami i notowałam tytuły. Najświeższa jej praca, powieść historyczna z czasów wojny secesyjnej, wydana pod pseudonimem Edith Montague, ukazała się półtora roku temu. Pomyślałam, że Mark miał rację – pewnie to nic wielkiego. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Beryl opublikowała sześć powieści. Nigdy nie słyszałam o żadnej z nich.

Potem zaczęłam przeglądać czasopisma. Nic. Beryl pisała książki. Widocznie nie publikowała nic innego ani nie udzielała wywiadów. Bardziej obiecujące wydawały się wycinki prasowe. W ciągu kilku lat w „Timesie” z Richmond ukazało się kilka recenzji jej książek. Były one jednak bezużyteczne, gdyż wymieniono w nich jedynie pseudonimy Beryl, a przecież zabójca znał jej prawdziwe nazwisko.

Przesuwałam ekran po ekranie. „Maberly”, „Macon” i wreszcie Madison. Znalazłam jedną krótką notatkę o Beryl, pochodzącą z „Timesa” z ostatniego listopada:

Spotkanie autorskie

W najbliższą środę w hotelu Jefferson u zbiegu ulic Main i Adams na spotkaniu Cór Amerykańskiej Rewolucji wystąpi z wykładem powieściopisarka Beryl Stratton Madison. Panna Madison, protegowana laureata Nagrody Pulitzera, Cary’ego Harpera, słynie z powieści historycznych, których akcja jest osadzona w okresie amerykańskiej rewolucji i wojny domowej. Tematem jej wykładu będzie „Żywotność legendy jako nośnika faktów historycznych”.

Zapisałam istotne informacje i sprawdziłam jeszcze kilka książek Beryl. Po powrocie do biura zajęłam się robotą papierkową, ale cały czas spoglądałam na telefon. To nie twoja sprawa. Dobrze znałam granicę oddzielającą moje kompetencje od obowiązków policji.

Winda po przeciwnej stronie korytarza otworzyła się i wyszli z niej strażnicy, którzy idąc na portiernię rozmawiali głośno. Zawsze przychodzili około wpół do siódmej. Pomyślałam, że pani J.R. McTigue, wymieniona w gazecie jako organizatorka imprezy, i tak nie odpowie. Numer, który przepisałam, to na pewno numer do biura, które o tej porze powinno być zamknięte.

Ktoś podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

Po krótkim wahaniu zapytałam:

– Czy pani J.R. McTigue?

– Tak, to ja.

Było już za późno, żeby się wycofać. Pozostało mi tylko mówić prawdę.

– Tu doktor Scarpetta...

– Doktor jaka?

– Scarpetta – powtórzyłam. – Jestem lekarzem sądowym, prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Beryl Madison...

– Ach tak! Czytałam o tym. O Boże! Taka urocza młoda kobieta! Wprost nie mogłam uwierzyć...

– Wiem, że brała udział w listopadowym spotkaniu Cór Rewolucji – powiedziałam.

– Byliśmy tak szczęśliwi, gdy się zgodziła. Wie pani, nieczęsto robiła takie rzeczy.

Głos pani McTigue sugerował starszą osobę i już zaczęłam sądzić, że popełniłam błąd, gdy nagle moja rozmówczyni mnie zaskoczyła.

– Wie pani, ze strony Beryl była to uprzejmość. Tylko dlatego do tego doszło. Mój niedawno zmarły mąż był przyjacielem Cary’ego Harpera, tego pisarza. Na pewno pani o nim słyszała. Właściwie to Joe to zorganizował. Wiedział, jakie to dla mnie ważne. Zawsze kochałam jej książki.

– Gdzie pani mieszka, pani McTigue?

– W Apartamentach.

Apartamenty Jesieni to dom dla emerytów niedaleko centrum. Jeszcze jedno ponure miejsce związane z moim życiem zawodowym. W ciągu ostatnich kilku lat miałam do czynienia z kilkoma przypadkami w Apartamentach, jak zresztą niemal we wszystkich innych domach rencistów czy starców w mieście.

– Czy mogłabym wpaść do pani na chwilę w drodze do domu? – zapytałam. – Nie będę przeszkadzać?

– Ależ może pani przyjść, oczywiście. Pani się nazywa doktor... jak?

Powoli powtórzyłam swoje nazwisko.

– Mieszkam w lokalu trzydzieści siedem zero osiem. Po wejściu do głównego holu trzeba wjechać windą na drugie piętro.

Wiadomość o miejscu zamieszkania pani McTigue dużo mi o niej powiedziała. W Apartamentach Jesieni mieszkali ci, którzy nie musieli liczyć na ubezpieczenia społeczne. Kaucje wpłacane na te mieszkania były znaczne, a miesięczne opłaty wyższe niż przeciętny kredyt hipoteczny. Jednak Apartamenty, jak inne miejsca tego typu, to złote klatki. Choćby były najpiękniejsze, nikt nie chciał tam mieszkać.

Nowoczesny blok z cegły w zachodniej części śródmieścia stanowił przygnębiające połączenie hotelu i szpitala. Zostawiłam samochód na parkingu dla gości i skierowałam się w stronę oświetlonego zadaszonego wejścia, które wyglądało na wejście główne. Hol zdobiły reprodukcje obrazów, większość z nich przedstawiała kompozycje sztucznych kwiatów w ciężkich kryształowych wazonach. Na zajmującym całą podłogę czerwonym dywanie rozciągnięte były wykonane maszynowo orientalne chodniczki, z sufitu zwisał mosiężny żyrandol. Na kanapie siedział starszy mężczyzna z laską w ręku, którego oczy pod daszkiem tweedowej czapki spoglądały gdzieś w dal. Po dywanie szła niedołężna staruszka wspierająca się na balkoniku.

Znudzony młody mężczyzna za ladą, przysłonięty kwiatem doniczkowym, zupełnie nie zwrócił na mnie uwagi, gdy skierowałam się w stronę windy. Drzwi otwierały się i zamykały okropnie wolno, co jest normalne w miejscach, w których wejście do windy zwykle trwa dość długo. Jadąc do góry, bezmyślnie przyglądałam się ogłoszeniom i ulotkom przyczepionym do ścian. Były to pamiątki z wycieczek do muzeów i na plantacje, reklamy klubów brydżowych, pracowni plastycznych i ogłoszenie o ostatecznym terminie składania wykonanych na drutach prac dla Ośrodka Społeczności Żydowskiej. Wiele z tych ogłoszeń było już nieaktualnych. W domach starców, z ich cmentarnymi nazwami, jak Słoneczna Kraina, Schronienie wśród Sosen, czy też Apartamenty Jesieni,

zawsze czułam się nieswojo. Pomyślałam o swojej matce i o tym, co zrobię, gdy nie będzie już w stanie mieszkać sama. Ostatnim razem, gdy do niej dzwoniłam, wspominała o endoprotezie.

Mieszkanie pani McTigue było pośrodku korytarza, po lewej stronie. Zapukałam do drzwi i niemal natychmiast otworzyła mi pomarszczona kobieta z rzadkimi, silnie pokręconymi włosami pożółkłymi jak stary papier. Jej policzki pokrywała gruba warstwa różu, miała na sobie biały rozpinany sweter trochę na nią za duży. Poczułam zapach kwiatowej wody toaletowej i pieczonego sera.

– Jestem doktor Scarpetta – przedstawiłam się.

– Miło, że pani przyszła – powiedziała kobieta, lekko ściskając wyciągniętą przeze mnie dłoń. – Napije się pani herbaty czy czegoś mocniejszego? O co tylko pani poprosi. Ja piję porto.

Wszystko to mówiła, prowadząc mnie do małego salonu i wskazując mi fotel. Wyłączyła telewizor i zapaliła jeszcze jedną lampkę. Salon był przytłaczający niczym scenografia „Aidy”. Na perskim dywanie, niemiłosiernie stłoczone, stały ciężkie mahoniowe meble: krzesła, stoliki, pełne biblioteczki, narożne kredensy wypchane porcelaną, szkłem i kryształami. Na ścianach wisiały ciasno poupychane ponure obrazy, wisiory do uruchamiania dzwonek i kilka miedziorytów.

Pani McTigue wróciła z małą srebrną tacą, na której stała karafka z porto, dwa kieliszki z tego samego zestawu i mały talerzyk z ciasteczkami serowymi domowej roboty. Napełniła kieliszki i podsunęła mi talerzyk wraz z haftowanymi lnianymi serwetkami, które wyglądały na stare i świeżo wyprasowane. Cały ten rytuał trwał dosyć długo. Potem gospodyni usiadła na najbardziej wytartym miejscu na kanapie, gdzie prawdopodobnie spędzała większość czasu na czytaniu lub oglądaniu telewizji. Była

zadowolona z wizyty, choć nie było to spotkanie czysto towarzyskie. Zastanawiałam się, kto, jeśli w ogóle, ją tu odwiedza.

– Jak już wspomniałam, jestem lekarzem sądowym i pracuję nad sprawą Beryl Madison – powiedziałam. – Na razie wiemy bardzo mało o niej i o osobach, które mogły ją znać.

Pani McTigue sączyła swoje porto z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W kontaktach z policją lub prawnikami byłam tak przyzwyczajona przechodzić od razu do rzeczy, że czasami zapominałam, iż reszta świata potrzebuje jakiegoś wprowadzenia. Ciastko było pulchne i naprawdę bardzo smaczne. Podzieliłam się z nią tym spostrzeżeniem.

– O, dziękuję – uśmiechnęła się. – Proszę się częstować. Mam ich jeszcze dużo.

– Pani McTigue – spróbowałam jeszcze raz – czy znała pani Beryl Madison, zanim zaprosiła ją pani na wasze spotkanie ubiegłej jesieni?

– O tak – odparła. – W każdym razie pośrednio, bo od lat byłam jej wielbicielką. To znaczy jej książki. Uwielbiam powieści historyczne.

– A skąd pani wiedziała, że to ona je pisała? – zapytałam. – Wydawała swoje książki pod pseudonimami. Jej prawdziwe imię i nazwisko nie jest nigdzie wymienione, ani na obwolucie, ani w nocie od autora. – Po drodze z biblioteki przejrzałam kilka książek Beryl.

– To prawda. Chyba jestem jedną z niewielu osób, które wiedziały, kim ona jest... była... dzięki mężowi. On i pan Harper byli przyjaciółmi – odpowiedziała. – No, na tyle, na ile ktokolwiek może być przyjacielem pana Harpera. Poznali się na gruncie zawodowym. Tak się to zaczęło.

– A co robił pani mąż? – Zauważyłam, że moja gospodyni była mniej speszona, niż z początku sądziłam.

– Miał firmę budowlaną. Kiedy pan Harper kupił Cutler Grove, dom wymagał poważnego remontu. Joe spędził tam prawie dwa lata, nadzorując

prace.

Powinnam była od razu się domyślić! McTigue Contractors i McTigue Lumber Company były największymi firmami budowlanymi w Richmond, miały swoje przedstawicielstwa we wszystkich krajach Wspólnoty.

– To było ponad piętnaście lat temu – ciągnęła pani McTigue – i właśnie podczas pracy w Cutler Grove Joe poznał Beryl. Kilka razy przychodziła na miejsce budowy z panem Harperem, a wkrótce potem wprowadziła się do tego domu. Była młodziutka – przerwała na chwilę. – Pamiętam, jak Joe mi opowiadał, że pan Harper adoptował piękną młodą dziewczynę, utalentowaną pisarkę. Chyba była sierotą. W każdym razie miała jakąś smutną przeszłość. Oczywiście o tym się nie mówiło – ostrożnie odstawiła swój kieliszek i powoli przeszła przez pokój do sekretarzyka. Wysunęła szufladę i wyjęła z niej beżową kopertę okazałych rozmiarów. – O, tutaj – powiedziała. Trzęsły się jej dłonie, gdy wyjmowała zawartość koperty. – To jedyne ich zdjęcie, jakie mam.

W kopercie znajdowała się czysta kartka ciężkiego papieru listowego, w którą zawinięte było stare, lekko prześwietlone czarno-białe zdjęcie. Po obu stronach ładnej kilkunastoletniej blondynki stali dwaj mężczyźni, imponujący, opaleni, ubrani jak na wycieczkę. Wszystkie trzy osoby stały blisko siebie, ich przymrużone oczy świadczyły o ostrym słońcu.

– To Joe – powiedziała pani McTigue, wskazując mężczyznę po lewej stronie dziewczynki, którą uznałam za Beryl Madison. Rękawy jego koszuli w stylu safari były podwinione do łokci i odsłaniały muskularne ręce, oczy przysłaniał daszek czapki. Po prawej stronie Beryl stał postawny mężczyzna z siwymi włosami; pani McTigue powiedziała, że to Cary Harper.

– To było nad rzeką, gdy Joe remontował ich dom. Pan Harper już wtedy miał siwe włosy. Chyba słyszała pani te różne plotki. Podobno osiwiiał,

kiedy pisał „Przypartego do muru”, a był wtedy ledwie po trzydziestce.

– To zdjęcie zrobiono w Cutler Grove?

– Tak, w Cutler Grove – odpowiedziała.

Nie mogłam oderwać wzroku od twarzy Beryl. Była to twarz zbyt mądra i rozumna jak na kogoś tak młodego, z wyrazem tęsknoty i smutku, które zwykle towarzyszą dzieciom molestowanym i porzuconym.

– Beryl była wtedy jeszcze dzieckiem – powiedziała pani McTigue.

– Chyba miała jakieś szesnaście, siedemnaście lat?

– No... tak. Chyba coś koło tego – odpowiedziała, patrząc, jak zawijam fotografię w papier i wsuwam ją z powrotem do koperty. – Znalazłam to dopiero po śmierci męża. Musiał je chyba zrobić któryś z robotników.

Włożyła kopertę do szuflady, a gdy wróciła na swoje miejsce, dodała:

– Myślę, że jedną z przyczyn, dla których Joe pozostawał w tak dobrych stosunkach z panem Harperem było to, że Joe był bardzo dyskretny, jeśli chodzi o cudze sprawy. Jestem pewna, że jest wiele rzeczy, o których nigdy mi nie wspomniał – uśmiechnęła się słabo i odwróciła wzrok.

– Widocznie pan Harper opowiedział pani mężowi o książkach Beryl, gdy zaczęły ukazywać się drukiem – zauważyłam.

Znowu popatrzyła na mnie. Wyglądała na zdziwioną.

– Nie jestem pewna, czy Joe kiedykolwiek powiedział mi, skąd się o tym dowiedział, doktor Scarpetta... jakie ładne nazwisko. Hiszpańskie?

– Włoskie.

– Och! To na pewno świetnie pani gotuje!

– Sprawia mi to przyjemność – powiedziałam, popijając porto. – Więc zapewne to pan Harper powiedział pani mężowi o książkach Beryl.

– Ojej – zmarszczyła czoło. – Dziwne, że pani o tym wspomniała. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale pan Harper musiał mu to kiedyś powiedzieć. Bo inaczej nie mam pojęcia, skąd Joe mógłby to wiedzieć. A

wiedział. Kiedy ukazała się „Flaga honoru”, podarował mi egzemplarz na Gwiazdkę.

Znowu wstała. Przeszukała kilka półek z książkami i wyjęła grubą książkę. Podeszła z nią cło mnie.

– Z autografem – dodała z dumą.

Otworzyłam książkę i spojrzałam na długi podpis „Emily Stratton” napisany w grudniu przed dziesięcioma laty.

– Jej pierwsza książka.

– Prawdopodobnie jedna z niewielu, jakie w ogóle podpisała – promieniała pani McTigue. – Sądzę, że Joe zdobył ten autograf przez pana Harpera. Bo przecież nie mógł inaczej.

– Ma pani jeszcze jakieś książki z autografem?

– Nie z jej. Mam wszystkie jej książki, przeczytałam każdą, większość po dwa albo i trzy razy – zawahała się, jej źrenice się rozszerzyły. – Czy to się stało tak, jak pisały gazety?

– Tak – nie mówiłam całej prawdy. Beryl zamordowano znacznie bardziej brutalnie, niż to przedstawiano.

Sięgnęła po ciasteczko i przez chwilę myślałam, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Proszę mi opowiedzieć o tym spotkaniu w listopadzie – powiedziałam.

– To było prawie rok temu. Spotkanie Cór Amerykańskiej Rewolucji?

– Nasze doroczne spotkanie z autorem. Najważniejsze wydarzenie w roku, gdy zapraszamy wyjątkowego gościa, autora... zazwyczaj dosyć znanego. Tym razem to ja miałam przewodniczyć komisji, przygotować wszystko, znaleźć mówcę. Od początku wiedziałam, że chcę Beryl, ale od razu natrafiłam na przeszkody. Nie miałam pojęcia, jak ją znaleźć. Jej numer był zastrzeżony, nie wiedziałam, gdzie mieszkała, nawet nie przypuszczałam, że mieszkała tak blisko w Richmond! W końcu

poprosiłam męża, żeby mi pomógł – zawahała się i uśmiechnęła słabo. – Wie pani, chyba chciałam się przekonać, czy uda mi się to załatwić. A Joe był taki zapracowany. No, ale poprosił pana Harpera i już następnego dnia rano zadzwonił mój telefon. Nigdy nie zapomnę, jak się ucieszyłam. Prawie zaniemówiłam z wrażenia, gdy się przedstawiła.

Jej telefon. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że numer Beryl mógł być zastrzeżony. Nie ma o tym żadnej wzmianki w raportach Reeda. Czy Marino wie?

– Przyjęła zaproszenie, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, a potem zadawała typowe pytania. Ilu spodziewamy się słuchaczy. Powiedziałam, że około dwustu, trzystu osób. Pytała o czas... jak długo ma mówić... takie rzeczy. Była bardzo grzeczna, urocza. Ale nie gadatliwa. I to było dziwne. Nie przyniosła ze sobą książek. Autorzy zawsze chcą przynosić swoje książki. Po spotkaniu sprzedają je, wpisują dedykacje. Beryl powiedziała, że nie ma takiego zwyczaju, nie chciała też honorarium. To było dość dziwne. Pomyślałam, że jest bardzo skromna i urocza.

– Czy na spotkaniu były same kobiety? – zapytałam.

Usiłowała sobie przypomnieć.

– Myślę, że niektóre członkinie przyprowadziły mężów, ale większość uczestników to były kobiety. Prawie zawsze tak jest.

Tego się spodziewałam. Wydawało się mało prawdopodobne, by zabójca Beryl był pośród jej czytelniczek tamtego dnia.

– Często przyjmowała takie zaproszenia?

– O nie – szybko odpowiedziała pani McTigue – wiem, że nie, w każdym razie nie w okolicy. Słyszałabym o czymś takim i pierwsza pobieglabym na spotkanie. Zaskoczyło mnie, że była taką zwyczajną prywatną osobą, kimś, kto pisał dla samej radości pisania i zupełnie nie dbał o rozgłos. To by wyjaśniało, czemu używała pseudonimów. Pisarze,

którzy ukrywają się w ten sposób, rzadko występują publicznie. I jestem przekonana, że nie zrobiłaby dla mnie wyjątku, gdyby nie powiązania mojego męża z panem Harperem.

– To brzmi tak, jakby była skłonna zrobić wszystko dla pana Harpera – zauważyłam.

– No tak. Chyba tak.

– Spotkała go pani kiedyś?

– Tak.

– I jakie wywarł na pani wrażenie?

– Sądzę, że jest nieśmiały – powiedziała. – Ale czasami myślę też, że to nieszczęśliwy człowiek i może uważa siebie za trochę lepszego od innych. Powiedziałabym, że zapada w pamięć – znowu odwróciła wzrok, a jej oczy straciły blask. – Mój mąż z całą pewnością był mu bardzo oddany.

– Kiedy ostatni raz widziała pani pana Harpera?

– Joe zmarł na wiosnę.

– Nie widziała pani pana Harpera od śmierci męża?

Potrząsnęła głową i pogрузzyła się we własnych gorzkich myślach. Zastanawiałam się, co tak naprawdę łączyło Cary’ego Harpera i pana McTigue. Jakieś brudne interesy? Coś, przez co Harper miał go w garści i co w końcu uczyniło z niego innego człowieka niż ten, którego kochała pani McTigue? Może po prostu Harper był egoistyczny i grubiański.

– Rozumiem, że on ma siostrę. Cary Harper mieszka z siostrą? – zapytałam.

Widok pani McTigue zaskoczył mnie – miała zaciśnięte usta, a oczy pełne łez.

Odłożyłam kieliszek na stół i sięgnęłam po torebkę.

Odprowadziła mnie do drzwi.

Ostrożnie próbowałam jeszcze wrócić do tematu.

– Czy Beryl kiedykolwiek pisała do pani albo do pani męża?

Potrząsnęła głową.

– Wie pani o jakichś jej przyjaciółach? Może pani mąż o kimś wspominał?

Znowu potrząsnęła głową.

– A może słyszała pani o kimś, kogo nazywała „J”, od pierwszej litery imienia?

Pani McTigue, z dłonią na klamce, ze smutkiem wpatrywała się w pusty korytarz. Kiedy spojrzała na mnie, jej oczy były załzawione i nieprzytomne.

– W dwóch jej powieściach występuje „P” i „A”. Chyba szpiedzy Unii. O Boże, zdaje się, że nie wyłączyłam piecyka – zamrugła tak, jakby patrzyła prosto w słońce. – Przyjdzie pani jeszcze, mam nadzieję?

– Z chęcią – delikatnie dotknęłam jej ręki, podziękowałam i wyszłam.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłam do mamy. Po raz pierwszy czułam ulgę, wysłuchując upomnień i pouczeń, słysząc jej mocny głos, jakim wyrażała swoją miłość do mnie w taki właśnie sposób.

– Cały tydzień jest prawie dwadzieścia pięć stopni, a widziałam w wiadomościach, że w Richmond zaledwie pięć stopni – powiedziała. – To prawie mróz. Jeszcze nie ma śniegu?

– Nie, mam. Śniegu nie ma. Jak twoje biodro?

– Tak, jak się można spodziewać. Robię na szydełku koc na nogi, pomyślałam, że mogłabyś owijać sobie nogi w swoim gabinecie. Lucy pytała o ciebie.

Nie rozmawiałam z moją siostrzenicą od tygodni.

– Robi jakieś zadanie do szkoły – ciągnęła mama – gadającego robota. Przyniosła go tu przedwczoraj wieczorem i biedny Sinbad uciekł pod łóżko...

Sinbad to paskudny, zły, okropny bezpański kot w szaro-czarne pręgi, który przyczepił się do mojej mamy, gdy pewnego ranka robiła zakupy w Miami Beach. Gdy przyjeżdżałam z wizytą, gościnność Sinbada polegała na tym, że siadał na lodówce niczym sęp i posyłał mi chłodne spojrzenia.

– Nigdy byś nie zgadła, kogo spotkałam dwa dni temu – zaczęłam zbyt radośnie. Potrzeba opowiedzenia o tym komuś była silniejsza ode mnie.

Mama znała moją przeszłość, a przynajmniej większą jej część. – Pamiętasz Marka Jamesa?

Cisza.

– Był w Waszyngtonie i wpadł po drodze.

– Oczywiście, że go pamiętam.

– Wpadł, żeby porozmawiać o sprawach zawodowych. Pamiętasz, jest prawnikiem. W Chicago – szybko zaczęłam się wycofywać. – Przyjechał tu w interesach. – Im więcej mówiłam, tym bardziej przytłaczało mnie to jej milczenie.

– Hm, ja tylko pamiętam, że prawie cię zabił, Katie.

Kiedy nazwała mnie Katie, poczułam się znowu dziesięcioletnią dziewczynką.

Rozdział czwarty

Największą korzyścią z tego, że laboratoria ekspertyz sądowych mieściły się w tym samym budynku, co moje biuro, było to, że nie musiałam czekać na pisemne raporty. Podobnie jak ja laboranci często sporo już wiedzą, zanim jeszcze cokolwiek zaczną pisać. Minął dokładnie tydzień, odkąd przesłałam do zbadania materiały dotyczące sprawy Madison. Prawdopodobnie musiałabym czekać kilka tygodni, nim na moim biurku pojawiłby się raport, ale wiedziałam, że Joni Hamm ma już wyrobiony pogląd i własną interpretację tego, co badała. Skończywszy to, co miałam zaplanowane na rano, w nastroju do rozmyślań i z filiżanką kawy w ręku wjechałam na trzecie piętro.

„Gabinet” Joni był niewiele większy od wnęki, wciśnięty pomiędzy laboratorium wydziału narkotyków a laboratorium wydziału śledczego w końcu korytarza. Gdy weszłam, siedziała przy czarnym blacie pochylona nad okularem mikroskopu stereoskopowego. Przy jej łokciu spoczywał notes zapisany równymi linijkami notatek.

– Przeszkadzam? – zapytałam.

– Nie bardziej niż kiedykolwiek indziej – odparta, wodząc dokoła nieprzytomnym spojrzeniem.

Wysunęłam krzesło.

Joni była drobną młodą kobietą z krótkimi ciemnymi włosami i dużymi czarnymi oczami. Matka dwójki małych dzieci, wieczorami uczęszczająca na studia doktoranckie, zawsze wyglądała na zmęczoną i zabieganą. W

zasadzie to samo można by powiedzieć o większości laborantów i wiem, że mówiono tak też o mnie.

– Pracujesz nad Beryl Madison? – powiedziałam. – Co znalazłaś?

– Chyba więcej, niż byś przypuszczała – przerzuciła kartki w swoim notatniku. – Ślady w tej sprawie to prawdziwy koszmar.

Nie byłam zaskoczona. Przekazałam do badania wiele materiałów. Ciało Beryl było tak zakrwawione, że przyciągało wszelkie brudy niczym lep na muchy. Zwłaszcza włókna tkanin były trudne do badania, gdyż należało je oczyścić, nim Joni mogła wziąć je pod lupę. Dlatego musiała wkładać każde pojedyncze włókno do pojemnika z mydlanym roztworem, który z kolei umieszczano w kąpielu ultradźwiękowej. Po wytrąceniu się krwi i brudu roztwór precedzono przez sterylny filtr papierowy, a każde włókno badano pod mikroskopem.

Joni przeglądała swoje notatki.

– Gdybym nie wiedziała, jak było naprawdę – ciągnęła – podejrzewałabym, że Beryl Madison zamordowano gdzieś poza domem.

– Niemożliwe – odparłam – została zamordowana na piętrze i policja przyjechała całkiem szybko.

– Rozumiem. Zaczniemy od włókien pochodzących z jej domu. Trzy zdjęto z zakrwawionych okolic jej kolan i dłoni. To wełna. Dwa z nich ciemnoczerwone, jedno złote.

– Takie jak w orientalnym chodniku modlitewnym w korytarzu na górze? – przypomniałam sobie zdjęcia z miejsca zabójstwa.

– Tak. Odpowiadają tym, które przyniosła policja. Jeśli Beryl Madison była na rękach i kolanach na chodniku, to wyjaśniałoby obecność pobranych przez ciebie włókien i ich umiejscowienie. To jest łatwiejsza część łamigłówek.

Joni sięgnęła po stos sztywnych kopert z preparatami, przejrzała je i wybrała to, czego szukała. Otwierając koperty, wyjaśniła:

– Oprócz tych włókien było jeszcze wiele innych z białej bawełny. Są bezużyteczne, mogą pochodzić z czegokolwiek i możliwe, że zostały przeniesione z białego prześcieradła okrywającego ciało. Obejrzałam też dziesięć innych włókien zebranych z jej włosów, zakrwawionych okolic szyi i klatki piersiowej oraz spod paznokci. Syntetyki – podniosła na mnie wzrok – i nie zgadzają się z żadnym wzorem dostarczonym przez policję.

– Nie pasują do jej ubrania albo do narzut na łóżku? – spytałam.

Joni potrząsnęła głową i odpowiedziała:

– Nie pasują do niczego, a ponieważ były przylepione do krwi albo znajdowały się pod paznokciami, nasuwa się przypuszczenie, że muszą pochodzić od napastnika.

To była niespodziewana nagroda. Kiedy mój zastępca Fielding wreszcie skontaktował się ze mną tamtej nocy, kazałam mu czekać w kostnicy. Dotarłam tam chwilę przed pierwszą i spędziliśmy kilka godzin, badając ciało Beryl światłem laserowym i pobierając każdą cząsteczkę i włókno, jakie laser wykrył. Zakładałam jednak, że większość tego, cośmy znaleźli, okaże się bezwartościowymi drobinami z odzieży Beryl lub z jej domu. Fakt znalezienia dziesięciu włókien pozostawionych przez napastnika był pełnym zaskoczeniem. Mogłam mówić o uśmiechu losu, gdy w większości wypadków udało mi się znaleźć jedno obce włókno, a już o prawdziwym szczęściu, gdy znalazłam dwa lub trzy. Bardzo często zdarzało się, że nie znalazłam żadnego. Włókna trudno jest zauważyć, nawet przez obiektyw, a najdrobniejsze poruszenie ciałem czy powiew wiatru może je usunąć jeszcze przed przybyciem lekarza na miejsce lub przetransportowaniem ciała do kostnicy.

– Jakie syntetyki? – zapytałam.

– Olefin, akryl, nylon, polietylen i dylen, przy czym większość z nich to nylon – odparła Joni. – Kolory różne: czerwony, niebieski, zielony, złoty, pomarańczowy. Pod względem mikroskopowym nie pasują wzajemnie do siebie.

Umieszczała preparaty jeden po drugim na płytce stereoskopu i spoglądała w okular. Po chwili zaczęła mówić:

– Niektóre są prążkowane wzdłuż, inne nie. Większość zawiera dwutlenek tytanu w różnych gęstościach, co znaczy, że niektóre mają lekki połysk, inne są matowe, kilka jaskrawych. Wszystkie są dość szorstkie, co sugerowałoby włókna stosowane do produkcji dywanów, ale w przekroju poprzecznym kształty są różne.

– Dziesięć różnych gatunków? – spytałam.

– Na dziś tak to wygląda – powiedziała. – Bardzo nietypowo. Jeśli te włókna zostały przeniesione przez napastnika, to miał na sobie niezwykłą ich różnorodność. Oczywiście, te bardziej szorstkie nie pochodzą z jego odzieży, bo są to włókna dywanowe. Nie pochodzą też z żadnego z dywanów w jej domu. Obecność tylu rodzajów włókien jest szczególna z jeszcze jednego powodu. Wszyscy zbieramy różne włókna przez cały dzień, ale one na nas nie pozostają. Spadają po jakimś czasie albo zdmuchuje je wiatr.

Sprawa stawała się coraz ciekawsza. Joni obróciła stronę w notatniku:

– Obejrzałam też osad pod mikroskopem. To, co Marino ściągnął z chodnika modlitewnego, to prawdziwy miszmasz – znowu spojrzała w notatki. – Popiół z papierosów, cząsteczki różowawego papieru, takiego samego jak banderola na paczkach papierosów, kruszyny szkła, kilka drobin szkła jak z butelek po piwie i z lamp samochodowych. Jak zwykle są też cząstki owadów, osady roślinne, a także jedna kulka metalu. I dużo soli.

– Spożywczej?

–Tak.

– I to wszystko było na jej chodniku modlitewnym?

– Właśnie, a także w tym miejscu na podłodze, gdzie znaleziono ciało. I wiele takich samych cząstek było na jej ciele, pod paznokciami i we włosach.

Beryl nie paliła. Nie było uzasadnienia dla popiołu z papierosów ani skrawków papieru z paczki papierosów w jej domu. Sól ma związek z żywnością, więc jej obecność w sypialni i na ciele Beryl wydawała się bezsensowna.

– Marino dostarczył sześć różnych materiałów, wszystkie z dywanów i zakrwawionych miejsc na podłodze – powiedziała Joni. – Poza tym obejrzałam próbki kontrolne pobrane z tych miejsc w domu i na dywanach, gdzie nie było krwi ani śladów walki, takich miejsc, gdzie według policji nie było zabójcy. Wyniki są zupełnie różne. Materiały, o których mówię, pobrano w tych miejscach, gdzie sądzono, że zabójca był, a to by znaczyło, że większość tych substancji została przeniesiona na miejsce zbrodni i ciało ofiary przez napastnika. Mogły być przylepione do jego butów, odzieży, włosów. Wszędzie, gdzie był, na wszystkim, o co się otarł, zostawił jakiś ślad.

– To musi być prawdziwy flejtuch – stwierdziłam.

– Wszystko to jest niewidoczne gołym okiem – zauważyła zawsze poważna Joni. – Pewnie nie miał pojęcia, że ma na sobie tyle osadów.

Analizowałam jej notatki. Z mojego doświadczenia do tej pory wynikało, że tylko w dwóch wypadkach można mieć do czynienia z taką ilością śladów: gdy ciało zostało rzucone na wysypisko śmieci czy jakieś inne brudne miejsce, jak na przykład ulica, parking, albo gdy było przewożone z miejsca zbrodni w brudnym bagażniku czy też na podłodze w samochodzie. W przypadku Beryl nie zaistniała żadna z tych sytuacji.

– Spróbujemy posegregować włókna według kolorów – powiedziałam. – Jak wyglądałby podział na włókna dywanowe i odzieżowe?

– Sześć włókien nylonowych jest w kolorach: czerwonym, ciemnoczerwonym, niebieskim, zielonym, zielonkawożółtym i ciemnozielonym. Te zielone mogą tak naprawdę być czarne – dodała – czarny nie wygląda czarno pod mikroskopem. Wszystkie one są chropowate, odpowiadają włóknom dywanowym, i podejrzewam, że niektóre mogą pochodzić z wykładziny samochodowej.

– Czemu?

– Z powodu znalezionych osadów. Na przykład okruchy szkła często mają coś wspólnego z farbą odblaskową, taką, jaką stosuje się na znakach drogowych. Metalowe cząstki dość często wykrywam w materiałach pobieranych w samochodach. Są to drobinki cyny używanej do lutowania podwozia. Nie widać ich, ale one tam są. Kruszyny potłuczonego szkła... potłuczone szkło zawsze jest w takich miejscach, zwłaszcza na chodnikach i parkingach. Przyczepia się do butów i dostaje się do samochodu. To samo dotyczy popiołu z papierosów. Zostaje nam tylko sól, i to najbardziej skłania mnie do podejrzeń, że śmierć Beryl jest jakoś powiązana z samochodem. Ludzie jeżdżą do McDonalda. Jedzą frytki w samochodach. Pewnie każdy samochód w tym mieście ma we wnętrzu sól.

– Załóżmy, że masz rację – powiedziałam. – Załóżmy, że te włókna pochodzą z wykładziny w samochodzie. Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego jest sześć różnych włókien nylonowych. Mało prawdopodobne, aby facet miał w samochodzie sześć różnych rodzajów wykładziny.

– Owszem – zgodziła się Joni. – Ale te włókna mogły zostać przeniesione do wnętrza jego auta. Może pracuje gdzieś, gdzie ma do czynienia z samochodami. Może w swojej pracy często wchodzi do cudzych samochodów.

– Myjnia? – zapytałam, przywołując z pamięci obraz samochodu Beryl. Był nienagannie czysty wewnątrz i z zewnątrz.

Joni w skupieniu rozważyła tę możliwość.

– Bardzo możliwe, że to coś takiego. Jeśli pracuje w jednej z tych myjni, gdzie pracownicy czyszczą wnętrza i bagażniki, to cały dzień zbiera na sobie najróżniejsze włókna dywanowe. Możliwe też, że jest mechanikiem.

Sięgnęłam po swoją kawę.

– No dobra. Przejdźmy do czterech pozostałych włókien. Co możesz o nich powiedzieć?

Zajrzała do notatek.

– Jeden akryl, jeden olefin, dalej polietylen i dynel. I znowu pierwsze trzy odpowiadają włóknom dywanowym. Ten dynel jest ciekawy, bo nie spotykam go często. Na ogół występuje w sztucznych futrach, w dywanach imitujących futrzane, w perukach. Ale to włókno jest bardziej delikatne, jakby bardziej pasujące do odzieży.

– To jedyne włókno odzieżowe, jakie znalazłaś?

– Tak mi się zdaje.

– Uważa się, że Beryl miała na sobie jasno-brązowy garnitur...

– To nie dynel – powiedziała – w każdym razie nie spodnie i marynarka. One są z mieszanki bawełny i poliestru. Może jej bluzka była z dynelu, ale tego nie możemy sprawdzić – wyjęła kolejny preparat i położyła go na stoliczku. – A co do tego pomarańczowego włókna, o którym wspomniałam, jedyne z akrylu, to w przekroju poprzecznym ma ono kształt, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam.

Przedstawiła to graficznie, żeby lepiej wyjaśnić – trzy kółka połączone w środku, przywodzące na myśl trójlistną koniczynę bez łodyżki. Produkcja włókien polega na przeciskaniu stopionego lub rozpuszczonego polimeru przez bardzo drobne szczelinki prząsnicy. Powstałe w ten sposób nitki,

czyli włókna, w przekroju poprzecznym mają kształt otworów prząsnicy, podobnie jak wyciśnięta pasta do zębów ma kształt otworu tubki. Nigdy wcześniej nie widziałam włókna w kształcie koniczyny. Większość włókien akrylowych przypomina orzech ziemny, hantle, koło lub grzyba.

– O, tutaj – Joni odsunęła się, żeby zrobić mi miejsce. Pochyliłam się nad okularem. Włókno wyglądało jak plamista powyginana tasiemka o jaskrawo-pomarańczowej barwie, przyprószona czarnymi cząsteczkami dwutlenku tytanu.

– Jak widzisz – wyjaśniła – kolor też jest dziwny. Pomarańczowy. Niejednolity i umiarkowanie gęsty, z cząsteczkami osłabiającymi połysk włókna. Mimo to kolor jest jaskrawy, co wydaje się nie pasować ani do odzieży, ani do tkaniny dywanowej. Faktura jest umiarkowanie szorstka.

– Co by wskazywało na tkaninę dywanową lub obiciową – myślałam na głos. – Pomimo dziwnego koloru.

– Może.

Zaczęłam szukać w myślach znanych mi tkanin, które byłyby jaskrawo-pomarańczowe.

– A kamizelki drogowe? – zapytałam. – Są intensywnie pomarańczowe i takie włókno powinno pasować do wszystkich tych osadów, które wyszczególniłaś.

– Mało prawdopodobne – odpowiedziała – takie kamizelki są na ogół z nylonu albo akrylu, zazwyczaj to bardzo szorstka tkanina, która nie traci nici. W dodatku wiatrówki i kurtki, które mogłyby się kojarzyć ze służbami drogowymi albo policjantami z drogówki są gładkie, nie zostawiają nitek, przeważnie są nylonowe – urwała i po chwili dodała – wydaje mi się też, że nie powinno na nich być, a jeśli, to bardzo niewiele cząsteczek osłabiających połysk... bo przecież odzież na drodze powinna być widoczna.

Odsunęłam się od stereoskopu.

– Cokolwiek to jest, to włókno jest tak charakterystyczne, że chyba zostało opatentowane.

Ktoś na pewno zdoła je rozpoznać, nawet jeśli nie mamy żadnego punktu odniesienia.

– Powodzenia.

– Wiem. Prawo wyłączności – westchnęłam. – Przemysł włókienniczy tak strzeże swoich patentów, jakby to była tajemnica państwowa.

Joni rozprostowała ramiona i pomasowała sobie kark.

– Zawsze mnie dziwiło, jak federalni potrafili uzyskać tyle pomocy w sprawie Wayne’a Williamsa – powiedziała, nawiązując do makabrycznej sprawy z Atlanty, gdzie w ciągu dwudziestu dwóch miesięcy seryjny morderca zamordował aż trzydzieścioro czarnych dzieci. Ślady włókien pobrane z ciał dwunastu ofiar doprowadziły policję do miejsca zamieszkania i samochodów Williamsa.

– Może powinniśmy poprosić Hanowella, żeby obejrzał te włókna, szczególnie to pomarańczowe – powiedziałam.

Roy Hanowell był agentem specjalnym FBI z Wydziału Analiz w Quantico. To on badał włókna w sprawie Williamsa i od tej pory zasypywany był prośbami z agencji śledczych na świecie, by badać wszystko od kaszmiru po pajęczyny.

– Powodzenia – powtórzyła Joni, tak samo ironicznie.

– Zadzwoń do niego?

– Wątpię, żeby chciał zajmować się czymś, co już zostało zbadane – powiedziała i zaraz dodała – wiesz, jacy są federalni.

– To zadzwonimy obie – zdecydowałam.

Kiedy wróciłam do swojego gabinetu, czekało na mnie pół tuzina informacji oznaczonych jako ważne. Jedna była szczególna. Był to zapisany

numer centrali w Nowym Jorku z dopiskiem: „Proszę, oddzwoń jak najszybciej. Mark”. Przyszła mi do głowy tylko jedna przyczyna jego bytności w Nowym Jorku. Ma się zobaczyć ze Spanicinem, agentem Beryl. Dlaczego kancelaria Orndorff & Berger tak bardzo interesuje się morderstwem Beryl Madison?

Podany numer był najwyraźniej bezpośredni do Marka, gdyż to on podniósł słuchawkę zaraz po pierwszym sygnale.

– Kiedy ostatnio byłaś w Nowym Jorku? – zapytał naturalnym tonem.

– Słucham?

– Samolot z Richmond odlatuje dokładnie za cztery godziny. Możesz przylecieć?

– O co chodzi? – zapytałam cicho, czując przyspieszone bicie serca.

– Kay, chyba nierozsądnie byłoby rozmawiać o szczegółach przez telefon – powiedział.

– Mark, chyba nierozsądnie z mojej strony byłoby lecieć do Nowego Jorku – odparłam.

– Proszę, to ważne. Wiesz, że nie prosiłbym cię, gdyby tak nie było.

– Ale to niemożliwe...

– Właśnie rozmawiałem ze Sparacinem – przerwał mi, gdy długo tłumione emocje wałczyły z moim rozsądkiem. – Jest kilka nowych spraw związanych z Beryl Madison i twoją funkcją.

– Moją funkcją? – pozwoliłam się ponieść emocjom. – Cóż takiego mogliście omawiać, co byłoby związane z moją funkcją?

– Proszę – powtórzył – proszę, przyleć.

Zawahałam się.

– Będę czekał na La Guardia – jego zdecydowanie ostatecznie pokonało moją chęć rejterady – siądziemy gdzieś w spokojnym miejscu, żeby

porozmawiać. Wszystko już załatwione. Musisz tylko odebrać bilet na lotnisku. Zarezerwowałem ci też pokój w hotelu, wszystkim się zająłem.

O Boże, myślałam, odkładając słuchawkę, i po chwili byłam w pokoju Rose.

– Muszę dziś lecieć do Nowego Jorku – oznajmiłam tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To dotyczy sprawy Beryl Madison i nie będzie mnie w pracy co najmniej do pojutra – unikałam jej wzroku. Chociaż moja sekretarka nic nie wiedziała o Marku, bałam się, że pobudki, jakimi się kieruję, są dla każdego oczywiste.

– Jak się z panią kontaktować w razie potrzeby?

– Nie mam żadnego numeru telefonu.

Otworzyła kalendarz i przejrzała terminy spotkań, które musiała odwołać. Poinformowała mnie przy tym:

– Dzwonili z „Times’a”, chcą coś napisać, zrobić z panią wywiad.

– Nie ma mowy – odpowiedziałam stanowczo – chcą mnie po prostu wypytywać o sprawę Beryl Madison. Zawsze tak jest. Jak tylko mamy jakiś szczególnie brutalny przypadek, o którym nie chcę informować, nagle każdy dziennikarz w mieście pragnie się dowiedzieć, gdzie chodziłam do szkoły, czy mam psa, co sądzę o karze śmierci, jaki jest mój ulubiony kolor, potrawa, film i rodzaj śmierci.

– Odwołam – mruknęła, sięgając po telefon.

Po wyjściu z biura miałam akurat tyle czasu, żeby pojechać do domu, włożyć kilka rzeczy do torby i rzucić się w wir ruchu ulicznego w godzinach szczytu. Tak jak Mark obiecał, na lotnisku czekał na mnie bilet. Niecałą godzinę później siedziałam wygodnie w fotelu pierwszej klasy, mając cały rząd dla siebie. Przez następną godzinę popijałam chivas z lodem i próbowałam czytać, choć moje myśli przesuwały się równie szybko, jak chmury za owalnym oknem samolotu.

Chciałam zobaczyć się z Markiem. Byłam świadoma, że nie jest to zawodowa konieczność, lecz słabość, którą uważałam już za całkowicie pokonaną. Odczuwałam na przemian dreszczyk emocji i wstręt do samej siebie. Nie ufałam mu, a jednocześnie desperacko pragnęłam mu zaufać. Nie jest tym Markiem, którego kiedyś znałaś, a nawet gdyby był, pamiętaj, co ci zrobił. Niezależnie jednak od tego, co podpowiadał mi rozsądek, uczucia i tak go nie słuchały.

Przebrnęłam przez dwadzieścia stron powieści napisanej przez Beryl Madison pod pseudonimem Adair Wilds i nie miałam najmniejszego pojęcia, co przeczytałam. Nie przepadam za romansami historycznymi, a ten, prawdę mówiąc, nie zasługiwał na żadną nagrodę. Beryl potrafiła pisać, jej styl chwilami był lekki, ale fabuła poważnie kulała. Było to typowe czytadło napisane niemal jak spod sztancy i zastanawiałam się, czy autorka miała szansę odnieść sukces w dziedzinie ambitniejszej literatury, do jakiej podobno się przymierzała.

Nagle rozległ się głos pilota oznajmiający, że lądujemy za dziesięć minut. Miasto w dole przypominało połyskującą płytkę montażową – po ulicach poruszały się małe światełka, a ze szczytów wieżowców mrugały do nas czerwone punkciki.

Niedługo potem wyciągałam swoją torbę ze schowka na bagaże i schodziłam po schodach na lotnisko. Wtem poczułam dłoń na ramieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam Marka. Uśmiechał się.

- Dzięki Bogu – powiedziałam z ulgą.
- Co? Myślałaś, że to kieszonkowiec? – zapytał sucho.
- Gdyby tak było, już byś zwiewał – odpowiedziałam.
- Na pewno – zaczął prowadzić mnie przez terminal. – Masz tylko to?
- Tak.
- Dobrze.

Przed terminalem wsiedliśmy do taksówki, którą prowadził brodaty sikh w bordowym turbanie. Według identyfikatora przypiętego do osłony przeciwsłonecznej nazywał się Munjar. On i Mark pokrzyczeli do siebie nawzajem, aż wreszcie wydawało się, że Munjar zrozumiał, gdzie ma nas zawieźć.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie jadłaś – zwrócił się do mnie Mark.

– Tylko prażone migdały... – bezwładnie opadłam na jego ramię, gdy kierowca zmieniał pas ruchu.

– Niedaleko hotelu można zjeść smaczne steki – powiedział Mark głośno. – Moglibyśmy pójść tam na obiad, bo nie umiem się poruszać po tym cholernym mieście.

Pomyślałam, że dobrze będzie, jeśli w ogóle dotrzemy do hotelu, bo Munjar zupełnie nieproszony rozpoczął monolog o tym, jak to przybył do tego kraju, aby się ożenić, i ma datę ślubu wyznaczoną na grudzień, a na razie żadnych widoków na przyszłą żonę. Opowiedział nam też, że jeździ taksówką dopiero trzy tygodnie, a nauczył się prowadzić pojazdy w Pendźabie, gdzie jako siedmiolatek jeździł na traktorze.

Na jezdni było tak ciasno, że samochody obijały się o zderzaki, a żółte taksówki wyglądały w ciemności jak tańczący derwisze. W centrum mineliśmy tłum osób w strojach wieczorowych, zmierzających do Carnegie Hall. Jasne światła, kobiety w futrach, mężczyźni w muszkach – to obudziło we mnie wspomnienia. Kiedyś chodziliśmy z Markiem do teatru, opery, filharmonii.

Taksówka zatrzymała się przy Omni Park Central – imponującej, oświetlonej budowli na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Siódmej. Mark chwycił moją torbę i weszłam za nim do eleganckiego holu, gdzie zameldował mnie i kazał zanieść mój bagaż na górę. Kilka chwil później byliśmy na ulicy. Dobrze, że wzięłam płaszcz. Było tak zimno, jakby miał spaść śnieg.

Wkrótce siedzieliśmy w restauracji „Gallagher”, będącej wymarzonym miejscem miłośników czerwonego mięsa. Frontowe okno było jednocześnie oszklona lodówką i olbrzymią wystawą wszelkich gatunków mięsa, jakie można sobie wyobrazić. Restaurację tę odwiedzały różne sławne osobistości, których zdjęcia z autografami wisiały na ścianach.

Wewnątrz było dość gwaro. Barman zrobił nam bardzo mocne drinki. Zapaliłam papierosa i rozejrzałam się. Stoliki stały blisko siebie, jak to zwykle w nowojorskich restauracjach. Po lewej dwaj biznesmeni prowadzili ożywioną konwersację, po prawej był pusty stolik, a przy następnym siedział niezwykle przystojny mężczyzna zajęty swoim piwem i czytaniem „New York Timesa”. Popatrzyłam na Marka, próbując odczytać coś z jego twarzy. Widziałam, że jest niespokojny. Obracał swojego drinka w dłoniach.

– Właściwie dlaczego tu jestem, Mark?

– Może po prostu chciałem zaprosić cię na kolację.

– A tak poważnie?

– Jestem poważny. Źle się bawisz?

– Jak mogę się dobrze bawić, skoro czekam na wybuch bomby?

Rozpiął marynarkę.

– Zamówmy coś, a potem porozmawiamy.

Zawsze mi to robił. Zachęcał do działania tylko po to, żebym potem musiała czekać. Może tak mu kazała natura prawnika. Doprowadzało mnie to do szału. I to się nie zmieniło.

– Mają tu wspaniałe żeberka – powiedział, gdy przeglądaliśmy karty dań. – Wezmę je, do tego szpinak. Nic wyszukanego. Ale steki są podobno najlepsze w mieście.

– Nigdy tu nie byłeś? – zapytałam.

– Nie. Sparacino zna ten lokal – odpowiedział.

– To on ci go polecił? Rozumiem, że hotel też? – Czułam, jak rośnie we mnie wściekłość.

– Tak – odparł, zajęty kartą win – to standardowa procedura. Klienci przylatują i zatrzymują się w Omni, bo jest to firmie na rękę.

– I wasi klienci też tu jedzą?

– Sparacino tu bywał, zazwyczaj po wyjściu z teatru. Stąd zna to miejsce – odpowiedział Mark.

– O czym jeszcze wie Sparacino? – zapytałam. – Powiedziałeś mi, żeśmy się spotykali?

Spojrzał mi w oczy i odpowiedział:

– Nie.

– Jak to możliwe, skoro twoja firma płaci za mój nocleg, a Sparacino polecił ci hotel i tę restaurację?

– Polecił mi ten hotel z myślą o mnie. Muszę gdzieś nocować. Muszę jeść. Sparacino zaprosił mnie dzisiaj na kolację z dwójką innych prawników. Odmówiłem, powiedziałem, że muszę, przejrzeć papiery i że wystarczy mi jakiś stek zjedzony naprędce. I tak od słowa do słowa wskazał mi to miejsce.

Nagle zaczęło do mnie docierać, że nie jestem pewna, czy czuję się zażenowana, czy wytrącona z równowagi. Pewnie i jedno, i drugie. To nie Orndorff & Berger płacił za moją podróż, tylko Mark. Jego firma nic o tym nie wiedziała.

Kelner wrócił i Mark złożył zamówienie. Szybko traciłam apetyt.

– Przyleciałem wczoraj wieczorem – Mark znowu podjął rozmowę. – Sparacino złapał mnie w Chicago wczoraj rano, powiedział, że musi się ze mną natychmiast zobaczyć. Jak możesz się domyślać, chodzi o Beryl Madison – wyglądał na speszzonego.

– I? – zachęciłam go, czując się coraz bardziej niezręcznie.

Westchnął głęboko i powiedział:

– Sparacino wie, że my kiedyś... no... o tobie i o mnie. Nasza przeszłość...

Mój wzrok powstrzymał go.

– Kay...

– Ty draniu – gwałtownym ruchem odsunęłam krzesło i rzuciłam serwetkę na stół.

– Kay!

Mark chwycił mnie za ramię i wcisnął mocno w siedzenie. Odepchnęłam go ze złością. Siedziałam sztywno, wpatrując się w niego. Wiele lat temu w restauracji w Georgetown ściągnęłam ciężką złotą bransoletkę, którą od niego dostałam, i wrzuciłam mu do zupy z małży. To była dziecinada. Jedna z tych rzadkich chwil w moim życiu, kiedy całkiem straciłam nad sobą panowanie i urządziłam tak zwaną scenę.

– Słuchaj – powiedział, ścisząc głos – nie mam do ciebie pretensji o to, co sobie myślisz. Ale to nie tak. Nie wykorzystuję naszej przeszłości. Posłuchaj mnie chociaż chwilę. Proszę. To bardzo ważne, dotyczy spraw, o których nie masz pojęcia. Chodzi mi o twoje dobro, przysięgam. Nie powinienem teraz z tobą rozmawiać. Gdyby Sparacino, gdyby Berger wiedział, daliby mi nauczki.

Nic nie powiedziałam. Byłam tak wzburzona, że nie mogłam zebrać myśli.

Pochylił się w moją stronę.

– Pomyśl tylko. Berger poluje na Sparacina, a Sparacino na ciebie.

– Na mnie? – wykrztusiłam. – Nawet go nie znam. Dlaczego ma na mnie polować?

– To wszystko wiąże się ze sprawą Beryl – powtórzył. – Prawda jest taka, że Sparacino był jej prawnikiem, odkąd zaczęła wydawać książki. Dla

naszej firmy zaczął pracować dopiero, gdy otworzyliśmy oddział tu, w Nowym Jorku. Przedtem działał sam. Potrzebowaliśmy prawnika specjalizującego się w kulturze. Sparacino jest w Nowym Jorku od ponad trzydziestu lat. Miał wszelkie przydatne kontakty. Wprowadził swoich klientów, dał nam sporo pracy na początek. Pamiętasz, jak wspomniałem o moim pierwszym spotkaniu z Beryl, o tym obiedzie w „Algonquin”?

Przytaknęłam. Czułam, że mój bojowy nastrój znika.

– To było ukartowane. Nie byłem tam przypadkiem. Berger mnie posłał.

– Po co?

Rozejrzał się po restauracji i odpowiedział.

– Bo się niepokoił. Firma dopiero wystartowała w Nowym Jorku, a pewnie wiesz, jak ciężko jest zdobyć to miasto, pozyskać sobie poważną klientelę, dobrą reputację. Ostatnią rzeczą, jaka jest nam potrzebna, jest ktoś taki jak Sparacino, kto szarga nasze dobre imię.

Zamilkł, gdy pojawił się kelner z sałatkami i butelką cabernet sauvignon. Mark spróbował pierwszy łyk i po chwili nasze kieliszki były pełne.

– Zatrudniając Sparacina, Berger znał jego nietypowe metody działania, wiedział, że lubi grać szybko i swobodnie – podjął Mark. – Można przyjąć, że taki już jest, taki ma styl. Niektórzy prawnicy są konserwatywni, inni lubią robić dużo szumu. Problem w tym, że dopiero kilka miesięcy temu Berger i kilku z nas zaczęło dostrzegać, jak daleko Sparacino potrafi się posunąć. Pamiętasz Christie Riggs?

Chwilę potrwało, nim przypomniałam sobie to nazwisko.

– Ta aktorka, która wyszła za napastnika drużyny futbolowej?

Skinąwszy głową, powiedział:

– Sparacino wszystko to wymyślił. Christie jest modelką, która z trudem utrzymuje się na rynku reklam telewizyjnych. To było jakieś dwa lata temu. W tym czasie Leon Jones był na okładkach wszystkich czasopism. Poznają

się na jakimś przyjęciu, fotograf robi im zdjęcie, jak razem wychodzą i wsiadają do samochodu. Zaraz potem Christie Riggs przychodzi do Orndorff & Berger. Jest umówiona ze Sparacinem.

– Twierdzisz, że Sparacino to ukartował? – zapytałam z niedowierzaniem.

Christie Riggs i Leon Jones pobrali się w ubiegłym roku i rozwiedli około pół roku później. Ich gwałtowna znajomość i pełen brudów rozwód co wieczór przyciągały do telewizorów tłumy spragnionych sensacji widzów.

– Tak – Mark pociągnął łyk wina.

– Jak to?

– Sparacino wybiera Christie – powiedział. – Jest piękna, bystra, ambitna. Ale jej największą zaletą w danym momencie jest to, że spotyka się z Jonesem. Sparacino układa plan gry. Ona chce sławy. Chce być bogata. Musi tylko wciągnąć Jonesa w swoją sieć, a potem zacząć uzalać się przed kamerami na ich prywatne życie. Oskarża go o bicie, mówi, że jest pijakiem, psychopata, że zażywa kokainę, rozwała meble. Resztę już znasz. Ona i Jones się rozstają, a ona podpisuje kontrakt na książkę za milion dolarów.

– Zaczynam łaskawszym okiem patrzeć na Jonesa – wymamrotałam.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że on chyba naprawdę ją kochał i nie miał tyle rozsądku, by się zorientować, z czym ma do czynienia. Grał coraz gorzej i skończył na odwyku. Od tej pory gdzieś przepadł. Jeden z najlepszych napastników Ameryki został zniszczony, zrujnowany, a pośrednio odpowiedzialny jest za to Sparacino. Pranie brudów i zniesławianie nie są w naszym stylu. Orndorff & Berger to stara, znana firma. Kiedy Berger zaczął się domyślać, czym zajmuje się jego prawnik do spraw kultury, nie był zachwycony.

– Dlaczego się go po prostu nie pozbędziecie? – zapytałam, zabierając się do sałatki.

– Bo niczego nie możemy mu udowodnić, przynajmniej na razie. Sparacino wie, jak lawirować wśród przepisów, żeby zawsze się wywinąć. Ma siłę przebicia, zwłaszcza w Nowym Jorku. To jak ściskanie w rękę węża. Jak go wypuścić, nie ryzykując, że ukąsi? A lista jest długa – w oczach Marka widać było złość. – Gdybyś się przyjrzała przeszłości zawodowej Sparacina i niektórym sprawom, które prowadził, gdy działał na własną rękę, włos by ci się zjeżył.

– Na przykład? – zapytałam, choć bałam się usłyszeć odpowiedź.

– Dużo spraw sądowych. Jakiś pisarzyna postanawia napisać nieautoryzowaną biografię Elvisa, Lennona czy Sinatry i kiedy przychodzi czas na publikację, ta słynna osoba albo jej krewni pozywają autora do sądu, a to napędza całą kampanię telewizyjnych talk-show, wywiadów w czasopiśmie itp. Książka mimo wszystko wychodzi, do jej popularności przyczynia się uzyskany tanim kosztem rozgłos. Ludzie się o nią biją, każdy spodziewa się wyczytać coś kompromitującego. Podejrzewamy, że metoda Sparacina to reprezentować interesy pisarza, potem usunąć się w cień i potajemnie proponować „ofierze” czy też „ofiaram” pieniądze, żeby wywołać zamieszanie. To wszystko przebiega etapami i funkcjonuje bardzo skutecznie.

– Nie wiadomo, w co wierzyć – stwierdziłam, podsumowując własne odczucia.

Kelner przyniósł zeberka. Kiedy odszedł, zwróciłam się do Marka:

– Ale jakim cudem Beryl Madison się z nim zetknęła?

– Przez Harpera. To ironia losu. Sparacino reprezentował Harpera przez wiele lat. To Harper skierował do niego Beryl. Sparacino prowadził ją od samego początku, był jej agentem, prawnikiem, ojcem chrzestnym. Sądzę,

że Beryl miała słabość do starszych wpływowych mężczyzn. Jej kariera rozwijała się dość przeciętnie, dopóki nie zdecydowała się na napisanie tej autobiografii. Mogę się domyślać, że pomysł wyszedł od Sparacina. Zresztą jakkolwiek tam było, Harper nic już nie wydał po swojej Wielkiej Powieści Amerykańskiej. On już należy do historii i dla Sparacina ma wartość tylko o tyle, o ile da się go jeszcze wykorzystać.

Przyszło mi coś do głowy.

– Czy to możliwe, że Sparacino chciał ich wciągnąć w swoje machlojki? To znaczy... Beryl postanawia znów coś napisać... i złamać umowę z Harperem... a Sparacino występuje po obu stronach. Działa po cichu i prowokuje Harpera do dochodzenia swoich racji.

Napełnił kieliszki i odpowiedział:

– Tak myślę. Sądzę, że organizował coś w rodzaju walki psów, i ani Beryl, ani Harper nie zdawali sobie z tego sprawy. Mówiłem ci już, że to jego styl.

Jedliśmy chwilę w milczeniu. Gallagher zasługiwał na swoją reputację. Żeberko można było przekroić nawet widelcem.

W końcu Mark powiedział:

– A najgorsze, przynajmniej dla mnie – podniósł na mnie wzrok, jego twarz wyrażała niepokój jest to, że wtedy, kiedy spotkaliśmy się w „Algonquin”, kiedy Beryl wspomniała, że jej kłóś grozi, że ktoś chce ją zabić... – zawahał się – i wiedząc to wszystko o Robercie Sparacino... to prawdę mówiąc...

– Nie uwierzyłeś jej – dokończyłam za niego.

– Właśnie – wyznał – nie uwierzyłem. Uznałem to wręcz za kolejny chwyt reklamowy. Podejrzewałem, że Sparacino ją do tego namówił, kazał wszystko to odegrać po to, żeby książka się lepiej sprzedawała. Nie dość, że miała spór z Harperem, to jeszcze ktoś groził, że ją zabije. Nie bardzo

dałem wiarę temu, co powiedziała – urwał na chwilę. – I okazuje się, że się pomyliłem.

– Sparacino nie posunąłby się tak daleko – ośmieliłam się zauważyć. – Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że mógł doprowadzić Harpera do takiego stanu, że ten przyszedł zobaczyć się z Beryl i stracił panowanie nad sobą. Albo że Harper kogoś wynajął.

– Jeśli tak było – powiedziałam cicho – to musi mieć dużo do ukrycia z czasów, gdy Beryl z nim mieszkała.

– Może i ma – powiedział Mark, wracając do swojego posiłku. – A nawet jeśli nie ma, zna Sparacina, wie, jak on działa. Prawda czy fikcja, to nie ma znaczenia. Jeśli Sparacino chce wywołać smród wokół sprawy, osiąga cel, nikt potem nie pamięta nic więcej, tylko oskarżenia.

– I teraz ja jestem jego celem? – zapytałam z przekąsem. – Nie rozumiem. Co ja mam z nim wspólnego?

– To proste. Sparacino szuka książki Beryl. Teraz ta książka ma szczególną wartość z uwagi na to, co stało się z autorką – podniósł na mnie wzrok. – On jest przekonany, że maszynopis został przekazany do twojego biura jako dowód rzeczowy. A teraz zaginął.

Sięgnęłam po śmietanę i bardzo spokojnie zapytałam:

– Dlaczego myślisz, że zaginął?

– Jakimś sposobem Sparacino zdobył raport policyjny! Chyba go czytałaś?

– To rutynowa procedura.

– Na odwrocie jest dokładny wykaz znalezionych dowodów, a wśród nich jest mowa o gazetach na podłodze w jej sypialni i maszynopisie z toaletki.

Nagle skojarzyłam fakty! Marino rzeczywiście znalazł maszynopis, ale nie ten, o który chodzi.

*}

– Sparacino rozmawiał dzisiaj z prowadzącym śledztwo porucznikiem Marino – ciągnął Mark. – Ten powiedział mu, że policja nie ma maszynopisu, że wszystko zostało przekazane do laboratoriów w waszym budynku. Poradził Sparacinowi, żeby skontaktował się z naczelnym lekarzem sądowym, to znaczy z tobą.

– To tak *pro forma* – powiedziałam. – Gliny wszystkich odsyłają do mnie, a ja odsyłam ich z powrotem do policji.

– Spróbuj powiedzieć to Sparacinowi. On twierdzi, że maszynopis przekazano razem z ciałem Beryl. A teraz go nie ma. Obarcza odpowiedzialnością twoje biuro.

– To niedorzeczne!

– Czyżby? – Mark spoglądał na mnie z ciekawością. Poczułam się jak na przesłuchaniu, gdy dodał: – Czy to nieprawda, że niektóre dowody przekazywane są wraz z ciałem i ty osobiście oddajesz je do laboratorium albo przechowujesz w gabinecie?

To była prawda.

– Czy jesteś częścią łańcucha dowodowego w sprawie Beryl? – zapytał.

– Nie, jeśli chodzi o to, co znaleziono na miejscu, jak na przykład papiery osobiste – powiedziałam sztywno. – Te zostały przekazane do laboratorium przez policję, nie przeze mnie. W zasadzie większość rzeczy zabranych z jej domu powinna być w depozycie policyjnym. Jeszcze raz powiedziałam:

– Spróbuj powiedzieć to Sparacinowi.

– W ogóle nie widziałam tego maszynopisu – wyznałam szczerze. – Nie ma go w moim biurze, nigdy nie było. I o ile mi wiadomo, w ogóle go nie

znaleziono. Kropka.

– Nie znaleziono? To znaczy, nie było go w jej domu? Gliny go nie znalazły?

– Właśnie. Maszynopis z jej domu to nie ten, o którym mówisz, to prawdopodobnie manuskrypt książki wydanej rok temu, w dodatku niekompletny, co najwyżej dwieście stron. Był w jej sypialni na toalecie. Marino go zabrał i sprawdził odciski palców na wypadek, gdyby zabójca go dotykał.

Mark oparł się plecami o krzesło.

– Skoro wyście go nie znaleźli – zapytał cicho to gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam. – Może być wszędzie. Może go komuś wysłała.

– Ma komputer?

– Tak.

– Sprawdziliście twarde dyski?

– Jej komputer nie ma twardego dysku, tylko dwa napędy dyskietek – wyjaśniłam. – Marino sprawdza dyskietki. Nie wiem, co na nich jest.

– To się nie trzyma kupy. Nawet jeśli wysłała komuś ten wydruk, to przecież powinna była zrobić kopię i ta kopia musi być gdzieś w domu.

– To się nie trzyma kupy, że jej ojciec chrzestny Sparacino nie ma kopii – zauważyłam. – Trudno mi uwierzyć, że nie widział tej książki. Szczerze mówiąc, nie wierzę, że on nie ma brudnopisu, a może nawet ostatniej wersji.

– Twierdzi, że nie ma, a ja jestem skłonny mu wierzyć z jednego powodu. Z tego, czego dowiedziałem się o Beryl, wiem, że była bardzo skryta w sprawach zawodowych. Nie pokazywała nikomu... łącznie ze Sparacinem... tego, nad czym pracowała, póki dzieło nie było skończone. Informowała go o postępie prac listownie i telefonicznie. Twierdzi, że

ostatni raz miał od niej wiadomości jakiś miesiąc temu. Podobno powiedziała mu, że intensywnie pracuje i że książka powinna być gotowa do druku przed Nowym Rokiem.

– Miesiąc temu? – zapytałam. – Napisała do niego?

– Dzwoniła.

– Skąd?

– Nie mam pojęcia. Chyba z Richmond.

– Tak ci powiedział?

Mark zastanawiał się chwilę.

– Nie, nie mówił, skąd dzwoniła. A czemu to takie ważne?

– Wyjechała na jakiś czas z miasta – odparłam takim tonem, jakby to nie miało znaczenia – zastanawiam się tylko, czy Sparacino wiedział, gdzie była.

– A policja nie wie, gdzie była?

– Policja nie wie wielu rzeczy – powiedziałam.

– To nie jest odpowiedź.

– Lepszą odpowiedzią jest, że naprawdę nie powinniśmy rozmawiać o tej sprawie, Mark. Już i tak powiedziałam za dużo i nie wiem, czemu tak cię to interesuje.

– I nie wiesz, czy mam czyste intencje. Nie jesteś pewna, czy nie zaprosiłem cię tylko dlatego, że potrzebuję informacji.

– Masz rację – powiedziałam, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

– Niepokoję się, Kay – widać było po napięciu na jego twarzy... twarzy, która wciąż miała nade mną władzę... że mówił prawdę. Nie mogłam oderwać od niego oczu.

– Sparacino coś knuje. Nie chcę cię naciskać. – Rozlał resztkę wina do kieliszków.

– Co on zamierza? – spytałam. – Zadzwoń do mnie i poproś o wydruk, którego nie mam? No, co takiego?

– Odnoszę wrażenie, że on wie, iż tego nie masz – powiedział. – Problem w tym, że to bez znaczenia. Tak, on chce mieć tę książkę. I w końcu ją zdobędzie. Musi, chyba że gdzieś przepadła. On zarządza jej majątkiem.

– O, jak miło.

– Wiem na pewno, że coś knuje – Mark zdawał się mówić sam do siebie.

– Kolejną akcją reklamową? – podsunęłam może zbyt entuzjastycznie.

Sączył swoje wino.

– A cóż takiego może zrobić – ciągnęłam – zwłaszcza jeśli chodzi o mnie.

– Ja wiem co – powiedział Mark poważnie.

– To proszę, wykrztuś to z siebie!

Tak też zrobił.

– Tytuł: „Naczelny lekarz sądowy nie pozwala opublikować kontrowersyjnego dzieła”.

Roześmiałam się. – Przecież to śmieszne!

Mark się nie uśmiechał.

– Pomyśl. Kontrowersyjna autobiografia napisana przez stroniącą od rozgłosu pisarkę, która zostaje brutalnie zamordowana. Maszynopis książki znika, a naczelny lekarz sądowy zostaje oskarżony o kradzież. Przedmiot sporu zginął z kostnicy. Wyobrażasz sobie! Kiedy książka wreszcie się ukáže, będą się o nią zabijać, a Hollywood zrobi wszystko, żeby zdobyć prawo do filmu.

– Nie boję się – powiedziałam bez przekonania. – To wszystko jest tak naciągane, że aż trudno to sobie wyobrazić.

– Sparacino jest mistrzem w robieniu czegoś z niczego – ostrzegł mnie Mark. – Po prostu nie chcę, żebyś skończyła jak Leon Jones – rozejrzał się, szukając wzrokiem kelnera, i zamarł na widok kogoś przy wejściu. Szybko opuścił wzrok na niedokończony żeberko i wymamrotał: – Cholera!

Musiałam zebrać całą siłę woli, żeby się nie odwrócić. Nie podniosłam wzroku ani nie wykonałam żadnego świadomego ruchu, dopóki przy naszym stoliku nie pojawił się postawny mężczyzna.

– O, witaj, Mark. Spodziewałem się tu ciebie spotkać. – Był to mężczyzna pod sześćdziesiątkę, o miłym głosie i pełnej twarzy, której surowości nadawały małe oczy tak niebieskiej barwy, jak by brak im było ciepła. Oddychał z trudem, zaróżowiony, jakby samo noszenie własnego ciężaru męczyło każdą komórkę jego ciała.

– Tak mi się jakoś zachciało tu zajrzeć i zaproponować ci drinka – rozpinając kaszmirowy płaszcz, obrócił się w moją stronę i z uśmiechem wyciągnął dłoń. – My się chyba nie znamy. Robert Sparacino.

– Kay Scarpetta – powiedziałam z niezwykłym spokojem.

Rozdział piąty

Jakoś udało się nam wytrzymać w towarzystwie Sparacina całą godzinę. To było okropne. Zachowywał się, jakbym była kimś zupełnie obcym, choć dobrze wiedział, kim jestem, i byłam pewna, że to spotkanie nie było przypadkowe. W mieście wielkości Nowego Jorku takie przypadki się nie zdarzają.

– Jesteś pewien, że nie wiedział o moim przyjeździe? – zapytałam.

– A skąd miałby wiedzieć? – odpowiedział Mark.

Czułam, że jest zdenerwowany, gdy wracaliśmy na Pięćdziesiątą Piątą. Carnegie Hall już opustoszał, na chodniku było zaledwie kilku przechodniów. Dochodziła pierwsza w nocy. Moje myśli rozpląwały się w alkoholu, a nerwy wciąż były napięte.

Z każdym kieliszkiem Grand Marnier Sparacino coraz bardziej się ożywiał i coraz bardziej przymilał, aż w końcu jego słowa zamieniły się w bełkot.

– Nie traci okazji. Myślisz, że jest zalany i że rano nic nie będzie pamiętał. Ale on cały czas czuwa, nawet gdy śpi.

– Wyraźnie nie chcesz poprawić mi samopoczucia – powiedziałam.

Skierowaliśmy się prosto do windy, którą jechaliśmy na górę w milczeniu, obserwując światelka informujące o zmianie pięter. Dywan w korytarzu wyciszał nasze kroki. Gdy weszłam do pokoju, z ulgą zobaczyłam, że moja torba leży na łóżku.

– Jesteś gdzieś blisko? – spytałam.

– Dwa pokoje dalej – rozglądał się niespokojnie. – Nie zaprosisz mnie na drinka?

– Nic nie przywiozłam...

– Barek jest pełny. Uwierz mi – powiedział.

Kolejny drink był nam potrzebny jak dziura w moście.

– Co zamierza zrobić Sparacino? – zapytałam.

„Barek” był małą lodówką wypełnioną piwem, winem i małymi buteleczkami różnych trunków.

– Widział nas razem – dodałam. – I co teraz?

– Zależy od tego, co mu powiem – odparł Mark.

Wręczyłam mu plastikowy kubek ze szkocką.

– Zapytam więc inaczej: Co zamierzasz mu powiedzieć?

– Nieprawdę.

Usiadłam na krawędzi łóżka.

Przysunął sobie krzesło i zaczął powoli obracać w dłoniach złotawy napój. Nasze kolana niemal się stykały.

– Powiem mu, że próbowałam dowiedzieć się od ciebie jak najwięcej, żeby mu pomóc.

– Czyli że mnie wykorzystywałeś – podsumowałam, a myśli rwały się niczym słabe fale radiowe – a mogłeś to zrobić ze względu na naszą przeszłość.

– Tak.

– I to jest nieprawda?

Roześmiał się. Nie pamiętałam już, jak bardzo lubiłam jego śmiech.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – zaprotestowałam. W pokoju było gorąco. Czułam, że od szkockiej mam rumieńce. – Jeśli to jest kłamstwo, to co jest prawdą?

– Kay – powiedział, wciąż się uśmiechając i nie odrywając ode mnie oczu – już powiedziałem ci prawdę – zamilkł na chwilę. Potem pochylił się i dotknął mojego policzka, a ja przeraziłam się, pojmując, jak bardzo pragnę, by mnie pocałował.

Wyprostował się w krześle.

– Może byś została przynajmniej do jutrzejszego popołudnia? Poszlibyśmy rano porozmawiać ze Sparacinem.

– Nie – powiedziałam. – On by właśnie tego chciał.

– Jak uważasz.

Kilka godzin później, gdy Mark wyszedł, leżałam i wpatrywałam się w ciemność, świadoma chłodnej pustki w moim łóżku. Dawniej Mark nigdy nie zostawał do rana, a ja rano zbierałam po domu różne części garderoby, brudne kieliszki, talerze, butelki po winie i opróżniałam popielniczki. Wtedy jeszcze oboje paliliśmy. Potrafiliśmy siedzieć do pierwszej, drugiej czy trzeciej i gadać, śmiać się, dotykać się, pić, palić. Poza tym spieraliśmy się. Nienawidziłam tych dyskusji, które zbyt często zamieniały się w ostre wymiany zdań, słowo za słowo, wet za wet, ten paragraf kodeksu kontra tamta filozoficzna maksyma. Za każdym razem spodziewałam się, że wyzna mi miłość. Nigdy tego nie zrobił. Rano miałam takie samo uczucie pustki, jakie miewałam jako dziecko po Bożym Narodzeniu, gdy pomagałam mamie zbierać porozrzucane pod choinką opakowania prezentów.

Nie wiem, czego chciałam. Może nigdy nie wiedziałam. Ten dystans emocjonalny nie był wart bycia razem, ale ja tego nie rozumiałam. Nic się nie zmieniło. Gdyby tylko zechciał, wykonał jakiś gest, zapomniałabym o rozsądku. pragnienie nie kieruje się rozsądkiem, a potrzeba jego bliskości nigdy we mnie nie zniknęła. Całe lata odpychałam od siebie takie myśli:

jego usta dotykają moich, jego dłonie, niepoohamowana siła naszych pragnień. Teraz męczyły mnie wspomnienia.

Zapomniałam zamówić budzenie, nie zaprzętałam też sobie głowy nastawieniem budzika. Psychicznie przygotowałam się na pobudkę o szóstej rano i obudziłam się dokładnie o tej porze. Natychmiast usiadłam. Czułam się tak źle, jak wyglądałam. Gorący prysznic i zabiegi toaletowe nie ukryły cieni pod oczami ani bladej cery. Światło w łazience brutalnie obnażało wszelkie mankamenty. Zadzwoiłam do United Airlines i już o siódmej stukałam do drzwi Marka.

– Cześć – powiedział. Wyglądał obrzydliwie świeżo i rześko. – Czyżbyś zmieniła zdanie?

– Tak – odparłam. Znajomy zapach jego wody toaletowej układał moje myśli na wzór jaskrawych szkiełek w kalejdoskopie.

– Wiedziałem.

– Niby skąd wiedziałeś?

– Nigdy nie uchylasz się od walki – stwierdził, spoglądając na moje odbicie w lustrze, gdy zawiązywał krawat.

Mark i ja umówiliśmy się w siedzibie Orndorff & Berger wczesnym popołudniem. Główny hol firmy był wielką bezduszną przestrzenią. Na czarnym dywanie na wprost wejścia wznosił się masywny czarny kontuar oświetlony światłem lamp wbudowanych w sufit, a kilka kroków dalej duża mosiężna bryła służyła jako stół pomiędzy dwoma czarnymi krzesłami z plastiku. Nie było tam żadnych innych mebli, żadnych kwiatów ani obrazów, nic poza kilkoma powyginanymi rzeźbami, które niczym szrapnel przecinały obszerną pustkę tego pomieszczenia.

– Słucham panią? – recepcjonistka uśmiechnęła się do mnie profesjonalnie ze swojego miejsca.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, cicho otworzyły się niewidoczne pośród ścian drzwi i chwilę później Mark odbierał ode mnie torbę i prowadził długim, szerokim korytarzem. Minęliśmy wiele drzwi, aż doszliśmy do przestronnych biur z oknami z walcowanego szkła, za którymi rozciągała się szara panorama Manhattanu. Nie widziałam nikogo. Pomyślałam, że wszyscy poszli na obiad.

– Kto, na miłość boską, projektował wam główny hol? – szepnęłam.

– Osoba, z którą idziemy się zobaczyć – odpowiedział Mark.

Gabinet Sparacina był dwa razy większy niż te, które minęłam. Na biurku z pięknego hebanu leżały polerowane kamienie służące jako przyciski do papierów, a ściany wypełnione były książkami. Doradca ludzi kultury i sztuki nie wyglądał mniej groźnie niż poprzedniego wieczoru. Miał na sobie garnitur, który wyglądał na drogi wyrób Gottiego, z kontrastującym akcentem krwistej czerwieni w postaci chusteczki w kieszonce. Nie zareagował, gdy weszliśmy i usiedliśmy. Przez chwilę nawet na nas nie patrzył.

– Rozumiem, że idziecie na obiad – powiedział w końcu, gdy jego zimne niebieskie oczy podniosły się, a grube palce zamknęły jakąś teczkę. – Obiecuję długo pani nie zatrzymywać, doktor Scarpetta. Mark i ja sprawdzaliśmy pewne szczegóły związane ze sprawą mojej klientki, Beryl Madison. Jako jej pełnomocnik i egzekutor jej woli mam jasno określone cele i wierzę, że pomoże mi pani w ich realizacji.

Nic nie powiedziałam. Daremnie rozglądałam się za popielniczką.

– Robert potrzebuje jej papierów – obojętnie rzekł Mark – a zwłaszcza tej książki, którą pisała. Właśnie wyjaśniałem mu, nim przyszałaś, że biuro lekarza sądowego nie jest strażnikiem rzeczy osobistych, przynajmniej nie w tym wypadku.

Omówiliśmy przebieg tego spotkania przy śniadaniu. Mark miał „ustawić” Sparacina przed moim przyjściem. Odniosłam jednak wrażenie, że to ja jestem ustawiana.

Spojrzałam na Sparacina i powiedziałam: – Przedmioty przekazane do mojego biura podlegają ewidencji i nie ma wśród nich żadnych papierów, które mogłyby być panu potrzebne.

– Chce pani powiedzieć, że nie ma pani tego maszynopisu?

– Tak.

– I nie wie pani, gdzie on jest.

– Nie mam pojęcia.

– No cóż, w takim razie stawia mnie pani w trudnej sytuacji.

Jego twarz była jak maska, gdy otwierał teczkę i wyjmował z niej dokument, w którym rozpoznałam kserokopię raportu policyjnego w sprawie zabójstwa Beryl.

– Według policji na miejscu zbrodni znaleziono maszynopis – powiedział. – A teraz słyszę, że go nie ma. Może pani to wyjaśnić?

– Owszem, znaleziono jakieś strony maszynopisu – odparłam – ale nie sądzę, żeby to był ten, który pana interesuje, panie Sparacino. Nie stwierdzono, by wyglądały na część aktualnej pracy, a poza tym te materiały w ogóle nie zostały mi przekazane.

– Ile stron? – zapytał.

– W ogóle tego nie widziałam – powiedziałam.

– A kto widział?

– Porucznik Marino. To z nim powinien pan rozmawiać.

– Już to zrobiłem. On twierdzi, że dostarczył pani ten maszynopis.

Nie wierzyłam, by Marino mógł coś takiego powiedzieć.

– To jakieś nieporozumienie – odparłam. – Marino musiał myśleć o fragmentach maszynopisu, który jest prawdopodobnie jej wcześniejszą

powieścią. Zakład Ekspertyz Sądowych to osobny wydział. Tylko przez przypadek mieści się w tym samym budynku.

Spojrzałam na Marka. Twarz miał nieodgadniona, był spocony.

Zaskrzypiała skóra, gdy Sparacino wyprostował się w fotelu.

– Będę z panią szczerzy, doktor Scarpetta – oznajmił. – Nie wierzę pani.

– Nie mam wpływu na to, w co pan wierzy albo nie – odpowiedziałam spokojnie.

– Dużo myślałem o tej sprawie – powiedział równie spokojnie. – Chodzi o to, że ten maszynopis to tylko sterta bezwartościowego papieru, dopóki nie uświadomimy sobie jego znaczenia dla pewnych osób. Według mojej wiedzy co najmniej dwie osoby, nie wliczając wydawców, dałyby dużo za książkę, nad którą Beryl pracowała w chwili śmierci.

– To wszystko nie dotyczy mojej osoby – oświadczyłam. – Moje biuro nie posiada maszynopisu, o którym pan mówi. Co więcej, nigdyśmy go nie mieli.

– Ktoś go ma – wyglądał przez okno. – Znałem Beryl lepiej niż ktokolwiek, znałem jej zwyczaje. Dość długo była poza miastem, przyjechała do domu zaledwie kilka godzin przed śmiercią. Jakoś nie mogę uwierzyć, że nie miała tego maszynopisu przy sobie. W gabinecie, w walizce, torbie. – Małe niebieskie oczka znów wpatrywały się we mnie. – Ona nie ma skrytki w banku ani innego miejsca, w którym mogłaby to ukryć... zresztą po co. Miała maszynopis przy sobie, gdy wyjeżdżała, pracowała nad nim. Na pewno gdy wróciła do Richmond, przywiozła go z sobą.

– Dość długo była poza miastem – powtórzyłam. – Jest pan tego pewien?

Mark nie patrzył na mnie. Sparacino rozparł się w fotelu i splótł palce na brzuchu.

– Wiedziałem, że nie ma jej w domu. Od kilku tygodni próbowałem się do niej dodzwonić. I nagle miesiąc temu ona zadzwoniła do mnie. Nie powiedziała, gdzie jest, ale mówiła, że jest, cytuję: bezpieczna, i zdała mi sprawozdanie ze stanu prac nad książką. Dodała, że ostro pracuje. Żeby się nie rozwodzić, powiem tylko, że nie wypytywałem o szczegóły. Beryl była wystraszona, bo ten psychopata jej groził. Dla mnie nie miało znaczenia, gdzie przebywa, liczyło się tylko to, że nic jej nie jest i że stara się zdążyć na czas. Może to brzmi gruboskórnie, ale musiałem być praktyczny.

– Nie wiemy, gdzie była Beryl – poinformował mnie Mark. – Marino tego nie powiedział.

Uderzył mnie jego dobór zaimków. „My” zabrzmiało jak on i Sparacino.

– Jeśli prosicie mnie o odpowiedź na to pytanie...

– Właśnie o to proszę – wtrącił Sparacino. – Zapewne i tak się wyda, że kilka ostatnich miesięcy spędziła w Karolinie Północnej, w Waszyngtonie, Teksasie... czy gdzie to było. Ale ja muszę to wiedzieć teraz. Mówi mi pani, że w waszym biurze nie ma tego maszynopisu. Policja twierdzi, że oni też go nie mają. Nie widzę więc innego sposobu, jak dowiedzieć się, gdzie była, i od tego miejsca zacząć śledzić losy jej pracy. Może ktoś podwiózł ją na lotnisko. Może się z kimś zaprzyjaźniła tam, gdzie była. Może ktoś wie, co stało się z tą książką. Na przykład, czy miała ją w ręku, gdy wsiadała do samolotu?

– Z takimi pytaniami będzie się pan musiał zwrócić do porucznika Marino – odparłam. – Ja nie jestem upoważniona do omawiania z panem szczegółów tej sprawy.

– Nie spodziewałem się, by chciała pani o tym mówić – powiedział Sparacino. – Zapewne dlatego, że pani wie, iż Beryl miała tę książkę ze sobą, gdy wsiadała do samolotu. A może dlatego, że książka dotarła do pani biura wraz z ciałem, a teraz jej nie ma – urwał i zatrzymał na mnie

lodowaty wzrok. – Ile zapłacił pani Cary Harper albo jego siostra czy też oboje za przekazanie im tego maszynopisu?

Mark wyglądał, jakby nie słuchał, jego twarz pozostawała nieodgadniona.

– No, ile? Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt tysięcy?

– Sądzę, że na tym kończy się nasza rozmowa, panie Sparacino – powiedziałam, sięgając po torebkę.

– O nie, nie tak szybko, doktor Scarpetta – odpowiedział Sparacino.

Pogrzebał od niechcenia w tekturowej teczce i tak samo od niechcenia rzucił kilka kartek na biurko tak, bym mogła je przeczytać.

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy, gdy rozpoznałam kserokopie artykułów, które pojawiły się w gazetach w Richmond ponad rok temu. Tytuł brzmiał przygnębiająco znajomo:

Naczelnny lekarz sądowy oskarżony o obrabowanie zwłok.

Kiedy w ubiegłym miesiącu Timothy Smathers został zastrzelony przed swoją rezydencją, miał na ręku złoty zegarek i obrączkę, a w kieszeniach spodni osiemdziesiąt trzy dolary w gotówce. Tak twierdzi jego żona, która była świadkiem tego zabójstwa, popełnionego rzekomo przez zdesperowanego byłego pracownika. Policja oraz członkowie ekipy ratowniczej, którzy przybyli do rezydencji Stnathersów zaraz po tym, jak padły strzały, utrzymują, że owe kosztowności powędrowały wraz z ciałem do biura lekarza sądowego na sekcję zwłok...

To nie był koniec i nie musiałam czytać dalej, żeby wiedzieć, czego dotyczyły pozostałe wycinki. Tej sprawie towarzyszył niezwykle rozgłos.

Podalam kserokopie Markowi. Sparacino miał mnie w garści i liczył na to, że nie będę się wyrywać.

– Skoro czytał pan te artykuły, to pewnie panu wiadomo – powiedziałam – że przeprowadzono śledztwo w tej sprawie i moje biuro zostało oczyszczone z wszelkich zarzutów.

– W istocie – odparł Sparacino. – Pani osobiście przekazała te kosztowności firmie pogrzebowej. Dopiero potem zaginęły. Trudno jednak było to udowodnić. Pani Smathers nadal uważa, że kosztowności i pieniądze jej męża zostały skradzione w biurze lekarza sądowego. Rozmawiałem z nią.

– Robert, jej biuro oczyszczono z zarzutów – wtrącił Mark obojętnym tonem, podnosząc wzrok znad artykułów. – A mimo to, jak tu piszą, pani Smathers otrzymała czek na równowartość zaginionych przedmiotów.

– Tak było – powiedziałam chłodno.

– Sentymenty nie mają ceny – zauważył Sparacino. – Mogliście jej wystawić czek nawet na dziesięć razy tyle, a ona i tak będzie się czuła nieszczęśliwa.

To zakrawało na żart. Pani Smathers, którą policja nadal podejrzewała o udział w zamordowaniu męża, wyszła za zamożnego wdowca, nim jeszcze ciało pana Smathersa dobrze ostygło.

– Jak podają media – ciągnął Sparacino – wasze biuro nie było w stanie przedstawić pokwitowania na dowód, że naprawdę przekazała pani rzeczy osobiste pana Smathersa firmie pogrzebowej. Znam dobrze tę sprawę. Pokwitowanie podobno zagubił gdzieś pani administrator, który potem zmienił pracę. Było tylko pani słowo przeciwko słowu firmy pogrzebowej, i chociaż nigdy tego nie rozstrzygnięto, przynajmniej nie tak, jak ja bym sobie życzył, teraz już nikt nie pamięta szczegółów.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Mark wciąż tym samym obojętnym tonem.

Sparacino spojrział na Marka, a potem na mnie.

– Ta sprawa to, niestety, nie koniec tego rodzaju oskarżeń. W lipcu skierowano do was ciało starszego mężczyzny Henry’ego Jacksona, który zmarł śmiercią naturalną. W jego kieszeni były pięćdziesiąt dwa dolary. I znowu, zdaje się, pieniądze wyparowały, a wy musieliście wystawić czek synowi zmarłego. Ów syn wystąpił w lokalnej stacji telewizyjnej. Mam to nagrane, gdy byście chcieli zobaczyć.

– Jackson miał pięćdziesiąt dwa dolary w kieszeniach – odpowiedziałam bliska utraty cierpliwości. – Był prawie w stanie rozkładu, a pieniądze tak przegniłe, że nawet najbardziej zdesperowany złodziej by ich nie tknął. Nie wiem, co się z nimi stało, ale najbardziej prawdopodobne wydaje się, że te pieniądze zostały nieumyślnie spalone wraz z tak samo zgniłym i zawszonym ubraniem Jacksona.

– Jezu – mruknął Mark pod nosem.

– To już problem pani biura, doktor Scarpetta – uśmiechnął się Sparacino.

– Każde biuro ma jakieś problemy – burknęłam, wstając. – Jeśli szuka pan własności Beryl, proszę zwrócić się do policji.

– Przepraszam – powiedział Mark, gdy jechaliśmy na dół windą – nie miałem pojęcia, że ten drań tak cię zaatakuję. Mogłaś mnie uprzedzić, Kay...

– O czym? – popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– O tych zaginionych rzeczach, o tych aferach. Sparacino żeruje właśnie na takich śmierdzących sprawach. Nic o tym nie wiedziałem i wpędziłem oboje nas w zasadzkę. A niech to!

– Nie powiedziałam ci – odparłam stanowczo – ponieważ nie ma to nic wspólnego ze sprawą Beryl. To wszystko, co on tu wyciągnął, to zwykłe zamieszanie, nieporozumienia, jakie się mogą zdarzyć, gdy otrzymujemy

ciała w najróżniejszym stanie, a firmy pogrzebowe i gliny wchodzą sobie nawzajem w paradę i zbierają rzeczy osobiste.

– Tylko się na mnie nie złość.

– Nie złościę się na ciebie!

– Słuchaj, ostrzegałem cię przed Sparacinem. Usiłuję cię przed nim chronić.

– Chyba sama już nie wiem, co usiłujesz osiągnąć.

Rozmawialiśmy jeszcze podniesionymi głosami, gdy Mark odskoczył w bok, żeby zatrzymać taksówkę. Ulica była zakorkowana. Wyły klaksony, rzeziły silniki, a moje nerwy były tak napięte, że mogłam wybuchnąć w każdej chwili. Wreszcie pojawiła się taksówka. Mark otworzył tylne drzwi i położył moją torbę na podłodze. Gdy byłam już w środku, podał kierowcy czek i wtedy zorientowałam się, co się dzieje. Mark nie jechał ze mną. Odsyłał mnie na lotnisko samą i bez obiadu. Nim zdążyłam opuścić szybę i odezwać się do niego, taksówka ruszyła.

W milczeniu dojechałam na lotnisko La Guardia. Miałam jeszcze trzy godziny do odlotu. Byłam zła, urażona i zdezorientowana. Nie podobało mi się takie rozstanie. Znalazłam miejsce w barze, zamówiłam drinka i zapaliłam papierosa. Obserwowałam, jak niebieski dym wiję się strużką w górę i rozplywa w powietrzu. Kilka minut później wrzucałam monetę do automatu telefonicznego.

– Orndorf f & Berger – usłyszałam kobiecy głos.

Wyobraziłam sobie czarny pulpit i powiedziałam:

– Proszę z Markiem Jamesem. Po chwili usłyszałam:

– Niestety, musiała się pani pomylić.

– Pracuje w waszym biurze w Chicago. Jest tutaj chwilowo. Widziałam się z nim dzisiaj w waszej firmie.

– Proszę chwilkę poczekać.

Jakieś dwie minuty słuchałam w słuchawce nagrania „Baker Street” Jerry’ego Rafferty.

– Przykro mi – poinformowała mnie recepcjonistka, gdy wróciła – ale nie pracuje u nas nikt o takim nazwisku.

– Ależ on spotkał się ze mną w waszym holu niecałe dwie godziny temu – zawołałam z niecierpliwością.

– Sprawdziłam. Przykro mi, ale może pomyliła nas pani z inną firmą.

Klnąc pod nosem, odłożyłam słuchawkę. Zadzwoiłam do biura numerów, skąd zdobyłam numer do biura Orndorff & Berger w Chicago. Wystukałam swój numer karty kredytowej. Pomyślałam, że zostawię dla Marka wiadomość, aby jak najszybciej do mnie zadzwonił.

Krew zamarła mi w żyłach, gdy recepcjonistka w Chicago powiedziała:

– Przykro mi, ale nikt taki u nas nie pracuje.

Rozdział szósty

W książce telefonicznej Chicago nie było Marka. Pięć osób figurowało jako Mark James i trzy jako M. James, po przyjeździe do domu zadzwoniłam do każdej z nich. Odzywały się albo kobiety, albo jacyś nieznani mi mężczyźni. Byłam tak wytrącona z równowagi, że nie mogłam zasnąć.

Dopiero rano przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Diesnera, lekarza sądowego z Chicago, którego Mark ponoć niedawno spotkał.

Uznawszy, że najlepsza taktyka to zapytać wprost, po zwyczajowej wymianie uprzejmości powiedziałam:

– Usiłuję znaleźć Marka Jamesa, prawnika z Chicago, pan go chyba zna.

– James... – powtórzył Diesner z namysłem – niestety, nie przypominam sobie. Mówi pani, że pracuje tutaj, w Chicago?

– Tak – serce przestało mi bić – dla Orndorff & Berger.

– No, znam Orndorff & Berger, Bardzo szanowana firma. Ale nie mogę sobie przypomnieć... Mark James... – usłyszałam odgłos otwieranej szuflady i szelest kartek. – Nie. Nie widzę go nawet w książce telefonicznej.

Odłożyłam słuchawkę i nalałam sobie kolejną filiżankę czarnej kawy. Spoglądałam przez okno w kuchni na pusty karmnik dla ptaków. Był pochmurny ranek. Deszcz wisiał w powietrzu. Na biurku w moim gabinecie czekały stosy papierów. Była sobota. W poniedziałek miało być święto państwowe. Pomyślałam, że biuro będzie puste, bo pracownicy już zaczęli wyjeżdżać na tak długi weekend. Powinnam wykorzystać ten spokój i ciszę.

Było mi jednak wszystko jedno. Myślałam tylko o Marku. To wszystko wyglądało tak, jakby nigdy nie istniał, jakby był tworem mojej wyobraźni, marzeniem. Im bardziej starałam się to wszystko zrozumieć, tym bardziej plątały mi się myśli i fakty. O co u licha w tym wszystkim chodzi?

Próbowałam zdobyć domowy numer telefonu Roberta Sparacino i podświadomie poczułam ulgę, dowiedziawszy się, że numer ten jest zastrzeżony. Dzwonić do niego byłoby samobójstwem z mojej strony. Mark mnie okłamał. Powiedział, że pracuje dla Orndorff & Berger, że mieszka w Chicago, że zna Diesnera. Nic z tego nie było prawdą! Miałam nadzieję, że za chwilę zadzwoni telefon i że to będzie Mark. Posprzątałam, zrobiłam pranie i prasowanie, ugotowałam klopsiki mięsne i sos pomidorowy, przejrzałam pocztę.

Telefon zadzwonił dopiero o piątej po południu.

– To ty? Tu Marino – powitał mnie znajomy głos. – Nie chcę ci przeszkadzać w weekend, ale szukam cię od dwóch dni. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Marino znowu bawił się w anioła stróża.

– Mam kasetę, którą chcę ci pokazać – powiedział. – Jeśli nigdzie nie wychodzisz, mógłbym ci ją podrzucić. Masz magnetowid?

Wiedział, że mam. „Podrzucał” mi kasety już wcześniej.

– Co to za kasetka?

– Facet, z którym spędziłem cały ranek. Wypytywałem o Beryl Madison. Mogłabym przysiąc, że był z siebie zadowolony.

Im dłużej znałam Marina, tym częściej raczył mnie swoimi pokazówkami. Częściowo przypisywałam to temu, że uratował mi życie – to straszne wydarzenie związało nas w nietypowy sposób.

– Jesteś na służbie? – zapytałam.

– Zawsze jestem na służbie – mruknął.

– Ale poważnie?

– Oficjalnie nie, wystarczy? Skończyłem o czwartej, ale żona pojechała do Jersey do swojej matki i miałem tyle spraw na głowie, że szkoda gadać.

Żona wyjechała. Dzieci są dorosłe. Była szara, ponura sobota. Marino nie chciał wracać do pustego domu. Ja też nie tryskałam radością w pustym domu. Wpatrywałam się w sos, który bulgotał na kuchence.

– Nigdzie nie wychodzę – powiedziałam. – Wpadnij z tą kasetą, obejrzymy ją. Lubisz spaghetti?

Zawahał się.

– No...

– Z klopsami. Właśnie zaczynam gotować. Zjesz ze mną?

– Dobra – burknął. – Może dam radę.

Gdy Beryl Madison chciała umyć samochód, zwykle jeździła do myjni Masterwash.

Marino odkrył to, odwiedzając każdą z luksusowych myjni w mieście. Nie było ich wiele, najwyżej tuzin takich, w których samochód bez kierowcy poddawany jest automatycznemu myciu przez obracające się szczotki, podczas gdy specjalne dysze rozpylają wodę. Po szybkim suszeniu gorącym powietrzem samochód zostaje odstawiony w miejsce, w którym pracownicy myjni odkurzają jego wnętrze, woskują go, polerują, czyszczą zderzaki i całą resztę. Ta usługa, zwana „Super Deluxe”, jak poinformował mnie Marino, kosztuje piętnaście dolarów.

– Ale mi się udało – powiedział Marino, nawijając spaghetti za pomocą łyżki na widelec – bo jak tu wyśledzić coś takiego? Ci faceci codziennie czyszczą siedemdziesiąt, sto wozów. I myślisz, że będą pamiętać jakąś czarną hondę? Na pewno nie.

Emanowała z niego satysfakcja myśliwego. Upolował wielką zwierzynę. Gdy zdawałam mu wstępny raport dotyczący badania włókien, wiedziałam,

że zacznie przeszukiwać każdą myjnię i warsztat w mieście. To był cały Marino: gdy widział jeden krzak na pustyni, musiał za niego zajrzeć.

– Wczoraj trafiłem na prawdziwy skarb – ciągnął – w myjni Masterwash. Była prawie na końcu mojej listy z powodu swojego położenia. Sądziłem, że Beryl raczej jeździłaby do myjni gdzieś w zachodniej części. A wcale nie. Jeździła na południe, a jedynym powodem, jaki przychodzi mi do głowy, jest to, że na miejscu mają tam warsztat samochodowy. Okazuje się, że przyprowadziła im swoją bryczkę krótko po tym, jak ją kupiła w grudniu, i kazała sobie zrobić konserwację lakieru i podkładu... to kosztuje koło setki dolców. Potem otworzyła tam swoje konto, została członkiem i dzięki temu miała zniżkę – dwa dolary przy każdym myciu i prawo do gratisowych bonusów tygodnia.

– W ten sposób się o tym dowiedziałaś? – zapytałam. – Przez to członkostwo?

– Tak – odparł. – Nie mają tam komputera. Musiałem przejrzeć wszystkie ich cholerne kwity. Ale znalazłem kopię dowodu wpłaty jej składki członkowskiej i pamiętając, jak lśnił jej samochód, gdyśmy go znaleźli w garażu, domyśliłem się, że była w myjni niedługo przed ucieczką do Key West. Grzebałem też w jej papierach, przeglądałem rachunki. Znalazłem tylko jeden z Masterwash na sto dolarów za to, o czym ci mówiłem. Widać, że zapłaciła gotówką, gdy po tej konserwacji czyścili jej samochód.

– A ci pracownicy myjni – powiedziałam – Jak są ubrani?

– Nic pomarańczowego, co mogłoby pasować do tego dziwnego włókna, które znalazłaś. Większość z nich nosi dżinsy, sportowe buty... wszyscy mają niebieskie koszule z wyhaftowanym na biało na kieszonce napisem „Masterwash”. Dokładnie to obejrzałem. Nic mnie nie zaskoczyło.

Jedynym odmiennym materiałem, jaki widziałem, były stopy białych ręczników, których używają do wycierania samochodów.

– Nie brzmi zbyt obiecująco – zauważyłam, odsuwając od siebie talerz. Przynajmniej Marino miał apetyt. Mój żołądek od powrotu z Nowego Jorku wciąż był ściśnięty i zastanawiałam się, czy opowiedzieć Marinowi o tym, co się tam stało.

– Może i nie – powiedział. – Ale jeden facet, z którym rozmawiałem, zaintrygował mnie.

Czekałam na bliższe informacje.

– Nazywa się Al Hunt, dwadzieścia osiem lat, biały. Od razu się nim zainteresowałam. Zobaczyłem go, jak nadzorował pracę innych. Coś mnie tknęło. Wyglądał, jakby nie pasował do tego miejsca. Czysty, elegancki, powinien raczej mieć na sobie trzyczęściowy garnitur i trzymać w ręku aktówkę. Zadałem sobie pytanie: „Co ktoś taki robi w takim miejscu?”. Facet zanurzał pieczywo czosnkowe w potrawce. Podchodzę więc do niego i zaczynam pogawędkę. Pytam go o Beryl, pokazuję zdjęcie z jej prawa jazdy. Pytam, czy ją pamięta i trach! Facet robi się niespokojny.

Mimo woli pomyślałam, że i ja zrobiłabym się niespokojna, gdyby Marino do mnie „podszedł”. Prawdopodobnie natarł na tego biedaka niczym czołg.

– I co? – zapytałam.

– Weszliśmy do środka, zaparzyliśmy sobie kawę i przystąpiliśmy do omawiania ważnych spraw – odparł Marino. – Ten Al Hunt to prawdziwy świr. Zaczniemy od tego, że skończył studia. Zrobił magistra psychologii i dwa lata pracował jako pielęgniarz, dasz wiarę? Kiedy go zapytałam, dlaczego zostawił szpital dla myjni, to mi powiedział, że jego stary jest właścicielem tego interesu. Stary Hunt ma interesy w całym mieście. Masterwash to tylko jedna z jego inwestycji. Ma też sporo parkingów i

posiada chyba z połowę Northside. Samo się narzuca, że młody Al musi pójść w ślady tatusia, no nie? Zaczęło mnie to interesować.

– A jednak Al nie nosi garnituru, chociaż jego wygląd sugeruje, że powinien. Wynika z tego, że Al to nieudacznik. Stary nie ufa mu na tyle, żeby posadzić go za biurkiem. Czyli facet stoi tam na parkingu i mówi pracownikom, jak woskować wozy i czyścić zderzaki. Według mnie czegoś mu tu brakuje – pokazał tłustym palcem na głowę.

– Może powinieneś spytać o to jego ojca?

– Racja. A on mi powie, że jego wielka nadzieja to zwykły głupek.

– To co masz zamiar z tym zrobić?

– Już zrobiłem – odpowiedział. – Obejrzyj tę kasetę. Całe rano spędziłem z Alem Huntem na komendzie. Ten facet zagadałby każdego na śmierć i był bardzo ciekawy, co się stało z Beryl, mówił, że czytał o tym w gazetach...

– Skąd wiedział, kim była? – wtrąciłam. – Gazety ani stacje telewizyjne nie pokazywały jej zdjęć. Rozpoznał ją po imieniu?

– Mówi, że nie. Że nie miał pojęcia, że to ta blondynka, którą widywał w myjni, dopóki nie pokazałem mu zdjęcia. Wtedy odegrał wielką scenę zaskoczenia. Czepiał się każdego mojego słowa, chciał o niej rozmawiać, był wyraźnie zainteresowany jak na kogoś, kto rzekomo nie odróżniał jej od innych – odłożył pomietą serwetkę na stół. – Najlepiej będzie, jak sama tego posłuchasz.

Nastawiłam kawę, zebrałam brudne naczynia i przeszliśmy do salonu, gdzie zaczęliśmy oglądać nagraną przez Marina taśmę. Sceneria była mi znajoma. Widziałam to wiele razy. Policyjna sala przesłuchań to małe, wyłożone panelami pomieszczenie, w którym nie ma nic poza prostym stołem i dywanem na podłodze. Przy drzwiach jest wyłącznik światła i tylko specjalista albo ktoś wtajemniczony może zauważyć, że brakuje w

nim górnej śruby. Po drugiej stronie małego czarnego otworu zamontowana jest kamera wideo ze specjalnym szerokokątnym obiektywem.

Na pierwszy rzut oka Al Hunt nie wyglądał groźnie. Miał jasne włosy, wysokie czoło i bladą cerę. Byłby nawet niebrzydki, gdyby nie zbyt mały podbródek. Miał na sobie rdzawą skórzaną kurtkę i dżinsy. Obserwował siedzącego naprzeciw Marina i szczupłymi palcami manipulował nerwowo przy puszcze z 7-Up.

– Co takiego miała w sobie Beryl Madison, że zwróciłeś na nią uwagę? – zapytał Marino. – Codziennie przez myjnię przewija się wiele samochodów. Pamiętasz wszystkich klientów?

– Pamiętam więcej, niż by pan przypuszczał – odpowiedział Hunt. – Zwłaszcza stałych klientów. Mogę nie pamiętać imion i nazwisk, ale pamiętam twarze, bo większość z nich przeważnie czeka na parkingu, gdy pracownicy zajmują się ich samochodami. Wielu klientów nadzoruje te prace, to znaczy obserwują swoje wozy, pilnują, żeby o niczym nie zapomniano. Niektórzy łapią za jakąś ścierkę i pomagają, zwłaszcza gdy im się śpieszy... jeśli to tacy ludzie, którzy nie umieją ustać spokojnie i muszą coś robić.

– Beryl też taka była? Nadzorowała?

– O nie. Mamy tam dwie ławki. Zazwyczaj siadała na jednej. Czasem czytała jakąś książkę albo gazetę. W ogóle nie zwracała uwagi na pracowników, nie starała się nawiązać żadnego kontaktu. Może właśnie dlatego ją zauważyłem.

– To znaczy? – zapytał Marino.

– To znaczy, że nadawała sygnały. A ja je odbierałem.

– Sygnały?

– Ludzie wysyłają różne sygnały – wyjaśnił Hunt. – Potrafię je odbierać. Mogę dużo powiedzieć o osobie na podstawie nadawanych przez nią sygnałów.

– A czy ja teraz nadaję jakieś sygnały?

– Tak. Każdy to robi.

– Jakie sygnały wysyłam?

Twarz Hunta była bardzo poważna, gdy odpowiadał:

– Jasnoczerwone.

– Co? – Marino wyglądał na zbitego z tropu.

– Odbieram sygnały jako kolory. Może uważa pan, że to dziwne, ale to nic nadzwyczajnego. Niektórzy wyczuwają barwy emanujące z innych. To właśnie te sygnały, o których mówię. Sygnały, które wyczuwam wokół pana, są jasnoczerwone. Trochę ciepłe, ale też jakby trochę gniewne. Jakby sygnał ostrzegawczy. To przyciąga, ale też sugeruje jakieś niebezpieczeństwo...

Marino zatrzymał taśmę i uśmiechnął się do mnie znacząco.

– Świr jakiś czy co?

– W zasadzie to on ma rację – powiedziałam – jesteś, jak on to powiedział, ciepły, gniewny i niebezpieczny.

– Kurcze, doktorko. Ten facet to psychol. Z tego, co mówi, wszyscy wokół to jedna wielka tęcza.

– Jest w tym jakaś prawda z punktu widzenia psychologii – odparłam rzeczowo. – Kolory mają związek z emocjami. Na tej podstawie dobierane są na przykład kolory w miejscach publicznych, hotelach, instytucjach. Niebieski na przykład jest uważany za kolor depresji. Dlatego trudno byłoby spotkać niebieskie pomieszczenia w szpitalu psychiatrycznym. Czerwony to gniew, gwałtowność, pasja. Czarny jest złowrogi, ponury, i tak dalej. Mówiłeś, zdaje się, że Hunt jest magistrem psychologii.

Marino wyglądał na poirytowanego. Ponownie włączył taśmę.

– Rozumiem, że to może mieć związek z tym, co pan robi. Jest pan detektywem – mówił Hunt – w tej chwili potrzebuje pan mojej współpracy, ale równocześnie mi pan nie ufa i może być dla mnie niebezpieczny, jeśli mam coś do ukrycia. To właśnie ta ostrzegawcza część bladej czerwieni, którą wyczuwam. Ciepła część to pańska towarzyska osobowość. Chce pan, żeby ludzie czuli z panem więź. Więc pan udaje, ale chce pan być lubiany...

– No dobra – przerwał mu Marino. – A co z Beryl Madison? U niej też wyczuwałeś kolory?

– O tak. To mnie w niej od razu uderzyło. Była inna, naprawdę inna.

– W jaki sposób? – krzesło Marina głośno skrzypnęło, gdy odchylił się do tyłu i założył ręce na piersiach.

– Trzymała się z boku – odparł Hunt. – Wyczuwałem wokół niej zimne kolory. Chłodny niebieski, bladej żółty jak słaby blask słońca i biały tak silny, jakby gotowa była spalić każdego, kto ją tknie. I właśnie ta biała część była inna. Od wielu kobiet emanują pastelowe kolory. Takie żeńskie odcienie, które pasują do ich ubrań. Różowe, żółte, bladoniebieskie i zielone. Takie kobiety są bierne, chłodne, delikatne. Czasami zdarza mi się widzieć kobietę, która wysyła ciemne, silne kolory, na przykład granatowy, bordowy czy czerwony. To silniejsza jednostka. Zazwyczaj agresywna, może być prawnikiem, lekarzem czy kobietą interesu, i często ma na sobie ubranie w którymś z tych kolorów. Kobiety tego typu stoją przy swoich samochodach z rękami na biodrach i uważnie patrzą, co robią mechanicy. I bez żenady wytykają im każdy zaciek na szybie czy drobinę kurzu.

– Lubisz ten typ kobiet? – spytał Marino.

Zawahał się.

– Prawdę mówiąc, nie.

Marino roześmiał się, pochylił w przód i powiedział:

– Ja też takich nie lubię. Wolę te pastelowe.

Posłałam temu Marino, który siedział obok mnie, znaczące spojrzenie.

Zignorował mnie, bo Marino na ekranie właśnie powiedział do Hunta:

– Powiedz jeszcze coś o Beryl, o tym, co wyczuwałeś.

Hunt zmarszczył brwi i głęboko się zamyślił.

– Te pastelowe barwy, które wysyłała, nie były aż tak niezwykle, ale nie odbierałem ich jako oznaki słabości. Nie czułem też bierności. Te kolory były chłodniejsze, jakby mówiła całemu światu, żeby trzymać się od niej z daleka, żeby pozostawić jej dużo przestrzeni.

– Tak jakby była oziębła?

Hunt znowu zajął się puszką 7-Up.

– Nie. Tak chyba nie mogę powiedzieć.

Nie tak to odbierałem. Nazwałbym to raczej dystansem. Dużym dystansem, jaki trzeba by pokonać, nim się do niej dotrze. Ale gdyby się to udało, gdyby komuś pozwoliła się do siebie zbliżyć, spaliłaby go swoim żarem. Tutaj właśnie odbierałem białe gorące sygnały i to ją według mnie wyróżniało. Był w niej żar, siła. Miałem wrażenie, że była niezwykle, bardzo inteligentna. Nawet gdy siedziała samotnie na ławce i na nikogo nie zwracała uwagi, jej umysł intensywnie pracował. Wiedziała, co dzieje się wokół. Była odległa i gorąca do białości, niczym gwiazda.

– Zauważyłeś, że nie była mężatką?

– Nie nosiła obrączki – odpowiedział Hunt natychmiast. – Zakładałem, że była panną. Nic w jej samochodzie nie wskazywało, że jest inaczej.

– Nie rozumiem – Marino wyglądał na zaskoczonego. – Jak można to poznać po samochodzie?

– To było chyba podczas jej drugiej wizyty. Obserwowałem jednego z pracowników, który czyścił wnętrze. Nie było tam nic męskiego. Jej parasol na przykład... leżał z tyłu na podłodze... taki smukły niebieski, jakie często

noszą kobiety, w przeciwieństwie do męskich czarnych parasoli z drewnianą rączką, Z tyłu były też rzeczy z pralni, najwyraźniej wyłącznie damskie. Zamężne kobiety na ogół odbierają też ubrania mężów, gdy już się wybierają do pralni. Jeszcze bagażnik. Żadnych narzędzi, kabli. Nic męskiego. Wie pan, kiedy cały dzień widzi się samochody, to człowiek zauważa takie rzeczy i wyrabia sobie zdanie o kierowcach, nawet o tym nie myśląc.

– Czy to znaczy, że w jej wypadku jednak trochę myślałeś? – powiedział Marino. – Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, żeby ją gdzieś zaprosić, Al? Czy aby na pewno nie znałeś jej imienia? Może zauważyłeś je na kwicie z pralni albo na jakiejś kopercie, która została w samochodzie?

Hunt potrząsnął głową.

– Nie wiedziałem, jak się nazywa. Może nie chciałem wiedzieć.

– Dlaczego?

Al wyraźnie się zmieszał.

– No, Al. Możesz mi powiedzieć. Ja też pewnie miałbym ochotę gdzieś z nią wyjść. Była ładna, przyciągała uwagę. Na twoim miejscu pewnie bym o tym pomyślał, może spróbowałbym poznać jej nazwisko, może nawet zadzwonić.

– Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy – Hunt wpatrywał się w swoje dłonie.

– Dlaczego?

Cisza.

Marino powiedział:

– Może dlatego, że już raz miałeś taką kobietę i się sparzyłeś?

Cisza.

– Hej, to zdarza się wszystkim.

– Na studiach – odpowiedział Hunt ledwie słyszalnie. – Chodziłem z nią dwa lata. Wyszła za jakiegoś faceta z medycyny. Takie kobiety... szukają pewnych typów. Wie pan, kiedy zaczynają myśleć o założeniu rodziny.

– Szukają dobrych partii – głos Marina stawał się coraz ostrzejszy. – Prawników, lekarzy, bankierów. Nie facetów, którzy pracują w myjniach.

Hunt gwałtownie podniósł głowę.

– Nie pracowałem wtedy w myjni.

– To nic, Al. Takie kociaki jak Beryl Madison nie są skore do spotkań z tobą, prawda? Założę się, że Beryl nawet cię nie zauważyła. Nie rozpoznałaby cię, gdybyś gdzieś na ulicy wpadł na jej samochód...

– Proszę tak nie mówić...

– Tak czy nie?

Hunt wpatrywał się w swoje zaciśnięte pięści.

– Może więc miałeś do niej słabość – ciągnął nieubłagane Marino. – Może myślałeś o tej gorącej do białości kobiecie bez przerwy, fantazjowałeś, wyobrażałeś sobie, że z nią jesteś, że kochasz się z nią. Może po prostu brakło ci odwagi, żeby porozmawiać z nią bezpośrednio, bo założyłeś, że ona uzna cię za kogoś gorszego...

– Dość! Specjalnie mnie pan prowokuje! Dostyc tego! – krzyknął Hunt piskliwie. – Dajcie mi spokój!

Marino spoglądał na niego obojętnie z drugiej strony stołu.

– Mówiłem jak twój stary, prawda? – Zapalił papierosa i machał nim podczas rozmowy. – Stary Hunt, który uważa, że jego jedynek to pedał, bo nie jest bezwzględny twardzielem, obojętnym na cudze uczucia. – Wydmuchnął kłęb dymu i przemówił delikatnie. – Wiem o Wszechmocnym Starym Huncie. Wiem też, że powiedział wszystkim swoim kumplom, że jesteś pedałem, że wstydził się, że w twoich żyłach płynie jego krew, kiedy

zaczęłeś pracować jako pielęgniarz. Faktem jest, że przyszedłeś do tej myjni, bo zagroził, że jak tego nie zrobisz, zostaniesz wydziedziczony.

– Wie pan o tym? Skąd? – wymamrotał Hunt.

– Wiem o różnych rzeczach. A w szpitalu mówili, że byłeś świetny, miałeś dobre podejście do pacjentów. Bardzo żalowali, że odszedłeś. Zdaje się, że opisując cię, mówili „wrażliwy”. Może zbyt wrażliwy, co Al? I dla tego nie chodzisz na randki, nie spotykasz się z kobietami? Boisz się. Beryl przestraszyła cię nie na żarty, prawda?

Hunt zaczerpnął powietrza.

– I dlatego nie chciałeś wiedzieć, jak się nazywa? Żeby cię nie kusiło do niej dzwonić, czegoś próbować?

– Po prostu ją zauważyłem – odpowiedział Hunt nerwowo. – Naprawdę, to nie było nic więcej. Nie myślałem o niej w ten sposób. Byłem po prostu... tylko... no... świadomy jej obecności. Ale nie zastanawiałem się nad tym. Nigdy z nią nawet nie rozmawiałem aż do jej ostatniej wizyty...

Marino wcisnął „stop”.

– O, tu jest ważne – powiedział i spojrzał na mnie porozumiewawczo. – Nic ci nie jest?

– Musiałeś być taki brutalny?

– Słabo mnie znasz, jeśli sądzisz, że to było brutalne – odparł Marino.

– Przepraszam, zapomniałam, że siedzę z Attylą.

– Przecież to tylko gra – powiedział urażony.

– Przypomnij mi, żebym zgłosiła twoją nominację do Oskara.

– Daj spokój.

– Całkiem zmieszałeś go z błotem.

– Taka taktyka. No wiesz, sposób, żeby facetem potrząsnąć, nakłonić do powiedzenia rzeczy, o których inaczej może by nawet nie pomyślał –

odwrócił się z powrotem w stronę telewizora i wciskając „play”, dodał: – Warto było go przesłuchać dla tego, co powie teraz.

– Kiedy to było? – zwrócił się Marino do Hunta. – Ten ostatni raz, gdy tu przyjechała?

– Nie pamiętam dokładnej daty – odparł Hunt. – Kilka miesięcy temu, ale wiem, że to był piątek... przed południem. Pamiętam dlatego, że tego dnia miałem zjeść obiad z ojcem. Zawsze w piątki jemy razem obiady, żeby pomówić o interesach – sięgnął po swoją puszkę 7-Up. – Zawsze w piątek ubieram się trochę lepiej. Wtedy miałem na sobie krawat.

– Więc Beryl zjawia się w piątek przed południem, żeby umyć samochód – podpowiedział Marino. – I tym razem z nią rozmawiałeś?

– Właściwie to ona odezwała się pierwsza – odpowiedział Hunt, jakby to było ważne. – Jej samochód zjeżdżał z automatu, gdy podeszła do mnie, powiedziała, że rozlała coś na wykładzinę w bagażniku i zapytała, czy da się to wyczyścić. Poprowadziła mnie do samochodu, otworzyła bagażnik i zobaczyłem, że wykładzina była wilgotna. Wiozła zakupy w bagażniku i zbiła się butelka soku pomarańczowego. Chyba dlatego przyjechała wtedy do myjni, żeby to od razu wyczyścić.

– Czy zakupy były jeszcze w bagażniku?

– Nie – odparł Hunt.

– Pamiętasz, jak była ubrana?

Hunt zawahał się.

– W strój do gry w tenisa, okulary przeciwsłoneczne. Wyglądała, jakby dopiero co zeszła z kortu. Zapamiętałem to, bo nigdy jej takiej nie widziałem. Wcześniej zawsze była w normalnych ubraniach. Pamiętam też, że w bagażniku miała rakietę tenisową i kilka innych rzeczy, bo wyjęła je, gdy zaczęliśmy czyszczenie. Wszystko zgarnęła i położyła na przednim siedzeniu.

Marino wyjął terminarz z kieszeni na piersi. Otworzył go i przerzucił kilka kartek, po czym rzekł:

– Czy to możliwe, że był to drugi tydzień lipca? Piątek, dwunasty lipca?

– Może.

– Pamiętasz coś jeszcze? Jak się zachowywała?

– Była niemal serdeczna – odpowiedział Hunt. – Pamiętam to dobrze. Chyba dlatego, że jej pomogłem, zająłem się tym bagażnikiem. Mogłem przecież ją odesłać do sklepu z częściami, gdzie musiałaby zapłacić trzydzieści dolarów za szampon. Ale chciałem jej pomóc. Gdy chłopcy pracowali, kręciłem się koło nich i wtedy zauważyłem coś dziwnego na drzwiach po stronie pasażera. To było dziwaczne. Jakby ktoś kluczykiem wyskrobał serce i kilka liter pod samą klamką. Zapytałem ją, jak to się stało, a ona podeszła, żeby to obejrzeć, i stanęła jak wryta. Gdy się odwróciła, była blada jak ściana. Chyba nie widziała tego wcześniej. Próbowałem ją uspokoić, mówiłem, że rozumiem jej zdenerwowanie. Nowiuteńka honda, bez najmniejszego draśnięcia, warta ze dwadzieścia tysięcy dolarów, a tu jakiś kretyn robi coś takiego. Pewnie dzieciak, który nie miał nic lepszego do roboty.

– Co jeszcze mówiła? – zapytał Marino. – Powiedziała coś o tych zadrapaniach?

– Nie. W ogóle nie mówiła dużo.

Jakby się wystraszyła. Zaczęła się rozglądać, była naprawdę zdenerwowana. Spytała mnie, gdzie jest najbliższy telefon, odpowiedziałem, że w środku jest automat. Kiedy wróciła, samochód był już gotowy i odjechała... Marino zatrzymał taśmę i wyjął ją z magnetowidu. Przypomniałam sobie o kawie i poszłam do kuchni napełnić dwie filiżanki.

– Wygląda na to, że mamy odpowiedź na jedno z naszych pytań – powiedziałam po powrocie do pokoju.

– No tak – Marino sięgnął po śmietankę i cukier. – Ja to widzę tak: Beryl prawdopodobnie zadzwoniła z automatu do banku albo na lotnisko, żeby zarezerwować bilet. Odkrycie tej walentynki na drzwiach było przysłowiową ostatnią kroplą. Wystraszyła się. Z myjni jedzie prosto do banku. Sprawdziłem, gdzie miała konto. Dwunastego lipca o dwunastej pięćdziesiąt wyczyściła swoje konto, wyjmując prawie dziesięć tysięcy dolarów gotówką. Była cenioną klientką. Nie miała z tym żadnych kłopotów.

– Nie wzięła czeków podróżnych?

– Nie. Można podejrzewać, że bardziej bała się, że ktoś ją odnajdzie, niż że ją okradną. W Keys za wszystko płaciła gotówką. Gdy nie używała kart kredytowych ani czeków podróżnych, nikt nie musiał znać jej nazwiska.

– Chyba naprawdę się bała – powiedziałam cicho. – Nie wyobrażam sobie, bym nosiła tyle pieniędzy. Musiałabym zwariować albo okrutnie się wystraszyć.

Marino zapalił papierosa. Zrobiłam to samo. Zgasiwszy zapalniczkę, zapytałam:

– Myślisz, że to serce wydrapano w myjni?

– Zadałem Huntowi to samo pytanie, żeby zobaczyć jego reakcję – odparł Marino. – Przysięgał, że to nie mogło się stać w myjni, ktoś by przecież zobaczył osobę manipulującą przy drzwiach. Nie jestem tego taki pewien. Wiesz, że czasem człowiek zostawi w środku pięćdziesiąt centów, a jak dostaje bryczkę z powrotem, już ich nie ma. Wokół pełno złodziei. Drobne, parasole, książeczki czekowe, cokolwiek chcesz, a jak zaczniesz pytać, nikt nic nie widział. Moim zdaniem Hunt mógł to zrobić.

– On jest trochę niezwykły – stwierdziłam. – To dość dziwne, że tak świadomie reagował na jej obecność. Była jedną z bardzo wielu klientów

przewijających się tam codziennie. Przyjeżdżała tam... jak często... raz w miesiącu... rzadziej?

Skinął głową.

– Ale dla niego wyróżniała się jak neon. Może być zupełnie niewinny. Albo i nie.

Przypomniałam sobie, że Mark określił Beryl jako „zapadającą w pamięć”.

Piliśmy kawę w milczeniu. Moje myśli stawały się coraz bardziej ponure. Mark. Musiała zajść jakaś pomyłka, musi istnieć logiczne wyjaśnienie tego, że nie ma go wśród pracowników Orndorff & Berger. Może jego nazwisko pominięto w spisie pracowników firmy albo firma się niedawno skomputeryzowała i nadano mu nieprawidłowy kod, przez co jego nazwisko się nie pojawiło, gdy sekretarka wystukała je na komputerze. A może obie recepcjonistki są nowe i nie znają wszystkich pracowników. Ale dlaczego nie ma go w książce telefonicznej Chicago?

– Chyba coś cię gryzie – odezwał się Marino. – Widzę to, odkąd tu przyszedłem.

– Jestem zmęczona.

– Bujać to my. – Napił się kawy.

Omam nie zadławiłam się kawą, gdy dodał: – Rosę powiedziała mi, że wyjechałaś. I co,

odbyłaś ciekawą pogawędkę ze Sparacinem w Nowym Jorku?

– Kiedy Rosę ci powiedziała?

– Nieważne. I nie złość się na swoją sekretarkę – odparł. – Powiedziała tylko, że wyjechałaś. Nie mówiła dokąd, do kogo ani po co. Reszty sam się dowiedziałem.

– Jak?

– Ty mi właśnie powiedziałaś – oświadczył.

Nie zaprzeczyłaś, prawda? No więc, o czym rozmawiałaś ze Sparacinem?

– Powiedział, że rozmawiał z tobą. Może to ty pierwszy powinieneś mi o tym powiedzieć.

– To nic takiego – Marino wyjął papierosa z popielniczki. – Zadzwoił do mnie kiedyś wieczorem. Do domu. Nie wiem, skąd znał moje nazwisko i numer. Domagał się papierów Beryl, a ja nie mam zamiaru mu ich dać. Może i byłbym bardziej chętny do współpracy, ale ten facet to kawał drania. Zaczął wydawać mi rozkazy, zachowywał się jak udzielny książę. Powiedział, że jest egzekutorem jej woli, zaczął mi grozić.

– A ty postąpiłaś bardzo honorowo, odsyłając takiego rekina do mnie – skomentowałam sarkastycznie.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Nie. Nawet o tobie nie wspomniałem.

– Jesteś pewien?

– Jasne, że jestem. Cała nasza rozmowa trwała najwyżej trzy minuty. Twoje nazwisko nawet nie padło.

– A co z maszynopisem, który wymieniłeś w raporcie? Pytał o to?

– Tak – powiedział Marino. – Nie podałem mu żadnych szczegółów, powiedziałem tylko, że wszystkie jej papiery stanowią materiał dowodowy, wyrecytowałem formułkę, że nie jestem upoważniony do omawiania tej sprawy.

– Nie powiedziałaś mu, że znaleziony maszynopis został przekazany do mojego biura? – zapytałam.

– Skądże znowu – spojrzał na mnie zaskoczony. – Po co miałbym mu to mówić? Przecież to nieprawda. Dałem go Venderowi, żeby sprawdził odciski, nawet czekałem, aż to zrobi. Potem zabrałem ze sobą i zaniósłem

do depozytu z innymi jej rzeczami. Jest tam cały czas. – Przerwał na chwilę. – Ale dlaczego pytasz? Co powiedział ci Sparacino?

Wstałam, żeby dolać kawy do filiżanek, a potem opowiedziałam o wszystkim. Kiedy skończyłam, wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem, a w jego wzroku było coś, co mnie zaniepokoiło. Chyba pierwszy raz widziałam go wystraszonego.

– Co zrobisz, jak zadzwoni? – zapytał.

– Mark?

– Nie. Siedem krasnoludków. – Poproszę go o wyjaśnienia. Zapytam, jak może pracować dla Orndorff & Berger, mieszkać w Chicago, skoro nie ma na to żadnych dowodów – czułam coraz większą frustrację. – Nie wiem, spróbuję się dowiedzieć, co tu się naprawdę dzieje.

Marino odwrócił wzrok, widziałam, jak drgały mu szczęki.

Ze złością zapalił kolejnego papierosa.

– I co mam o tym myśleć? Nie widziałas swojego Romea ponad piętnaście lat, nawet z nim nie rozmawiałaś, nie miałaś pojęcia, gdzie się podziewa. I oto nagle zjawia się na twoim progu. Skąd wiesz, co robił przez ten czas? Nic nie wiesz. Wiesz tylko to, co ci mówi...

Oboje poderwaliśmy się na dźwięk telefonu. Odruchowo spojrzałam na zegarek, gdy weszłam do kuchni. Nie było jeszcze dziesiątej. Serce biło mi mocno, gdy podnosiłam słuchawkę.

– Kay?

– Mark? – poczułam ścisnięcie w gardle. – Gdzie jesteś?

– W domu. Wróciłem do Chicago. Właśnie wszedłem...

– Próbowałam cię złapać w Nowym Jorku i w Chicago, w biurze... – wyjąkałam – dzwoniłam jeszcze z lotniska.

Zapadła ciężka cisza.

– Słuchaj, nie mam teraz czasu. Dzwonię tylko, żeby cię przeprosić za sposób, w jaki się to wszystko odbyło, i upewnić się, że dobrze się czujesz. Będę w kontakcie.

– Gdzie jesteś? – powtórzyłam pytanie. – Mark? Mark!

Odpowiedział mi tylko głuchy sygnał.

Rozdział siódmy

Następnego dnia, w niedzielę, nie usłyszałam dźwięku budzika. Przespałam mszę. Przespałam obiad. Gdy w końcu wygramoliłam się z łóżka, czułam się rozbita i rozleniwiona. Nie pamiętałam, co mi się śniło, ale wiedziałam, że nie było to przyjemne.

Telefon zadzwonił chwilę po siódmej wieczorem, kiedy siekałam cebulę i paprykę na omlet, którego i tak nie było mi dane zjeść. Kilka minut później pędziłam ciemną trasą 64 na wschód, raz po raz spoglądając na leżący na desce rozdzielczej świstek, na którym w pośpiechu zanotowałam, jak dojechać do Cutler Grove. Mój umysł pracował jak program komputerowy, który się zapętlił – myśli krążyły wokół jednego tematu, przetwarzając wciąż te same informacje. Cary Harper został zamordowany. Godzinę temu wrócił do domu z gospody w Williamsburgu i gdy wysiadł z samochodu, został zaatakowany. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Morderstwo było bardzo brutalne. Poderżnięto mu gardło, jak Beryl Madison.

Na dworze było ciemno, wiązki świateł z nisko osadzonych reflektorów mojego samochodu odbijały się od mgły i oślepiały mnie. Widoczność była niemal żadna, a trasa, którą tyle razy podróżowałam, nagle wydała mi się obca. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Zdenerwowana zapalałam papierosa, gdy nagle oślepiły mnie światła jakiegoś pojazdu. Ciemny samochód, którego nie mogłam rozpoznać, podjechał niebezpiecznie blisko, a potem stopniowo zostawał w tyle. Cały czas trzymał się ode mnie w jednakowej

odległości, czy przyspieszałam, czy zwalniałam. Wreszcie znalazłam zjazd, którego szukałam, i skręciłam. Tajemniczy samochód jechał za mną.

Bitą drogą, na którą po chwili wjechałam, była nieoznakowana. Światła obcego samochodu nie odrywały się od mojego zderzaka. Moja trzydziestka ósemka została w domu. Miałam przy sobie tylko mały pojemnik z gazem łzawiącym w torbie lekarskiej. Kiedy za zakrętem pojawił się wielki dom i zobaczyłam półokrągły podjazd pełen samochodów i pulsujących świateł, poczułam taką ulgę, że aż szepnęłam „Dzięki ci, Boże”. Zatrzymałam się, samochód, który wciąż siedział mi na ogonie, stanął zaraz za mną. Patrzyłam zaskoczona, jak ze środka wychodzi Marino i stawia kołnierz płaszcz.

– Dobry Boże! – krzyknęłam ze złością. – Nie do wiary!

– Właśnie to chciałem powiedzieć – mruknął, podchodząc do mnie. – Też nie mogę w to uwierzyć – skinął głową w kierunku kręgu świateł otaczających starego białego Rolls-royce’a przed tylnym wejściem do posiadłości. – Cholera! Tylko tyle mogę powiedzieć. Cholera!

Wszędzie roilo się od glin. Ich twarze wydawały się nienaturalnie blade w blasku sztucznych świateł. Silniki głośno warczały, w wilgotnym, mroźnym powietrzu słycać było strzępy zdań z włączonych odbiorników radiowych. Taśma okalająca miejsce zbrodni tworzyła złowieszczy żółty trójkąt.

Jakiś funkcjonariusz w cywilnym ubraniu, czyli w znoszonej skórzanej kurtce brązowego koloru, wyszedł nam naprzeciw.

– Doktor Scarpetta? Jestem detektyw Poteat.

Otworzyłam torbę lekarską, żeby wydobyć paczkę rękawic chirurgicznych i latarkę.

– Nikt nie ruszał ciała – poinformował mnie Poteat. – Zrobiłem dokładnie to, co zalecił doktor Watts.

Doktor Watts był lekarzem ogólnym, jednym z pięciuset podległych mi lekarzy na terenie stanu i jednym z dziesiątki tych, którzy najbardziej zależli mi za skórę. Kiedy policja wezwała go tego wieczora, natychmiast do mnie zadzwonił. Standardowa procedura wymagała poinformowania naczelnego lekarza sądowego w razie podejrzanej lub niespodziewanej śmierci znanej osoby. Dla Wattsa standardową procedurą było również unikanie wszelkich spraw, jakich się dało uniknąć, przekazywanie ich komuś innemu albo ignorowanie, bo nie potrafił zadać sobie trudu, by przebrnąć przez papierkową robotę. Notorycznie nie zgłaszał się na miejsca przestępstw, i tym razem również nie było po nim śladu.

– Przyjechałem tu prawie równocześnie z ekipą – wyjaśniał Poteat. – Dopilnowałem, żeby chłopcy nie zrobili czegoś niepotrzebnego. Nie obracaliśmy go, nie ruszaliśmy odzieży ani niczego. Zgon na miejscu.

– Dziękuję – powiedziałam, nieobecna myślami.

– Wygląda na to, że był bity po głowie, są też rany cięte. Może użyto broni palnej. Wszędzie pełno śrutu. Zaraz pani zobaczy. Nie znaleźliśmy broni. Zdaje się, że przyjechał mniej więcej kwadrans po szóstej, zatrzymał się tu, gdzie teraz, stoi samochód. Wszystko wskazuje na to, że został zaatakowany, jak tylko wysiadł.

Popatrzył na biały samochód ofiary. Teren dookoła zacięniały bukszpany, starsze i wyższe od niego.

– Czy drzwi po stronie kierowcy były otwarte gdyście przyjechali? – spytałam.

– Nie – odparł Poteat. – Kluczyki leżą na ziemi, jakby miał je w ręce, kiedy upadł. Jak już mówiłem, niczego nie ruszaliśmy, czekaliśmy, aż pani przyjedzie albo aż pogoda zmusi nas do dalszych działań. Będzie padać – podniósł wzrok na gęste chmury. – Może nawet śnieg. Nie widać żadnych zniszczeń wewnątrz samochodu, żadnych śladów walki. Przypuszczamy, że

zabójca czekał na niego, prawdopodobnie ukrył się w krzakach. Mogę tylko powiedzieć, że wszystko odbyło się bardzo szybko. Jego siostra w domu nie słyszała wystrzału ani żadnych innych hałasów, tak przynajmniej twierdzi.

Pozostawiłam go z Marinem, a sama zanurkowałam pod taśmę i podeszłam do Rolls-royce'a, odruchowo badając wzrokiem każde miejsce, na które stąpałam. Samochód był ustawiony równolegle do tylnych schodów, niecałe trzy metry od nich, drzwiami kierowcy w stronę domu. Obeszłam charakterystycznie zdobioną maskę, zatrzymałam się i wyjęłam aparat fotograficzny.

Cary Harper leżał na plecach, z głową zaledwie o kilkanaście centymetrów od przedniej opony. Biały błotnik ubrudzony był plamami i strużkami krwi, beżowy, robiony na drutach sweter denata niemal zmienił kolor na czerwony. Niedaleko bioder Harpera leżał pęk kluczy. W blasku sztucznych świateł wszystko, co widziałam, było połyskujące i lepkie od krwi. Jego siwe włosy pokryte krwią, skóra na twarzy i głowie poszarpana od silnego uderzenia tępym narzędziem. Gardło miał przecięte, głowę niemal oddzieloną od szyi. Wszędzie, gdzie skierowałam światło latarki, widać było połyskujące drobiny śrutu niczym malutkie cynowe koraliki. Były ich setki na ciele i wokół niego, kilka nawet na bagażniku samochodu. Ten śrut nie został wystrzelony z broni palnej.

Zrobiłam kilka zdjęć, potem wyjęłam długi termometr chemiczny, który ostrożnie wsunęłam pod sweter zabitego i umieściłam pod jego pachą. Temperatura ciała wynosiła trzydzieści trzy i pięć kresiek, temperatura powietrza minus pół stopnia. Ciało stygło bardzo szybko, tracąc około półtora stopnia na godzinę, gdyż na dworze było mroźno, a Harper nie był tęgi ani grubo ubrany. Niektóre mięśnie zaczęły już sztywnieć. Uznałam, że zgon nastąpił niecałe dwie godziny wcześniej.

Potem zaczęłam szukać wszelkich śladów, które mogłyby ulec zniszczeniu w drodze do kostnicy. Włókna, włosy i inne osady przyklepione do krwi mogły poczekać. Bardziej interesowały mnie wszelkie luźne drobiny. Powoli przeszukiwałam ciało i teren wokół ciała, i oto nagle wąska strużka światła odsłoniła coś ciekawego w pobliżu szyi. Pochyliłam się i ujrzałam mały zielony kawałek czegoś, co wyglądało jak plastelina. W tej masie tkwiło jeszcze kilka kulek śrutu. Ostrożnie wkładałam to do plastikowej torebki, gdy nagle otworzyły się tylne drzwi i znalazłam się oko w oko z przerażoną kobietą stojącą w korytarzu obok policjanta z notesem.

Marino i Poteat podeszli bliżej. Gdy przeszli pod taśmą, dołączył do nich policjant z notesem. Drzwi cicho się zamknęły.

– Czy ktoś z nią zostanie? – zapytałam.

– Tak – odparł policjant z notesem, a z jego ust wydobyła się smużka pary. – Do pani Harper ma przyjechać przyjaciółka, mówi, że nic jej nie będzie. Zostawimy dwie jednostki w pobliżu, żeby facet nie wrócił.

– Czego szukamy? – zwrócił się do mnie Poteat.

Wsunął ręce do kieszeni kurtki i wtulił szyję w ramiona, bo było naprawdę zimno. Zaczynał padać śnieg o płatkach wielkości małych monet.

– Więcej niż jednej broni – odpowiedziałam. – Rany na głowie i twarzy zadano tępym narzędziem – pokazałam palcem w zakrwawionej rękawiczce. – Szyję podcięto niewątpliwie czymś ostrym. A co do śrutu, kulki nie są zdeformowane i nie wydaje się, żeby któraś z nich wbiła się w ciało.

Marino wyglądał na zdumionego widokiem rozsyanego wszędzie śrutu.

– Tak mi się zdawało – powiedział Poteat, kiwając głową. – Nie wygląda na to, żeby ten śrut został wystrzelony, ale pewności mieć nie można. Więc prawdopodobnie nie szukamy broni palnej. Noża i może czegoś w rodzaju łyżki do opon.

– Możliwe, ale niekoniecznie – odparłam. – Na razie mogę tylko stwierdzić, że gardło podcięto mu czymś ostrym, a bity był czymś tępym i podłużnym.

– To może być wiele rzeczy – zauważył Poteat, marszcząc czoło.

– Właśnie.

Chociaż miałam pewne podejrzenia związane ze śrutem, powstrzymałam się od spekulacji na ten temat, pomna na przykre doświadczenia. Uogólnienia często interpretowane są dosłownie. Kiedyś na miejscu zbrodni policjanci zignorowali zakrwawioną igłę tapicerską w salonie ofiary, gdyż powiedziałam, że kształt broni „jest zgodny” z kształtem szpikulca do lodu.

– Można go przenieść – oznajmiłam, zdejmując rękawiczki.

Ciało Harpera owinięto w czyste białe prześcieradło i włożono do worka z suwakiem. Stałam obok Marina i patrzyłam, jak karetka powoli znika w ciemnościach opustoszałej drogi. Nie było już świateł ani syren – transportowanie ciała nie wymaga pośpiechu. Śnieg stawał się coraz gęstszy i szybko zamarzał.

– Jedziesz? – zwrócił się do mnie Marino.

– A co, masz zamiar znowu mnie śledzić? – odparłam bez uśmiechu.

Wpatrywał się w starego rolls-royce’a w mlecznym świetle na końcu podjazdu. Płatki śniegu przy zetknięciu ze żwirem zbroczonym krwią Harpera natychmiast topniały.

– Nie śledziłem cię – powiedział Marino poważnym tonem. – Odebrałem wiadomość przez radio, kiedy już byłem prawie w Richmond...

– Prawie w Richmond? – przerwałam mu. – W drodze skąd?

– Stąd – powiedział, sięgając do kieszeni po kluczyki. – Dowiedziałem się, że Harper regularnie odwiedzał gospodę Culpepera. Postanowiłem go tam wypytać. Spędziłem z nim jakieś pół godziny, aż orzekł, że ma mnie

dość. I wyszedł. Wtedy i ja się wyniosłem, byłem jakieś piętnaście mil przed Richmond, kiedy Poteat kazał dyżurnemu poinformować mnie o tym, co zaszło. Zawróciłem i wtedy poznałem twój wóz, więc trzymałem się blisko ciebie, żebyś nie zabłądziła.

– To znaczy, że dzisiaj rozmawiałeś z Harperem? – spytałam zaskoczona.

– A jakże – powiedział. – Następnie on się ze mną rozstał i jakieś pięć minut później dostał w łeb. – Niespokojny, wstrząśnięty, ruszył w kierunku swojego samochodu. – Pogadam z Poteatem, może się jeszcze czegoś dowiem. Wstąpię do ciebie rano, żeby przejrzeć pocztę, o ile ci to nie przeszkadza.

Patrzyłam, jak odchodził i strząsał śnieg z włosów. Nie było go już widać, gdy obracałam kluczyk w stacyjce plymoutha. Wycieraczki zmiotły cienką warstewkę śniegu, po czym zatrzymały się na środku szyby. Silnik mojego służbowego samochodu zrobił jeszcze jeden wysięk i po chwili był drugim przypadkiem zgonu tej nocy.

Gabinet w domu Harperów był ciepłym, przytulnym pokojem z czerwonymi perskimi dywanami i antykami z najlepszych gatunków drewna. Byłam niemal pewna, że sofa, na której siedziałam, to chippendale, choć nigdy wcześniej nie dotykałam, a tym bardziej nie siedziałam na oryginalnym chippendale'u. Wysoki sufit zdobiły rokokowe sztukaterie, ściany zapełniały książki, w większości oprawione w skórę. Na wprost mnie znajdował się marmurowy kominek, do którego dopiero co dołożono szczap.

Pochyliłam się i wyciągnęłam dłonie w kierunku ognia. W takiej pozycji przyglądałam się olejnemu portretowi wiszącemu nad kominkiem. Przedstawiał piękną młodą dziewczynę w bieli, siedzącą na małej ławeczce.

Miała długie, bardzo jasne włosy, jej dłonie lekko obejmowały srebrną szczotkę do włosów spoczywającą na kolanach. Wyglądała tajemniczo, z półprzymkniętymi powiekami, rozchyłonymi wilgotnymi ustami, w sukni z głęboko wyciętym dekoltem, odsłaniającym porcelanowo biały, jeszcze nieuformowany biust. Zastanawiałam się, czemu ten szczególny portret wisi w tak eksponowanym miejscu, gdy nadeszła siostra Cary'ego Harpera, która zamknęła drzwi równie cicho, jak je otworzyła.

– Pomyślałam, że to panią rozgrzeje – powiedziała, podając mi kieliszek wina.

Postawiła tacę na ławie i usiadła na czerwonej aksamitnej poduszce barokowego krzesła, umieszczając nogi z boku w taki sposób, jakiego młode prawdziwe damy uczone są przez starsze prawdziwe damy.

– Dziękuję – powiedziałam i jeszcze raz przeprosiłam za kłopot.

Akumulator mojego samochodu dokonał już żywota i nawet podłączone przewody niewiele zdołały mi pomóc. Policjanci wezwali pomoc drogową i obiecali podwieźć mnie do Richmond, gdy tylko skończą pracę w terenie. Nie miałam wyboru. Nie mogłam stać na śniegu ani siedzieć godzinę w samochodzie. Zapukałam więc do drzwi panny Harper.

Piła wino i wpatrywała się w ogień. Podobnie jak otaczające ją drogie przedmioty, tak i ona była pięknie „wykończona”. Pomyślałam, że to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałam. Srebrzyste włosy okalały twarz patrycjuszki. Miała wysokie kości policzkowe, delikatne rysy, figurę zgrabną i prężną, odzianą w beżowy sweter z luźnym golfem i sztruksową spódnicę. Gdy patrzyłam na Sterling Harper, słowo „stara panna” zupełnie nie przychodziło mi do głowy.

Milczała. Śnieg tulił się do okien, a w kominach huczał wiatr. Nie chciałabym mieszkać sama w takim domu.

– Ma pani jakąś rodzinę? – zapytałam.

– Wszyscy nie żyją – odpowiedziała.

– Tak mi przykro...

– Proszę o tym nie mówić.

Gdy ponownie uniosła kieliszek, na jej palcu zalśnił pierścionek z dużym szmaragdem. Popatrzyła na mnie. Nie mogłam zapomnieć przerażenia, jakie widziałam w tych oczach, gdy dokonywałam oględzin ciała jej brata, a ona otworzyła drzwi. Teraz była bardzo spokojna.

– Cary nikogo nie słuchał – oświadczyła nagle. – Chyba najbardziej dziwi mnie sposób, w jaki się to stało. Nie spodziewałabym się, że można być tak pewnym siebie, aby czekać na niego pod domem.

– I nic pani nie słyszała?

– Słyszałam, jak podjechał. Potem już nic. Kiedy nie przychodził, otworzyłam drzwi, żeby sprawdzić. Od razu zadzwoniłam na policję.

– Czy oprócz gospody Culpepera odwiedzał też inne miejsca w okolicy?
– spytałam.

– Nie. Bywał tylko u Culpepera – odpowiedziała, odwracając ode mnie wzrok. – Ostrzegałam go, żeby tam nie chodził, mówiłam, że to niebezpieczne w tych czasach. Wie pani, on zawsze nosił gotówkę, a do tego miał zdolność zrażania do siebie ludzi. Nigdy nie siedział tam długo. Godzinę, najwyżej dwie. Mówił, że szuka natchnienia, chce się wtopić w tłum przeciętnych ludzi. Po „Przypartym do muru” nie miał już nic więcej do powiedzenia.

Czytałam tę powieść i pamiętałam tylko wrażenia: gotyckie Południe pełne przemocy, kazirodztwa, rasizmu widziane oczyma młodego pisarza dorastającego na farmie w Wirginii. Wtedy ta książka mnie przygnębiła.

– Mój brat był jednym z tych utalentowanych nieszczęśników, którzy wydają tylko jedno dzieło. Ale cóż, on przeżył tylko to, co musiał przeżyć w młodości. Nie on jeden spośród znanych pisarzy odczuwał niemoc

twórczą – ciągnęła tym samym obojętnym tonem. – Potem był już wypalony, zrezygnowany, rozgoryczony. Jego pisanie było pasmem nieudanych wstępów, które w końcu zawsze wrzucał do ognia i naburmuszony patrzył, jak płoną. Następnie miotał się po domu niczym rozjuszony byk, aż wreszcie zaczynał wszystko od nowa. Nawet nie chcę myśleć, ile lat to trwało.

– Jest pani niezwykle surowa dla brata – zauważyłam cicho.

– Jestem surowa dla siebie samej, pani doktor – powiedziała, gdy nasze spojrzenia się spotkały. – Cary i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Różnimy się tylko tym, że ja nie czuję się w obowiązku analizować tego, czego nie da się zmienić. On natomiast ciągle zastanawiał się nad swoją naturą, przeszłością, tym, co go ukształtowało. Dzięki temu zdobył Nagrodę Pulitzera. Ja zaś postanowiłam nie walczyć z tym, co zawsze było oczywiste.

– To znaczy?

– Ród Harperów jest na wymarciu. Nikt po nas nie zostanie.

Wino było niedrogim krajowym burgundem, wytrawne, z lekką goryczką. Kiedy wreszcie policjanci skończą swoją robotę? Zdawało mi się, że chwilę wcześniej słyszałam stukot dużego samochodu, może pomoc drogowa przyjechała odholować moje auto.

– Pogodziłam się z tym, że celem mojego życia jest opieka nad bratem, świadome skazanie rodziny na wymarcie – mówiła dalej pani Harper. – Będzie mi go brakowało tylko dlatego, że był moim bratem. Nie mam zamiaru opowiadać pani kłamstw o tym, jaki był wspaniały – napiła się jeszcze wina. – Pewnie wydaję się pani pozbawiona uczuć?

„Pozbawiona uczuć” nie było najlepszym określeniem.

– Doceniam pani szczerść – powiedziałam.

– Cary miał wyobraźnię i był wybuchowy. Mnie brak jednego i drugiego i gdyby nie to, nie wytrzymałabym. Na pewno nie mieszkałabym tutaj.

– Mieszkając w tym domu, można się czuć samotnie – powiedziałam.

– To nie samotność mi przeszkadza.

– Więc co? – zainteresowałam się i sięgnęłam po papierosa.

– Może jeszcze wina? – zaproponowała.

Połowa jej twarzy znajdowała się w cieniu.

– Nie, dziękuję.

– Wolałabym, żebyśmy się tu nigdy nie wprowadzali. Ten dom nie przyniósł nam nic dobrego.

– Co pani teraz zrobi? – Jej tępe spojrzenie przeszło mnie dreszczem. – Zostanie tu pani?

– Nie mam dokąd pójść.

– Sprzedanie Cutler Grove nie powinno być trudne – zauważyłam. Moją uwagę znowu przyciągnął portret nad kominkiem. Młoda dziewczyna w bieli uśmiechała się tajemniczo w świetle ognia do swoich skrytych myśli, których nigdy nie wyjawiała.

– Nie przesadza się starych drzew.

– Słucham?

– Jestem za stara na zmiany – wyjaśniła. – Jestem za stara, żeby zacząć dbać o zdrowie i zawierać nowe znajomości. Przeszłość to moje korzenie. To moje życie. Pani jest młoda, pani doktor. Kiedyś sama pani zobaczy, jak to jest patrzeć w przeszłość. Przekona się pani, że nie da się od tego uciec. Przekona się pani, że osobiste przeżycia będą przyciągać do znajomych miejsc, w których, jak na ironię, działo się to wszystko, co przybliżyło panią do rozstania się z życiem. Z czasem smutne chwile wydadzą się bardziej znośne, a ludzie, którzy zawiedli, miłsi. Człowiek rzuca się wtedy

w objęcia bólu, od którego kiedyś uciekał. Tak jest łatwiej. Tylko tak mogę to wyjaśnić. Tak jest łatwiej.

– Czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógł to zrobić pani bratu? – zapytałam wprost, chcąc zmienić temat rozmowy.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w ogień szeroko otwartymi oczami.

– A Beryl? – nie dawałam za wygraną.

– Wiem, że grożono jej przez kilka miesięcy, nim to się stało.

– Kilka miesięcy? Przed jej śmiercią?

– Beryl i ja byliśmy bardzo blisko.

– Wiedziała pani o tych groźbach?

– Tak – powiedziała.

– Ona pani powiedziała, że ktoś jej grozi?

– Oczywiście – odparła.

Marino przeglądał rachunki telefoniczne Beryl. Nie znalazł żadnych rozmów z Williamsburgiem. Nie odkrył też żadnych listów do niej od pani Harper ani od jej brata.

– To znaczy, że przez tyle lat utrzymywała z nią pani bliski kontakt?

– Bardzo bliski – odpowiedziała. – Przynajmniej na ile to było możliwe. Z powodu tej książki, którą pisała, i wyraźnego naruszenia umowy z moim bratem. To wszystko się tak paskudnie pogmatwało. Cary był wściekły.

– Skąd wiedział, co ona robi? Powiedziała mu, nad czym pracuje?

– Jej prawnik to zrobił.

– Sparacino?

– Nie wiem dokładnie, co powiedział Cary’emu – na jej twarzy pojawiła się zawziętość – ale mój brat wiedział o książce Beryl. Wiedział dostatecznie dużo, by poczuć się wyjątkowo rozgoryczonym. Ten prawnik jeszcze zaogniał całą sprawę za ich plecami. Chodził od Beryl do Cary’ego,

tam i z powrotem, zachowywał się jak sprzymierzeniec jednego albo drugiego w zależności od tego, z kim rozmawiał.

– Wie pani, co teraz dzieje się z tą książką? – zapytałam ostrożnie. – Czy Sparacino już ją ma? A może została złożona w wydawnictwie?

– Kilka dni temu zadzwonił do Cary’ego. Podśledziłam strzępki ich rozmowy, dość dużo, by zrozumieć, że maszynopis zniknął. Padła nazwa pani biura. Słyszałam, jak Cary mówił coś o lekarzu sądowym. Przypuszczam, że o pani. I w tym momencie się rozszłościł. Podejrzał, że ten Sparacino próbował wysondować, czy mój brat miał ten tekst

– A mógł mieć?

– Beryl nigdy nie przekazałaby tego Cary’emu – odparła panna Harper z przejęciem. – To nie miałyby sensu, bo on był zdecydowanie przeciwny tej książce.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Potem zapytałam:

– Czego pani brat tak bardzo się bał?

– Życia.

Nie odpowiedziałam. Przyglądałam się jej uważnie. Znowu wpatrywała się w ogień.

– Im bardziej się go bał, tym bardziej przed nim uciekał – powiedziała nieswoim głosem. – Samotność zmienia ludzi. Burzy im umysły, wypacza myśli i poglądy, aż zaczynają się giąć i to pod dziwacznymi kątami. Sądzę, że Beryl była jedyną osobą, jaką mój brat kiedykolwiek kochał. Przyłgnął do niej. Czuł neodpartą potrzebę posiadania jej, związania ze sobą poprzez małżeństwo. Kiedy pomyślał, że nie jest lojalna, że on nie ma już nad nią władzy, jego szaleństwo jeszcze bardziej się rozwinęło. Jestem pewna, że zaczął sobie wyobrażać najróżniejsze bzdury, jakie mogłaby o nim napisać. O naszym życiu tutaj.

Gdy ponownie sięgnęła po wino, jej dłoń drżała. Mówiła o swoim bracie, jakby nie żył od wielu lat. Gdy o nim wspominała, w jej głosie dało się wyczuć granicę, za którą miłość do brata przeplatała się z ciężarem gniewu i bólu.

– Cary i ja zostaliśmy sami, kiedy Beryl odeszła – ciągnęła. – Nasi rodzice nie żyli. Mieliśmy tylko siebie. Cary był trudny. Diabeł, który pisał jak anioł. Potrzebował kogoś, kto by się nim opiekował. Chciałam mu pomóc, bo bardzo pragnął pozostawić po sobie ślad na tym świecie.

– Takim poświęceniom często towarzyszy żal. Milczenie. Blask płomieni migotał na jej pięknie ukształtowanym obliczu.

– Jak znalazła pani Beryl? – zapytałam.

– To ona nas znalazła. Mieszkała wtedy we Fresno z ojcem i macochą. Dużo pisała, miała pasję pisania – panna Harper nie spuszczała wzroku z płomieni. – Pewnego dnia Cary dostał od niej list za pośrednictwem swojego wydawcy. Do listu dołączone było ręcznie napisane opowiadanie. Do dziś dobrze je pamiętam. Było obiecujące... widać było zalążki wyobraźni, talentu, który potrzebował mistrza. Tak zaczęła się korespondencja, a kilka miesięcy później Cary zaprosił ją do nas, posłał jej bilet. Niedługo potem kupił ten dom i zaczął go odnawiać. Robił to dla niej. Uroczą młodą dziewczyną wniosła czar do jego świata.

– A pani? – spytałam.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Szczapy w kominku osunęły się, sypnęły iskrami.

– Różnie to wyglądało po tym, jak zamieszkała tu z nami – powiedziała.

– Widziałam, co działo się między nimi.

– Między pani bratem a Beryl.

– Nie chciałam więzić jej tak, jak on to robił. Wciąż ponawiał próby, by ustawicznie być przy niej, mieć ją tylko dla siebie, i przez to ją stracił.

– Bardzo ją pani kochała.

– Tego się nie da wytłumaczyć – powiedziała z przekonaniem. – To było coś, nad czym trudno zapanować.

Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej.

– Pani brat nie chciał, żeby utrzymywała pani z nią kontakty.

– Zwłaszcza przez kilka ostatnich miesięcy, przez tę książkę. Cary wyklął ją i wyparł się jej. Nie można było o niej mówić w tym domu. Zabronił mi utrzymywania z nią jakichkolwiek kontaktów.

– Ale pani go nie posłuchała.

– W bardzo niewielkim stopniu – przyznała z trudem.

– To musiało być dla pani bolesne. Zostać odcięta od kogoś, kto tyle dla pani znaczył.

Odwróciła ode mnie wzrok, znowu spoglądała w ogień.

– Pani Harper, kiedy dowiedziała się pani o śmierci Beryl?

Nie odpowiedziała.

– Czy ktoś do pani zadzwonił?

– Usłyszałam o tym w radiu następnego dnia rano – wymamrotała.

O Boże, pomyślałam. To okropne.

Nie odezwała się więcej. Jej rany należały do świata, do którego ja nie miałam wstępu, i choćbym bardzo chciała ją pocieszyć, żadne słowa nie były wystarczająco dobre. Siedziałyśmy więc w milczeniu jakiś czas, który zdawał się trwać bardzo długo. Kiedy wreszcie ukradkiem spojrzałam na zegarek, zauważyłam, że zbliża się północ.

W domu było bardzo cicho... zbyt cicho, uświadomiłam sobie nagle.

Po wyjściu z ciepłego gabinetu w przedpokoju poczułam przeraźliwy chłód. Otworzyłam tylne drzwi i zamarłam ze zdumienia. Podjazd pokrywała biała warstwa śniegu, na której ledwo widoczne były ślady opon zostawione przez policjantów. Odjechali beze mnie! Mój samochód został

dawno odholowany, a oni zapomnieli, że ja ciągle jestem w tym domu. A niech to! Niech to diabli!

Kiedy wróciłam do gabinetu, panna Harper dokładała kolejną szczapę do ognia.

– Zdaje się, że mój środek transportu odjechał beze mnie – powiedziałam, świadoma tego, że w moim głosie słychać zdenerwowanie. – Chciałabym skorzystać z telefonu.

– Niestety, to nie będzie możliwe – odpowiedziała beznamiętnie. – Telefony wysiadły niedługo po przybyciu policji. To się zdarza dość często przy złej pogodzie.

Patrzyłam, jak porusza płonące szczapy. Spod drewna wydostawały się smugi dymu, w górę strzelały iskry.

Zapomniałam!

Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

– Pani przyjaciółka... – powiedziałam.

Znowu dźgnęła kłodę drewna.

– Policjanci twierdzili, że miała do pani przyjechać przyjaciółka, żeby zostać z panią na noc...

Panna Harper wyprostowała się powoli i odwróciła głowę w moją stronę. Jej twarz była zaróżowiona od gorąca.

– Tak, pani doktor – powiedziała. – To bardzo miło, że pani przyszła.

Rozdział ósmy

Panna Harper wróciła z winem w chwili, gdy wysoki zegar stojący przy schodach w korytarzu wybił dwanaście uderzeń.

– Ten zegar spóźnia się dziesięć minut – uznała za konieczne wyjaśnić – zawsze tak było.

Telefony faktycznie nie działały. Sprawdziłam. Do miasta trzeba było iść kilka kilometrów przez śnieg, którego warstwa była już całkiem pokaźna. Nie miałam zamiaru stąd się ruszać.

Jej brat nie żył. Beryl nie żyła. Pozostała jedynie ona. Miałam nadzieję, że te zabójstwa to tylko zbieg okoliczności. Zapaliłam papierosa i napiłam się wina.

Panna Harper nie była na tyle silna, żeby móc zabić swojego brata i Beryl. A jeśli zabójca planuje zabić i ją? Co będzie, jeśli tu wróci?

Mój rewolwer został w domu.

Może policja penetruje teren.

Ale jak? Skuterami śnieżnymi?

Nagle zdałam sobie sprawę, że panna Harper coś do mnie mówi.

– Słucham? – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem.

– Chyba pani zimno – powtórzyła.

Na jej twarzy pojawił się niezwykły spokój, gdy usiadła na barokowym krześle i zaczęła wpatrywać się w ogień. Wysokie płomienie szumiały jak łopocząca na wietrze flaga, a sporadyczne podmuchy wyrzucały popiół poza palenisko. Na nią jednak moje towarzystwo zdawało się działać kojąco. Na jej miejscu też nie chciałabym być sama.

- Nie, nie jest mi zimno – skłamałam. Było mi zimno.
- Z chęcią przyniosę pani sweter.
- Proszę nie robić sobie kłopotu. Naprawdę niczego mi nie trzeba.
- Bardzo trudno jest ogrzać ten dom, właściwie to niemożliwe – ciągnęła. – Wysokie stropy. I brak izolacji. Ale człowiek się przyzwyczaja.

Pomyślałam o moim nowoczesnym domu w Richmond z ogrzewaniem gazowym. O moim wielkim łóżku ze sprężystym materacem i elektrycznym kocem. O paczce papierosów w szafce koło lodówki i o dobrej szkockiej w barku. Pomyślałam o zimnej, ponurej ciemności na piętrze domu w Cutler Grove.

- Tu jest mi dobrze, na tej kanapie – powiedziałam.
 - Bzdura. Ogień zaraz zgaśnie – nerwowo obracała w palcach guzik swetra, nie spuszczać wzroku z płomieni.
 - Pani Harper – spróbowałam jeszcze raz. – Nie domyśla się pani, kto mógł to zrobić? Beryl i pani bratu. I dlaczego?
 - Myśli pani, że to ta sama osoba – raczej stwierdziła, niż zapytała.
 - Muszę to brać pod uwagę.
 - Niestety, nie mogę powiedzieć pani nic konkretnego – odpowiedziała.
 - Ale może to i lepiej. Ktokolwiek to jest, co się stało, to się nie odstanie.
 - Nie chce pani, żeby został ukarany?
 - Wymierzono już dosyć kar. To nie cofnie czasu.
 - A Beryl? Nie chciałaby, żeby go schwytano?
- Zwróciła twarz w moją stronę. Jej oczy były szeroko otwarte.
- Szkoda, że jej pani nie znała.
 - Myślę, że znałam. W jakiś sposób czuję się tak, jakbym ją znała – powiedziałam cicho.
 - Nie mogę wyjaśnić...
 - Nie musi pani.

– A mogłoby być tak dobrze...

Przez moment widziałam jej rozpacz, wykrzywioną w smutku twarz, nad którą szybko zapanowała. Nie musiała kończyć tej myśli. Mogłoby być tak dobrze teraz, gdy nie było już nikogo, kto rozdzielałby Beryl i ją. Towarzyszki. Przyjaciółki. Życie jest bardzo puste, gdy jest się samotnym, gdy nie ma kogo kochać.

– Tak mi przykro – powiedziałam miękko. – Bardzo mi przykro.

– Jest połowa listopada – rzekła, odwracając ode mnie wzrok. – Trochę za wcześnie na śnieg. Szybko stopnieje. Przed południem się pani stąd wydostanie. Ci, którzy o pani zapomnieli, do tej pory sobie przypomną. To naprawdę bardzo miło z pani strony, że pani przyszła.

Jakby wcześniej wiedziała, że tu będę. Miałam dziwne uczucie, że w jakiś sposób to wszystko zaplanowała. Oczywiście to nie było możliwe.

– Poproszę panią o jedną rzecz – powiedziała.

– Słucham.

– Proszę przyjechać tu wiosną. W kwietniu. – Patrzyła w ogień.

– Bardzo chętnie.

– Wtedy kwitną niezapominajki. Trawnik będzie od nich błękitny. Jest tak pięknie. To moja ulubiona pora roku. Zrywałyśmy je razem z Beryl. Przyglądała im się pani kiedyś z bliska? Czy jak większość ludzi w ogóle pani o nich nie myśli, bo są takie małe? Są takie piękne, gdy przyjrzeć im się z bliska. Takie piękne, jak by zrobione z porcelany i pomalowane wprawną ręką Boga. Beryl i ja nosiłyśmy je we włosach, wkładałyśmy je w domu do misek z wodą. Musi pani obiecać, że przyjedzie pani w kwietniu. Obiecuje pani, prawda? – zwróciła się w moją stronę, w jej oczach zobaczyłam głęboki ból.

– Tak, oczywiście. Przyjadę – powiedziałam z przekonaniem.

– Co jada pani na śniadanie? – zapytała, podnosząc się z krzesła.

– Nie mam specjalnych życzeń, wystarczy to, co przygotuje pani dla siebie.

– Lodówka jest pełna – dodała ni stąd, ni zowąd. – Proszę wziąć swój kieliszek, zaprowadzę panią do sypialni.

Przesuwała dłonią po pięknie rzeźbionej balustradzie, prowadząc mnie po wspaniałych drewnianych schodach na górę. Nie było tam górnych światel, drogę oświetlały nam kinkiety. Na schodach było wilgotno i zimno jak w piwnicy.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, to ja śpię po drugiej stronie holu, trzy pokoje dalej – powiedziała i wprowadziła mnie do niewielkiej sypialni.

Meble były mahoniowe, z politurą, na ścianach wyłożonych bladoniebieską tapetą wisiało kilka obrazów olejnych przedstawiających kwiaty i jeden z widokiem rzeki. Na łóżku z baldachimem leżał wysoki stos kołder. Otwarte drzwi prowadziły do wyłożonej kafelkami łazienki. Wewnątrz czuć było stęchliznę i kurz, jakby nigdy nie otwierano tu okien i jakby nie miało tu wstępu nic oprócz wspomnień. Na pewno od bardzo wielu lat nikt nie spał w tym pokoju.

– W górnej szufladzie komody jest flanelowa koszula nocna. W łazience są czyste ręczniki i inne przybory – powiedziała panna Harper. – No, to chyba wszystko?

– Tak, dziękuję – uśmiechnęłam się do niej. – Dobranoc.

Zamknęłam drzwi i zasunęłam wążką zasuwkę. Wspomniana koszula nocna była jedyną częścią garderoby w komodzie. Pod nią leżała dawno już zwietrzała saszetka zapachowa. Pozostałe szuflady były puste. Zgodnie z zapowiedzią panny Harper w łazience znalazłam nieodpakowaną szczoteczkę do zębów, małą tubkę pasty, nowe mydło lawendowe i mnóstwo ręczników. Umywalka była sucha jak pieprz, a gdy obróciłam

złote kurki, z kranu popłynęła ciekła rdza. Wieki trwało, zanim woda stała się na tyle czysta i ciepła, bym odważyła się umyć w niej twarz.

Koszula była stara, lecz czysta, w wyblakłym kolorze błękitu, który natychmiast skojarzył mi się z niezapominajkami. Weszłam do łóżka i naciągnęłam wszystkie stęchłe kołdry aż po uszy. Zgasiałam lampkę. Poduszka była tak mocno wypchana, że gdy ugniatałam ją, próbując nadać jej wygodny kształt, czułam ostre pióra. Całkowicie przytomna, zmarznięta, usiadłam w ciemnościach pokoju, o którym byłam przekonana, że niegdyś należał do Beryl, i wypijałam resztkę swojego wina. W domu panował taki spokój, że zdawało mi się, iż słyszę delikatny szum opadających za oknem płatków śniegu.

Nie wiedząc kiedy, zdrzemnęłam się, a gdy podniosłam powieki, serce waliło mi mocno i bałam się poruszyć. Nie pamiętałam, co mi się śniło. W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem i czy to, co słyszę, to jawa czy sen. W łazience ciekła woda z kranu i krople miarowo uderzały o umywalkę. Podłoga w korytarzu ponownie cicho skrzypnęła.

Szybko przebiegłam w myślach najróżniejsze możliwości. Może niska temperatura powoduje skrzypienie drewna. Może myszy. Ktoś powoli schodził do holu. Wytężyłam słuch, wstrzymałam oddech. Za moimi drzwiami rozległ się szelest przesuwanych kapci. To na pewno panna Harper. Szmery wskazywały, że schodziła na dół. Przewracałam się z boku na bok przez jakąś godzinę. Wreszcie zapaliłam lampkę i wyszłam z łóżka. Było wpół do czwartej i wiedziałam, że już nie zasnę. Trzęsąc się z zimna w pożyczonej koszuli, okryłam się płaszczem, otworzyłam drzwi i weszłam do pogrążonego w ciemnościach korytarza. Po chwili rozpoznałam kształt rzeźbionej balustrady na szczycie schodów.

Do chłodnego korytarza przy wejściu przez małe okienka po obu stronach drzwi wpadało słabe światło księżyca. Śnieg już nie padał. Na

niebie widać było gwiazdy. Gałęzie drzew i krzewów pokrywał biały szron. Cicho weszłam do gabinetu, skuszona obietnicą ciepła trzaskających płomieni.

Panna Harper siedziała na kanapie owinięta kocem. Wpatrywała się w ogień. Po jej policzkach spływały łzy, których nawet nie próbowała ścierać. Delikatnie chrząknąwszy, cicho zwróciłam się do niej, by jej nie wystraszyć.

Nie poruszyła się.

– Pani Harper? – powtórzyłam nieco głośniej. – Słyszałam, jak pani schodziła...

Opierała się o wygięte oparcie kanapy i nawet nie mrugnęła, tępo wpatrzona w ogień. Jej głowa opadła bezwładnie, więc szybko usiadłam obok niej i przyłożyłam palce do jej szyi. Była bardzo ciepła, ale nie wyczuwałam pulsu. Natychmiast ściągnęłam ją na podłogę i rozpoczęłam sztuczne oddychanie. Przesuwałam się od jej mostka do ust, w desperackiej próbie, by tchnąć życie w płuca i zmusić serce do bicia. Nie wiem, jak długo to trwało. Kiedy wreszcie się poddałam, miałam zdrtwiałe wargi i zeszywniałe mięśnie pleców i ramion. Trzęsłam się na całym ciele.

Telefony wciąż nie działały. Nie mogłam do nikogo zadzwonić. Nic nie mogłam zrobić. Stałam przy oknie, rozchyliłam zasłony i przez łyzy patrzyłam na tę niewiarygodną biel oświetloną blaskiem księżyca. Dalej była ciemna rzeka, za którą już nic nie było widać. Jakoś udało mi się ułożyć ciało z powrotem na sofie. Delikatnie okryłam je kocem. Ogień w kominku dogasał i dziewczyna na portrecie odchodziła w cień. Śmierć Sterling Harper całkowicie mnie zaskoczyła. Siadłam na dywanie przy sofie i patrzyłam, jak ogień dogasa. Nawet ognia nie potrafiłam utrzymać przy życiu. Właściwie nawet nic próbowałam.

Nie płakałam, kiedy zmarł mój ojciec. Był chory tak długo, że nauczyłam się panować nad emocjami. Większość mojego dzieciństwa spędził w łóżku. Kiedy pewnego wieczora wreszcie zmarł w domu, straszna rozpacz matki wywołała u mnie jeszcze większą obojętność. Z tego pozornie pozbawionego emocji punktu obserwacyjnego opanowałam do perfekcji sztukę oceniania z boku rozpadu mojej rodziny.

Zachowując chłodny dystans, obserwowałam konflikt, jaki zaczął narastać między matką a moją młodszą siostrą, Dorothy, która od urodzenia była nieodpowiedzialna i narcystyczna. Po cichu odsuwałam się od wrzaskliwych rozgrywek i kłótni, szukając własnego życia. Unikając walk w domu, coraz więcej czasu spędzałam po szkole pod opieką siostr szarytek albo w bibliotece, gdzie zaczęłam sobie uświadamiać swoją dojrzałość umysłową i zdawać sobie sprawę z korzyści, jakie może mi ona przynieść. Interesowały mnie nauki ścisłe, a przede wszystkim anatomia. Nie miałam jeszcze piętnastu lat, gdy czytałam „Anatomię” Graya, która stała się *conditio sine qua non* mojego samouctwa i symbolem mojego objawienia. Zamierzałam wyjechać z Miami na studia. W czasach, kiedy kobiety były nauczycielkami, sekretarkami i gospodyniami domowymi, ja chciałam zostać lekarzem.

W liceum byłam prymuską, w wakacje i wolne dni grałam w tenisa i czytałam, a moja rodzina wciąż toczyła boje niczym ranni weterani konfederatów w świecie dawno zdobytym przez Jankesów. Nie interesowały mnie randki i niewielu miałam przyjaciół. Po skończeniu szkoły jako najlepsza w klasie wyjechałam do Cornell na stypendium, potem była Akademia Medyczna Johna Hopkinsa, prawo w Georgetown i znowu Hopkins, żeby zrobić specjalizację z patologii. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co robię. Zawód, który sobie wybrałam, miał już na zawsze przypominać mi o śmierci ojca. Tysiące razy rozbierałam śmierć na

kawałki i składałam z powrotem. Zgłębiałam jej prawa i chodziłam po sądach. Docierałam do jej sedna. Nic jednak nie przywróciło życia mojemu ojcu i obecne we mnie dziecko nigdy nie przestało cierpieć.

Żar w palenisku stopniowo wygasał, a ja raz po raz popadałam w drzemkę.

Kilka godzin później w błękitnym blasku świtu zaczęły pojawiać się zarysy mojego więzienia. Poczułam ból w plecach i nogach, kiedy poderwałam się, żeby podejść do okna. Słońce wyglądało jak blade jajko ponad ciemną rzeką, czarne pnie drzew kontrastowały z białym śniegiem. Palenisko było już zimne, a mnie dręczyły dwa pytania. Czy Sterling Harper zmarłaby, gdyby mnie tu nie było? Wygodnie było jej umrzeć podczas mojej obecności. Po co zeszła do gabinetu? Wyobraziłam ją sobie, jak schodzi po schodach, dokłada do ognia i siada na sofie. Kiedy wpatrywała się w płomienie, jej serce po prostu się zatrzymało. Czy w ostatniej chwili patrzyła na portret?

Włączyłam wszystkie światła. Przysunęłam krzesło blisko kominka, weszłam na nie i zdjęłam intrygujący obraz z gwoździa. Z bliska portret nie wydawał się tak niezwykły, cały efekt rozmył się w subtelnych odcieniach barw i delikatnych ruchach pędzla nanoszących ciężką farbę olejną. Z ram podniósł się kurz, gdy schodziłam z krzesła i kładłam obraz na podłodze. Nie było na nim żadnego podpisu ani daty, obraz z bliska nie wyglądał też na tak stary, jak myślałam. Kolory zostały specjalnie przyciemnione, ale w warstwie farby nie było najmniejszego pęknięcia.

Odwróciłam obraz, żeby uważnie obejrzeć brązowy papier z tyłu. Na środku widniała złota pieczęć z nazwą warsztatu oprawy obrazów w Williamsburgu. Zanotowałam adres i ponownie weszłam na krzesło, by powiesić obraz na swoim miejscu. Potem kucnęłam przed kominkiem i ostrożnie zebrałam pył za pomocą ołówka, który wyjęłam z torby. Na

wierzchu paleniska dostrzegłam dziwną warstwę białego popiołu, który przy najmniejszym poruszaniu unosił się jak pajęczyna. Pod spodem znajdował się kawałek czegoś, co wyglądało jak stopiony plastik.

– Bez obrazy – powiedział Marino, wyjeżdżając z parkingu – ale wyglądasz okropnie.

– Bardzo jesteś miły – wymamrotałam.

– Mówiłem, żebyś się nie obrażała. Chyba się nie wyspałaś.

Kiedy nie pojawiłam się rano, żeby przeprowadzić sekcję Cary’ego Harpera, Marino od razu powiadomił policję w Williamsburgu. Niedługo potem w posiadłości pojawiło się dwóch zmieszanych policjantów, których samochód podzwaniał łańcuchami i zostawiał na delikatnym śniegu głębokie ślady. Po zadaniu mi ponurej rundy pytań o śmierć Sterling Harper jej ciało załadowano do karetki, która odjechała do Richmond, a mnie policjanci skierowali na komendę w Williamsburgu, gdzie posilając się kawą i pączkami czekałam, aż przyjedzie po mnie Marino.

– Ja na pewno bym nie został w tym domu na noc – ciągnął Marino. – Co z tego, że było jedenaście stopni mrozu. Wolałbym odmrozić sobie tyłek niż spędzić noc ze sztywniakiem...

– Wiesz, gdzie jest Princess Street? – przerwałam mu.

– A co? – jego lustrzanki zwróciły się w moją stronę.

Śnieg połyskiwał w słońcu i szybko topniał.

– Ciekawa jestem, co się znajduje na Princess Street 507 – odpowiedziałam takim tonem, jakbym oczekiwała, że mnie tam zawiezie.

Szukane miejsce znajdowało się na skraju starej części miasta, wciśnięte pomiędzy inne drobne sklepiki na Merchants’ Square. Na świeżo zaoranym parkingu był najwyżej tuzin samochodów, wszystkie z dachami pokrytymi śniegiem. Z ulgą zauważyłam, że Galeria-Oprawa Obrazów jest otwarta.

Marino o nic nie pytał. Może wyczuwał, że nie byłam w nastroju do udzielania odpowiedzi. Wewnątrz był tylko jeden klient – młody mężczyzna w czarnym płaszczu grzebiący od niechcienia wśród rycin. Za ladą kobieta z długimi blond włosami robiła coś przy kasie.

– Czym mogę służyć? – zapytała, podnosząc na mnie obojętny wzrok.

– Zależy, jak długo pani tu pracuje – odparłam.

Chłodne, niemal pogardliwe spojrzenie, jakim mnie obrzuciła, uświadomiło mi nagle, że muszę wyglądać okropnie. Spałam w płaszczu. Moje włosy były rozczochrane. Sięgnęłam dłonią, by je choć trochę przygładzić, i wtedy zauważyłam, że zgubiłam jeden kolczyk. Przedstawiłam się tej kobiecie i wytłumaczyłam, o co chodzi, pokazując czarny portfel z moim mosiężnym identyfikatorem.

– Pracuję tu dwa lata – poinformowała mnie.

– Interesuje mnie pewien obraz, który oprawiono tutaj prawdopodobnie wcześniej. Portret, który mógł przynieść Cary Harper.

– O Boże, słyszałam o tym dzisiaj w radiu. O tym, co mu się przydarzyło. To straszne. – Ożywiła się. – Powinna pani porozmawiać z panem Hilgemanem. – Zniknęła na zapleczu, by go sprowadzić.

Pan Hilgeman był dżentelmenem o dystyngowanym wyglądzie, który powitał mnie zdecydowanym stwierdzeniem.

– Cary Harper całe lata nie bywał w tym sklepie i nikt go tu dobrze nie znał, przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo.

– Panie Hilgeman – powiedziałam. – W gabinecie Cary’ego Harpera nad kominkiem wisi portret dziewczynki z jasnymi włosami. Oprawiono go w pańskim sklepie, możliwe, że wiele lat temu. Czy pamięta pan ten obraz?

W szarych oczach patrzących na mnie sponad okularów nie widać było najmniejszego śladu, że ich właściciel coś sobie przypomniał.

– Wygląda na bardzo stary – wyjaśniłam. – Dobra imitacja, ale dość niezwykle potraktowanie tematu. Dziewczynka ma dziewięć, dziesięć, najwyżej dwanaście lat, ale ubrana jest jak młoda kobieta, na biało. Siedzi na ławeczce i trzyma srebrną szczotkę do włosów.

Żałowałam, że nie sfotografowałam tego portretu. W torbie lekarskiej miałam przecież polaroida, ale ta myśl w ogóle nie przyszła mi do głowy. Za bardzo byłam przejęta innymi rzeczami.

– Wie pani – powiedział pan Hilgeman z błyskiem w oku – chyba przypominam sobie ten obraz. Bardzo ładna dziewczyna, ale niezwykła. Tak. Dość sugestywna, jak pamiętam.

Nie ponaglałam go.

– Będzie pewnie jakieś piętnaście lat... zaraz... – przyłożył palec wskazujący do ust. – Nie. – potrząsnął głową – to nie ja.

– Nie pan? Co nie pan – zainteresowałam się.

– Nie ja oprawiałem ten obraz. To musiała być Klara. Moja asystentka, która wtedy tu pracowała. Sądzę... właściwie jestem pewien... że to Klara oprawiała ten obraz. Dość droga robota i tak naprawdę nie bardzo tego warta, jeśli już chce pani wiedzieć. Ten obraz nie był najlepszy. Właściwie – dodał, marszcząc czoło – to jedna z najmniej udanych jej prac...

– Jej? – przerwałam mu. – Ma pan na myśli Klarę?

– Mówię o Sterling Harper – spojrzał na mnie podejrzliwie. – To ona jest malarką – zamyślił się chwilę, po czym ciągnął. – To było dość dawno... wtedy dużo malowała. Miała pracownię w domu, jak sądzę. Oczywiście, nigdy tam nie byłem. Ale przynosiła wiele swoich prac, głównie martwe natury i pejzaże. Ten obraz, o którym pani mówi, to jedyny portret, jaki pamiętam.

– Jak dawno temu go namalowała? – Co najmniej piętnaście lat, jak już mówiłem.

– Czy ktoś do niego pozował?

– Przypuszczam, że mogła to zrobić z fotografii – zmarszczył czoło. – W zasadzie nie umiem pani odpowiedzieć. Ale jeśli ktoś jej pozował, nie wiem, kto to mógł być.

Nie okazałam zdumienia. Beryl miała wtedy szesnaście albo siedemnaście lat i mieszkała w Cutler Grove. Czy to możliwe, że pan Hilgeman i inni mieszkańcy miasteczka nic o niej nie wiedzieli?

– To przykre – zadumał się. – Tacy utalentowani, inteligentni ludzie. Zupełnie bez rodziny, bez dzieci.

– A przyjaciele? Mieli jakichś przyjaciół? – zapytałam.

– Naprawdę nie znałem nikogo z nich osobiście – odparł.

I nigdy już pan nie pozna – pomyślałam ponuro.

Kiedy wróciłam na parking, Marino wycierał irchą przednią szybę. Stopniały śnieg i sól, którą posypane były drogi, upaprały mu piękny czarny samochód. Nie wyglądał na zadowolonego. Na chodniku pod drzwiami kierowcy leżała garść niedopałków, które Marino bezceremonialnie wyrzucił z popielniczki.

– Dwie rzeczy – zaczęłam bardzo poważnie, gdy pozapinaliśmy pasy. – W gabinecie posiadłości wisi portret młodej blondynki, który najwyraźniej panna Harper oprawiła w tym sklepie jakieś piętnaście lat temu.

– Beryl Madison? – Wydobył zapalniczkę.

– Bardzo możliwe, że to jej portret, ale jeśli tak, to jest na nim o wiele młodsza, niż była, gdy poznała Harperów. I potraktowanie tematu jest dość szczególne. Taka Lolita...

– Co?

– Seksowna – odpowiedziałam wprost – mała dziewczynka przedstawiona tak, że wygląda zmysłowo.

– No, no. I teraz pewnie mi powiesz, że Cary Harper był pedofilem.

– Po pierwsze, to jego siostra namalowała ten portret.

– Cholera!

– Po drugie – ciągnęłam – odniosłam nieodparte wrażenie, że właściciel galerii nie ma pojęcia, iż Beryl kiedykolwiek mieszkała z Harperami. To nasuwa pytanie, czy inni wiedzą. A jeśli nie, to jak to możliwe. Przecież mieszkała tam całe lata. To tylko kilka kilometrów od miasta. A to jest małe miasteczko.

Zajęty prowadzeniem samochodu, wpatrywał się przed siebie i nie odzywał ani słowem.

– To wszystko tylko domysły – podsumowałam. – Harperowie odsuwali się od ludzi. Może Cary Harper starał się ukryć Beryl przed światem. Jakkolwiek było, cała ta sytuacja nie wygląda normalnie. Ale to może nie mieć nic wspólnego z ich zgonami.

– Do diabła – powiedział krótko – normalne to nie było. Odludki czy nie, to podejrzane, że nikt nic o niej nie wiedział. Chyba że ją zamknęli albo przykuli do łóżka. Cholernicy. Nienawidzę perwersji. Nie znoszę takich, co czepiają się dzieci – znowu popatrzył na mnie. – Naprawdę takich nie cierpię. Znowu mam to przeczucie.

– Jakie przeczucie?

– Że nasz szanowny pan Nagroda Pulitzera uśmiercił Beryl. Zamierzała wszystko wyjawić w swojej książce, więc się wystraszył, przyszedł do niej i wyciągnął nóż.

– A kto zabił jego? – spytałam.

– Może jego zwariowana siostrzyczka. Ktoś, kto zabił Cary’ego Harpera, miał krzepę, by zadać tak silne ciosy, że Harper niemal od razu stracił przytomność. Podcięcie ofierze gardła nie pasowało do kobiety. W każdym razie nigdy dotąd nie miałam do czynienia z przypadkiem, żeby kobieta zrobiła coś takiego. Po długim milczeniu Marino zapytał.

- Czy panna Harper wydała ci się w jakiś sposób nienormalna?
 - Raczej ekscentryczna. Ale nie nienormalna.
 - Szalona?
 - Nie.
 - Z tego, jak to przedstawiłaś, nie wydaje mi się, żeby jej reakcja na śmierć brata była odpowiednia.
 - Była w szoku. Ludzie w szoku na nic nie reagują odpowiednio.
 - Myślisz, że to było samobójstwo?
 - To na pewno możliwe – odparłam.
 - Znaleźliście jakieś lekarstwa?
 - Trochę gotowych, żadne z nich nie mogło by spowodować śmierci.
 - Żadnych ran?
 - Żadnych nie zauważyłam.
 - Czyli nie wiesz, co ją, u diabła, zabiło? – zapytał, patrząc na mnie surowo.
 - Nie – odpowiedziałam. – Na razie nie mam najmniejszego pojęcia.
 - Rozumiem, że jedziesz z powrotem do Cutler Grove – zwróciłam się do Marina, gdy zaparkował za budynkiem Zakładu Medycyny Sądowej.
 - Już się nie mogę doczekać – mruknął. – A ty idź do domu i prześpij się porządnie.
 - Nie zapomnij o maszynie do pisania Harpera.
- Marino wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki.
- Interesuje mnie marka, model i wszelkie zużyte taśmy – przypomniałam mu.
- Zapalił papierosa.
- I jeśli znajdziesz jakiś papier maszynowy. Najlepiej, gdybyś sam zebrał popiół z kominka. Przechowanie tych pyłów będzie niezwykle trudne...

– Nie obraż się, ale zaczynasz mówić jak moja matka.

– Marino – warknęłam – mówię poważnie.

– No tak, w porządku... musisz się dobrze wyspać.

Był tak samo zdenerwowany jak ja i prawdopodobnie również potrzebował snu.

Parking był pusty i zamknięty, na betonie widać było kolorowe plamy oleju. W kostnicy słyszałam monotony szum generatorów, którego nie zauważałam w godzinach pracy.

Ich ciała leżały obok siebie przy ścianie po lewej. Może to ze zmęczenia, ale gdy odsunęłam prześcieradło z ciała Sterling Harper, poczułam słabość w kolanach i upuściłam torbę lekarską na podłogę. Przypomniałam sobie jej piękną twarz, strach w oczach, kiedy wyjrzała przez tylne drzwi, gdy zakrwawionymi dłońmi dokonywałam oględzin ciała jej brata. Brat i siostra byli obecni. Tylko tyle chciałam wiedzieć. Przykryłam ją delikatnie. Jej twarz była teraz tak pusta jak gumowa maska. Wokół widziałam oznakowane nagie stopy.

Gdy wchodziłam do kostnicy, pod półką z ciałem Sterling Harper kątem oka zauważyłam żółte pudełko po filmie. Jednak dopiero, gdy schyliłam się, żeby podnieść torbę, przyjrzałam mu się i zdałam sobie sprawę ze znaczenia tego odkrycia. Kodak 35 mm, 24 klatki. Moje biuro miało kontrakt na używanie filmów Fuji i zawsze zamawialiśmy filmy z 36 klatkami. Pielęgniarze, którzy transportowali ciało panny Harper, byli tu wiele godzin temu i na pewno nie robili żadnych zdjęć.

Wyszłam do korytarza. Moją uwagę przyciągnęło światło nad windą. Zauważyłam, że winda stoi na trzecim piętrze. Ktoś jeszcze był w budynku! Prawdopodobnie to tylko strażnik. Nagle pomyślałam o pustym pudełku po filmie. Mocno ścisnąwszy torbę lekarską, ruszyłam na schody. Na pierwszym piętrze powoli otworzyłam drzwi i uważnie nasłuchiwałam,

zanim weszłam do korytarza. Biura we wschodnim skrzydle były puste, światła pogaszone. Skierowałam się od razu do głównego holu. Minęłam pustą salę wykładową, bibliotekę i biuro Fieldinga. Nikogo nie widziałam ani nie słyszałam. Tak dla pewności postanowiłam wrócić do swojego gabinetu i wezwać ochronę.

Gdy go zobaczyłam, przestałam oddychać. Na straszliwą chwilę mój umysł odmówił posłuszeństwa. Intruz sprawnie i cicho przeglądał kartoteki. Postawiony kołnierz granatowej kurtki zasłaniał mu uszy, zza ciemnych okularów nie było widać oczu, na dłoniach miał rękawice chirurgiczne. Na muskularnym barku zauważyłam skórzany pasek od aparatu fotograficznego. Mężczyzna był mocno zbudowany i wyglądał na silnego. Nie było sposobu, bym dostatecznie szybko usunęła się z widoku. Dłonie w rękawiczkach nagle zamarły.

W pierwszym odruchu zamachnęłam się torbą, jakbym wykonywała rzut młotem. Uderzenie między nogi było tak silne, że z twarzy mężczyzny zsunęły się ciemne okulary. Zgiął się z bólu i pochylił do przodu, tracąc równowagę na tyle, że gdy podstawiłam mu nogę, runął jak długi. Twardy aparat fotograficzny znalazł się między jego żebrami a podłogą.

Nerwowo rozgrzebując zawartość torby, szukałam pojemniczka z gazem łzawiącym, który zawsze miałam przy sobie. Gdy strumień gazu dosięgnął jego twarzy, mężczyzna ryknął. Drapał się po oczach, wił i krzyczał, gdy ja wzywałam telefonicznie pomoc. Jeszcze raz prysnęłam mu w twarz gazem przed samym wejściem strażnika. Potem zjawiła się policja. Cały ten czas, gdy policjant wyginał mu ręce do tyłu, zakładał kajdanki i przeszukiwał go, ogarnięty histerią włamywacz jęczał i błagałby go zabrano do szpitala.

Z jego prawa jazdy wynikało, że nazywa się Jeb Price, ma trzydzieści cztery lata, mieszka w Waszyngtonie. Z tyłu za sztruksowe spodnie miał

wsunięty automatyczny Smith & Wesson 9 mm z czternastoma nabojami w magazynku i jednym w komorze.

Nie pamiętam, jak udałam się do biura kostnicy i wzięłam klucze do drugiego służbowego samochodu. Musiałam to jednak zrobić, bo wieczorem parkowałam granatowe kombi przed swoim domem. Samochód, którym zwykle przewożono ciała, był dla mnie za duży. Okno z tyłu było dyskretnie zasłonięte, a rozkładana podłoga z płyty wymagała czyszczenia kilka razy w tygodniu. Było to skrzyżowanie kombi z karawanem pogrzebowym i według mnie tylko ciężarówką trudniej jest parkować.

Niczym duch weszłam od razu na górę, nawet nie odsłuchawszy nagrań na sekretarce ani jej nie wyłączywszy. Czułam ból w prawym łokciu i ramieniu. Bolały mnie kości dłoni. Położyłam ubranie na krześle, wzięłam gorącą kąpiel i wreszcie opadłam na łóżko. Głęboki, mocny sen. Tak mocny, że był jak umieranie. Ciężka ciemność, przez którą usiłowałam przepłynąć. Moje ciało było jak z ołowiu, kiedy dzwonek telefonu przy łóżku urwał się nagle i włączyła się automatyczna sekretarka.

– ...Nie wiem, kiedy będę mógł zadzwonić, więc słuchaj. Proszę, posłuchaj, Kay. Słyszałem o Carym Harperze...

Serce waliło mi jak młotem, gdy otwierałam oczy, wyciągana z otępienia przez niespokojny głos Marka.

– ...Proszę, trzymaj się od tego z daleka. Nie mieszaj się w to. Proszę. Zadzwonię do ciebie, jak tylko będę mógł...

Gdy sięgnęłam po słuchawkę, usłyszałam tylko sygnał. Odsłuchałam jeszcze raz tę wiadomość i rzuciłam się na poduszki, nie mogąc powstrzymać łez.

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia rano Marino pojawił się w kostnicy, gdy przeprowadzałam sekcję zwłok Cary'ego Harpera.

Odsunęłam mostek i z czeluści klatki piersiowej wydobyłam grupę organów. Marino przyglądał się temu w milczeniu. Głośno kapały do zlewu krople wody, pobrzękiwały instrumenty chirurgiczne i słychać było chrobot długiego ostrza pocieranego o kamień, gdyż jeden z moich asystentów ostrzył nóż. Mieliśmy tego dnia cztery ciała i wszystkie stoły były zajęte.

Skoro Marino nie kwapił się do podjęcia tematu, ja zaczęłam rozmowę.

– Czego dowiedziałeś się o tym włamywaczu?

– Sprawdzenie papierów nie przyniosło żadnych rewelacji – odparł niespokojny, unikając mojego wzroku. – Żadnych upomnień, nakazów, nic. Nie chce też śpiewać. Gdyby śpiewał, pewnie byłby to sopran po tym, jak go potraktowałaś. Idąc tu, wstąpiłem do tych z wywiadu. Wywołują film z jego aparatu. Jak tylko skończą, przyniosę odbitki.

– Rzuciłeś na to okiem?

– Na negatywy.

– No i?

– Zdjęcia zrobione w chłodni. Ciała Harperów.

Tego się spodziewałam.

– Nie przypuszczam, żeby był reporterem jakiegoś brukowca – skomentowałam.

– Śnij dalej.

Podniosłam wzrok sponad tego, co robiłam. Marino nie był w nastroju do żartów. Wyglądał gorzej niż zwykle: dwa razy zaciął się przy goleniu, oczy miał nabiegłe krwią.

– Większość znanych mi reporterów nie używa glaserów – powiedział. – Najczęściej skomla, gdy się ich przyciśnie i proszą o monetę, żeby zadzwonić do radcy prawnego swojej gazety. Ten facet to nie zwykły podglądacz, ale zawodowiec. Musiał otworzyć drzwi wytrychem, żeby się tam dostać. Robi to w poniedziałek po południu, kiedy jest święto państwowe i nikogo nie powinno być w budynku. Znaleźliśmy jego wóz zaparkowany jakieś trzy ulice dalej. To wynajęty samochód z telefonem komórkowym. W bagażniku ma tyle amunicji, że mógłby zaopatrzyć małą armię, do tego pistolet maszynowy i kamizelkę kuloodporną. Reporterem to on nie jest.

– Nie byłabym też taka pewna, że jest zawodowcem – oznajmiłam, wymieniając ostrze skalpela. Zostawienie pustego pudełka w chłodni nie było zbyt profesjonalne. A gdyby naprawdę chciał rozegrać to tak bezpiecznie, powinien włamać się o drugiej czy trzeciej nad ranem, a nie w biały dzień.

– Masz rację. To pudełko było błędem – zgodził się Marino. – Ale rozumiem, dlaczego włamał się właśnie wtedy. Załóżmy, że firma pogrzebowa zjawia się z jakimś ciałem, gdy Price jest w chłodni. W środku dnia łatwiej mu udawać, że tu pracuje, że ma prawo tu być. A gdyby ktoś go tam zastał o drugiej w nocy, w żaden sposób nie mógłby się wytłumaczyć.

Jakkolwiek było, pomyślałam, Jeb Price był tu w interesach. Pociski glaser safety to jedne z najgorszych – naboje wypchane są drobnym śrutem, który przy zetknięciu z celem rozpryskuje się i rozdziera ciało i organy niczym ołowiane gradobicie. Pistolety maszynowe Mac Ten to ulubione

narzędzie terrorystów i bosów narkotykowych, bardzo popularne w Ameryce Środkowej, na Bliskim Wschodzie i w moim rodzinnym Miami.

– Może powinnaś założyć zamek na chłodni – dodał Marino.

– Informowałam już Wydział Administracji – powiedziałam.

Było to zabezpieczenie, z którym zwlekałam od lat. Firmy pogrzebowe i nasi pracownicy musieli mieć dostęp do chłodni po godzinach pracy. Trzeba by też dać klucze strażnikom i podległym mi lekarzom sądowym. Pojawilyby się protesty i co za tym idzie problemy. Niech to, miałam już dosyć problemów!

Marino zainteresował się ciałem Harpera. Nie trzeba było robić sekcji ani być geniuszem, żeby stwierdzić przyczynę zgonu.

– Liczne pęknięcia czaszki i rany mózgu – wyjaśniłam.

– Gardło zostało podcięte na końcu, jak u Beryl?

– Żyły i tętnice szyjne są przecięte, ale jego organy nie są szczególnie blade. Wykrwawilby się szybko, gdyby było ciśnienie krwi. To znaczy, nie wykrwawil się na śmierć. Zmarł już lub właśnie umierał z powodu ran głowy, kiedy podcięto mu gardło.

– Jakies ślady, że się bronił? – zapytał Marino.

– Żadnych – odłożyłam skalpel, żeby mu pokazać palce Harpera, które siłą musiałam odginać. – Nie ma złamanych paznokci, ran ani siniaków. Nie próbował odpierać ciosów.

– Nawet nie wiedział, czym go bito – skomentował Marino. – Przyjechał, gdy już było ciemno. Ten gość czekał na niego schowany pewnie gdzieś w krzakach. Harper parkuje, wychodzi ze swojego rollsa. Zamyka drzwi, kiedy tamten staje za nim i uderza go w tył głowy...

– Dwudziestoprocentowe zwężenie naczyń – myślałam na głos, szukając ołówka.

– Harper upada, ten drań jeszcze go bije – ciągnął Marino.

– Trzydzieści procent prawej tętnicy wieńcowej – notowałam na pustym opakowaniu z rękawic. – Brak śladów przebytych zawałów. Serce zdrowe, ale nieznacznie powiększone, zwapnienie aorty, umiarkowane zmiany miażdżycowe.

– Potem podrzyna Harperowi gardło. Prawdopodobnie, żeby mieć pewność, że go zabił.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Ten, kto to zrobił, chciał mieć pewność, że Harper nie żyje – zakończył Marino.

– Nie wiem, czy można przypisywać napastnikowi tak logiczne myślenie – odpowiedziałam.

– Spójrz na niego – odsunęłam skalpel od czaszki, która była potraskana jak skorupka jajka na twardo. Pokazując linie pęknięć, wyjaśniłam.

– Został uderzony co najmniej siedem razy z taką siłą, że każde z uderzeń mogło spowodować śmierć. Potem jeszcze podcięte gardło. To już o wiele za dużo. Tak jak w przypadku Beryl.

– W porządku. Za dużo. Nie przeczę – odparł.

– Twierdzą tylko, że zabójca chciał mieć pewność, że zabił Beryl i Harpera. Jak komuś niemal odetniesz głowę, to odchodząc, możesz mieć pewność, że nie zostanie on uratowany i nikomu o tym nie opowie.

Marino wykrzywił się nieco, gdy zaczęłam opróżniać zawartość żołądka.

– Nie trudź się. Mogę ci powiedzieć, co jadł, bo siedział obok. Piwo, orzeszki i dwa razy martini – powiedział.

Orzeszki ledwie zaczęły opuszczać żołądek Harpera, gdy nastąpił zgon. W żołądku był tylko brązowy płyn i czułam zapach alkoholu.

Zapytałam Marina:

– Czego się od niego dowiedziałeś?

– Niczego.

Spojrzałam na niego, przyklejając etykietkę do pojemnika z zawartością żołądka.

– Siedzę sobie w gospodzie, popijam tonik z cytryną. Harper przyszedł dokładnie o piątej.

– Skąd wiedziałeś, że to on? – Nerki miały prawidłową strukturę. Położyłam je na wadze i zapisałam ciężar.

– Z tą grzywą siwych włosów raczej się wyróżniał. Pasował do opisu Poteata. Jak tylko wszedł, wiedziałem, że to on. Zajmuje pusty stolik i do nikogo się nie odzywa, po prostu zamawia „to co zwykle” i czekając, je orzeszki. Chwilę go obserwuję, potem podchodzę, odsuwam krzesło i się przedstawiam. On mówi, że nie ma mi nic do powiedzenia, i nie chce rozmawiać. Naciskam go, mówię, że Beryl grożono od miesiący, pytam, czy on coś o tym wiedział. Wygląda na poruszonego, mówi, że nie wiedział.

– Myślisz, że mówił prawdę? – Zastanawiałam się jednocześnie, jak było naprawdę z piciem Harpera. Jego wątroba miała dużą zawartość tłuszczu.

– Nie wiem – powiedział Marino, strzepując popiół z papierosa na podłogę. – Potem pytam go, gdzie był tej nocy, gdy Beryl została zabita, a on mi odpowiada, że był w gospodzie o zwykłej porze, a potem pojechał do domu. Na pytanie, czy jego siostra może to potwierdzić, odpowiedział, że nie było jej w domu.

Podniosłam wzrok zaskoczona, skalpel zawisł w powietrzu. – Gdzie była?

– Poza miastem – odpowiedział.

– Nie powiedział ci gdzie?

– Nie. Powiedział, cytując: „To jej sprawa. Pytajcie jej, nie mnie” – Marino patrzył pogardliwie na te części wątroby, które cięłam. – Moją

ulubioną potrawą była wątróbka z cebulką. Uwierzyłybyś? Nie znam ani jednego gliniarza, który po obejrzeniu sekcji nadal jadłby wątróbkę...

Gdy zaczęłam pracować nad głową, dźwięk piły zagłuszył słowa Marina. Marino poddał się i odsunął trochę, gdy w powietrzu zaczął unosić się pył kości. Nawet gdy ciała są w dobrym stanie, podczas sekcji wydzielają niemiłą woń. Doznania wzrokowe również nie należą do przyjemnych. Musiałam traktować Marina ulgowo. Choćby nie wiem jak okropny był przypadek, zawsze przychodził do kostnicy.

Mózg Harpera był miękki, z licznymi ranami ciętymi. Był tam niewielki krwotok, co potwierdzało, że Harper nie żył długo po odniesieniu obrażeń. Przynajmniej śmierć okazała mu miłosierdzie i nadeszła szybko. W przeciwieństwie do Beryl Harper nie miał czasu, żeby poczuć strach czy ból ani żeby błagać o litość. To morderstwo różniło się od zabójstwa Beryl również pod kilkoma innymi względami. Nie otrzymywał pogroźek – przynajmniej nic nam o tym nie było wiadomo. Trudno się też dopatrzeć podtekstu seksualnego. Został pobity, a niezadźgany na śmierć, nie brakowało też żadnej części z jego odzieży.

– W portfelu miał sto sześćdziesiąt osiem dolarów – zwróciłam się do Marina. – Jest też jego zegarek i sygnet.

– A naszyjnik? – zapytał.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Miał na sobie gruby złoty łańcuch z jakimś medalikiem, taką płytką, coś jak herb – wyjaśnił. – Zauważyłem to w gospodzie.

– Nie przywieziono tego z nim i nie pamiętam, żebym widziała na nim coś takiego tam, na miejscu zbrodni... – już chciałam powiedzieć „wczoraj wieczorem”. Ale to nie było wczoraj. Harper zginął w niedzielę wieczorem. Był już wtorek. Zupełnie straciłam poczucie czasu. Ostatnie dwa dni

wydawały się zupełnie nierealne i gdybym rano nie odsłuchiwała wiadomości od Marka, jego telefon też uznałabym za złudzenie.

– To może ten drań go zabrał. Kolejna pamiątka.

– To bez sensu – odparłam. – Mogę zrozumieć, że morderca zabrał pamiątkę w przypadku Beryl, jeśli jej morderstwo jest dziełem szaleńca, który miał obsesję na jej punkcie. Ale po co zabierać coś Harperowi?

– Może to trofea – zasugerował Marino. – Łuski z polowania. Może to jakiś płatny zabójca, który zbiera pamiątki z wykonanych zadań.

– Płatny zabójca byłby bardziej ostrożny.

– No tak, ty tak sądzisz. Tak jak uważasz, że Jeb Price powinien być bardziej ostrożny i nie zostawiać opakowania po filmie w chłodni – powiedział z sarkazmem.

Zdjęłam rękawiczki i skończyłam podpisywanie pojemników ze wszystkim, co pobrałam. Zebrałam swoje papiery i przeszłam na górę do gabinetu. Marino podążał za mną.

Rose zostawiła popołudniową gazetę na mojej książce sprawozdań. Morderstwo Harpera i nagła śmierć jego siostry opisywane były na pierwszej stronie. Jeden z tytułów od razu zepsuł mi humor:

NACZELNY LEKARZ SĄDOWY OSKARŻONY O „ZAGUBIENIE”
KONTROWERSYJNEGO MASZYNOPISU.

Gazeta wydana była w Nowym Jorku, przez Associated Press. Dalej była mowa o tym, jak to poprzedniego dnia po południu „unieszkodliwiłam” mężczyznę o imieniu Jeb Price, którego przyłapałam na przeszukiwaniu mojego biura. Zarzuty dotyczące maszynopisu musiały pochodzić od Sparacina, pomyślałam ze złością. Informacje o włamywaczu zostały chyba

zaczepnięte z raportu policyjnego. Przeglądając pocztę, zorientowałam się, że większość wiadomości jest od dziennikarzy.

– Sprawdzaliście dyskietki w jej komputerze? – zapytałam, podając gazetę Marinowi.

– O tak – powiedział. – Przejrzałem je.

– I nie znaleźliście tej książki, o którą wszyscy się tak rozbijają?

Błądząc wzrokiem po pierwszej stronie gazety, Marino wymamrotał:

– Nie.

– Tam jej nie ma! – wybuchnęłam. – Na dyskietkach jej nie ma! Jak to możliwe, skoro pisała ją na swoim komputerze?

– Nie zadawaj mi takich pytań – odparł. – Mówię ci tylko, że przejrzałem z tuzin dyskietek. Nie ma na nich nic świeżego. Same starocie, no wiesz, te jej powieści. Nic o niej samej ani o Harperze. Znalazłem kilka jej listów, w tym dwa urzędowe do Sparacina. Nic ciekawego.

– Może umieściła te dyskietki gdzieś w bezpiecznym miejscu, zanim wyjechała do Key West.

– Może. Ale myśmy ich nie znaleźli.

W tym momencie wszedł Fielding. Nieproporcjonalnie długie ręce wystawały z krótkich rękawów zielonego stroju chirurgicznego, muskularne dłonie pokrywała cienka warstwa talku, co świadczyło o tym, że przed chwilą miał na sobie lateksowe rękawice. Fielding sam w sobie był swoistym dziełem sztuki. Bóg jeden wie, ile godzin w tygodniu spędzał na rzeźbieniu swojego ciała w jakiejś siłowni. Miałam własną teorię, że jego zainteresowanie kulturystyką było odwrotnie proporcjonalne do zainteresowania wykonywanym zawodem. Kompetentny zastępca naczelnego lekarza sądowego pełnił tę funkcję niecały rok i już widać było, że ma dość. Im więcej przeżywał rozczarowań, tym stawał się większy. Dawałam mu jeszcze jakieś dwa lata, nim usunie się w czystszy i bardziej

dochodowy świat patologii klinicznej lub zostanie na zawsze Niewiarygodnym Cielskiem.

– Będę musiał wstrzymać się ze Sterling Harper – powiedział niespokojnie, stając przy krawędzi mojego biurka. – Poziom alkoholu tylko zero trzy promila, zawartość żołądka niewiele mi mówi. Nie ma krwawienia, nie ma niezwykłych zapachów. Serce w porządku, żadnych śladów przebytych zawałów, naczynia wieńcowe czyste. Mózg w normie. Ale coś się z nią dzieje. Wątroba jest powiększona, jakieś 2500 gramów, śledziona waży około kilograma z pogrubieniem torebki. I jeszcze coś dziwnego z węzłami limfatycznymi.

– Jakież przerzuty?

– W sumie nic.

– Pogoń tych w laboratorium – powiedziałam.

Fielding skinął głową i szybko wyszedł.

Marino spoglądał na mnie pytająco.

– To może być wiele rzeczy – wyjaśniłam – białaczka, chłoniak albo którakolwiek z wielu kolagenoz... niektóre z nich są łagodne, a niektóre nie. Śledziona i węzły limfatyczne reagują jako elementy systemu immunologicznego... to znaczy śledziona niemal zawsze jest powiązana z chorobami układu krwionośnego. A co do powiększonej wątroby, to nie bardzo może nam pomóc w diagnozie. Nie będę nic wiedziała, dopóki nie obejrzę zmian histopatologicznych pod mikroskopem.

– Może byś tak dla odmiany przeszła na ludzki język? – Zapalił papierosa. – Powiedz mi jasno, co takiego odkrył ten doktor Szwarzenegger.

– Jej system odpornościowy na coś reagował – powiedziałam. – Była chora.

– Na tyle, żeby mogło to być przyczyną nagłej śmierci?

– Tak naglej? Wątpię – odpowiedziałam.

– Może zażyła jakieś lekarstwo? – zasugerował. – No wiesz, połyka wszystkie pastylki i wrzuca buteleczkę do ognia... to mogłoby tłumaczyć roztopiony plastik, który znalazłaś w kominku i fakt, że nie znaleźliśmy żadnych fiolek po lekarstwach ani nic takiego w całym domu. Tylko takie tam leki gotowe.

Przedawkowanie leków było oczywiście wysoko na mojej liście i w tym momencie nie miało sensu, żebym zaprzętała sobie tym głowę. Wiedziałam, że pomimo moich próśb, pomimo zapewnień, że ten przypadek jest sprawą priorytetową, na wyniki badań toksykologicznych trzeba będzie czekać wiele dni, może nawet kilka tygodni.

Co do jej brata, to miałam pewną teorię.

– Myślę, że Cary Harper był bity jakimś narzędziem własnej konstrukcji – powiedziałam. Mógł to być fragment metalowej rury wypełnionej dla ciężaru śrutem, której końce zalepiono czymś w rodzaju plasteliny. Po kilku ciosach knebel z plasteliny wyleciał i śrut się rozsypał.

Marino w zamyśleniu przydeptywał popiół z papierosa.

– Nie bardzo to pasuje do tych militariów, które znaleźliśmy w wozie Price’a. Nie wygląda też na coś, co mogłaby wymyślić panna Harper.

– Rozumiem, że nie znaleźliście w domu nic, co przypominałoby plastelinę, modelinę albo śrut.

Potrząsnął głową i odpowiedział:

– Pewnie, że nie.

Do końca dnia mój telefon nie przestawał dzwonić.

Doniesienia o mojej rzekomej roli w zniknięciu „tajemniczego i cennego maszynopisu” i przesadzone opisy tego, jak „obezwładniałam napastnika”, który włamał się do mojego biura, dominowały wśród informacji przekazywanych przez agencje informacyjne. Inni reporterzy próbowali

wykorzystać chwytliwy temat. Niektórzy okupowali parking przed budynkiem, inni sterczeli w holu, wyciągając przed siebie mikrofony i kamery niczym karabiny. Jeden szczególnie beztroski dziennikarz lokalnego radia informował swoich słuchaczy, że jestem jedyną w kraju kobietą na tym stanowisku i noszę „złote rękawiczki zamiast gumowych”. Sytuacja szybko zaczęła się wymykać spod kontroli i coraz poważniej myślałam o ostrzeżeniach Marka. Sparacino świetnie potrafił zatruć mi życie.

Zawsze, kiedy Thomas Ethridge IV miał jakiś kłopot, dzwonił bezpośrednio do mnie, bez pośrednictwa Rose. Jego telefon mnie nie zaskoczył. Chyba poczułam ulgę. Było późne popołudnie i siedzieliśmy w jego gabinecie. Był w takim wieku, że mógłby być moim ojcem. Jeden z tych mężczyzn, u których brak urody i obycia stopniowo przekształca się w spiżowy charakter. Ethridge miał twarz Winstona Churchilla, która pasowała do parlamentu albo salonu pełnego dymu z cygar. Zawsze byliśmy w bardzo dobrych stosunkach.

– Chwył reklamowy? Myślisz, że ktoś w to uwierzy, Kay? – zapytał prokurator generalny, odruchowo gładząc palcami złoty łańcuszek od zegarka, zwisający z jego kamizelki.

– Mam wrażenie, że ty mi nie wierzysz – powiedziałam.

W odpowiedzi sięgnął po grube czarne wieczne pióro Mont Blanc i zaczął powoli odkręcać skuwkę.

– Nie spodziewam się, żeby ktokolwiek miał szansę wyboru: wierzyć mi czy nie – dodałam potulnie. – Moje podejrzenia nie są związane z niczym konkretnym, Tom. To moja próba wyjaśnienia tego, co robi Sparacino, a on na tym nie poprzestanie.

– Czujesz się zostawiona sama sobie, prawda?

– Tak, bo tak jest.

– Takie sytuacje często zaczynają żyć własnym życiem – mruknął. – Trudno będzie to powstrzymać, nie powodując większego rozgłosu.

Pocierając zmęczone oczy za okularami w kościanych oprawkach, obrócił stronę urzędowego notesu i zaczął robić jedną ze swoich list – przedzielił żółtą stronę na pół i wypisywał po jednej stronie plusy, po drugiej minusy czegoś, o czym nie miałam pojęcia. Kiedy zapisał pół strony, i jedna z kolumn była dużo dłuższa od drugiej, oparł się o swój fotel, podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Kay – powiedział – czy nie zastanawia cię to, że bardziej angażujesz się w swoje sprawy zawodowe, niż robili to twoi poprzednicy?

– Nie znałam nikogo z moich poprzedników – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się lekko.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, pani mecenas.

– Ale naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Tego się spodziewałem – powiedział ku mojemu zdumieniu. – Właśnie tego, bo ty jesteś bardzo zaangażowana. To jedna z wielu przyczyn, dla których popierałem twoją kandydaturę. Plus jest taki, że niczego nie przegapisz, jesteś piekielnie dobrym patologiem i do tego dobrym administratorem. Natomiast minus jest taki, że zdarza ci się ściągać na siebie niebezpieczeństwo. Na przykład te przypadki uduszeń jakiś rok temu. Ta sprawa została pewnie nierozwiązana i zapewne zginęłoby jeszcze nie wiadomo ile kobiet, gdyby nie ty. Ale omal nie kosztowało cię to życia. A teraz jeszcze ten wczorajszy incydent – urwał, potrząsnął głową i roześmiał się. – Chociaż muszę przyznać, że mi zaimponowałaś. „Znokautowała go”, chyba coś takiego słyszałem dziś w radio. Naprawdę go zwałaś z nóg?

– Niezupełnie – odparłam zmieszana.

– Wiecie, kto to jest, czego szukał?

– Nie mamy pewności – powiedziałam. – Ale wszedł do chłodni w kostnicy i zrobił zdjęcia ciał Cary’ego i Sterling Harperów. Kartoteka, którą przeglądał, gdy go przyłapałam, nic mi nie mówi.

– W porządku alfabetycznym?

– Był przy szufladce M-N.

– „M” jak Madison?

– Możliwe – odpowiedziałam. – Ale dokumenty w tej sprawie są zamknięte w biurze od frontu. W mojej kartotece nic o niej nie ma.

Po długim milczeniu stuknął palcem wskazującym w swój skoroszyt i powiedział:

– Zapisywałem sobie, co wiem o tych ostatnich zabójstwach. Beryl Madison, Cary Harper, Sterling Harper. Składa się to na elementy dobrego kryminału. A teraz jeszcze ta intryga z zaginionym maszynopisem, w co rzekomo wplątane jest biuro naczelnego lekarza sądowego. Muszę ci powiedzieć dwie rzeczy, Kay. Po pierwsze, jeśli jeszcze ktoś zadzwoni w sprawie tego maszynopisu, będzie najlepiej, jeśli odeślesz go do mnie. Spodziewam się, że może dojść do jakiegoś sfabrykowanego procesu. Już zacznę przygotowywać moich pracowników, zobaczymy, jak z tego wybrnąć. Po drugie, i mówię to z pełną świadomością i po głębokim namyśle, chcę, żebyś była jak góra lodowa.

– Co dokładnie mam przez to rozumieć? – zapytałam niepewnie.

– To, co widać nad wodą, to tylko częśćka tego, co naprawdę jest pod spodem – odpowiedział. – Nie znaczy to, że należy być niewidocznym, chociaż ty ze względów praktycznych powinnaś być niewidoczna. Jak najmniej wywiadów dla prasy, unikanie rozgłosu – znowu zaczął manipulować przy łańcuszku od zegarka. – Odwrotnie proporcjonalne do tego będzie twoje działanie albo, jak wolisz, zaangażowanie.

– Moje zaangażowanie? Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że mam się zająć tylko tym, co do mnie należy, i trzymać moje biuro z dala od rozgłosu?

– Tak i nie. Tak, jeśli chodzi o to, że powinnaś robić, co do ciebie należy. A co do unikania rozgłosu, to obawiam się, że nie masz na to wpływu – urwał i położył dłonie na biurku. – Znam Roberta Sparacino.

– Spotkaliście się? – spytałam.

– Miałem to szczególne nieszczęście, że poznałem go na studiach – powiedział.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Columbia, rocznik pięćdziesiąty pierwszy – ciągnął Ethridge. – Otyły, zadufany chłopak z poważnie wypaczoną osobowością. Był też bardzo bystry i mógł dostać pracę w Ministerstwie Sprawiedliwości, gdybym ja się tego nie uczeplił – przerwał. – Pojechałem do Waszyngtonu i skorzystałem z okazji pracy dla Hugo Blacka. Robert został w Nowym Jorku.

– Wybaczył ci? – zapytałam, pełna podejrzeń.

– Rozumiem, że między wami była silna rywalizacja. Wybaczył ci, że go pokonałeś, wspinałeś się wyżej?

– Nigdy nie zapomina o przysłaniu mi kartki na Boże Narodzenie – oświadczył Ethridge sucho. – Wydrukowana na komputerze, pieczęć zamiast podpisu, moje nazwisko przekreśnione. Na tyle bezosobowa, że aż obraźliwa.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego Ethridge chciał, żeby wszystkie starcia ze Sparacinem odbywały się przez biuro prokuratora generalnego.

– Nie sądzisz, że rozpętał cały ten zamęt wokół mojej osoby, aby osiągnąć ciebie? – zasugerowałam z wahaniem.

– Co? Że ten zgubiony maszynopis to tylko podstęp i on o tym wie? Że wywołuje cały ten smród, żeby zniszczyć moją reputację i przysporzyć mi

zmartwień? – uśmiechnął się ponuro. – Myślę, że to tylko część jego motywów.

– Ale to mogło mieć dodatkowe znaczenie – zauważyłam. – Na pewno wie, że każdy bałagan prawny, każda niejasna sytuacja dotycząca mojego biura jest rozpatrywana przez prokuratora generalnego. Z tego, co mówisz, wynika, że on jest mściwy.

Ethridge zaczął stukać opuszkami palców jednej ręki o drugą i odwróciwszy wzrok powiedział:

– Powiem ci, co słyszałem o Robercie Sparacino, gdy byliśmy jeszcze na studiach. Pochodzi z rozbitej rodziny i mieszkał z matką, kiedy ojciec robił wielkie pieniądze na Wall Street. Dzieciak, zdaje się, odwiedzał ojca w Nowym Jorku kilka razy w roku, był niezwykle dojrzały jak na swój wiek, dużo czytał, interesował się literaturą. Podczas jednej z takich wizyt przekonał ojca, żeby zabrał go na lunch do „Algonquin” w dniu, w którym miała tam być Dorothy Parker ze swoją świtą. Robert, który nie miał wtedy więcej niż dziewięć czy dziesięć lat, wszystko sobie zaplanował... tak przynajmniej opowiadał po latach kumplom przy kieliszku na uniwerku. Miał podejść do stolika Dorothy Parker, wyciągnąć dłoń i przedstawić się słowami:

„To zaszczyt dla mnie panią poznać” itd. Ale kiedy podszedł do niej, powiedział „To szczyt dla mnie z panią pospać”, na co ona dowcipnie odpowiedziała „Wielu mężczyzn mi to mówiło, ale żaden nie był tak młody”. Śmiech, który potem się rozległ, zmroził Sparacina, poniżył go, upokorzył. Nigdy tego nie zapomniał.

Obraz małego grubasa wyciągającego spoconą dłoń i mówiącego coś takiego był tak żaloszny, że nie potrafiłam się zaśmiać. Gdyby mnie spotkało coś podobnego ze strony mojego idola, też bym tego nie zapomniała.

– Mówię ci to – powiedział Ethridge – by wyjaśnić to, co już się potwierdziło. Kiedy Sparacino opowiadał to na uniwerku, był pijany, rozgoryczony i na głos przyrzekał, że się zemści i pokaże Dorothy Parker i reszcie z tzw. elit, że z niego nie wolno się śmiać. I co się stało? – popatrzył na mnie triumfalnie. – Jest jednym z najpotężniejszych prawników specjalizujących się w prawie wydawniczym w tym kraju, swobodnie lawiruje między wydawcami, agentami, pisarzami, którzy prywatnie mogą go nienawidzić, ale uważają za nierozsądne nie bać się go. Oczywiście regularnie jada w „Algonquin” i zwykle nalega, by kontrakty filmowe czy wydawnicze podpisywać właśnie tam, gdzie na pewno w duchu uśmiecha się z wyższością do Dorothy Parker. Wydaje ci się to naciągane?

– Nie. Nie trzeba być psychologiem, żeby do tego dojść.

– A oto, co chcę zaproponować – powiedział Ethridge, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Ja sam zajmę się Sparacinem. Nie chcę, żebyś miała z nim jakiegokolwiek kontakty, o ile to możliwe. Nie możesz go nie doceniać, Kay. Nawet gdy sądzisz, że powiedziałaś mu bardzo mało, on czyta między wierszami. Jest mistrzem w wyciąganiu wniosków, które w osobliwy sposób pomagają mu osiągnąć cel. Nie jestem pewien, jaki był jego prawdziwy udział w sprawie Beryl Madison i Harperów. Mogło się tu nałożyć wiele faktów. Ale nie chcę, żeby dowiedział się o tych zabójstwach czegokolwiek ponad to, co już wie.

– A wie już dużo – powiedziałam. – Zdobył na przykład raport policyjny w sprawie Beryl Madison. Nie pytaj, jak...

– Ma szerokie znajomości – przerwał mi Ethridge. – Radzę ci trzymać wszelkie raporty poza urzędowym obiegiem, posyłać je tylko tam, gdzie naprawdę musisz. Uszczelnij swoje biuro, wzmocnij ochronę, wszystkie kartoteki trzymaj pod kluczem. Pilnuj, żeby personel nie udzielał informacji o tych sprawach, o ile nie jesteś całkowicie pewna, że osoba, która dzwoni,

jest tą, za którą się podaje. Sparacino potrafi wykorzystać najmniejszy szczegół. To dla niego gra. Wiele osób może zostać skrzywdzonych, łącznie z tobą. Nie wspomnę już, co by się działo, gdyby te sprawy trafiły do sądu. Po jednej z jego typowych akcji musielibyśmy się przenieść na Antarktydę.

– On mógł przewidzieć, że tak postąpisz – powiedziałam cicho.

– Że zrobię z siebie rodzaj piorunochronu? Wejdę na ring zamiast zlecić to komuś innemu?

Skinęłam głową.

– No, może i tak – odparł.

Byłam pewna, że tak. To nie ja byłam celem nagonki Sparacina, tylko jego dawny rywal. Sparacino nie mógł zaatakować bezpośrednio prokuratora generalnego. Nigdy nie przedostałby się przez strażników, doradców, sekretarki. Uczepił się więc mnie i jak na razie wszystko szło po jego myśli. Świadomość, że jestem wykorzystywana w taki sposób, jeszcze bardziej mnie rozżłościła, i nagle pomyślałam o Marku. Jaka jest w tym wszystkim jego rola?

– Jesteś zła i nie winię cię o to – powiedział Ethridge. – Ale będziesz musiała zdusić dumę i emocje. Potrzebuję twojej pomocy, Kay.

Słuchałam dalej.

– Przepustką, która pozwoli nam się wydostać z tego parku rozrywki Sparacina, jest, jak podejrzewam, ten maszynopis, którym wszyscy się tak interesują. Są jakieś szanse, że go odnajdziesz?

Czułam, że moja twarz płonie.

– Ale Tom, to nigdy nie dotarło do mojego biura...

– Kay – powiedział stanowczym tonem. – Nie o to chodzi. Wiele rzeczy nigdy nie trafia do twojego biura, a lekarz sądowy potrafi je odnaleźć. Leki na receptę, skarga na ból w klatce piersiowej podsłyszana w jakimś momencie przed śmiercią denata, myśli samobójcze, o których wspomina

jakiś członek rodziny. Nie masz mocy dochodzeniowej, ale możesz dociekać. I czasami dowiesz się rzeczy, o których nikt nie powiedziałby policji.

– Nie chcę być zwykłym świadkiem.

– Jesteś idealnym świadkiem. Oczywiście, nie chcesz być przeciętna. To marnotrawstwo – powiedział.

– Zresztą policjanci są zazwyczaj lepsi w prowadzeniu dochodzenia – dodałam. – Nie oczekują, że ludzie będą mówić prawdę.

– A ty tego oczekujesz? – zapytał.

– Zaprzyjaźniony lekarz zwykle oczekuje, że ludzie będą mówić prawdę, tak jak ją rozumieją. Większość lekarzy nie spodziewa się, że pacjenci będą kłamać.

– Kay, mówisz ogólnikami.

– Nie chcę być w sytuacji...

– Kay, w kodeksie jest napisane, że lekarz sądowy ma prowadzić dochodzenie dotyczące przyczyny i sposobu śmierci i zapisać swoje spostrzeżenia. To bardzo ogólnie powiedziane. Daje ci to pełne prawo prowadzenia dochodzenia. Jedyne, czego ci nie wolno, to właściwie tylko aresztować kogoś. Wiesz o tym. Policja nigdy nie znajdzie tej książki. Tylko ty możesz to zrobić – spojrzał mi prosto w oczy – to ważniejsze dla ciebie, dla twojego dobrego imienia niż dla nich.

Nic nie mogłam zrobić. Ethridge wypowiedział Sparacinowi wojnę, w którą zostałam wciągnięta.

– Znajdź ten maszynopis, Kay – prokurator generalny spojrzał na zegarek. – Znam cię. Jak wyteżysz umysł, znajdziesz go albo przynajmniej dowiesz się, co się z nim stało. Trzy osoby nie żyją. Jedną z nich jest laureat Nagrody Pulitzera, którego książka jest akurat jedną z moich ulubionych.

Musimy to rozwiązać. Co więcej, informuj mnie o wszystkim, co dotyczy Sparacina. Postarasz się, prawda?

– Oczywiście, że się postaram.

Zaczęłam od wykorzystania wiedzy specjalistów.

Badanie dokumentów to jedna z nielicznych procedur naukowych, które dostarczają odpowiedzi na oczach badającego. Wynik jest konkretny jak papier i tak realny jak atrament. W środę wieczorem Marino, ja i szef wydziału, Will, siedzieliśmy nad tym już od kilku godzin. Mieliśmy okazję się przekonać, że nikogo z nas nie ominął nałóg picia.

Nie bardzo wiedziałam, na co liczę. Może najlepszym rozwiązaniem byłoby stwierdzenie od razu, że to, co panna Harper spaliła w kominku, było zaginionym maszynopisem Beryl. Mogliśmy też dojść do wniosku, że Beryl umieściła go w bezpiecznej kryjówce u przyjaciela. Mogliśmy zakładać, że książka zawierała jakieś informacje, których panna Harper nie chciała ujawniać. I co najważniejsze, mogliśmy stwierdzić, że tak naprawdę maszynopis wcale nie zniknął z miejsca przestępstwa.

Jednak ilość i rodzaj papieru, któryśmy badali, nie odpowiadały żadnej z tych możliwości. Mieliśmy bardzo mało niespalonych skrawków, każdy z nich nie większy od drobnej monety, nienadający się do badania pod soczewkami z filtrem podczerwieni. Nie mogliśmy korzystać z pomocy żadnych urządzeń ani testów chemicznych, spopielale strzępki bowiem były tak delikatne, że nie mieliśmy nawet odwagi, by ruszyć je z płytkiego kartonowego pudełka, do którego włożył je Marino. Zamknęliśmy drzwi i wentylatory laboratorium, aby do pomieszczenia dostało się jak najmniej powietrza.

To, co robiliśmy, było frustrującą męczarnią polegającą na szturchaniu pęsetą delikatnych pyłów w poszukiwaniu jakiegoś słowa. Na razie wiedzieliśmy tylko, że panna Harper spaliła kartki czerpanego papieru

zadrukowanego literami odbitymi przez taśmę maszyny do pisania. Tego mogliśmy być pewni z kilku przyczyn. Papier produkowany z masy drzewnej podczas spalania staje się czarny, a papier produkowany ze szmat pozostaje niewiarygodnie czysty, popiół po nim jest biały jak ten w kominku panny Harper. Te nieliczne niespalone skrawki, na które patrzyliśmy, odpowiadały takiemu właśnie papierowi. W końcu węgiel się nie pali. Wysoka temperatura spowodowała pomniejszenie drukowanych liter do wielkości porównywalnej z drobnym druczkiem na dokumentach, czyli do około milimetra. Niektóre słowa były całe i wyraźnie widoczne na tle białego pyłu. Pozostałe tak beznadziejnie poszatkowane i zniszczone jak małe czarne karteczki z chińskimi horoskopami.

„Przyby...” – czytał Will, wysilając i tak już podkrążone oczy ukryte za okularami w czarnych oprawkach. Jego młoda twarz była wyraźnie zmęczona. Widać było, że zmusza się do koncentracji.

Dopisałam ten urywek słowa do listy zajmującej pół strony w moim notesie.

– Przybył, przybywa, przybyć – dodał z westchnieniem. – Nie wiem, co jeszcze by to mogło być.

– Przybycie, przybysz, przybyszowy – myślałam na głos.

– Przybyszowy? – zapytał Marino surowo.

– A co to takiego?

– Taki rodzaj korzenia – odpowiedziałam.

– Trochę zbyt wyszukane jak dla mnie – dowcipnie skomentował Will.

– Prawdopodobnie to niezrozumiałe dla większości ludzi – podsumowałam, myśląc o fiołce z proszkami przeciwbólowymi, zostawionej w torebce na dole, i obwiniając o ból głowy tak duży wysiłek wzroku.

– O Boże – narzekał Marino. – Słowa, słowa, słowa. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu słów. Połowy z nich nigdy nie słyszałem i wcale mi tego nie żal.

Rozparty na krześle obrotowym, nogi trzymał na blacie biurka i czytał zapis tego, co Willowi udało się rozszyfrować z taśmy maszyny do pisania Cary’ego Harpera. Ta taśma nie była węglowa, co oznaczało, że kartki spalone przez pannę Harper nie mogły pochodzić z maszyny jej brata. Wyglądało na to, że pisarz podjął kolejną próbę napisania powieści i pracował nad nią zrywami. Większość tego, czemu przypatrywał się Marino, nie miało większego sensu. Kiedy to przed nim przeglądałam, zastanawiałam się, czy natchnienie Harpera zależało od rodzaju pitego alkoholu.

– Ciekawe, czy taki chłam da się sprzedać – powiedział Marino.

Will wyłowił kolejny fragment zdania z tego straszego zwęglonego bałaganu, więc pochyliłam się, żeby się temu przyjrzeć.

– Wiecie – ciągnął Marino – zawsze po śmierci słynnego pisarza coś wydają. Najczęściej to jakieś bzdety, których ten biedak w ogóle nie chciał publikować.

– Racja. Mogliby to tytułować „Resztki z literackiego bankietu” – mruknęłam.

– Co?

– Nieważne. Tu nie ma nawet dziesięciu stron – zmieniłam temat. – Ciężko byłoby złożyć z tego książkę.

– No to wydrukują to w „Enquire”, albo „Playboyu”. Prawdopodobnie i tak przyniesie trochę forsy – odparł Marino.

– To na pewno oznacza nazwę jakiegoś miejsca czy spółki, czy czegoś takiego – rzekł Will, zupełnie nieświadom toczącej się przy nim wymiany zdań. – „Co” napisane jest dużą literą.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powiedziałam.

Marino wstał, żeby to obejrzeć.

– Uważaj, nie oddychaj – ostrzegł go Will. Pęsetę trzymał pewnie jak skalpel i ostrożnie manipulował nią w białym popiele, na którym wyraźnie rysowały się maleńkie czarne literki: „ort Co”.

– Company, college, centralne ogrzewanie – wyliczałam. Czułam, jak zaczyna we mnie krążyć krew i budzę się do życia.

– Ale skąd ten „ort” – zastanawiał się Marino.

– Może jakaś miejscowość w Wirginii?

Nie znaleźliśmy żadnej miejscowości w Wirginii, która kończyłaby się na „ort”.

– Port – powiedziałam.

– No dobrze, ale dalej „Co”? – z powątpiewaniem odpowiedział Will.

– Może coś – Port Company – mruknął Marino.

Zajrzałam do książki telefonicznej. Były tam cztery firmy o nazwie zaczynającej się od słowa port: Port East, Port South, Port Imports, Port Square.

– Zdaje się, żeśmy utknęli – powiedział Marino.

W rozwiązaniu zagadki nie pomogło nam też to, że zadzwoniłam do informacji telefonicznej i zapytałam o nazwy wszystkich firm w okolicach Williamsburga posiadających w nazwie słowo Port. Poza jednym kompleksem apartamentów, nie było nic. Następnie zadzwoniłam do detektywa Poteata z policji w Williamsburgu, ale on również nie wymyślił nic poza tym samym kompleksem apartamentów.

– Może nie powinniśmy tak kurczowo się tego trzymać – powiedział surowo Marino.

Will znowu zajęty był pudełkiem ze zwęglonymi resztkami.

Marino spojrział przez moje ramię na listę słów, które wypisaliśmy do tej pory.

Ty, twój, ja, mój, my i *dobrze* pojawiały się najczęściej. Inne całe wyrazy stanowiły grupę słów spotykanych prawie w każdym zwykłym zdaniu – *i, jest, był, ten, tamten, który*. Niektóre słowa były bardziej specyficzne, jak np. *miasto, dom, wiem, proszę, strach, praca, myślę, tęsknię*. Co do fragmentów, mogliśmy się tylko domyślać, z jakich wyrazów pochodzą. Najwyraźniej wiele razy pojawiały się różne pochodne słowa *straszny*, w każdym razie tylko z tym skojarzył nam się początek *strasz*, czy też *strasz**n*. Oczywiście, zawsze istniała możliwość pomyłki w interpretacji. Czy autor miał na myśli *straszne*, jak w zdaniu *To straszne*? A może *strasznie* jak w *Jestem strasznie niespokojny* albo *Strasznie za tobą tęsknię*? Możliwe też, że był to zwrot całkiem niewinny, jak w wyrażeniu *Strasznie się cieszę*.

Co ciekawe, znaleźliśmy kilka śladów imienia Sterling i tyleż pozostałości po imieniu Cary.

– Jestem prawie pewna, że to, co spaliła, to były prywatne listy – orzekłam wreszcie. – Wskazuje na to rodzaj papieru, używane słowa.

Will potwierdził.

– Czy znaleźliście jakąś papeterię w domu Beryl Madison? – zwróciłam się do Marina.

– Papier do drukarek, papier do maszyny do pisania. Tylko tyle. Nic drogiego, ekskluzywnego.

– Jej drukarka ma taśmę atramentową – przypomniał nam Will, grzebiąc pęsetą w popiele i dodał: – O, chyba mamy jeszcze coś.

Popatrzyłam.

Tym razem wszystko, co pozostało z napisu, to *rt C*.

– Beryl miała komputer i drukarkę Lanier – powiedziałam do Marina. – Może warto się dowiedzieć, czy od początku miała tylko ten sprzęt.

- Przejrzałem jej rachunki.
- Z ilu lat? – zapytałam.
- Z tyłu, z ilu miała. Pięć, może sześć – odpowiedział.
- Ten sam komputer?
- Nie – usłyszałam w odpowiedzi. – Ale ta sama drukarka. Rozetkowa, nazywa się 1600. Zawsze używała takiej samej taśmy. Nie mam pojęcia, na czym pisała wcześniej.
- Rozumiem.
- No to gratuluję – uszczypliwie skomentował Marino, pocierając sobie kark. – Bo ja nic nie rozumiem.

Rozdział dziesiąty

Państwowa Akademia FBI w Quantico, w stanie Wirginia, to ceglano-szklana enklawa ogarnięta sztuczną wojną. Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego pobytu w tym miejscu. Gdy się kładłam i gdy wstawałam, towarzyszył mi dźwięk wyłączanych półautomatów, a kiedy pewnego popołudnia źle skręciłam na zalesionej ścieżce zdrowia, omal nie zostałam rozjechana przez czołg.

Był piątek rano. Mieliśmy wyznaczone spotkanie z Bentonem Wesleyem. Na widok fontanny i sztandarów Akademii Marino wyraźnie się ożywił. Przy każdym jego kroku ja musiałam robić dwa, żeby nadążyć za nim w drodze do obszernego słonecznego holu w nowym budynku, który na tyle przypominał elegancki hotel, że nazywano go Quantico Hilton. Marino położył swój pistolet na biurku recepcji i podał nasze nazwiska. Pokazaliśmy przepustki i recepcjonista zadzwonił do Wesleya, żeby upewnić się, czy możemy wejść.

Różne działy Akademii – biura, pracownie, laboratoria – połączone są labiryntem szklanych ścian, dzięki czemu można przechodzić z budynku do budynku bez wychodzenia na zewnątrz. Ilekroć tu wchodziłam, zawsze się gubiłam. Marino sprawiał wrażenie, jakby wiedział, dokąd idzie, więc potulnie podążałam za nim i przyglądałam się mijającym nas studentom w mundurach o różnych barwach. Czerwone koszule i spodnie koloru khaki to oficerowie policji. Szare koszule i czarne spodnie polowe wetknięte do wyczyszczonych na błysk butów oznaczają nowych agentów DEA w odróżnieniu od weteranów, którzy noszą złowieszcze czarne ubrania. Nowi

agenci FBI mieli na sobie niebieskie koszule i spodnie khaki, a członkowie elitarnych drużyn antyterrorystycznych paradowali ubrani na biało. Zarówno kobiety jak i mężczyźni byli ubrani nienagannie czysto i wyglądali na niezwykle sprawnych fizycznie. Emanował z nich duch militarystyki tak samo wyczuwalny jak unoszący się wokół zapach rozpuszczalnika do czyszczenia broni.

Weszliśmy do windy i Marino wcisnął guzik oznaczający podziemia. Sekretne schron Hoovera mieści się prawie dwa metry pod ziemią, dwa poziomy poniżej możliwego zasięgu ognia. Zawsze wydawało mi się całkowicie uzasadnione, że Akademia umieściła Wydział Behawiorystyki bliżej piekła niż nieba. Tytuły się zmieniają. Ostatnim razem słyszałam, że Biuro nazywa ekspertów od portretów psychologicznych agentami dochodzeń kryminalnych (Criminal Investigative Agents), czyli w skrócie CIA (dla zmyłki). Praca jednak się nie zmienia. Zawsze będą istnieć psychopaci, socjopaci, mordercy seksualni czy jakkolwiek można nazwać tych, którzy znajdują przyjemność w zadawaniu innym niewyobrażalnego bólu.

Wysiedliśmy z windy i ruszyliśmy ponurym korytarzem do ponurego gabinetu. Tam pojawił się Wesley i wprowadził nas do małej sali konferencyjnej, gdzie przy długim lśniącym stole siedział Roy Hanowell. Ten specjalista od włókien zawsze sprawiał wrażenie, jakby mnie nie pamiętał. Na każdym zebraniu przedstawiałam się, gdy wyciągał dłoń.

– Naturalnie, naturalnie, doktor Scarpetta – odpowiedział jak zawsze.

Wesley zamknął drzwi. Marino rozglądał się z niezadowoloną miną, bo nie mógł znaleźć popielniczki. Musiał się zadowolić wyjętą z kosza pustą puszką po coli. Opanowałam odruch wyciągnięcia własnej paczki

papierosów. W tym budynku było niemal tak sterylnie jak na oddziale intensywnej terapii.

Biała koszula Wesleya marszczyła się na plecach, jego oczy wyglądały na zmęczone, gdy przebiegał wzrokiem zawartość tekturowej teczki. Z miejsca przystąpił do rzeczy.

– Coś nowego w sprawie Sterling Harper? – zapytał.

Poprzedniego dnia przejrzałam ponownie jej komórki pod mikroskopem i nie byłam zaskoczona tym, co zobaczyłam. Ale też ani o krok nie zbliżyłam się do odkrycia przyczyny jej nagłej śmierci.

– Miała przewlekłą białaczkę szpikową – odpowiedziałam.

Wesley podniósł wzrok.

– Przyczyna śmierci?

– Nie. Właściwie to nawet nie jestem pewna, czy wiedziała o swojej chorobie.

– Ciekawe – skomentował Hanowell. – To można mieć białaczkę i o tym nie wiedzieć?

– Początki przewlekłej białaczki są podstępne – wyjaśniłam. – Symptomy mogły być bardzo łagodne, na przykład nocne pocenie się, zmęczenie, utrata wagi. Z drugiej strony, choroba mogła zostać zdiagnozowana jakiś czas temu i być w stadium remisji. Nie była to sytuacja kryzysowa. Nie stwierdziłam postępujących nacieków białaczkowych, nie cierpiała też na żadne poważniejsze infekcje.

Hanowell wyglądał na zaskoczonego.

– No to co ją zabiło?

– Nie wiem – przyznałam.

– Jakież leki? – spytał Wesley, coś notując.

– Laboratorium toksykologii zaczyna drugą rundę testów. Pierwsze wyniki wykazały poziom alkoholu zero trzy promila. Poza tym wykryto u

niej dextromethorphan, który jest składnikiem wielu gotowych leków przeciwkaszlowych. Na miejscu znaleźliśmy butelkę Robitussinu w łazience na górze. Mniej niż połowa buteleczki była zużyta.

– Więc nie to było przyczyną śmierci – mruknął Wesley sam do siebie.

– Nawet cała butelka nie mogłaby być przyczyną – powiedziałam i dodałam: – Przyznaję, że to wygląda tajemniczo.

– Będziesz mnie informowała? Donoś o wszystkim, co odkryjecie w tej sprawie – powiedział Wesley. Obrócił kilka kartek i przeszedł do następnego punktu spotkania. – Roy zbadał włókna znalezione u Beryl Madison. Chcemy z tobą o tym pomówić. A potem – podniósł na nas wzrok – będę miał coś jeszcze do obgadania z wami obojgiem.

Wesley nie wyglądał na zadowolonego i miałam przeczucie, że przyczyna, dla której nas tu wezwał, nie będzie dla mnie przyjemna. Hanowell natomiast był jak zwykle obojętny. Jego włosy, brwi i oczy były szare. Nawet garnitur miał szary. Zawsze, gdy go widziałam, miał zaspany i szary wygląd, tak bezbarwny i spokojny, że aż nasuwało się pytanie, czy jego ciśnienie nie spadło do zera.

– Z jednym wyjątkiem – zaczął Hanowell lakonicznie – włókna, o których zbadanie mnie poproszono, przyniosły niewiele niespodzianek... żadnych niezwykłych farb czy kształtów w przekroju, zasługujących na omawianie. Stwierdziłem, że sześć włókien nylonowych pochodzi najprawdopodobniej z różnych źródeł, co zresztą ustaliliśmy już z waszym analitykiem w Richmond. Cztery z nich odpowiadają włóknom używanym do produkcji wykładzin samochodowych.

– Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? – zapytał Marino.

– Nylonowa tapicerka i wykładziny niszczą się szybko pod wpływem słońca i ciepła, jak się pewnie domyślacie – powiedział Hanowell. – Jeśli włókna nie zostaną potraktowane metalicznym barwnikiem, który chroni

przed promieniami UV i ciepłem, wykładzina samochodowa bardzo szybko wyblaknie lub zgnije. Naświetlając badane włókna promieniami rentgenowskimi, wykryłem śladowe ilości metali w czterech z włókien nylonowych. Choć nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że są to włókna z wykładziny samochodowej, to na pewno jest to ten sam rodzaj włókien.

– Są jakieś szanse, żeby na ich podstawie dotrzeć do marki i modelu? – spytał Marino.

– Raczej nie – odparł Hanowell. – Jeśli nie jest to włókno z opatentowanymi modyfikacjami, to dotarcie od strzępka do producenta jest mało prawdopodobne, zwłaszcza w przypadku samochodów japońskich. Dam wam przykład. Wykładziny w Toyocie produkuje się z plastikowych drobinek, które wysyłane są do Japonii z naszego kraju. Tam rozciąga się je we włókna i przędza wraca z powrotem do USA, gdzie robi się z niej chodnik. Taki chodnik wysyłany jest z powrotem do Japonii, gdzie zostaje umieszczony w samochodzie, który schodzi z taśmy.

Przynudzał coraz bardziej.

– Niełatwo też wpaść na trop samochodu produkowanego w USA. Na przykład Chrysler Corporation może otrzymywać wykładziny w jednym kolorze od trzech różnych dostawców. W połowie roku Chrysler może zmienić dostawcę. Załóżmy, sierżancie, że obaj mamy czarne Le Baron z czerwonym wnętrzem z osiemdziesiątego siódmego. Dostawcy czerwonych wykładzin do mojego auta mogą być inni niż pańskiego. Chodzi o to, że jedyną istotną cechą włókien nylonowych, które badałem, jest ich zróżnicowanie. Dwa mogą pochodzić z dywanów domowych, a cztery z samochodowych. Kolory i przekroje poprzeczne są różne. Dodajmy do tego, że jest wśród nich olefin, dynel, włókna akrylowe i jedna mieszanka, którą uważam za najbardziej niezwykłą.

– Najwyraźniej – wtrącił Wesley – zabójca ma taki zawód, czy też dodatkowe zajęcie, przy którym ma kontakt z wieloma różnymi rodzajami dywanów i obić. Kiedy zamordował Beryl Madison, ubrany był w coś, do czego przyczepiły się liczne włókna.

Pomyślałam, że mogła to być wełna, sztruks lub flanela. Jednak nie znaleziono ani włókien wełnianych, ani z kolorowej bawełny.

– A co z dynelem? – zapytałam.

– Zwykle kojarzony jest z damską odzieżą. Z perukami, sztucznymi futrami – odpowiedział Hanowell.

– Tak, ale nie tylko. Koszula lub para spodni z dynelu elektryzowałyby się jak poliester, powodując przywieranie wszystkiego. To by wyjaśniało, dlaczego miał na sobie tyle śladów.

– Możliwe – powiedział Hanowell.

– To może ten drań miał na sobie perukę – podpowiedział Marino. – Wiemy, że Beryl go wpuściła, a to znaczy, że nie czuła się zagrożona. Kobiety zwykle nie czują się zagrożone widokiem kobiety przed drzwiami.

– Transwestyta? – zasugerował Wesley.

– Właśnie – odparł Marino. – Jakiś uroczo wyglądający kociak. Naprawdę można się nabrać. Nawet ja nie zawsze ich rozpoznaję, dopóki nie spojrzę im z bliska w twarz.

– Jeśli napastnik był w damskim przebraniu – zauważyłam – to skąd wzięły się na nim te wszystkie włókna? Skoro zakładamy, że źródłem tych włókien jest jego miejsce pracy, to jak znalazły się one na damskich ciuchach, w których chyba nie pracuje?

– Chyba że pracuje w przebraniu na ulicy – powiedział Marino. – Wsiada do samochodów swoich klientów, wyciera sobą pokoje w różnych motelach z dywanami.

– W takiej sytuacji wybór ofiary wydaje się bez sensu – mruknęłam.

– Zgoda, za to brak spermy może mieć sens – argumentował Marino. – Męscy transwestyci zazwyczaj nie gwałcą kobiet.

– Zazwyczaj też ich nie mordują.

– Wspomniałem o wyjątku – Hanowell wrócił do tematu, spoglądając na zegarek. – To pomarańczowe włókno akrylowe, które tak panią zaciekało. – Wbił we mnie swój szary wzrok.

– Tak, kształt trójlistnej koniczyny – przypomniałam.

– Właśnie – potwierdził Hanowell, kiwając głową. – Ten kształt jest bardzo niezwykły, ma na celu, jak i inne trój płątowe kształty, ukrycie brudu i rozproszenie światła. Jedynym znanym mi miejscem, w którym znajdziecie włókna o tym kształcie, jest wewnątrz plymouthów produkowanych pod koniec lat siedemdziesiątych... te włókna są w nylonowych wykładzinach. Mają w przekroju poprzecznym ten sam kształt trójlistnej koniczyny, co pomarańczowe włókno ze sprawy Beryl Madison.

– Ale to pomarańczowe włókno jest akrylowe – przypomniałam mu – nie nylonowe.

– To prawda, doktor Scarpetta – odparł. – Przedstawiam wam tylko tło, żeby pokazać szczególne właściwości omawianego włókna. Fakt, że jest ono akrylowe, a nie nylonowe, fakt, że takie jaskrawe kolory jak pomarańczowy prawie nigdy nie są stosowane we wnętrzach samochodów, prowadzi nas do wykluczenia wielu źródeł... w tym także plymoutha z końca lat siedemdziesiątych. I wszelkich innych samochodów.

– To znaczy, że nigdy jeszcze nie widział pan czegoś takiego, jak to włókno? – zapytał Marino.

– Właśnie do tego zmierzam – z wahaniem odparł Hanowell.

Wtedy włączył się Wesley.

– W ubiegłym roku dostaliśmy włókno pod każdym względem identyczne z tym pomarańczowym, kiedy Roya poproszono o zbadanie

śladów pobranych z boeinga 747, porwanego w Atenach. Na pewno pamiętacie tę sprawę.

Zapadło milczenie.

Nawet Marino na chwilę stracił mowę.

Wesley mówił dalej. Jego oczy jakby posmutniały.

– Porywacze zamordowali na pokładzie dwóch amerykańskich żołnierzy i wyrzucili ich ciała na pas startowy. Chet Ramsey miał dwadzieścia cztery lata, należał do piechoty morskiej. Jego wyrzucili pierwszego. Takie pomarańczowe włókno było przyklepione do krwi na jego lewym uchu.

– Czy mogło ono pochodzić z wnętrza samolotu? – zapytałam.

– Nie bardzo – odparł Hanowell. – Porównałem je z próbkami dywanu, obić foteli, kocy przechowywanych w skrytkach na górze i nie trafiłem na nic, co by do tego pasowało albo przynajmniej było podobne. Albo Ramsey zebrał to włókno gdzieś indziej... a to nie wydaje się prawdopodobne, bo przylegało ono do wilgotnej krwi... albo znalazło się tam wskutek biernego przeniesienia z któregoś z terrorystów. Inną możliwością, jaka przychodzi mi do głowy, jest to, że włókno pochodziło od któregoś z pasażerów, ale jeśli tak, to musiałby on mieć kontakt z Ramseyem już po tym, jak ten został zraniony. Z zeznań naocznych świadków wynika, że nikt z pasażerów się do niego nie zbliżał. Porywacze zabrali go na dziób samolotu, z dala od innych pasażerów, tam go pobili i zastrzelili, a potem zawinęli ciało w koc i wyrzucili na pas startowy. A koc, jeśli już o tym mowa, był beżowy.

Pierwszy odezwał się Marino.

– Mógłby pan wyjaśnić, co wspólnego ma, u diabła, porwanie samolotu w Grecji z zabójstwem dwojga pisarzy w Wirginii?

– To włókno łączy przynajmniej dwie z tych spraw – odpowiedział Hanowell. – Porwanie samolotu i śmierć Beryl Madison. Co nie znaczy, że same przestępstwa mają ze sobą coś wspólnego, poruczniku. Ale to

pomarańczowe włókno jest tak nietypowe, że musimy brać pod uwagę, iż to, co wydarzyło się w Atenach, i to, z czym mamy teraz tutaj do czynienia, może mieć wspólny mianownik.

To było coś więcej niż możliwość, to była pewność. Na pewno istniał wspólny mianownik. Osoba, miejsce albo rzecz, pomyślałam. Jeden z tych trzech czynników musiał łączyć te zdarzenia. Mój umysł powoli zaczynał dostrzegać szczegóły.

Powiedziałam:

– Nigdy nie przesłuchano tych terrorystów. Dwóch z nich wtedy zginęło, a pozostałych dwóch zdołało uciec i nigdy ich nie złapano.

Wesley potwierdził to skinieniem głowy.

– A czy w ogóle mamy pewność, że to byli terroryści, Benton? – zapytałam.

Odpowiedział po krótkim namyśle:

– Nie zdołaliśmy powiązać ich z żadnym ugrupowaniem terrorystycznym. Zakładamy jednak, że była to demonstracja postawy antyamerykańskiej. Samolot był amerykański, podobnie jak jedna trzecia pasażerów.

– W co byli ubrani porywacze? – zapytałam.

– Cywilne ubrania. Spodnie, koszule, nic nadzwyczajnego.

– I żadnych pomarańczowych włókien nie znaleziono na ciałach dwóch zabitych terrorystów?

– Nie wiemy – odpowiedział mi Hanowell. – Zostali zastrzeleni na pasie startowym i nie byliśmy w stanie działać na tyle szybko, żeby przejąć ciała i przewieźć je tutaj do badania razem z zabitymi żołnierzami. Niestety, dostałem tylko raport od władz greckich. Sam nie badałem odzieży ani osadów z ciał porywaczy. Na pewno sporo przeoczono. Ale nawet gdyby z

któregoś z ciał porywaczy pobrano jedno czy dwa pomarańczowe włókna, i tak nic by to nam nie powiedziało o jego pochodzeniu.

– Co to znowu ma znaczyć? – oburzył się Marino. – Mam rozumieć, że szukamy zbiegłego porywacza, który teraz zabija ludzi w Wirginii?

– Nie możemy tego wykluczyć, Pete – powiedział Wesley. – Chociaż to może wydawać się dziwaczne.

– Czwórka mężczyzn, która porwała ten samolot, nigdy nie została skojarzona z żadnym ugrupowaniem – przypomniałam. – Tak naprawdę to nie wiemy, ani czego chcieli, ani kim byli. Wiemy tylko, że dwaj z nich to Libańczycy... jeśli dobrze pamiętam... a dwaj pozostali... ci, którzy zbiegli, prawdopodobnie Grecy. Zdaje się, że pojawiały się wówczas spekulacje, że ich prawdziwym celem był ambasador amerykański, który był wtedy na urlopie i miał lecieć z rodziną tym samolotem.

– To prawda – powiedział Wesley. – Po tym, jak kilka dni wcześniej podłożono bombę w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu, zmieniono plan podróży ambasadora, ale nie odwołano rezerwacji na samolot.

Patrzył gdzieś w dal poza mną, stukając piórem w swój lewy kciuk. Po chwili dodał:

– Nie wykluczamy możliwości, że porywacze byli zawodowymi zabójcami wynajętymi do tej roboty.

– No dobra – powiedział niecierpliwie Marino. – Nikt przecież nie wykluczył, że Beryl Madison i Cary Harper mogli zostać zamordowani przez zawodowca. Nawet na to wygląda.

– Sądzę, że powinniśmy zacząć od sprawdzenia, czego jeszcze można się dowiedzieć o tym pomarańczowym włóknie, o jego pochodzeniu – powiedziałam. – I może ktoś powinien uważniej przyjrzeć się Sparacinowi, upewnić się, czy nie miał powiązań z tym ambasadorem, który mógł być celem tamtego porwania.

Wesley nie odpowiedział.

Marino nagle zajął się obcinaniem paznokcia lewego kciuka swoim syczorykiem.

Hanowell rozejrzał się po zebranych przy stole i kiedy wydawało się oczywiste, że nie mamy do niego żadnych pytań, pożegnał się i wyszedł.

Marino zapalił kolejnego papierosa.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie – powiedział, wydmuchując smuzkę dymu – to to wszystko staje się bardzo zagmatwane. To znaczy, nie trzyma się kupy. Po co wynajmować jakiegoś międzynarodowego zabójcę do zabicia pisarki romansideł i zapomnianego pisarzyny, który od lat niczego nie spłodził?

– Nie wiem – odparł Wesley. – Wszystko zależy od tego, kto miał jakie powiązania. Do diabła, Pete, to zależy od wielu rzeczy. Jedyne, co możemy zrobić, to jak najskrupulatniej iść po śladach. I tu dochodzimy do następnego punktu naszego spotkania. Jeb Price.

– Został wypuszczony – odruchowo stwierdził Marino.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Kiedy? – zapytał Wesley.

– Wczoraj. Wpłacił kaucję. Pięćdziesiąt kawałków, dokładnie.

– Mógłbyś mi wyjaśnić, jak mu się to udało? – burknęłam, zła, że Marino wcześniej mnie o tym nie poinformował.

– Oczywiście.

Wiedziałam, że istnieją trzy sposoby wychodzenia za kaucję. Pierwszy to osobiste zobowiązanie, drugi – zapłata gotówką lub zastawem swoich posiadłości, i trzeci za pośrednictwem poręczyciela, który pobiera dziesięć procent i żąda, by ktoś jeszcze podpisał z nim zobowiązanie, albo zabezpiecza się w inny sposób, żeby nie zostać na lodzie, gdyby oskarżony

opuścił miasto. Jeb Price, jak poinformował nas Marino, skorzystał z tej ostatniej możliwości.

– Chciałabym wiedzieć, jak mu się to udało – powtórzyłam, sięgając po papierosa i przysuwając bliżej puszkę po coli, byśmy mogli się nią dzielić.

– Jak mi wiadomo, zadzwonił do swojego adwokata, który otworzył rachunek depozytowy w banku i przesłał książeczkę wkładów do Lucky.

– Lucky? – zapytałam.

– Tak. Lucky Bonding Company na Siedemnastej. Firma poręczycielska położona bardzo dogodnie, o jedną przecznicę od więzienia – poinformował nas Marino. – Lombard Charliego Lucka dla więźniów. Zwany też „Wolność za Zastaw”. Znam Charliego od dawna, czasem sobie gawędzimy, opowiadamy kawały. Czasem coś sypnie, innym znów razem trzyma język za zębami. Niestety, teraz natrafiłem na to drugie. Nie mogłem z niego wyciągnąć nic, co by nas naprowadziło na prawnika Price’a, ale mam podejrzenia, że on nie jest stąd.

– Widać, że Price ma wysoko postawionych przyjaciół – rzekłam.

– Najwyraźniej – ponuro potwierdził Wesley.

– I nic nie powiedział? – spytałam.

– Miał prawo zachować milczenie i skrupulatnie z niego skorzystał – odpowiedział Marino.

– Czego się dowiedziałeś o tym jego arsenale? – Wesley wrócił do robienia notatek.

– Wszystko zarejestrowane na niego. Price ma pozwolenie na noszenie broni w ukryciu, wydane sześć lat temu przez jakiegoś starego sędziego tu, w Północnej Wirginii, który potem odszedł na emeryturę i przeniósł się gdzieś na południe. Z dokumentacji sądu objazdowego wynika, że gdy wydawano mu to zezwolenie, Price był kawalerem, pracował w kantorze ze

złotem i srebrem o nazwie Finklestein's. I wiecie co? Tego kantoru już tam nie ma.

– A dokumentacja w wydziale ruchu drogowego?

– Żadnych mandatów. BMW z 1989 zarejestrowane na niego, mieszkanie niedaleko Dupond Circle, z którego wyprowadził się ubiegłej zimy. Biuro pośrednictwa nieruchomościami przejęło jego stare mieszkanie, mają o nim informację, że prowadzi własną firmę. Ciągłe jeszcze to badamy, Urząd Skarbowy ma nam udostępnić jego zeznania podatkowe z ostatnich pięciu lat.

– Czy możliwe, żeby był prywatnym detektywem? – spytałam.

– Nie w tym okręgu – odparł Marino.

Wesley popatrzył na mnie i powiedział:

– Ktoś go wynajął. W jakim celu, jeszcze nie wiemy. Najwyraźniej nie wywiązał się z zadania. Ten, kto za tym stoi, może spróbować ponownie. Nie chcę, żebyś się zetknęła z następnym takim gościem, Kay.

– Czy przekonam cię, jeśli powiem, że ja też tego nie chcę?

– Chcę ci tylko powiedzieć – ciągnął mentorskim tonem – żebyś unikała takich sytuacji, w których możesz być narażona na niebezpieczeństwo. Nie powinnaś na przykład zostawać w swoim biurze, gdy nikogo nie ma już w budynku. I to nie tylko w weekendy. Jeśli pracujesz do szóstej, siódmej wieczorem, i wszyscy już poszli, to nie wychodź sama po ciemku na parking. A jeszcze lepiej, żebyś wychodziła o piątej, kiedy wokół są jeszcze inni pracownicy?

– Zapamiętam to sobie.

– Albo gdy już musisz wyjść później, to wezwij strażnika i poproś, żeby cię odprowadził do samochodu – ciągnął Wesley.

– Zawsze możesz zadzwonić do mnie – szybko zaofiarował się Marino.

– Masz numer mojego pagera. Gdybym akurat nie był dostępny, poproś

dyspozytora o wysłanie samochodu.

Świetnie, pomyślałam. Jak będę miała szczęście, dotrę do domu już przed północą.

– Po prostu bądź szczególnie ostrożna – Wesley patrzył na mnie surowo.
– Pominąwszy już wszystkie nasze domysły, dwoje ludzi zostało zabitych. Zabójca wciąż jest na wolności. Motywy tych zbrodni są dla mnie na tyle niejasne, że moim zdaniem wszystko jest możliwe.

Jego słowa przypominały mi się kilkakrotnie podczas jazdy do domu. Kiedy wszystko jest możliwe, nic nie jest niemożliwe. Jeden plus jeden to nie jest trzy. A może jest? Śmierć Sterling Harper zdawała się nie należeć do tego samego równania, co śmierć jej brata i Beryl. Ale jeśli było inaczej?

– Mówiłeś, że panny Harper nie było w domu tej nocy, kiedy zamordowano Beryl – zwróciłam się do Marina. – Dowiedziałeś się czegoś więcej?

– Nie.

– Gdziekolwiek była, czy sądzisz, że pojechała tam samochodem?

– Nie. Harperowie mieli tylko tego białego rollsa, a wtedy miał go jej brat.

– Jesteś pewien?

– Sprawdziłem w gospodzie Culpepera – powiedział. – Harper przyjechał wtedy o zwykłej porze i wyszedł około wpół do siódmej.

W świetle ostatnich wydarzeń nikt chyba się nie zdziwił, gdy na poniedziałkowym zebraniu personelu oświadczyłam, że biorę należny mi urlop.

Uznano, że moje spotkanie z Jebem Price'em było dla mnie tak silnym przeżyciem, że potrzebuję teraz odpocząć, zapomnieć o pracy na jakiś czas. Nie powiedziałam nikomu, dokąd się wybieram, bo sama tego nie

wiedziałam. Po prostu wyszłam, pozostawiając za sobą zadowoloną z tego w głębi ducha sekretarkę oraz zavalone papierami biurko.

Wróciłam do domu i cały ranek spędziłam przy telefonie. Obdzwoniłam wszystkie linie lotnicze, które obsługiwały loty z lotniska Byrd w Richmond. Lotnisko to było położone najdogodniej dla Sterling Harper.

– Tak, wiem, że potrąćcie dwadzieścia procent – rozmawiałam z agentem USAir. – Pan mnie źle zrozumiał. Nie chcę zmienić rezerwacji. To było kilka tygodni temu. Chcę się tylko dowiedzieć, czy w ogóle leciała tym samolotem.

– To nie był pani bilet?

– Nie – powiedziałam po raz trzeci. – Był wystawiony na jej nazwisko.

– W takim razie ta pani musi się zgłosić do nas osobiście.

– Ale Sterling Harper nie żyje. Nie może sama się z wami skontaktować. Zapadła cisza.

– Zmarła nagle mniej więcej wtedy, gdy miała lecieć – wyjaśniłam. – Gdyby pan mógł sprawdzić w komputerze...

I tak w kółko. Doszło do tego, że recytowałam te same zdania całkiem bezmyślnie. W USAir nic nie mieli, to samo w Delta, United, American i Eastern. Z informacji udzielonych mi przez agentów linii lotniczych wynikało, że pani Harper nie opuszczała Richmond samolotem w ostatnim tygodniu października, kiedy zamordowano Beryl Madison. Nie wyjechała też samochodem. Wątpiłam, by pojechała autobusem. Pozostawał więc tylko pociąg.

Agent firmy Amtrak o imieniu John powiedział, że jego komputer jest zepsuty, i zaproponował, że do mnie oddzwoni. Gdy odłożyłam słuchawkę, usłyszałam dzwonek u drzwi.

Nie było jeszcze południa. Dzień był rześki, słońce malowało białe prostokąty na ścianach mojego pokoju i odbijało się od przedniej szyby

nieznanej mi mazdy zaparkowanej przed domem. Wyrzałam przez wizjer i zobaczyłam jasnowłosego mężczyznę o bladej karnacji, stojącego przed drzwiami ze spuszczoną głową i podniesionym kołnierzem skórzanej kurtki. Włożyłam rewolwer do kieszeni kurtki i odblokowałam zasuwę. Nie rozpoznałam go, dopóki nie stanęliśmy twarzą w twarz.

– Doktor Scarpetta? – zapytał nerwowo.

Nie zapraszałam go do środka, prawą dłoń trzymałam w kieszeni i ścisnęłam w niej rewolwer.

– Proszę mi wybaczyć to nagłe najście – powiedział. – Dzwoniłem do pani biura i powiedziano mi, że jest pani na urlopie. Znalazłem pani numer w książce telefonicznej, dzwoniłem, ale było zajęte. Pomyślałem więc, że jest pani w domu. Ja, no... muszę z panią porozmawiać. Mogę wejść?

W rzeczywistości wyglądał jeszcze bardziej nieporadnie niż na taśmie, którą pokazywał mi Marino.

– A w jakiej sprawie? – zapytałam stanowczo.

– Beryl Madison. To dotyczy jej – odparł. – Nazywam się Al Hunt. Nie zajmę pani dużo czasu. Obiecuję.

Odsunęłam się od drzwi i wpuściłam go. Jego twarz zrobiła się biała jak papier, gdy usiadłszy na kanapie w salonie zauważył rewolwer wystający z mojej kieszeni. Właśnie siadałam w bujanym fotelu w bezpiecznej od niego odległości.

– O, ma pani broń? – powiedział.

– Tak, mam.

– Nie lubię broni.

– Istotnie, nie ma czego lubić.

– Nie... ojciec wziął mnie kiedyś na polowanie. Byłem mały. Zastrzelił łanię. Ona płakała. Ta łania płakała. Leżała na boku i płakała. Nigdy nie mógłbym nic zastrzelić.

– Znał pan Beryl Madison? – spytałam.

– Policja... policja mnie o nią pytała – wyjąkał. – Jakiś porucznik... Marino. Porucznik Marino. Przyszedł do myjni, w której pracuję, i rozmawiał ze mną. Potem wezwał mnie na komisariat. Długo rozmawialiśmy. Ona przyprowadzała do nas samochód. Stąd ją znałem.

Kiedy tak opowiadał, nie mogłam powstrzymać się od myśli o tym, jakie „kolory” ode mnie emanują. Stalowoniebieski? Może trochę jaskrawoczerwonego, bo byłam zaniepokojona i robiłam wszystko, żeby to ukryć. Zastanawiałam się, czy nie kazać mu wyjść. Pomyślałam o wezwaniu policji. Nie mogłam uwierzyć, że siedzi na wprost mnie, w moim własnym domu, i chyba tylko prawdziwą zuchwałością z jego strony i ciekawością z mojej można wytłumaczyć to, że nic nie zrobiłam.

Przerwałam mu:

– Panie Hunt...

– Proszę mi mówić Al.

– No to Al – powiedziałam. – Czemu chciałeś się ze mną zobaczyć? Jeśli masz jakieś informacje, to dlaczego nie porozmawiasz z porucznikiem Marino?

Zaczerwienił się i zmieszany spuścił wzrok.

– To, co mam do powiedzenia, to właściwie nie jest taka informacja, o jaką chodzi policji. Pomyślałem, że może pani zrozumie.

– Czemu tak myślisz? Przecież mnie nie znasz.

– Przejęła się pani sprawą Beryl. Kobiety mają z reguły większą intuicję, więcej współczucia niż mężczyźni.

Może faktycznie tylko o to chodziło. Może Hunt przyszedł do mnie, bo sądził, że ja nie będę go upokarzać. Wpatrywał się we mnie wzrokiem osoby tak zranionej, wystraszonej, że aż bliskiej paniki.

Po chwili zapytał:

– Czy kiedykolwiek zdarzyło się pani coś wiedzieć na pewno, mimo braku jakichkolwiek dowodów potwierdzających to przekonanie?

– Nie mam zdolności paranormalnych, jeśli o to chodzi – odparłam.

– Zachowuje się pani jak naukowiec.

– Jestem naukowcem.

– Ale miała już pani to uczucie – nalegał, wpatrując się we mnie z desperacją. – Wie pani, o co mi chodzi, prawda?

– Tak – powiedziałam. – Chyba wiem, o co ci chodzi, Al.

Wyglądał, jakby mu ulżyło. Odetchnął głęboko.

– Wiem różne rzeczy. Wiem, kto zamordował Beryl.

Nie zareagowałam.

– Znam go, wiem, co myśli, czuje, czemu to zrobił – ciągnął z przejęciem. – Jeśli pani powiem, obieca pani potraktować to poważnie, uwzględnić to, a nie... no, nie chcę, żeby biegła pani z tym na policję. Oni by nie zrozumieli. Wie pani, o czym mówię?

– Bardzo poważnie potraktuję to, co masz do powiedzenia – zapewniłam go.

Pochylił się do przodu. Jego oczy lśniły intensywnie w twarzy o rysach delikatnych jak z portretu El Greco. Odruchowo przysunęłam prawą dłoń bliżej kieszeni i wyczułam kształt rewolweru.

– Policja nie rozumie – powiedział. – Nie potrafią mnie zrozumieć. Na przykład, dlaczego porzuciłem psychologię. Policja tego nie rozumie. Jestem magistrem. I co z tego? Pracowałem w szpitalu, a teraz pracuję w myjni. Pani też uważa, że policjanci tego nie rozumieją, prawda?

Nie odpowiedziałam.

– Jako dziecko marzyłem, by zostać psychologiem, opiekunem społecznym albo nawet psychiatrą – ciągnął. – To było jakby zgodne z naturą, z moimi predyspozycjami.

– Ale nie zostałeś – przypomniałam mu. – Dlaczego?

– Bo to by mnie zniszczyło – powiedział, odwracając wzrok. – To coś, nad czym nie mam kontroli. Tak bardzo się utożsamiam z problemami i cechami innych, że ta osoba, która jest we mnie, dusi się, ginie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak to jest silne, dopóki nie spędziłem trochę czasu na oddziale psychiatrii sądowej. Dla psychicznie chorych przestępców. No... to była część moich badań do pracy magisterskiej – stawał się coraz bardziej rozkojarzony, zdenerwowany. – Nigdy tego nie zapomnę. Frankie. Frankie był schizofrenikiem paranoidalnym. Zatrącił swoją matkę polanem z kominka. Poznałem Frankiego. Prześledziłem z nim całe jego życie aż do tamtego zimowego popołudnia.

Zapytałem go: „Frankie, Frankie, co o tym zdecydowało? Co było tą ostatnią kroplą? Pamiętasz, co wtedy myślałeś, co czułeś?”

Powiedział, że siedział na krześle przed kominkiem, jak zazwyczaj patrzył w ogień, gdy oni zaczęli do niego szeptać. Szeptali straszne rzeczy, wyśmiewali się z niego, zachęcali do złych czynów. Kiedy weszła matka, spojrzała na niego tak, jak zawsze, ale tym razem zobaczył to coś w jej oczach. Głosy były już tak głośne, że nie mógł myśleć, i chwilę potem on był mokry i lepki od krwi, a ona nie miała już twarzy. Wreszcie głosy zamilkły. Potem wiele nocy nie mogłem spać. Gdy tylko zamykałem oczy, widziałem Frankiego, który płacze zbiczony krwią swojej matki. Rozumiałem go. Rozumiałem to, co zrobił. Z kimkolwiek rozmawiałem, jakąkolwiek opowieść słyszałem, zawsze przeżywałem to w ten sposób.

Siedziałam spokojnie, moja wyobraźnia wyłączyła się, a ujawniły się cechy rozsądnego, dociekliwego naukowca.

Zapytałam:

– Al, czy miałaś kiedyś ochotę kogoś zabić?

– W jakimś stopniu każdy kiedyś czuł coś takiego – powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

– Każdy? Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Każdego na to stać. Absolutnie.

– A ty kogo miałeś ochotę zabić? – spytałam.

– Nie mam pistoletu ani nic, no, niebezpiecznego – odpowiedział – bo nie chcę stwarzać sytuacji, w której poddałbym się impulsowi. Jeśli już człowiek wyobrazi sobie, że coś robi, kiedy zrozumie, jaki mechanizm go do tego popycha, wtedy bariera pęka. To może się zdarzyć. Niemal każdy ohydny postępek na tym świecie najpierw zrodził się w myślach. Nie jesteśmy dobrzy lub źli, tacy lub inni – jego głos drżał – nawet ci, których określamy jako chorych psychicznie, mają swoje powody, dla których robią to, co robią.

– Jaki był powód tego, co stało się Beryl? – zapytałam.

Myślałam bardzo precyzyjnie i jasno wyrażałam swoje myśli. Mimo to poczułam mdłości na wspomnienie tamtych obrazów: ciemne plamy na ścianach, rany klute na jej piersiach, książki stojące na półce, jakby czekałyby wziąć je do ręki.

– Osoba, która to zrobiła, kochała ją – powiedział.

– Okazała to w dość brutalny sposób, nie uważasz?

– Miłość potrafi być brutalna.

– Kochałeś ją?

– Byliśmy bardzo podobni.

– Pod jakim względem?

– Niedopasowani – znowu przyglądał się swoim dłoniom. – Samotni, wrażliwi i nierozumiani. I dlatego była taka odległa, ostrożna i nieprzystępna. Nic o niej nie wiem... to znaczy, nigdy nikt mi o niej nie opowiadał. Ale wyczuwałem tę istotę, która tkwiła w jej wnętrzu. Intuicja

mi mówiła, że ona miała świadomość tego, kim jest, znała swoją wartość. Jednak czuła się pokrzywdzona, że za tę inność musi płacić tak wysoką cenę. Została zraniona. Nie wiem, co ją zraniło. Dlatego zależało mi na niej. Chciałem się do niej zbliżyć, bo wiedziałem, że mógłbym ją zrozumieć.

– Więc czemu się nie zbliżyłeś?

– Okoliczności nie sprzyjały. Może, gdybyśmy się spotkali gdzie indziej... – odparł.

– Opowiedz mi o osobie, która tak się z nią obeszła – powiedziałam. – Czy on zbliżyłby się do niej, gdyby okoliczności temu sprzyjały?

– Nie.

– Nie?

– Okoliczności nigdy nie byłyby sprzyjające, gdyż on do niej nie pasuje i wie o tym.

Uderzająca była jego nagła przemiana. Teraz zamienił się w psychologa. Głos miał spokojniejszy, był skoncentrowany, mocno ścisnął dłonie na kolanach.

– Ma o sobie bardzo niskie mniemanie i nie potrafi wyrażać uczuć w sposób konstruktywny. Jego zainteresowanie zmienia się w obsesję, miłość staje się patologią. Kiedy kocha, musi po siadać, tak bardzo czuje się niepewny, nic niewart, a do tego zagrożony. Jeśli jego ukryta miłość nie zostaje odwzajemniona, jego obsesja staje się jeszcze silniejsza. Do tego stopnia, że zmniejsza się jego zdolność reagowania i normalnego funkcjonowania. Tak jak Frankie, gdy słyszał głosy. Coś przejmuje nad nim kontrolę, on sam przestaje nad sobą panować.

– Jest inteligentny? – zapytałam.

– Dostyc.

– A wykształcenie?

– Jego problemy są tak poważne, że nie jest w stanie wykorzystać całego swojego potencjału umysłowego.

– Czemu ona? – zapytałam wreszcie. – Dlaczego wybrał Beryl Madison?

– Ona ma wolność, sławę, których on nie ma – odpowiedział Hunt z błyskiem w oczach – sądzi, że ona mu się podoba, ale to coś więcej. Chce zawładnąć tymi cechami, których jemu brakuje. Chce posiadać ją całą. W jakimś sensie chce być nią.

– Wynika z tego, że wiedział, iż Beryl była pisarką? – spytałam.

– Niewiele można przed nim ukryć. W taki czy inny sposób musiał się dowiedzieć, że jest pisarką. Wiedział o niej tyle, że gdy zaczęła zdawać sobie z tego sprawę, musiała się poczuć bardzo zagrożona i napastowana.

– Opowiedz mi o tamtej nocy – poprosiłam. – Co się wtedy stało?

– Wiem tylko to, co przeczytałem w gazetach.

– Więc co wywnioskowałeś na podstawie gazet?

– Była w domu – powiedział, odwracając wzrok – i było dość późno, kiedy stanął przed jej drzwiami. Najprawdopodobniej sama go wpuściła. Gdzieś przed północą opuścił jej dom i wtedy włączył się alarm. Została zadżgana nożem. Podejrzewano napad na tle seksualnym. Tyle wiem z prasy.

– Masz jakieś własne teorie na temat tego, co mogło się tam zdarzyć? Jakieś domysły wykraczające poza to, co czytałeś?

Pochylił się i jego zachowanie nagle całkiem się zmieniło. W jego oczach pojawił się błysk emocji, zaczęła mu drżeć dolna warga.

– Miewam wizje – powiedział.

– Na przykład?

– Rzeczy, o których nie chciałbym mówić policji.

– Nie jestem z policji.

– Oni by nie zrozumieli – ciągnął. – Widzę i czuję te rzeczy, choć nie ma żadnego wytłumaczenia dlaczego. Zupełnie jak Frankie – zamrugał oczami, by powstrzymać łzy – jak inni. Widziałem, co się stało, i rozumiałem to, chociaż nie zawsze znałem szczegóły. Ale wcale nie trzeba zawsze znać szczegóły. W większości przypadków i tak nie uda się wszystkiego dowiedzieć. Wie pani, dlaczego tak jest?

– Nie jestem pewna...

– Bo tacy jak Frankie też nie znają szczegółów! To jak wypadek, którego się dokładnie nie pamięta. Świadomość wraca, jakby się człowiek budził ze złego snu, i nagle patrzy na wrak samochodu. Na matkę, która nie ma już twarzy. Albo na Beryl, zbroszoną krwią, nieżywą. Tacy jak Frankie budzą się, gdy uciekają albo gdy gliniarz, który wcześniej nie zadzwonił, podjeżdża pod dom.

– Chcesz powiedzieć, że morderca Beryl sam nie bardzo pamięta, co zrobił?

Skinął twierdząco głową.

– Jesteś pewien?

– Wasz najlepszy psychiatra mógłby go przesłuchiwać z milion lat i nigdy nie wydobyłby z niego prawdziwego przebiegu wydarzeń – powiedział Hunter. – Prawda nigdy nie będzie znana. Trzeba ją odtworzyć i w pewnym sensie wydedukować.

– I to właśnie zrobiłeś. Odtworzyłeś i wydedukowałeś!

Obliznął dolną wargę, oddychał szybko.

– Chce pani, żebym opowiedział, co widzę?

– Tak – odparłam.

– Sporo czasu minęło od jego pierwszego kontaktu z nią – zaczął – ale ona zupełnie go nie dostrzegała, choć mogła się z nim spotkać kiedyś w przeszłości... spotkać, nawet o tym nie wiedząc. Jego frustracja, jego

obsesja przywiodły go na jej próg. Musiał być jakiś impuls, który sprawił, że poczuł nieodpartą potrzebę zobaczenia jej.

– Jaki? – spytałam. – Co to był za impuls?

– Nie wiem.

– Co czuł, kiedy postanowił do niej pójść?

Hunt zamknął oczy i powiedział:

– Gniew. Gniew, że nie może pokierować zdarzeniami zgodnie ze swoją wolą.

– Gniew, ponieważ nie mógł jej zdobyć?

Nie otwierając oczu, Hunt powoli potrząsnął przecząco głową i powiedział:

– Nie. Może to było najbliżej powierzchni. Jednak prawdziwa przyczyna tkwi dużo głębiej. Gniew, bo od początku nic nie układało się tak, jak tego pragnął.

– Kiedy był dzieckiem? – spytałam.

– Tak.

– Był bity, molestowany?

– Emocjonalnie – odparł Hunt.

– Przez kogo?

Nie otwierając oczu, odpowiedział:

– Przez matkę. Zabijając Beryl, zabił swoją matkę.

– Al, czytujesz podręczniki psychiatrii sądowej? Lubisz czytać o takich rzeczach? – zapytałam.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby nie dosłyszał pytania.

Po chwili ciągnął z przejęciem.

– Musi pani zrozumieć, jak wiele razy wyobrażał sobie tę chwilę. To nie było spontaniczne działanie. Jedynie czas można by uznać za wybrany

spontanicznie, ale sposób zaplanował w najdrobniejszych szczegółach. Absolutnie nie mógł sobie pozwolić na to, by poczuła się zagrożona i nie wpuściła go do środka. Zadzwoiłaby na policję, podała jego rysopis. Nawet gdyby go nie złapali, byłby już zdemaskowany i nie mógłby się więcej do niej zbliżyć. Opracował więc plan, który musiał się powieść, coś, co me wzbudziłoby jej podejrzeń. Kiedy pojawił się wówczas pod jej drzwiami, wzbudzał zaufanie. I wpuściła go.

Wyobraziłam sobie mężczyznę w korytarzu Beryl, jednak nie widziałam jego twarzy ani koloru włosów, tylko niewyraźną postać i błysk długiego stalowego ostrza, którym ją zamordował.

– Właśnie wtedy stracił poczucie rzeczywistości – ciągnął Hunt. – Nie będzie pamiętał, co się potem stało. Jej strach, przerażenie nie sprawiają mu przyjemności. Tej części rytuału zupełnie nie przemyślał. Uciekała, próbowała się od niego uwolnić, widział strach w jej oczach i wtedy właśnie ostatecznie uświadomił sobie, że ona go odrzuca. Zrozumiał, jak straszne jest to, co robi, i jego pogarda dla samego siebie przerodziła się w pogardę dla niej. Złość. Zdegradowała go do najniższej formy. Zabójca. Niszczyciel. Bezmyślny drapieżca, rwący, szarpiący i zadający ból. Im bardziej kaleczył, pozbawiał twarzy tę świątynię, tak długo będącą miejscem jego kultu, tym bardziej nie mógł znieść jej widoku.

Popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem. Jego twarz pozbawiona była jakichkolwiek uczuć, gdy spytał:

- Czy to pani pomoże?
- Słucham. – Tylko tak potrafiłam odpowiedzieć.
- On jest w nas wszystkich.
- Czy ma wyrzuty sumienia?
- Jest ponad to – odparł. – Nie sądzę, żeby był zadowolony z tego, co zrobił, albo żeby tak naprawdę zdawał sobie z tego sprawę. Dla niego ona

nie umarła. Myśli o niej, wspomina jakieś spotkania i wyobraża sobie, że ich znajomość była najgłębszym uczuciem, ponieważ w ostatniej chwili życia jej myśli dotyczyły jego, a to jest wyrazem największej bliskości. W swoich fantazjach wyobraża sobie, że ona jeszcze po śmierci o nim myśli. Ale racjonalna część jego duszy jest sfrustrowana i niezadowolona. Nikt nie może całkowicie należeć do innej osoby i on właśnie zaczyna to rozumieć.

– Co to znaczy?

– Jego czyn nie mógł przynieść pożądanego efektu. Nie jest pewien tej bliskości... tak jak nigdy nie był pewien bliskości swojej matki. Znowu brak zaufania. I są jeszcze inni, którzy mają większe prawo do związku z Beryl niż on.

– Na przykład?

– Policja – spojrzał mi prosto w oczy – i pani.

– Ponieważ badamy sprawę tego morderstwa? – zapytałam, czując przebiegający po plecach dreszcz.

– Tak.

– Ponieważ stała się obiektem naszego zainteresowania i nasz związek z nią jest bardziej uzasadniony niż jego? – powiedziałam.

– Tak.

– Do czego to prowadzi? – zapytałam.

– Cary Harper nie żyje.

– On zabił Harpera?

– Tak.

– Dlaczego? – nerwowo zapaliłam papierosa.

– To, co zrobił Beryl, zrobił z miłości – odparł

Hunt. – Harpera zabił z nienawiści. Teraz owładnęła nim nienawiść. Każdy, kto jest związany z Beryl, jest w niebezpieczeństwie. Właśnie to chciałem

powiedzieć porucznikowi Marino, policji. Ale wiem, że to by nic nie dało. On... oni by tylko uznali, że brak mi piątej klepki.

– Kim on jest? – zapytałam. – Kto zabił Beryl?

Al Hunt przesunął się na skraj kanapy i objął twarz rękoma. Gdy podniósł na mnie wzrok, jego policzki były mocno czerwone.

– Jim Jim – wyszeptał.

– Jim Jim? – powtórzyłam zaintrygowana.

– Nie wiem – głos mu się załamał. – Cały czas słyszę to imię, słyszę je, słyszę...

Nawet nie drgnęłam.

– To było tak dawno, kiedy byłem w szpitalu Yalhalla.

– Na oddziale medycyny sądowej? – przerwałam mu. – Czy ten Jim Jim był pacjentem, gdy tam byłeś?

– Nie jestem pewien – w jego oczach widać było wzbierającą burzę emocji. – Słyszę to imię i widzę tamto miejsce. Moje myśli wracają do tamtych ponurych wspomnień. Jakby coś ze mnie wysysano. To było tak dawno. Wiele wspomnień wyblakło. Jim Jim. Jim Jim. Jak stukot pociągu. Ciągle to słyszę. Mam już od tego bóle głowy.

– Kiedy to było? – spytałam.

– Dziesięć lat temu – krzyknął.

Szybko policzyłam, że Hunt nie mógł wtedy pracować nad pracą magisterską, bo miał dopiero kilkanaście lat.

– Al – powiedziałam. – Ty nie prowadziłeś tam badań, byłeś tam pacjentem, prawda?

Zakrył twarz dłońmi i rozplakał się. Kiedy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, nie chciał już rozmawiać. Wyraźnie bardzo zmieszany, wymamrotał, że spóźni się na umówione spotkanie, i dosłownie wybiegł z domu. Serce biło mi mocno. Zrobiłam sobie kawę i zaczęłam chodzić po

kuchni, myśląc intensywnie, co powinnam teraz zrobić. Podskoczyłam na dźwięk telefonu.

– Poproszę z panią Kay Scarpetta.

– Przy telefonie.

– Tu John z firmy Amtrak. Wreszcie zdobyłem tę informację. Chwileczkę... Sterling Harper kupiła bilet powrotny na pociąg na dwudziesty siódmy października, powrót trzydziestego pierwszego. Według moich danych była w pociągu albo przynajmniej był ktoś z jej biletami. Podać pani godziny odjazdu?

– Tak, proszę – powiedziałam i zanotowałam to, co podyktował. – Jakie stacje?

– Z Fredericksburg do Baltimore – usłyszałam w odpowiedzi.

Próbowałam skontaktować się z Marinem. Był w terenie. Dopiero wieczorem odpowiedział na mój telefon i dostarczył nowych informacji.

– Chcesz, żebym przyszła? – zapytałam zaskoczona.

– Nie, nie trzeba. Nie ma wątpliwości, jak to się stało. Napisał list i przypiął go do swoich szortów. Napisał, że przeprasza. Że nie mógł tego dłużej znieść. To mniej więcej tyle. Niczego podejrzanego nie widać. Zaraz będziemy to sprawdzać. I jest tu doktor Coleman – dodał, wymieniając nazwisko jednego z moich podwładnych.

Wkrótce po tym, jak opuścił mój dom, Al Hunt pojechał do siebie, do domu z cegły w Ginter Park, gdzie mieszkał wraz z rodzicami. Wziął notes i pióro z gabinetu ojca. Zszedł po schodach do piwnicy i wyciągnął ze spodni wąski pasek z czarnej skóry. Buty i spodnie zostawił na podłodze. Kiedy jakiś czas później jego matka zeszła na dół, żeby wstawić pranie, znalazła jedynaka wiszącego na rurze w pralni.

Rozdział jedenasty

Po północy zaczęła padać marznąca mżawka i nad ranem wszystko pokryte było lodem. Sobotę spędziłam w domu, nieustannie odtwarzając rozmowę z Alem Hunttem, a moje myśli zmroziły mój spokój, tak jak nagła gołoledź zmroziła ziemię za oknem. Czułam się winna. Jak każdy śmiertelnik, który kiedykolwiek zetknął się z samobójstwem, miałam poczucie, że mogłam coś zrobić, by temu zapobiec.

Odrętwiała, dopisałam go do listy ofiar. Nie żyły już cztery osoby. Dwie z nich zostały okrutnie zamordowane, dwie pozostałe zginęły w innych okolicznościach, lecz wszystkie te przypadki miały ze sobą coś wspólnego. Może jaskrawe pomarańczowe włókno. W sobotę i niedzielę pracowałam w domu, bo mój gabinet w mieście tylko by mi przypominał, że w tej sprawie nie panuję już nad sytuacją, a więc nie czuję się potrzebna. Praca posuwała się beze mnie. Ludzie rozmawiali ze mną i wkrótce potem umierali. Szanowani koledzy, jak choćby prokurator generalny, szukali u mnie odpowiedzi, a ja nie miałam nic do zaoferowania.

Walczyłam z przeszłością w jedyny niepewny sposób, jaki znałam. Siedząc przed komputerem, zapisywałam informacje na temat wszystkich przypadków i konsultowałam je z encyklopediami. Wykonałam też wiele rozmów telefonicznych.

Nie widziałam Marina aż do spotkania w poniedziałek rano na stacji Amtrak na Staples Mill Road. Przeszliśmy między dwoma czekającymi pociągami, czując zapach oleju w powietrzu rozgrzanym przez

lokomotywy. Znalazłszy nasze miejsca w pociągu, wróciliśmy do rozmowy zaczętej jeszcze na stacji.

– Doktor Masterson nie był zbyt rozmowny – powiedziałam o psychiatrze Ala Hunta, ostrożnie kładąc papierową torbę – ale coś mi się wydaje, że pamięta Hunta o wiele lepiej, niż twierdzi. – Dlaczego tak się dzieje, że zawsze trafia mi się miejsce z uszkodzonym podnóżkiem.

Marino ziewnął szeroko, rozkładając swój podnózek, który działał sprawnie. Nie zaproponował, byśmy się zamienili miejscami. Gdyby zaproponował, zgodziłabym się natychmiast.

Odpowiedział:

– No to Hunt miał jakieś osiemnaście, dziewiętnaście lat, gdy był w wariatkowie.

– Tak. Był leczony na poważną depresję – powiedziałam.

– Domyślam się.

– A co to niby ma znaczyć? – spytałam.

– Tacy jak on zawsze są w depresji.

– Co znaczy „tacy jak on”?

– Powiedzmy, że słowo „pedał” przemknęło mi przez myśl kilka razy, gdy z nim rozmawiałem – odparł.

Słowo „pedał” przemykało Marinowi przez myśl kilka razy, gdy tylko rozmawiał z mężczyzną, który w jakiś sposób się wyróżniał.

Pociąg ruszył cicho niczym łódź oddalająca się od przystani.

– Szkoda, że nie nagrałaś tej rozmowy – ciągnął Marino, ziewając.

– Z doktorem Mastersonem?

– Nie, tej z Huntem. Kiedy do ciebie przyszedł.

– To takie dywagacje. Nieistotne – odpowiedziałam zmieszana.

– No nie wiem. Zdaje mi się, że sporo wiedział. Że też nie posiedział u ciebie dłużej. Może by powiedział coś więcej.

To, co Hunt powiedział w moim pokoju, mogłoby mieć znaczenie, gdyby nadal żył i nie posiadał alibi. Policja dokładnie sprawdziła dom jego rodziców. Nie znaleziono nic, co mogłoby łączyć Hunta z morderstwami Beryl Madison i Cary'ego Harpera. Co więcej, w dniu śmierci Beryl Hunt jadł kolację z rodzicami, a kiedy zamordowano Harpera, był z rodzicami w operze. Te zeznania zostały sprawdzone. Rodzice Hunta mówili prawdę.

Trzęsąc się, kiwając i stukocząc, pociąg posuwał się na północ przy wtórze złowieszczonego gwizdu lokomotywy.

– Ta sprawa z Beryl go przerosła – mówił Marino. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to czuł się tak związany z zabójcą, że aż zwariował, wypadł poza nawias, załamał się.

– Raczej bardziej prawdopodobne, że Beryl rozdrapała starą ranę – odpowiedziałam. – To mu przypomniało, że nie jest zdolny do nawiązania jakiegokolwiek związku.

– To brzmi tak, jakby on i zabójca byli z jednej gliny. Obaj niezdolni do związków z kobietami. Obaj nieudacznicy.

– Hunt nie był zdolny do użycia przemocy.

– A może zauważył u siebie takie skłonności i nie mógł z tym żyć.

– Nie wiemy, kto zabił Beryl i Harpera – przypomniałam mu. – Nie wiemy, czy to był ktoś taki jak Hunt. Nie dość, że tego nie wiemy, to jeszcze wciąż nie mamy pojęcia, jaki mógł być motyw. Zabójcą równie dobrze mógł być ktoś taki jak Jeb Price. Albo ktoś o imieniu Jim Jim.

– Tylko Jima nam jeszcze brakowało – burknął pogardliwie.

– Nie powinniśmy niczego zaniedbać, Marino.

– W porządku. Droga wolna. Znajdź Jima Jima, który wyszedł ze szpitala Valhalla, w wolnych chwilach dorabia sobie jako terrorysta i nosi na sobie pomarańczowe akrylowe włókna, i daj mi znać – sadowiąc się

wygodnie na siedzeniu i zamykając oczy, mruknął jeszcze: – Ja potrzebuję odpoczynku.

– Ja też – powiedziałam. – Potrzebuję odpoczynku od ciebie.

Poprzedniego wieczora Benton Wesley zadzwonił do mnie, żeby pomówić o Huncie, i wspomniałam mu, dokąd i po co się wybieram. Uparł się, że nie powinnam jechać sama, roztoczył przede mną wizję terrorystów, pocisków szalejących nad moją głową i nakazał, żeby pojechał ze mną Marino. Może bym nawet nie miała nic przeciwko temu, gdyby nie łączyło się to z tyloma trudnościami. Nie było już miejsc na pociąg o szóstej trzydzieści pięć rano, więc Marino zarezerwował dla nas obojga miejsca na czwartą czterdzieści pięć. O trzeciej nad ranem pojechałam do biura po pudełko z pianki styropianowej, które umieściłam w torbie na zakupy. Czułam się fizycznie ukarana, brak snu tak dawał mi się we znaki, że przysłał wszystko inne. Nie musieli mnie wykańczać żadni terroryści, Marino, mój anioł stróż robił to za nich.

Pozostali pasażerowie drzemali, lampki nad ich głowami były pogaszone. Wkrótce przejeżdżaliśmy powoli przez środek Ashland i myślałam o ludziach mieszkających w białych, zadbanych domach stojących wzdłuż torów. Minęliśmy senne nabrzeża – fryzjer, sklep papierniczy, bank – i gdy zostało już za nami miasteczko studenckie przy Randolph-Macon College, pociąg zwiększył prędkość. Za miastem ciągnęły się lasy i czerwony, gliniasty brzeg morza. Rozparłam się wygodnie na swoim siedzeniu i milczałam, wsłuchana w rytm pociągu. Im bardziej oddalaliśmy się od Richmond, tym większy ogarniał mnie spokój, i wreszcie całkiem niezamierzenie zapadłam w drzemkę.

Nic mi się nie śniło, ale przez godzinę pozostawałam w stanie nieświadomości. Kiedy otworzyłam oczy, za oknami ujrzałam błękitny świt ponad Quantico Creek. Woda wyglądała jak wypolerowana cyna, odbijająca

światło od swoich wgłębień i wypukłości. Po jej powierzchni pływały statki. Pomyślałam o Marku. Pomyślałam o naszym pobycie w Nowym Jorku i o dawnych czasach. Nie miałam od niego żadnych wiadomości od czasu, gdy nagrał się na moją sekretarkę. Zastanawiałam się, co robi, choć równocześnie wolałam tego nie wiedzieć.

Marino wyprostował się, spoglądając na mnie z ukosa. Nadszedł czas na śniadanie i papierosa, choć niekoniecznie w tej kolejności.

Klientelę wagonu restauracyjnego stanowili na wpół śpiący podróżni, którzy równie naturalnie wyglądaliby na każdym dworcu autobusowym w Ameryce. Młody mężczyzna przysypiał w takt muzyki płynącej ze słuchawek jego walkmana. Zmęczona kobieta trzymała na rękach wiercące się niemowlę. Para staruszków grała w karty. Znaleźliśmy pusty stolik w rogu. Zapaliłam papierosa, a Marino poszedł kupić coś do jedzenia. Jedyną zaletą przyniesionej przez niego kanapki z szynką i z jajkiem było to, że była ciepła. Kawa była niezła.

Marino rozerwał zębami celofan i spojrzał na torbę, którą położyłam na siedzeniu obok siebie. Wewnątrz było styropianowe pudełko z próbkami wątroby Sterling Harper, próbkami z jej krwią i z zawartością jej żołądka w suchym lodzie.

– Kiedy to się rozmrozi? – zapytał.

– Zdążymy dojechać i jeszcze zostanie nam mnóstwo czasu, zakładając, że nie ma żadnych objazdów – odpowiedziałam.

– Teraz właśnie mamy mnóstwo czasu. Czy możesz mi wobec tego powtórzyć to, co mówiłaś o tym syropie na kaszel? Wczoraj wieczorem, jak mi to tłumaczyłaś, już prawie spałem.

– Zupełnie jak dzisiaj rano.

– A ty nigdy nie jesteś zmęczona?

– Jestem tak zmęczona, Marino, że nie wiem, jak długo pociągnę.

– No, lepiej, żebyś nie padła. Ja sam na pewno nie złożę tych kawałków w całość – oświadczył, sięgając po kawę.

Zaczęłam mu wyjaśniać powoli i dokładnie.

– Aktywnym składnikiem syropu na kaszel, który znaleźliśmy w łazience pani Harper, jest dextromethorphan, odpowiednik kodeiny. Dextromethorphan jest łagodny, jeśli stosuje się go w odpowiednich dawkach. To d-izomer pewnego związku, którego nazwa nic ci nie powie...

– Czyżby? Skąd wiesz, że nic mi nie powie?

– Trójmetoksy-N-metylmorphan.

– Masz rację. Nic mi to nie mówi.

Ciągnęłam:

– Jest jeszcze jeden lek, który stanowi 1-izomer tego samego związku, którego d-izomerem jest dextromethorphan. Ten 1-izomer to levomethorphan, silny środek, jakieś pięć razy silniejszy od morfiny. A jedyną różnicą między tymi dwoma lekami, jaką da się zauważyć, jest to, że obserwowany przez obrotowe urządzenie zwane polarimetrem, dextromethorphan obraca się lekko w prawo, a levomethorphan obraca się lekko w lewo.

– Innymi słowy, bez tego ustrojstwa nie dałoby się ich odróżnić? – podsumował Marino.

– Nie w rutynowych testach toksykologicznych – odpowiedziałam. – Levomethorphan daje takie same wyniki jak dextromethorphan, bo ich skład jest taki sam. Jedyną dostrzegalną różnicą jest to, że zwracają się w przeciwne strony, chociaż strukturalnie oba są tym samym disacharydem. Cukroza D to cukier spożywczy. Cukroza L nie ma wartości odżywczej dla ludzi.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Marino, pocierając oczy. – Jak składniki mogą być te same, ale inne?

– Pomyśl o dextromethorphanie i levomethorphanie jak o bliźniakach – powiedziałam. – To nie są te same osoby, ale wyglądają tak samo... tylko jeden jest praworęczny, a drugi leworęczny. Jeden jest łagodny, drugi tak mocny, że może zabić. Teraz rozumiesz?

– Chyba tak. Więc ile tego levomethorphanu musiałaby zażyć panna Harper, żeby z sobą skończyć?

– Pewnie starczyłoby jakieś trzydzieści miligramów. Czyli piętnaście tabletek dwumiligramowych – odparłam.

– I co potem, gdyby to zrobiła?

– Bardzo szybko zapadłaby w głęboki sen i zmarła.

– Sądzisz, że wiedziała o tych całych izomerach?

– Możliwe – powiedziałam. – Wiemy, że miała raka, podejrzewamy też, że chciała zataić fakt samobójstwa, co wyjaśniałyby stopiony plastik w kominku i popiół z czegoś, co spaliła tuż przed śmiercią. Możliwe, że specjalnie zostawiła butelkę syropu na kaszel, żeby nas zmylić. Gdy znaleziono tę butelkę, nie byłam zaskoczona, kiedy badania wykazały obecność dextromethorphanu.

– Panna Harper nie miała żyjących krewnych, przyjaciół niewiele... jeśli w ogóle... i nie wyglądała mi na osobę, która wiele podróżowała. Kiedy odkryłam, że ostatnio pojechała do Baltimore, natychmiast skojarzyłam to z kliniką Johna Hopkinsa, jedną z najlepszych klinik onkologicznych na świecie. Kilka telefonów i już wiedziałam, że panna Harper jeździła do kliniki na regularne badania krwi i szpiku kostnego. To rutynowe postępowanie w przypadku tej choroby, którą, jak się zdaje, utrzymywała w tajemnicy. Kiedy poinformowano mnie o stosowanym leczeniu, nagle mnie olśniło. Laboratoria w naszym budynku nie mają polarimetru ani żadnej możliwości wykrycia levomethorphanu. Doktor Ismail z kliniki Hopkinsa obiecał mi pomoc, jeśli mu przywiozę potrzebne próbki.

Nie było jeszcze siódmej. Znajdowaliśmy się na przedmieściach Waszyngtonu. Wzdłuż torów ciągnęły się lasy i mokradła, aż nagle pojawiło się miasto. Między drzewami lśniło Mauzoleum Jeffersona. Wysokie biurowce były tak blisko, że za czystymi szybami widziałam kwiaty w doniczkach i lampy, nim pociąg zanurzył się pod ziemię i niczym kret na oślep przedzierał się przez tunel pod centrum.

Zastaliśmy doktora Ismaila w laboratorium kliniki farmakologii. Wyjęłam z torby małe styropianowe pudełko i położyłam je na biurku.

– To te próbki, o których rozmawialiśmy? – zapytał z uśmiechem.

– Tak – odpowiedziałam. – Powinny być jeszcze zamrożone. Przyszliśmy tu prosto z dworca.

– Jeśli stężenia są odpowiednie, będę mógł dać pani odpowiedź za dzień lub dwa.

– Co dokładnie chce pan z tym zrobić? – zapytał Marino, rozglądając się po laboratorium, które wyglądało, jak wszystkie laboratoria.

– To bardzo proste – odpowiedział cierpliwie doktor Ismail. – Najpierw pobiorę wyciąg z próbki zawartości żołądka. To będzie, najdłuższa i najbardziej uciążliwa część testu. Później umieszczę ten wyciąg w polarimetrze, który wyglądem bardzo przypomina teleskop. Ale jego soczewki są obrotowe. Patrę i obracam soczewkami w prawo i w lewo. Jeśli badany lek to dextromethorphan, to wygnie się lekko w prawo, to znaczy światło w moim polu widzenia będzie jaśniejsze, gdy obrócę soczewki w prawo. W przypadku levomethorphanu dzieje się odwrotnie.

Dalej wyjaśnił, że levomethorphan jest bardzo skutecznym lekiem przepisywanym niemal wyłącznie osobom chorym na raka. Ponieważ został on tutaj wynaleziony, zapisywano wszystkich pacjentów, którzy je stosowali. Miało to na celu ustalenie zakresu działania leku. Dzięki temu istniała dokumentacja dotycząca leczenia panny Harper.

– Przyjeżdżała regularnie co dwa miesiące na badania krwi i szpiku kostnego i przy każdej wizycie dostawała kolejną porcję, około dwustu pięćdziesięciu tabletek dwumiligramowych – mówił doktor Ismail, wyglądając strony grubej księgi obserwacji – zaraz... Ostatnia wizyta była dwudziestego ósmego października. Powinno jej zostać co najmniej siedemdziesiąt pięć albo i sto tabletek.

– Nie znaleźliśmy ich – powiedziałam.

– Szkoda – podniósł ciemne, smutne oczy. – A tak dobrze sobie radziła. Uroczą kobietą. Zawsze z przyjemnością witałem ją i jej córkę.

Po chwili milczenia wywołanego zaskoczeniem powtórzyłam:

– Córkę?

– Tak sędzę. Młoda kobieta. Blondynka...

Marino przerwał mu:

– Była tu z panną Harper ostatnim razem, pod koniec października?

Doktor Ismail zmarszczył czoło i powiedział:

– Nie. Nie przypominam sobie, że bym ją widział. Panna Harper była wtedy sama.

– Od ilu lat panna Harper tu przyjeżdżała? – zapytałam.

– Będę musiał wyjąć jej kartę choroby. Ale wiem, że kilka lat. Co najmniej dwa.

– Czy jej córka, ta blondynka, zawsze jej towarzyszyła?

– Na początku nie tak często. Ale w ciągu ostatniego roku towarzyszyła jej podczas każdej wizyty, z wyjątkiem tej ostatniej w październiku i chyba poprzedniej. Ujęło mnie to. Miłe, gdy chora osoba może liczyć na wsparcie rodziny.

– Gdzie nocowała panna Harper, gdy tu przyjeżdżała? – Szczęka Marina znowu drżała.

– Większość pacjentów zatrzymuje się w hotelach w pobliżu. Ale panna Harper lubiła okolice portu – powiedział doktor Ismail.

Moje reakcje były zwolnione przez napięcie i brak snu.

– Nie wie pan, jaki hotel? – nalegał Marino.

– Nie, nie mam pojęcia...

Nagle przypomniałam sobie strzępki słów na spopielałym papierze.

Przerwałam im:

– Czy mogłabym przejrzeć książkę telefoniczną?

Piętnaście minut później Marino i ja staliśmy na ulicy, rozglądając się za taksówką. Słońce świeciło mocno, ale nie było ciepło.

– Cholera – powtórzył. – Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Wkrótce się dowiemy.

W wykazie firm w książce telefonicznej widniał hotel o nazwie Port Court. Pamiętałam maleńkie czarne literki ort Co, ort C na strzępkach spalonego papieru. Hotel, który nas interesował, był najbardziej luksusowym hotelem w mieście, a znajdował się na wprost portu.

– Czegoś tu nie rozumiem – zaczął Marino, gdy minęła nas kolejna taksówka. – Po co ten cały galimatias? Panna Harper popełnia samobójstwo. W porządku. Ale po co zadaje sobie tyle trudu i robi to w taki tajemniczy sposób? Rozumiesz coś z tego?

– Była dumną kobietą. Prawdopodobnie samobójstwo było dla niej rzeczą haniebną. Może nie chciała, żeby ktokolwiek się tego domyślił, możliwe też, że świadomie postanowiła odebrać sobie życie podczas mojej obecności w jej domu.

– Czemu?

– Może nie chciała, żeby jej ciało znaleziono tydzień później. – Ruch był bardzo duży i już zaczynałam się zastanawiać, czy nie będziemy musieli zdać się na własne nogi.

– I naprawdę myślisz, że wiedziała o tych izomerach?

– Myślę, że tak.

– Po co jej to było?

– Ponieważ pragnęła umrzeć z godnością. Możliwe, że już od dawna myślała o samobójstwie, w razie gdyby jej białaczka weszła w stan ostry, a ona nie chciałaby cierpieć ani zmuszać innych do cierpienia. Levomethorphan był idealnym wyborem. W większości wypadków nigdy nie zostałyby wykryty... o ile w jej domu znaleziono by środek wykrztuśny zawierający dextromethorphan.

– No nie – wyraził swój zachwyt, gdy wreszcie taksówka zjechała na bok, żeby zatrzymać się koło nas. – To naprawdę niezwykle. Słowo daję, jestem pod wrażeniem.

– To tragiczne.

– Nie wiem – wyjął gumę do żucia z papierka i zaczął ją żuć z wigorem.

– Co do mnie, też nie chciałbym leżeć na szpitalnym łóżku... z całą tą aparaturą, jakimiś rurami w nosie. Może zrobiłbym to samo co ona.

– Ależ ona nie zabiła się z powodu raka.

– Wiem – powiedział, gdy schodziliśmy z krawężnika. – Ale to ma związek. Musi mieć. I tak nie zostało jej wiele życia. Beryl zostaje zabita. Potem jej brat – wzruszył ramionami. – Po co to dalej ciągnąć?

Wsiadliśmy do taksówki, podałam taksówkarzowi adres. Jechaliśmy dziesięć minut w milczeniu. Potem taksówka zwolniła i pod wąskimi arkadami wjechała na ceglany dziedziniec ozdobiony klombami, na którym rosły orientalne rośliny i karłowate drzewka. Natychmiast pojawił się portier we fraku i kapeluszu i wprowadził nas do wspaniałego, oświetlonego holu w różowo-kremowych barwach. Wszystko było tu nowe, czyste i lśniące. Na pięknych meblach stały świeże cięte kwiaty, a hotelowy personel, nie narzucając się, gotów był zareagować na każde wezwanie.

Wprowadzono nas do eleganckiego biura, gdzie wytwornie ubrany kierownik rozmawiał przez telefon. T.M. Bland, jak informowała mosiężna tabliczka na biurku, spojrzał na nas i szybko zakończył rozmowę. Marino od razu przystąpił do rzeczy.

– Lista gości nie jest do wglądu – odparł pan Bland, uśmiechając się łagodnie.

Marino usiadł na skórzanym krześle i zapalił papierosa, nie zważając na tablicę z napisem NIE PALIĆ wiszącą na ścianie niemal na wprost niego. Po chwili wyjął portfel i pokazał policyjną odznakę.

– Pete Marino – powiedział lakonicznie. – Policja z Richmond. Wydział zabójstw. A to jest doktor Kay Scarpetta, naczelny lekarz sądowy Wirginii. Rozumiemy wasze zasady dotyczące zachowania danych w tajemnicy i szanujemy za to pański hotel. Ale Sterling Harper nie żyje. Jej brat Cary Harper nie żyje. I Beryl Madison również nie żyje. Cary Harper i Beryl zostali zamordowani. Jeszcze nie mamy pewności, co spowodowało śmierć panny Harper. I właśnie dlatego tu jesteśmy.

– Czytałem gazety – powiedział pan Bland. Widać było, że się waha. – Hotel z pewnością udzieli policji pomocy we wszelki możliwy sposób.

– A więc mówi pan, że byli waszymi gośćmi.

– Cary Harper nigdy tu nie był.

– Ale jego siostra i Beryl Madison były.

– Zgadza się.

– Jak często i kiedy były tu ostatnio?

– Będę musiał to sprawdzić – odparł pan Bland. – Przepraszam na chwilę.

Pozostawił nas na niecałe piętnaście minut, a kiedy wrócił, wręczył nam wydruk z komputera.

– Jak państwo widzą – powiedział, siadając – panna Harper i Beryl Madison zatrzymały się u nas sześć razy w ciągu ostatniego półtora roku.

– Mniej więcej co dwa miesiące – skonstatowałam na głos, przeglądając daty na wydruku – z wyjątkiem ostatniego tygodnia sierpnia i kilku dni pod koniec października. Wynika z tego, że wtedy panna Harper była tu sama.

Bland skinął głową.

– W jakim celu przyjeżdżały? – spytał Marino.

– Może w interesach. Na zakupy. Albo dla relaksu. Naprawdę nie wiem. Nie zwykliśmy śledzić naszych gości.

– A ja nie zwykłem interesować się tym, co robią wasi goście, póki nie widzę ich martwych.

Proszę mi więc powiedzieć, co pan zauważył w zachowaniu tych dwu pań.

Bland przestał się uśmiechać, nerwowo porwał z notesu pióro ze złotą stalówką i nagle wydał się zagubiony, jakby nie wiedział, po co to zrobił. Wsunął pióro do kieszeni wykrochmalonej różowej koszuli i chrząknął.

– Mogę tylko powiedzieć to, co rzuciło mi się w oczy – powiedział.

– Proszę – rzekł Marino.

– Te dwie panie podróżowały osobno. Zwykle panna Harper meldowała się w przeddzień przyjazdu panny Madison. Często też wyjeżdżały o różnych porach i osobno.

– Co to znaczy, że wyjeżdżały o różnych porach?

– To znaczy, że mogły się wymeldować tego samego dnia, ale niekoniecznie o tej samej porze i niekoniecznie wybierały ten sam środek transportu. Na przykład nie jechały tą samą taksówką.

– Czy obie jeździły na dworzec kolejowy? – zapytałam.

– Wydaje mi się, że panna Madison zazwyczaj korzystała z limuzyny na lotnisko – odparł Bland – ale tak, panna Harper chyba najczęściej jeździła

pociągiem.

– A co z noclegami? – spytałam, przyglądając się wydrukowi.

– No właśnie – wtrącił Marino. – Tu nic nie ma o ich pokoju – stuknął palcem wskazującym w wydruk. – Mieszkały w pokoju jedno – czy dwuosobowym? To znaczy, jedno łóżko czy dwa?

Pan Bland odpowiedział, zaczerwieniwszy się:

– Zawsze nocowały w pokoju dwuosobowym z widokiem na przystań. Były gośćmi naszego hotelu, panie poruczniku, jeśli już musi pan znać szczegóły, a to na pewno nie nadaje się do rozpowszechniania.

– No nie, czy wyglądam na reportera?

– Czy to znaczy, że zatrzymywały się w waszym hotelu za darmo? – spytałam zaskoczona.

– Tak jest, łaskawa pani.

– Mógłby pan to wyjaśnić? – zażądał Marino. – Taka była wola pana Josepha McTigue – odparł Bland.

– Słucham? – pochyliłam się w przód i spojrzałam mu prosto w oczy – tego budowlańca z Richmond? Mówi pan o tym Josephie McTigue?

– Świętej pamięci pan McTigue był jednym z budowniczych dużej części nabrzeża. Ma on poważne udziały w tym hotelu. Jego wolą było, abyśmy wszelkimi możliwymi sposobami gościli pannę Harper. Przestrzegaliśmy tego nawet po jego śmierci.

Kilka minut później wsunęłam w dłoń portiera dolarowy banknot, po czym wraz z Marinem wsiedliśmy do taksówki.

– Możesz mi łaskawie powiedzieć, kim u diabła jest ten Joseph McTigue? – zapytał, gdy włączyliśmy się już do ruchu. – Zdaje się, że wiesz.

– Odwiedziłam jego żonę w Richmond. Mieszka w Apartamentach Jesieni. Mówiłam ci o tym.

– O, kurcze.

– Mnie to też zaskoczyło.

– I co o tym sądzisz?

Nie wiedziałam, ale zaczynałam mieć pewne podejrzenia.

– Dla mnie to brzmi dość dziwnie – ciągnął. – Już samo to, że panna Harper jeździła pociągiem, a Beryl samolotem, chociaż obie chciały dotrzeć w to samo miejsce.

– To nie takie dziwne. Pewnie nie mogły podróżować razem. Nie chciały ryzykować. Pamiętasz, że nie wolno im było utrzymywać żadnych kontaktów, prawda? Gdyby tak Cary Harper zechciał któregoś dnia odebrać siostrę z dworca, Beryl nie mogłaby nagle zniknąć, jeśli podróżowałyby razem – urwałam, gdyż coś przyszło mi do głowy. – Mogło też być tak, że panna Harper pomagała Beryl w pisaniu książki, udzielała jej jakichś informacji o rodzinie Harperów.

Marino wyglądał przez okno. Wreszcie powiedział:

– Chcesz znać moje zdanie? Myślę, że te dwie damy były lesbijkami.

Zauważyłam zdziwiony wzrok kierowcy w lusterku.

– Myślę, że się kochały – rzekłam po prostu. – Więc może spotykały się co dwa miesiące tu, w Baltimore, gdzie nikt ich nie znał i nikt nie zwracał na nie uwagi.

– Wiesz – nalegał Marino – może dlatego Beryl postanowiła uciec właśnie do Key West. Ponieważ była homo, czuła się tam jak w domu.

– Twoja homofobia jest naprawdę obsesyjna, że nie powiem męcząca. Powinieneś uważać, bo ludzie mogą zacząć podejrzewać ciebie.

– Racja – powiedział, ani trochę nierozbawiony.

Milczałam.

– A może Beryl znalazła sobie tam jakąś przyjaciółkę.

– Może powinieneś to sprawdzić.

– O, co to, to nie. Nie dam się zarazić żadnym choróbskiem w tej amerykańskiej stolicy AIDS. Poza tym rozmawianie z bandą zboczeńców wcale nie jest moim ideałem spędzania czasu.

– Zwróciłeś się do policji na Florydzie, żeby sprawdzili jej kontakty? – zapytałam poważnie.

– Kilku z nich się rozglądało. Nie byli zadowoleni z takiego zadania. Bali się zjeść cokolwiek, pić wodę. Jeden z pedałów z tej restauracji, o której pisała w listach, umiera właśnie na AIDS. Gliniarze cały czas musieli nosić rękawiczki.

– Podczas przesłuchań?

– No pewnie. I jeszcze maski chirurgiczne... przynajmniej, gdy rozmawiali z tym umierającym. Nie dowiedzieli się nic przydatnego, nic, co by nam pomogło.

– Domyślam się. Traktujecie ludzi jak trędowatych, to nie chcą się przed wami otworzyć.

– Moim zdaniem powinno się odciąć tę część Florydy i pozwolić jej odpłynąć w siną dal.

– Na szczęście – powiedziałam – nikt cię nie pyta o zdanie.

Kiedy wieczorem wróciłam do domu, na automatycznej sekretarce znalazłam sporo wiadomości.

Miałam nadzieję, że jedna z nich będzie od Marka. Usiadłam na krawędzi łóżka z kieliszkiem wina w ręku i z niewielkim zainteresowaniem słuchałam głosów płynących z taśmy.

Bertha, moja pomoc domowa, miała grypę i informowała, że nie będzie mogła przyjść następnego dnia. Prokurator generalny chciał się ze mną spotkać przy śniadaniu i donosił, że egzekutor woli Beryl Madison procesuje się o zaginiony maszynopis. Trzej dziennikarze dzwonili z prośbą o komentarz, a mama chciała się dowiedzieć, czy na Boże Narodzenie wolę

indyka czy szynkę – w ten niezbyt zawoalowany sposób próbowała wy badać, czy przynajmniej ten jeden raz w tym roku może liczyć na moją obecność.

Nie znałam zasapanego głosu, który był następny.

– ...Masz takie piękne jasne włosy, Kay. Naturalne czy tlenione?

Przewinęłam taśmę. Trzęsącymi się dłońmi otworzyłam szufladę szafki nocnej.

– ...Naturalne czy tlenione? Zostawiłem ci mały podarek na ganku z tyłu.

Oniemiała, z rugerem w dłoni, jeszcze raz przewinęłam taśmę. Był to niemal szept, bardzo cichy i wyważony. Biały mężczyzna. Nie słyszałam żadnego charakterystycznego akcentu, w jego tonie nie wyczuwałam żadnych uczuć. Odgłos własnych kroków na schodach wystraszył mnie. Włączałam światła w każdym pomieszczeniu, przez które przechodziłam. Ganek mieścił się na tyłach kuchni. Serce waliło mi jak młotem, gdy podeszłam do okna, za którym widać było karmnik dla ptaków, i lekko uchyliłam zasłonę. Rewolwer trzymałam wysoko, skierowany lufą w sufit.

Światło z ganku rozpraszało ciemności i wyłaniało zarysy drzew na skraju mojego podwórza. Ceglana weranda była pusta. Nic nie widziałam ani tam, ani na schodach. Otoczyłam palcami gałkę u drzwi i czekałam chwilę, słysząc, jak głośno bije mi serce. Po chwili obróciłam gałkę.

Odgłos skrobania po drewnianej powierzchni drzwi był ledwie słyszalny, a kiedy zobaczyłam, co wisi na zewnętrznej gałce, zatrzasnęłam drzwi tak gwałtownie, że aż szyby zadrżały.

Głos Marina sprawiał wrażenie, jakbym wyciągnęła go z łóżka.

– Przyjedź tu! – krzyknęłam do telefonu głosem o oktawę wyższym niż zwykle.

– Czekaj na mnie – powiedział stanowczo. – Nie otwieraj drzwi nikomu, póki nie przyjadę. Rozumiesz? Już jadę.

Cztery krążowniki stały na ulicy przed moim domem, a funkcjonariusze z latarkami przemierzali ciemności pośród drzew i krzaków.

– Jednostka G dziewięć jest w drodze – powiedział Marino, stawiając swoją krótkofalówkę na stole w kuchni. – Wątpię, żeby ten gość jeszcze się tu plątał, ale musimy mieć pewność, zanim się stąd wyniesiemy.

Po raz pierwszy widziałam Marina w dżinsach i może by nawet wyglądał całkiem do rzeczy, gdyby nie para białych sportowych skarpetek i miękkie chodaki, a do tego szara dresowa bluza o numer za mała. Kuchnię wypełnił zapach świeżej kawy. Zaparzyłam dzbanek na tyle duży, że wystarczyłoby dla połowy okolicy. Rozglądałam się wokół, szukając jakiegoś zajęcia.

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz, teraz powoli – poprosił Marino, zapaliwszy papierosa.

– Odsłuchiwałam wiadomości nagrane na sekretarce – powtórzyłam. – Ostatni był ten głos. Biały mężczyzna, młody. Będziesz musiał sam go posłuchać. Powiedział coś o moich włosach, chciał wiedzieć, czy są tlenione – wzrok Marina niespokojnie zwrócił się ku moim włosom. – Potem dodał, że zostawił dla mnie prezent na ganku z tyłu. Przyszłam tu, wyjrzałam przez okno i nic nie widziałam. Nie wiem, czego się spodziewałam. Nie wiem. Czegoś okropnego w pudełku. Kiedy otworzyłam drzwi, usłyszałam, że coś skrobie po drewnie. To wisiało na gałce od zewnątrz.

W plastikowej torebce na środku stołu leżał charakterystyczny złoty medalion na grubym złotym łańcuchu.

– Jesteś pewien, że Harper miał to na sobie w gospodzie? – spytałam ponownie.

– Jestem pewien. – Na twarzy Marina widać było skupienie. – Na sto procent. Nie mam też wątpliwości, gdzie do tej pory była ta rzecz. Ten drań

zdjął to z ciała Harpera i oto dostałaś przedwczesny prezent gwiazdkowy. Wygląda na to, że spodobałaś się naszemu przyjacielowi.

– Daj spokój – powiedziałam zdenerwowana.

– Ja nie żartuję – nie uśmiechał się, gdy przysuwał do siebie torebkę i przyglądał się naszyjnikowi przez przezroczysty plastik. – Zapięcie jest wygięte, tak samo to małe ogniwo na końcu. Na mój gust, uszkodził go, gdy go zrywał z szyi Harpera. Potem może naprawił szczypcami. Możliwe, że go nosił. Do licha – strząsnął popiół z papierosa. – Znalazłaś jakieś ślady po łańcuszku na szyi Harpera?

– Niewiele zostało z jego szyi – powiedziałam tępo.

– Widziałaś kiedy taki medalion?

– Nie.

Wyglądał jak herb rodowy z osiemnastokaratowego złota, ale nie było na nim nic poza wygrawerowaną z tyłu datą 1906.

– Z tych czterech znaków jubilerskich na odwrocie wnioskuję, że pochodzi z Anglii – powiedziałam. – Te znaki to symbole oznaczające, kiedy wyrób został wykonany, gdzie i przez kogo. Każdy jubiler powinien je odczytać. Wiem na pewno, że nie może być z Włoch.

– Słuchaj...

– Numer siedemset pięćdziesiąt oznacza osiemnaście karatów. Pięćset to odpowiednik czternastu karatów...

– Hej...

– Znam jubilera w Schwarzschild's...

– Hej – powiedział głośno Marino. – To bez znaczenia.

Paapałam jak jakaś stara histeryczka.

– Cholerne drzewo genealogiczne wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli ten naszyjnik, nie powie nam najważniejszego... kto powiesił go na twoich

drzwiach. – Jego wzrok złagodniał, ściszył głos. – Co masz do picia? Może brandy. Masz brandy?

– Jesteś na służbie.

– Nie dla mnie – roześmiał się. – Dla ciebie. Nalej sobie tyle – pokazał palcami kilka centymetrów – a potem pogadamy.

Podeszłam do barku i wróciłam z małym kieliszkiem. Brandy paliła, płynąc do żołądka, i natychmiast zaczęła mnie rozgrzewać. Przestałam drzeć wewnątrz. Przestałam się trząść. Marino przyglądał mi się z zaciekawieniem. Jego zainteresowanie sprawiło, że zaczęłam zdawać sobie sprawę z wielu rzeczy. Miałam na sobie ten sam pomięty kostium, w którym wróciłam z Baltimore. Rajstopy wrzynały mi się w talię i fałdowały wokół kolan. Nagle uświadomiłam sobie konieczność umycia twarzy i zębów. Poczułam swędzenie skóry głowy. Byłam pewna, że wyglądam okropnie.

– Ten facet nie rzuca gróźb na wiatr – powiedział Marino cicho, gdy sączyłam swojego drinka.

– Pewnie się ze mną drażni dlatego, że mam do czynienia z tą sprawą. Drwi sobie. To nic szczególnego, że psychopaci prowokują śledczych, a nawet posyłają im pamiątki. – Nie bardzo wierzyłam w to, co mówiłam. Marino chyba też nie.

– Zatrzymam tu kogoś. Będziemy obserwować dom – oznajmił. – I mam dla ciebie kilka rad. Przestrzegaj ich dokładnie. Nie próbuj bagatelizować. – Patrzył mi prosto w oczy. – Na początek, niezależnie od tego, jakie masz zwyczaje, chcę, żebyś je zmieniała, kiedy to tylko możliwe. Jeśli zwykle jeździsz do sklepu w piątki po południu, jedź w środę i to do innego sklepu. Nie wychodź z domu ani z samochodu, zanim się rozejrzysz. Jeśli zobaczysz coś dziwnego, obcy samochód zaparkowany na ulicy albo ślady, że ktoś był na twoim terenie, od razu się ewakuuj lub pozamykaj jak

najstaranniej i dzwoń na policję. Kiedy wchodzisz do domu i poczujesz cokolwiek... to znaczy, nawet jeśli tylko będziesz miała jakieś przeczucie... wynoś się stąd, znajdź telefon i dzwoń na policję, poproś funkcjonariusza, żeby wszedł z tobą i sprawdził, czy wszystko jest w porządku.

– Mam alarm antywłamaniowy.

– Beryl też miała.

– Ona go wpuściła.

– Ty nie wpuszczaj nikogo, kogo nie jesteś pewna.

– Co on zrobi, ominie mój system alarmowy? – Nie dawałam za wygraną.

– Wszystko możliwe.

Przypomniałam sobie, że to samo mówił Wesley.

– Nie wychodź z biura po zmroku albo gdy nikogo nie ma w pobliżu. To samo dotyczy przychodzenia do pracy. Jeśli zwykle przychodzisz, gdy jeszcze jest dość ciemno, a parking pusty, to zacznij przychodzić później. Zawsze miej włączoną automatyczną sekretarkę. Nagrywaj wszystko. Jeśli jeszcze zadzwoni, natychmiast mnie powiadom. Jeszcze ze dwa razy i założymy ci podsłuch...

– Tak jak założyliście Beryl? – Zaczynała ogarniać mnie złość.

Nie odpowiedział.

– No co, Marino? Czy moje prawa też zostaną uwzględnione tylko częściowo? Dopiero wtedy, kiedy już będzie za późno na jakąkolwiek pomoc?

– Chcesz, żebym tu dzisiaj spał na kanapie? – spytał spokojnie.

Myśl o powitaniu następnego dnia w jego towarzystwie wywołała niemiłe przeczucia. Wyobraziłam sobie Marina w bokserkach i opiętym podkoszulku, zdążającego na bosaka w kierunku łazienki. Możliwe, że nawet by się nie położył.

- Poradzę sobie – powiedziałam.
- Masz zezwolenie na broń?
- Na noszenie broni w ukryciu? – spytałam. – Nie.

Rozparł się wygodniej w fotelu i powiedział:

- Rano będę rozmawiał z sędzią Reinhardem. Wyrobimy ci zezwolenie.
- Tak skończył się ten dzień. Zbliżała się północ.

Kilka chwil później byłam już sama i nie mogłam zasnąć. Wypiłam kieliszek brandy, potem jeszcze jeden, i leżałam w łóżku, spoglądając na ciemny sufit. Jeżeli przeszło się w życiu wystarczająco dużo złych chwil, nieszczęścia same zaczynają stukać do drzwi, stają się magnesem ściągającym wszelkie niepowodzenia i niebezpieczeństwo. Zaczynałam się nad tym wszystkim zastanawiać. Może Ethridge miał rację. Może naprawdę za bardzo angażowałam się w te wszystkie sprawy i narażałam się na niebezpieczeństwo. Już wcześniej odbierałam różne telefoniczne pogróżki, zapowiadające odesłanie mnie do wieczności.

Kiedy wreszcie zapadłam w sen, śniły mi się obrazy pozbawione sensu. Ethridge cygarem wypalał dziurę w swojej kamizelce. Fielding pracował nad ciałem, które zaczynało wyglądać jak poduszka na szpilki, gdyż nie mógł znaleźć takiej tętnicy, w której byłoby choćby trochę krwi. Marino wspinał się na szczudłach na strome wzgórze i wiedział, że za chwilę się przewróci.

Rozdział dwunasty

Wczesnie rano stałam pośrodku ciemnego salonu i przyglądałam się cieniom i zarysom swojej posesji.

Mój plymouth był jeszcze w warsztacie. Patrząc na przydużego kombi, na którego byłam skazana, pomyślałam, że wcale nietrudno byłoby dorosłemu mężczyźnie ukryć się pod samochodem i chwycić mnie za nogę, gdybym otwierała drzwi po stronie kierowcy. Nie musiałyby mnie zabijać. Wcześniej umarłabym ze strachu. Ulica była pusta, latarnie świeciły słabym światłem. Wyjrzałam przez lekko uchylone zasłony. Nie zauważyłam nic podejrzanego. Nic nie słyszałam. Nic nie odbiegało od normy. Pewnie nic też nie odbiegało od normy, gdy Cary Harper wrócił do domu z gospody.

Do spotkania przy śniadaniu z prokuratorem generalnym została mi niecała godzina. Wiedziałam, że się spóźnię, jeśli nie wykrzesam z siebie odwagi, żeby wyjść przed własne drzwi i pokonać te dziewięć metrów chodnika dzielące mnie od samochodu. Dokładnie przyjrzałam się krzakom i niskim zaroślom okalającym trawnik. Niebo stawało się coraz jaśniejsze. Okrągły biały księżyc i oszroniona trawa połyskiwały dostojnie takim samym srebrzystym blaskiem.

Jak dostał się do ich domów, do mojego domu? Musiał mieć jakiś środek transportu. Mało mówiono o jego możliwościach przemieszczania się. Rodzaj pojazdu tyle samo mówi o zabójcy, co jego wiek i rasa, a jakoś nikt jeszcze tego nie poruszył, nawet Wesley. Patrząc na pustą ulicę, zastanawiałam się, dlaczego. Przypomniałam sobie też ponury nastrój Wesleya w Quantico.

Podczas śniadania z Ethridgem podzieliłam się z nim swoimi obawami.

– Może po prostu Wesley woli nie mówić ci o niektórych sprawach – zasugerował.

– Do tej pory zawsze był ze mną szczery.

– Kay, biuro stara się, aby jak najmniej informacji wydostawało się na zewnątrz.

– Wesley zajmuje się portretami psychologicznymi – odparłam. – Zawsze chętnie dzielił się ze mną swoimi opiniami i teoriami. Ale w tym przypadku nic nie mówi. W ogóle dość pobieżnie zajmuje się tymi przypadkami. Zmienił się. Nie ma poczucia humoru i unika mojego wzroku. To dziwne i bardzo irytujące.

Wzięłam głęboki oddech.

Wtedy Ethridge powiedział:

– Wciąż czujesz się izolowana, prawda?

– To tak.

– I trochę bliska paranoi.

– To też.

– Ufasz mi, Kay? Czy wierzysz, że jestem po twojej stronie i mam na celu twój najlepiej pojęty interes? – zapytał.

Skinęłam głową i znowu zaczerpnęłam tchu.

Rozmawialiśmy cicho w jadalni hotelu Capitol, ulubionym miejscu spotkań polityków i bogaczy. Trzy stoliki dalej siedział senator Partin i rozmawiał z młodą mężczyzną, którego już gdzieś widziałam.

– Większość z nas w trudnych chwilach tak właśnie się czuje. Czujemy się samotni – Ethridge patrzył na mnie życzliwie, z niepokojem na twarzy.

– Tak, jestem samotna – odparłam – czuję się tak, bo taka jest prawda.

– Rozumiem, dlaczego Wesley się martwi.

– Oczywiście.

– A mnie, jeśli chodzi o ciebie, Kay, martwi to, że opierasz swoje wnioski na intuicji, działasz instynktownie. Czasami to może być niebezpieczne.

– Czasami tak. Ale bardzo niebezpieczne bywa też to, że ludzie zbyt komplikują sprawy. Morderstwo jest zazwyczaj sprawą przytłaczająco prostą.

– Ale nie zawsze.

– Prawie zawsze, Tom.

– Nie sądzisz chyba, że machinacje Sparacina mają coś wspólnego z tymi zabójstwami? – zapytał prokurator generalny.

– Sądzę, że wszystko jest zbyt proste, żeby mieszać w to te machinacje. On i zabójca to być może pociągi jadące po równoległych torach. Oba niebezpieczne, nawet śmiertelnie niebezpieczne. Ale nie te same. Niepołączone ze sobą. Nienapędzane tymi samymi siłami.

– Nie sądzisz, że ten zaginiony maszynopis łączy się z tą sprawą?

– Nie wiem.

– Nie wiesz o nim nic więcej?

Te pytania sprawiły, że poczułam się, jakbym nie odrobiła pracy domowej. Wolalabym, żeby o to nie pytał.

– Nie, Tom – przyznałam. – Nie mam pojęcia, gdzie może być.

– Czy możliwe, że właśnie to spaliła Sterling Harper w kominku przed swoją śmiercią?

– Nie sądzę. Ekspert badał zwęglone skrawki papieru i stwierdził, że to wysokiej jakości papier czerpany. Przypomina papier listowy albo papier, jakiego używają prawnicy do pisania dokumentów. Raczej niemożliwe, żeby ktoś pisał brudnopis książki na takim papierze. Bardziej prawdopodobne, że panna Harper spaliła listy, papiery osobiste.

– Listy od Beryl Madison?

– Nie możemy tego wykluczyć – odparłam, chociaż w zasadzie niemal to wykluczyłam.

– Albo listy Cary’ego Harpera?

– W domu znaleziono spory zbiór jego prywatnych papierów – powiedziałam. – Nic nie wskazuje, żeby ktoś w nich ostatnio szperał.

– Gdyby te listy były od Beryl Madison, to po co panna Harper by je paliła?

– Nie wiem – odpowiedziałam, i wiedziałam, że Ethridge znowu myśli o swoim wrogu Sparacinie.

Sparacino działał szybko. Widziałam już pozew, całe trzydzieści trzy strony. Sparacino skarżył mnie, policję, gubernatora. Ostatnim razem, gdy widziałam się z Rose, poinformowała mnie, że dzwoniли do nas z pisma „People” i że jeden z ich fotografów robił zdjęcia budynku z zewnątrz dwa dni po tym, jak odmówiono im wstępu do środka. Stawałam się sławna. Równocześnie stawałam się coraz lepsza w odmawianiu komentarzy i w udzielaniu lakonicznych odpowiedzi.

– Myślisz, że mamy do czynienia z psychopatą, prawda? – zapytał Ethridge wprost.

Właśnie tak myślałam, i to mu powiedziałam. Pomarańczowe włókno mogło mieć związek z terrorystami albo też nie.

Popatrzył na swoją napoczętą porcję, a kiedy podniósł wzrok, to, co ujrzałam, przybiło mnie. Smutek, rozczarowanie. Ogromna niechęć.

– Kay – zaczął – nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Sięgnęłam po herbatnika.

– Musisz wiedzieć. Nieważne, co tak naprawdę się dzieje i dlaczego, nieważne, jakie są twoje prywatne opinie, musisz usłyszeć to, co mam ci do powiedzenia.

Postanowiłam, że wolę zapalić niż jeść, i sięgnęłam po papierosy.

– Mam pewien kontakt. Starczy powiedzieć, że to ktoś, kto pracuje dla Departamentu Sprawiedliwości...

– To dotyczy Sparacina – przerwałam mu.

– Marka Jamesa.

Nie byłabym bardziej zdenerwowana, gdyby prokurator generalny obrzucił mnie wyzwiskami. Zapytałam tylko:

– Co wiesz o Marku?

– Może to ja powinienem cię o to spytać, Kay.

– Zaraz, o co chodzi?

– Widziano was razem w Nowym Jorku kilka tygodni temu. W Gallagher's – przerwał, chrząknął, po czym dodał bez związku. – Nie byłem tam od lat.

Obserwowałam dym unoszący się z mojego papierosa.

– Jak pamiętam, dają tam dobre steki...

– Przestań, Tom – powiedziałam cicho.

– Wielu dobrodusznych Irlandczyków, którzy umieją sobie dać w gaz i się zabawić...

– Przestań, do cholery – powtórzyłam trochę za głośno.

Senator Partin zwrócił się w naszą stronę i szybko obrzucił wzrokiem najpierw Ethridge'a, a potem mnie. Nagle znalazł się przy mnie kelner, który nalewając mi kawę pytał, czy czegoś nie potrzebujemy. Poczułam, jak robi mi się gorąco.

– Tom, co ty wygadujesz? – powiedziałam. – Kto mnie widział?

Zbył moje pytanie machnięciem ręki.

– Ważne jest, jak dobrze go znasz.

– Znam go od bardzo dawna.

– To nie jest odpowiedź.

– Od studiów prawniczych.

– Byliście blisko?

– Tak.

– Kochankowie?

– O Boże, Tom!

– Przykro mi, Kay. To ważne – przyciskając serwetkę do ust, wyciągnął dłoń po kawę i rozejrzał się po sali. Widać było, że był bardzo zakłopotany.

– Powiedzmy otwarcie, że oboje spędziliście wspólnie większość nocy w Nowym Jorku. W hotelu Omni.

Policzki mi płonęły.

– Kay, nie interesuje mnie twoje życie prywatne. Nie sądzę też, by interesowało innych. Z wyjątkiem tego jednego przypadku. Zrozum, bardzo mi przykro – odchrząknął i w końcu spojrzał mi w oczy. – Do licha, w sprawie kumpla Marka, Sparacina, prowadzone jest dochodzenie przez Departament Sprawiedliwości...

– Jego kumpla?

– To naprawdę poważna sprawa, Kay – ciągnął Ethridge. – Nie wiem, jaki był Mark James, kiedy go znałaś na studiach, ale wiem, co się z nim stało od tamtej pory. Znam jego teczkę. Po tym, jak was widziano, przeprowadziłem małe śledztwo. Siedem lat temu miał poważne problemy w Tallahassee. Wymuszanie haraczu, defraudacja. Przestępstwa, za które został skazany i siedział w więzieniu. Po tym wszystkim wylądował jako współnik Sparacina, którego podejrzewa się o powiązania z przestępczością zorganizowaną.

Czułam się, jakby ktoś wypompował mi krew z serca. Musiałam zrobić się blada, bo Ethridge szybko podał mi szklankę wody i cierpliwie czekał, aż się pozbieram. Kiedy nasze spojrzenia znowu się spotkały, podjął temat w tym miejscu, w którym go przerwał.

– Mark nigdy nie pracował dla Orndorff & Berger, Kay. W tej firmie nikt o nim nie słyszał. Co mnie zresztą nie dziwi. Mark James nie mógł być prawnikiem. Był pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Wygląda na to, że jest po prostu osobistym pomocnikiem Sparacina.

– Czy Sparacino pracuje dla Orndorff & Berger? – zdołałam zapytać.

– Jest ich prawnikiem do spraw kultury. Przynajmniej to jest prawdą – odpowiedział.

Nie odezwałam się, starałam się powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

– Trzymaj się od niego z daleka, Kay – powiedział Ethridge, próbując nadać głosowi łagodny ton. – Zerwij z nim, na miłość boską. Cokolwiek was łączy, skończ z tym.

– Nic nas nie łączy – powiedziałam drżącym głosem.

– Kiedy ostatnio miałaś z nim kontakt?

– Kilka tygodni temu. Zadzwoił. Nie rozmawialiśmy dłużej niż pół minuty.

Skinął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Życie paranoika. Jeden z trujących owoców działalności przestępczej. Wątpię, by Mark James pozwolił sobie na długą rozmowę telefoniczną, tak jak wątpię, by zbliżył się do ciebie, gdyby niczego od ciebie nie potrzebował. Powiedz mi, jak to się stało, że byłaś z nim w Nowym Jorku.

– Chciał się ze mną spotkać. Chciał mnie ostrzec przed Sparacinem – po czym dodałam potulnie – tak przynajmniej twierdził.

– I ostrzegł cię?

– Tak.

– Co powiedział?

– To wszystko, co już mówiłeś o Sparacinie.

– Po co Mark ci to powiedział?

– Mówił, że chce mnie ochronić.

- Wierzysz w to?
- Nie wiem, w co wierzę.
- Kochasz tego człowieka?

W milczeniu wpatrywałam się w prokuratora generalnego, mój wzrok stawał się coraz bardziej zimny.

Powiedział bardzo cicho:

– Muszę wiedzieć, jak bardzo jesteś podatna na jego wpływy. Nie myśl, że sprawia mi to przyjemność, Kay.

– Nie myśl, że mnie to sprawia przyjemność, Tom – powiedziałam, z trudem zachowując spokój.

Ethridge podniósł serwetkę z kolan i starannie ją złożył przed wetknięciem pod krawędź talerza.

– Mam powody do obaw – powiedział tak cicho, że aż musiałam się pochylić, by go słyszeć – że Mark James mógłby ci bardzo zaszkodzić. Są powody do podejrzeń, że to on stoi za przeciekami z twojego biura.

– Jakie powody? – przerwałam mu piskliwym głosem. – O czym ty mówisz? Jaki dowód... – słowa ugrzęzły mi w gardle, gdyż senator Partin i jego młody towarzysz nagle znaleźli się przy naszym stoliku. Nie zauważyłam, jak wstawali i szli w naszą stronę. Po ich twarzach widać było, że zdają sobie sprawę, iż przeszkadzają w gorącej dyskusji.

– John, miło cię widzieć – Ethridge odsuwał swoje krzesło. – Znasz naczelnego lekarza sądowego, doktor Kay Scarpetta?

– Oczywiście. Co słychać, pani Scarpetta? – senator potrząsał moją dłońią z uśmiechem, patrząc gdzieś w dal. – A to mój syn, Scott.

Scott nie odziedziczył surowych, dość ostrych rysów ojca ani jego niskiej, postawnej sylwetki. Młody mężczyzna był niewiarygodnie przystojny, wysoki, silny, o pięknej twarzy z burzą wspaniałych czarnych włosów. Miał dwadzieścia kilka lat, a w oczach błysk bezczelności, który

mnie zaniepokoił. Ta serdeczna wymiana zdań nie poprawiła mi samopoczucia, nie poczułam się też lepiej, gdy ojciec i syn wreszcie zostawili nas samych.

– Już go gdzieś widziałam – powiedziałam do Ethridge’a, gdy kelner nalał nam kawy.

– Kogo? Johna?

– Nie, nie... oczywiście, że senatora już widziałam. Mówię o jego synu. Wygląda bardzo znajomo.

– Pewnie widziałas go w telewizji – odparł, spoglądając ukradkiem na zegarek. – Jest aktorem, a w każdym razie próbuje nim zostać. Zdaje się, że zagrał kilka drobnych ról w jakichś mydlanych operach.

– O Boże – wymamrotałam.

– Może też kilka ról w filmach. Był w Kalifornii, teraz mieszka w Nowym Jorku.

– Ach tak – powiedziałam zaskoczona.

Ethridge odstawił swoją filiżankę i spokojnie popatrzył na mnie.

– Skąd on wiedział, że spotkamy się tu na śniadaniu, Tom? – spytałam, starając się utrzymać obojętny ton głosu, choć nagle coś sobie uświadomiłam. „Gallagher”. Samotny młody mężczyzna pijący piwo kilka stolików od miejsca, gdzie siedziałam z Markiem.

– Nie wiem, skąd wiedział – odparł Ethridge z błyskiem skrywanej satysfakcji w oku. – Wystarczy, jak powiem, że mnie to nie dziwi, Kay. Młody Partin łązi za mną od wielu dni.

– Nie jest twoim kontaktem z Departamentu Sprawiedliwości...

– Ależ nie.

– Sparacino?

– Możliwe. To by miało sens, prawda?

– Po co?

Przejrzał rachunek i po chwili powiedział:

– Żeby wiedzieć na pewno, co się dzieje. Żeby szpiegować. Żeby zastraszać – podniósł na mnie wzrok – sama wybierz sobie odpowiedź.

Scott Partin wydał mi się jednym z tych zamkniętych w sobie młodych mężczyzn, którzy zwracają na siebie uwagę ponurą wspaniałością. Pamiętam, że czytał „New York Timesa”, z powagą popijając piwo. Zwróciłam na niego uwagę tylko dlatego, że obok niezwykle pięknych osób, podobnie jak obok wspaniałych kwiatowych kompozycji, trudno przejść obojętnie.

Poczułam potrzebę, by opowiedzieć o tym wszystkim Marinowi, kiedy kilka godzin później zjeżdżaliśmy windą na parter mojego biurowca.

– Jestem pewna – powtórzyłam. – Siedział dwa stoliki od nas w „Gallagher”.

– I nikogo z nim nie było?

– Zgadza się. Czytał, pił piwo. Nie sądzę, żeby coś jadł, ale nie pamiętam dokładnie – odpowiedziałam, gdy przechodziliśmy przez duży magazyn pachnący kartonami i kurzem.

Umysł i serce ścigały się, próbując obejść jeszcze jedno z kłamstw Marka. Mark twierdził, że Sparacina nie wiedział o moim przyjeździe do Nowego Jorku, że jego pojawienie się w restauracji było przypadkowe. To nie mogła być prawda. Młody Partin został wysłany tego wieczora, żeby mnie śledzić, a to było możliwe tylko w sytuacji, gdy Sparacino wiedział, że jestem tam z Markiem.

– Można też spojrzeć na to inaczej – powiedział Marino, gdy szliśmy przez zakurzone wnętrza budynku. – Powiedzmy, że jednym ze sposobów przetrwania w Wielkim Jabłku jest węszenie dla Sparacina? Mogło być tak, że Partin śledził Marka, nie ciebie. Pamiętasz, Sparacino polecił tę restaurację Markowi... przynajmniej Mark tak ci powiedział. Więc

Sparacino mógł wiedzieć, że Mark tam będzie tego wieczora. Sparacino każe Partinowi tam być, sprawdzić, co Mark knuje. Partin to robi, siedzi sam, pijąc piwo, kiedy wy dwoje wchodzicie. Może w którymś momencie dzwoni do Sparacina, daje mu cynk. I tyle. Dalej już wiesz, Sparacino wkracza do akcji.

Chciałam w to wierzyć.

– To tylko hipoteza – dodał Marino.

Wiedziałam, że nie powinnam w to wierzyć. Prawda była taka, co sobie bezlitośnie powtarzałam, że Mark mnie zdradził, że jest przestępcą, jakiego opisał Ethridge.

– Musisz wziąć pod uwagę wszystkie możliwości – podsumował Marino.

– Oczywiście – mruknęłam.

W kolejnym wąskim korytarzu zatrzymaliśmy się przed ciężkimi metalowymi drzwiami. Odnalazłam właściwy klucz i weszliśmy pomiędzy boksy, gdzie eksperci od broni palnej przeprowadzają testy dosłownie każdej broni znanej ludzkości. Pomieszczenie było ciemne, kuloodporne, jedną ścianę stanowiły stojaki na pistolety maszynowe i broń ręczną skonfiskowaną przez sądy i przesłaną do laboratorium. Tkwiły w nich karabiny i broń krótka. Przeciwległa ściana zrobiona była z pancernej stali wzmocnionej pośrodku, z tysiącami śladów po kulach wystrzelonych w ciągu wielu lat. Marino skierował się w róg, gdzie leżał stos nagich plastikowych torsów, bioder, głów i nóg, przywodzący na myśl Oświęcim.

– Wolisz lekkie mięso, prawda? – zapytał, wybierając blade zabarwioną męską klatkę piersiową.

Nic nie odpowiedziałam zajęta otwieraniem torby, z której wyjęłam rugera z nierdzewnej stali. Plastik chrobotał, gdy Marino grzebał w stercie sztucznych części ciała, z której w końcu wydobył głowę z pomalowanymi

na brązowo włosami i oczami. Wetknął ją na klatkę piersiową i umieścił tę atrapę na kartonowym pudle przy stalowej ścianie jakieś trzydzieści kroków dalej.

– Jeden strzał i będzie już tylko historią – powiedział.

Ładując rewolwer, podniosłam wzrok na Marina, który wydobył pistolet 9 mm zza paska spodni. Przeładowując broń, wyciągnął magazynek, po czym wsunął go z powrotem na miejsce.

– Wesołych Świąt – powiedział, wręczając mi zabezpieczoną broń, zwróconą rękojeścią w moją stronę.

– Nie, dziękuję – powiedziałam najgrzeczniej, jak potrafiłam.

– Pięć strzałów z twojej broni i wypadasz z gry.

– Jeśli nie trafię.

– Do licha. Każdy ma kilka niecelnych. Problem z twoim rugerem polega na tym, że kilka to wszystko, co masz.

– Wolałabym mieć kilka trafionych moim. Przecież ta zabawka tylko rozpryskuje ołów.

– Ale ma dużo większą siłę – powiedział.

– Wiem. Przy odległości piętnastu metrów znacznie większą, niż mam w swoim, gdy używam amunicji Silvertips Plus.

– Że nie wspomnę o trzykrotnie większej liczbie strzałów – dodał Marino.

Używałam już pistoletów 9 mm i nie lubiłam ich. Nie miały dokładności mojej trzydziestki ósemki. Nie były tak bezpieczne i mogły się zacinać. Nigdy nie byłam zwolennikiem zamiany jakości na ilość, zresztą nic nie zastąpi praktyki i znajomości rzeczy.

– Oczekujesz tylko jednego strzału – powiedziałam, zakładając nauszники.

– Tak, między oczy.

Trzymając rewolwer w lewej ręce, pociągałam za spust. Strzeliłam manekinowi w głowę, trzy razy w klatkę piersiową, a piąta kula drasnęła lewe ramię. Tors spadł z pudła i bezwładnie odbił się od stalowej ściany. Wszystko to rozegrało się w ciągu sekund.

Marino bez słowa położył swój pistolet 9 mm na stole i wydobył z kabury rewolwer 357. Widziałam, że czuł się urażony. Bez wątpienia zadał sobie wiele trudu, żeby znaleźć dla mnie automat. Myślał, że będę zadowolona.

– Dziękuję, Marino – powiedziałam.

Umieścił bębenek z powrotem na miejscu i powoli uniósł rewolwer.

Zaczęłam wyjaśniać, że doceniam jego troskę, choć wiedziałam, że mnie albo nie słyszy, albo nie słucha.

Cofnęłam się, a on wystrzelił sześć pocisków, po których głowa manekina podrygiwała w konwulsjach na podłodze. Stuknął w szybki ładownik i zajął się torse. Gdy skończył, w powietrzu unosił się ostry dym, a ja wiedziałam, że nie chciałabym być jego wrogiem.

– Nie ma to jak strzelać do leżącego – powiedziałam.

– Masz rację – zdjął nauszники.

Przesunęliśmy drewnianą ramę po szynie i przyczepiliśmy do niej papierową tarczę. Kiedy pudełko nabojów było już puste, a ja usatysfakcjonowana, że nadal trafiam w szeroki pas tarczy, wystrzeliłam kilka pocisków, żeby przeczyścić lufę i sięgnęłam po szmatkę zwilżoną rozpuszczalnikiem. Zapach rozpuszczalnika zawsze przywodził mi na myśl Quantico.

– Chcesz znać moje zdanie? – powiedział Marino, czyszcząc swoją broń.

– W domu potrzebujesz śrutówki.

Nie odpowiedziałam i włożyłam rugera do futerału.

– No wiesz, coś jak Remington. Można trafić gościa piętnastoma kulami kaliber trzydzieści dwa... trzy razy po całym magazynku. Mówimy o czterdziestu pięciu kawałkach ołowiu. Wtedy już na pewno nie wróci.

– Marino – powiedziała cicho – dam sobie radę. Naprawdę nie potrzebuję całego arsenału.

Spojrzał na mnie surowo.

– Wiesz, jak to jest strzelać do kogoś, kto idzie na ciebie jak czołg?

– Nie.

– A ja wiem. Po powrocie do Nowego Jorku opróżniłem magazynek na tego bydlaka, który dostał szajby na haju. Trafiłem drania cztery razy w górną część korpusu, a to nawet nie zmniejszyło tempa jego kroku. Zupełnie jak z horroru Stephena Kinga, facet szedł na mnie jak jakaś cholerna żywa głowa.

Znalazłam chusteczki higieniczne w kieszeni fartucha i zaczęłam ścierać olej i rozpuszczalnik z dłoni.

– Ten, który gonił Beryl po domu, jest taki sam... jak ten wariat, o którym ci mówię. Choćby go nie wiem jak zatrzymać, nie zwolni, gdy już wpadnie w trans.

– Ten w Nowym Jorku – zainteresowałam się. – Czy on zmarł?

– No tak. Na izbie przyjęć. Obaj jechaliśmy do szpitala tą samą karetką. To dopiero była podróż.

– Bardzo cię poranił?

Twarz Marina była nieodgadniona, gdy odpowiadał:

– Siedemdziesiąt osiem szwów. Rany ciała. Nigdy nie widziałas mnie bez koszuli. Facet miał nóż.

– Okropność – mruknęłam.

– Nie lubię noży.

– Ja też.

Ruszyliśmy do wyjścia. Czułam na sobie olej i proch strzelniczy. Strzelanie to czynność bardziej brudna, niż większość ludzi może sobie wyobrazić.

Gdy szliśmy z powrotem, Marino wyjął portfel. Po chwili wręczał mi mały kawałek papieru.

– Nie wypełniałam podania – powiedziałam, zaskoczona wpatrując się w zezwolenie na noszenie broni w ukryciu.

– Sędzia Reinhard był mi winien przysługę.

– Dziękuję, Marino.

Uśmiechnął się, otwierając przede mną drzwi.

Wbrew wskazówkom Wesleya i Marina, a także własnemu zdrowemu rozsądkowi pozostałam w pracy, aż zrobiło się ciemno i parking był już pusty. Wstałam od biurka i spojrzenie w kalendarz nieomal zważyło mnie z nóg.

Rose systematycznie reorganizowała mój rozkład zajęć. Spotkania przekładała lub odwołała, a wykłady i sekcje pokazowe przekazane zostały Fieldingowi. Minister zdrowia, mój bezpośredni przełożony, trzy razy próbował się ze mną skontaktować, a w końcu zasięgał informacji o moim stanie zdrowia.

Fielding coraz lepiej sobie radził jako mój zastępca. Rose spisywała protokoły z jego sekcji i z nagrań. Wykonywała jego pracę zamiast mojej. Słońce wschodziło i zachodziło jak dawniej, a biuro działało bez zakłóceń, ponieważ bardzo dobrze dobrałam i wyszkoliłam sobie personel. Zastanawiałam się, jak czuł się Bóg po stworzeniu świata, który uznał, że Boga nie potrzebuje.

Nie pojechałam od razu do domu, lecz do Apartamentów Jesieni. Na ścianach windy nadal wisiały te same nieaktualne ogłoszenia. Jechałam z

wychudzoną drobną kobietą, która nie odrywała ode mnie smutnych oczu, trzymając się balkonika niczym ptak uczepiony gałęzi.

Nie uprzedziłam pani McTigue o zamiarze przyjścia. Po kilku głośnych stuknięciach drzwi w końcu się uchyliły, gospodyni wyjrzała zaciekawiona ze swojego mieszkania wypełnionego meblami i hałasem z telewizora.

– Pani McTigue? – przedstawiłam się jeszcze raz, niepewna, czy będzie mnie pamiętała.

Drzwi otworzyły się szerzej, a jej twarz się rozpogodziła.

– Ależ oczywiście! Jak to miło, że pani przyszła. Proszę, niech pani wejdzie.

Miała na sobie różowy pikowany szlafrok i klapki w tym samym kolorze. Kiedy szłam za nią do salonu, wyłączyła telewizor i zgarnęła z kanapy tacę, z której najwyraźniej korzystała, posilając się masłem orzechowym i sokiem podczas oglądania wieczornych wiadomości.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałam – że przeszkodziłam pani w kolacji.

– Ależ tak tylko sobie pogryzałam. Może i pani się poczęstuje? – odpowiedziała szybko.

Odmówiłam grzecznie, siadając, podczas gdy ona krzątała się wokół, próbując ogarnąć salon. Przypomniała mi się moja babcia, której poczucie humoru nie opuszczało nawet wtedy, gdy widziała, jak jej ciało zamienia się w ruinę. Nigdy nie zapomnę jej odwiedzin w Miami latem tuż przed śmiercią, kiedy zabrałam ją na zakupy, a jej zaimprovizowana „pielucha” z męskich slipów elastycznych i podpaski osunęła się i wylądowała na wysokości kolan. Nie straciła rezonu, gdy pędziłyśmy do damskiej toalety, śmiejąc się tak bardzo, że ja sama bliska byłam utraty kontroli nad swoim pęcherzem.

– Mówią, że w nocy może spaść śnieg – orzekła pani McTigue, gdy już usiadła.

– Czuć wilgoć w powietrzu – odparłam daleka myślami – i na pewno jest na tyle zimno, że może spaść śnieg.

– Chyba jednak nie przewidują żadnego zachmurzenia.

– Nie lubię jeździć po śniegu – myślami byłam przy ważnych, niemiłych rzeczach.

– Może w tym roku będziemy mieć białe święta. Byłoby wspaniale.

– Tak, wspaniale. – Bez powodzenia szukałam wzrokiem, jakiegoś śladu maszyny do pisania.

– Nie pamiętam już, kiedy ostatnio mieliśmy śnieg w Boże Narodzenie.

Jej nerwowa paplanina była próbą zamaskowania jej zażenowania. Wiedziała, że przyszłam do niej z jakiegoś powodu i czuła, że nie będzie to nic miłego.

– Na pewno niczego pani nie chce? Może kieliszek porto?

– Nie, dziękuję – powiedziałam.

Cisza.

– Pani McTigue – zaczęłam. Jej oczy były ufne i niepewne jak u dziecka – czy mogłaby mi pani jeszcze raz pokazać tamto zdjęcie? To, które pokazała mi pani poprzednim razem.

Mrugnęła kilka razy. Na jej twarzy pojawił się słaby, blady uśmiech przypominający bliznę.

– To z Beryl Madison – dodałam.

– Oczywiście – powiedziała, powoli się podnosząc. Gdy podchodziła do sekretarzyka, wyglądała na zrezygnowaną. Kiedy wręczała mi fotografię, na jej twarzy widziałam strach, a może tylko zakłopotanie. Poprosiłam też o kopertę i złożoną kartkę beżowego papieru.

Natychmiast po dotyku poznałam, że jest to papier czerpany, a kiedy pochyliłam go w stronę lampy, zauważyłam znak wodny typowy dla papieru wysokiej jakości. Ledwo rzuciłam okiem na fotografię. Pani McTigue wyglądała już na zupełnie zdezorientowaną.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zdaję sobie sprawę, że moja wizyta panią dziwi.

Widać było, że brak jej słów. – To ciekawe. Fotografia wygląda na dużo starszą od papieru.

– Bo jest – odpowiedziała, nie spuszczać ze mnie przestraszonego wzroku. – Znalazłam to zdjęcie w papierach Joego i wsunęłam je do koperty.

– Czy to pani papier listowy? – zapytałam najspokojniej, jak potrafiłam.

– Nie – sięgnęła po sok i ostrożnie się napiła. – Mojego męża, ale to ja go dla niego wybrałam. Bardzo ładny papier listowy do korespondencji służbowej. Kiedy umarł, zachowałam tylko koperty i czyste kartki bez znaku firmowego. Mam ich więcej, niż zdołam wykorzystać.

No cóż, jeśli chciałam się czegoś dowiedzieć, musiałam zapytać wprost.

– Pani McTigue, czy pani mąż miał maszynę do pisania?

– Tak, dałam ją córce. Mieszka w Falls Church. Ja zawsze piszę listy ręcznie. Coraz mniej zresztą, przez mój artretyzm.

– Jaka to maszyna?

– Ojej, nie pamiętam. Wiem tylko, że jest elektryczna i dość nowa – wyjąkała. – Joe co kilka lat wymieniał je na nowe. Wie pani, nawet jak pojawiły się komputery, trzymał się starego sposobu prowadzenia korespondencji. Burt... jego kierownik biura... od lat go namawiał do przejścia na komputer, ale Joe zawsze musiał mieć maszynę.

– W domu czy w biurze? – zapytałam.

– I tam, i tu. Często siedział do późna i pracował w swoim gabinecie w domu.

– Czy korespondował z Harperami?

Pani McTigue wyjęła chusteczkę higieniczną z kieszeni szlafroka i obracała ją w palcach.

– Przepraszam, że zadaję pani tyle pytań – usiłowałam być delikatna.

Patrzyła w dół na swoje kościste, pokryte cienką skórą dłonie i nie odzywała się.

– Proszę – powiedziałam cicho – to ważne. Inaczej bym nie pytała.

– Chodzi o nią, prawda? – z chusteczki zostały strzępy, a ona nie podnosiła wzroku.

– Sterling Harper?

– Tak.

– Proszę mi powiedzieć, pani McTigue.

– Była bardzo piękna. I taka wytworna. Prawdziwa dama – powiedziała pani McTigue.

– Czy pani mąż korespondował z panną Harper?

– Sądzę, że tak.

– Czemu tak pani myśli?

– Raz czy dwa zastałam go na pisaniu listu. Zawsze mówił, że to w interesach.

Nic nie powiedziałam.

– Tak. Mój Joe – uśmiechnęła się, lecz jej oczy pozostały chłodne. – Taki dżentelmen. Wie pani, zawsze całował kobietę w rękę i sprawiał, że czuła się jak królowa.

– Czy pani Harper też do niego pisała? – zapytałam z wahaniem, bo nie sprawiało mi przyjemności rozdrapywanie starych ran.

– Nic o tym nie wiem.

- Pisał do niej, a ona nie odpowiadała na jego listy?
- Joe lubił pisać. Zawsze mówił, że kiedyś napisze książkę. Zawsze coś czytał.
- Rozumiem teraz, dlaczego lubił towarzystwo pana Harpera – zauważyłam.
- Dość często, gdy pan Harper był załamany, dzwonił. Zdaje się, że to się nazywa niemoc twórcza. Dzwonił wtedy do Joego i rozmawiali o różnych ciekawych rzeczach. O literaturze i podobnych tematach. – Chusteczka na jej kolanach była już drobnymi strzępkami papieru. – Ulubionym pisarzem mojego męża był Faulkner, wyobraża sobie pani? Lubił też Hemingwaya i Dostojewskiego. Kiedy byliśmy zaręczeni, ja mieszkałam w Arlington, a on był tutaj. Pisywał do mnie najpiękniejsze listy, jakie mogłaby pani sobie wyobrazić.

Takie jak te, które zaczął pisać do swojej ukochanej w późniejszym życiu, pomyślałam. Jak te, które pisywał do wspaniałej, niezamężnej Sterling Harper. Listy, które w swojej łaskawości spaliła przed popełnieniem samobójstwa, ponieważ nie chciała burzyć spokoju serca i wspomnień wdowy po nim.

- To znaczy, że pani je znalazła – powiedziała cicho.
- Znalazłam listy do niej?
- Tak. Jego listy.
- Nie – to była może najbardziej miłosierna półprawda, na jaką się kiedykolwiek zdobyłam. – Nie, nie znaleźliśmy niczego takiego, pani McTigue. Policja nie znalazła żadnych listów od pani męża w osobistych rzeczach Harperów, żadnych listów ze znakiem firmowym pani męża, nic osobistego adresowanego do Sterling Harper.

Jej twarz rozluźniła się, gdy dotarło do niej to, co powiedziałam.

– Czy spotkała się pani kiedykolwiek z Harperami? Na przykład towarzysko – zapytałam.

– Tak. Dwa razy, jeśli dobrze pamiętam. Raz pan Harper przyszedł na kolację. A kiedy indziej Harperowie i Beryl Madison nocowali u nas.

To wzbudziło moje zainteresowanie.

– Kiedy to było?

– Zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią Joego. Chyba na samym początku roku, miesiąc czy dwa po odczycie Beryl na spotkaniu naszej grupy. Właściwie to jestem pewna, bo jeszcze mieliśmy choinkę. Pamiętam to. To był dla mnie zaszczyt ją gościć.

– Gościć Beryl?

– O tak! Byłam taka szczęśliwa. Zdaje się, że wszyscy troje pojechali do Nowego Jorku w interesach. Spotkali się z agentem Beryl. Po drodze do domu zatrzymali się w Richmond i byli na tyle łaskawi, żeby spędzić z nami jedną noc. To znaczy, Harperowie spędzili ją z nami. Przecież Beryl tu mieszkała. Późnym wieczorem Joe odwiózł ją do domu. A potem rano zawiózł Harperów do Williamsburga.

– Co pamięta pani z tamtej wizyty?

– Zaraz... Pamiętam, że przygotowałam udko jagnięcia, a oni przyjechali spóźnieni z lotniska, bo linia lotnicza zgubiła bagaże pana Harpera.

Prawie rok temu, podsumowałam w myślach. To musiało być, zanim Beryl zaczęła otrzymywać pogróżki... jeśli wierzyć informacjom, jakimi na razie dysponujemy.

– Byli zmęczeni podróżą – ciągnęła pani McTigue. – Ale Joe był taki dobry. Był najbardziej czarującym gospodarzem, jakiego chciałoby się mieć.

Czy pani McTigue wiedziała? Czy po sposobie, w jaki jej mąż patrzył na pannę Harper poznała, że jest w niej zakochany?

Przypomniałam sobie nieobecny wzrok Marka w tych ostatnich dniach, gdy byliśmy razem. Wiedziałam. To był instynkt. Wiedziałam, że nie myśli o mnie, a mimo to nie wierzyłam, że kocha kogoś innego, dopóki sam mi tego nie wyznał.

„– Kay, przykro mi – powiedział, gdy ostatni raz piliśmy kawę po irlandzku w naszym ulubionym barze w Georgetown. Małe płatki śniegu spadały z szarego nieba, a po ulicach przesuwwały się eleganckie pary w zimowych paltach i barwnych szalikach. – Wiesz, że cię kocham, Kay.

– Ale nie tak samo, jak ja ciebie – powiedziałam, czując najgorszy ból serca, jaki pamiętam.

Opuścił wzrok.

– Nie chciałem cię zranić.

– Wiem, że nie chciałeś.

– Przykro mi. Tak mi przykro”.

Wiedziałam, że tak było. Naprawdę i szczerze było mu przykro. Ale to nic nie zmieniało.

Nigdy nie poznałam jej imienia, ponieważ nie chciałam go znać. Nie była tą kobietą, którą później poślubił, Janet. Ale może tamto wtedy też było kłamstwem.

– ...Był dość porywczy.

– Kto? – spytałam, znowu skupiając uwagę na pani McTigue.

– Pan Harper – odparła. Wyglądała już na bardzo zmęczoną. – Był tak zdenerwowany tym bagażem. Na szczęście jego bagaż przyleciał następnym samolotem – urwała. – Boże. To wydaje się tak dawno, a przecież to wcale nie było dawno.

– A Beryl? – spytałam. – Jak zachowywała się tamtego wieczora?

– Wszyscy oni już odeszli. – Jej dłonie na kolanach znieruchomiały, a ona wpatrywała się gdzieś w ciemność i pustkę. Prócz niej wszyscy oni nie

żyli, owi goście obecni na wytwornej i strasznej kolacji, duchy.

– Rozmawiamy o nich, pani McTigue. Ciągłe są z nami.

– Też tak myślę – powiedziała, a jej oczy napełniły się łzami.

– Potrzebujemy ich pomocy, a oni potrzebują naszej.

Skinęła głową.

– Proszę opowiedzieć mi o tej nocy – powtórzyłam. – O Beryl.

– Była bardzo cicha. Pamiętam ją spoglądającą w ogień kominka.

– Co jeszcze?

– Coś się stało.

– Co? Co się stało, pani McTigue?

– Ona i pan Harper sprawiali wrażenie, jakby jedno było niezadowolone z towarzystwa drugiego.

– Dlaczego? Czy się o coś kłócili?

– To było po tym, jak dostarczono te bagaże. Pan Harper otworzył jedną z toreb i wyciągnął kopertę z jakimiś papierami. Naprawdę nie wiem. Ale pił za dużo.

– I co było potem?

– Był dość grubiański dla swojej siostry i Beryl. Potem wziął te papiery i wrzucił je do ognia. Powiedział: „Oto, co o tym myślę! Chłam, chłam!” Albo coś takiego.

– Wie pani, co spalił? Może jakiś kontrakt?

– Nie sądzę – odpowiedziała, odwracając wzrok. – Pamiętam, że miałam wrażenie, iż było to coś, co napisała Beryl. To wyglądało na maszynopis, a jego złość była chyba skierowana w jej stronę.

Autobiografia, którą pisała, pomyślałam. Albo może jej zarys, o którym Sterling Harper, Beryl i Sparacino rozmawiali w Nowym Jorku z rozwścieczonym, niepoohamowanym Carym Harperem.

– Joe interweniował – splotła wykoślawione palce, walcząc z własnym bólem.

– Co zrobił?

– Odwiózł ją do domu – powiedziała. – Odwiózł do domu Beryl Madison – przerwała i spojrzała na mnie z przerażeniem. – Dlatego tak się stało.

– Dlatego co się stało? – zapytałam.

– Dlatego nie żyją – rzekła. – Wiem o tym.

Wtedy to poczułam. To było straszne.

– Proszę mi to opisać. Może pani to opisać?

– Dlatego nie żyją – powtórzyła. – Tego wieczoru w pokoju było za dużo nienawiści.

Rozdział trzynasty

Szpital Valhalla położony był na wzniesieniu w eleganckim zakątku hrabstwa Albermarle, dokąd w ciągu roku regularnie sprowadzały mnie powiązania mojego wydziału z University of Virginia. Choć często zwracałam uwagę na wspaniałe ceglany budynek wznoszący się na odległym wzgórzu widocznym z autostrady, nigdy nie odwiedziłam tego szpitala ani prywatnie, ani zawodowo.

Niegdyś dostojny hotel, odwiedzany przez możnych i sławnych, zbankrutował w czasach Wielkiego Kryzysu i kupili go trzech bracia psychiatry. Skrupulatnie pracowali nad tym, by zamienić Valhalla w fabrykę freudowską, kurort psychiatryczny dla bogatych, gdzie zamożne rodziny mogłyby umieszczać niewygodnych krewnych, zniedołężniałych rodziców i nieudane dzieci.

Nie dziwiło mnie, że Al Hunt jako nastolatek został umieszczony właśnie tutaj. Dziwiło mnie natomiast, że jego psychiatra tak niechętnie się o nim wypowiadał. Pod profesjonalną serdecznością doktora Mastersona kryły się pokłady tajemniczości na tyle twarde, że mogłyby połamać wiertła najbardziej zaciekłych badaczy. Ja wiedziałam, że on nie chce ze mną rozmawiać, a on wiedział, że nie ma wyjścia.

Zaparkowałam na żwirowanym parkingu dla gości i weszłam do holu w stylu wiktoriańskim, z orientalnymi chodnikami, ciężkimi draperiami i zdobnymi gzymsami nadgryzionymi zębem czasu. Właśnie miałam się zameldować w recepcji, gdy usłyszałam za sobą głos:

– Doktor Scarpetta?

Odwróciłam się, by stanąć oko w oko z wysokim, szczupłym czarnoskórym mężczyzną w granatowym garniturze. Jego włosy były jakby przyprószone piaskiem, kości policzkowe i czoło arystokratycznie wysokie.

– Warner Masterson – przedstawił się i z szerokim uśmiechem wyciągnął do mnie dłoń.

Już zaczynałam się zastanawiać, skąd on mnie zna, kiedy wyjaśnił, że rozpoznał mnie dzięki zdjęciom w gazetach i w telewizji. Przyznam, że wolałabym, żeby mi o tym nie przypominał.

– Chodźmy do mojego gabinetu – dodał uprzejmie. – Mam nadzieję, że jazda pod górę nie była zbyt uciążliwa. Mogę panią czymś poczęstować? Kawa? Woda?

Mówił to, cały czas idąc, a ja robiłam, co mogłam, żeby za nim nadążyć. Większość ludzi nie ma pojęcia, jak to jest, gdy się ma za krótkie nogi, przez co jest się skazanym na wieczne równanie do innych, niczym dreźyna w świecie pociągów ekspresowych. Doktor Masterson był już w końcu długiego, wyłożonego chodnikiem korytarza, kiedy wreszcie przyszło mu do głowy, by się rozejrzeć. Zatrzymał się przy drzwiach i poczekał, aż do niego dołączę. Wprowadził mnie do środka. Usiadłam na krześle, a on stanął za biurkiem i zaczął machinalnie ugniatać tytoń w wytwornej fajce z różanego drewna.

– Chyba nie muszę pani mówić – zaczął powoli, otwierając grubą teczkę z aktami – jak bardzo wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci Ala Hunta.

– Zdziwiło to pana?

– Niezupełnie.

– Chciałabym pomówić o jego przypadku.

Wahał się na tyle długo, że zaczęłam myśleć, czy mu nie wspomnieć o moich prawach do wglądu w akta. Po chwili uśmiechnął się i powiedział, wręczając mi teczkę.

– Oczywiście.

Otworzyłam szarą kartonową teczkę i zaczęłam przeglądać jej zawartość. Niebieski dym z fajki unosił się wokół niczym aromatyczne wiórki. Historia przyjęcia Ala Hunta i jego badania były rutynowe. Był w dobrej kondycji fizycznej, kiedy jedenaście lat temu dziesiątego kwietnia rano przyjmowano go do szpitala. Jednak informacje dotyczące jego stanu psychicznego mówiły coś zupełnie innego.

– Był katatonikiem, gdy go przyjmowano? – zapytałam.

– W stanie skrajnej depresji i nie reagował na otoczenie – odparł doktor Masterson. – Nie potrafił nam powiedzieć, czemu tu jest. W ogóle nie mógł mówić. Nie posiadał energii emocjonalnej, by odpowiadać na pytania. Zobacz pani w historii choroby, że nie mogliśmy przeprowadzić testu Stanforda-Bineta ani MMPI*[Minnesota Multiphasic Personality Inventory, czyli (według Choynowskiego) Wieloczynnikowy Inwentarz Osobowości (WIO) (przyp. tłum.)], i musieliśmy powtarzać te testy później.

Wyniki znajdowały się w dokumentacji. W teście na inteligencję według Stanforda-Bineta Al Hunt otrzymał 130 punktów. I bez tego nie miałam wątpliwości, że nie brak zdolności był jego problemem. Co do MMPI, wynikało z niego, że nie mieścił się kryteriach ustalonych dla schizofrenii ani organicznej choroby psychicznej. Według oceny doktora Mastersona Al cierpiał na „zaburzenia osobowości typu schizofrenicznego z cechami osobowości na granicy normy, czego przejawem była krótkotrwała psychoza, gdy zamknąwszy się w łazience, podciął sobie żyły nożem kuchennym”. Był to tylko gest samobójczy, wołanie o pomoc, a nie poważna próba samobójcza. Jego matka odesłała go do najbliższego szpitala, gdzie założono mu szwy i wypuszczono do domu. Następnego dnia został przyjęty do Valhalla. Wywiad z panią Hunt ujawnił, że przed

owym incydentem jej „mąż stracił panowanie nad sobą” podczas rozmowy z Alem przy kolacji.

– Z początku – opowiadał Masterson – Al nie brał udziału w żadnej z form terapii, ani grupowej, ani zajęciowej, nie pełnił też żadnych funkcji społecznych, jakich wymaga się od pacjentów. Jego reakcja na środki antydepresyjne była znikoma, a w czasie naszych sesji ledwie mogłem wydobyć z niego kilka słów.

Kiedy po pierwszym tygodniu nie nastąpiła poprawa, Masterson – jak mi wyjaśniał – zaczął myśleć o elektrowstrząsach, czyli ECT, które można porównać do zresetowania komputera zamiast szukania przyczyny wystąpienia błędu. Choć końcowym rezultatem może być właściwe połączenie ścieżek mózgowych, to jednocześnie może się zdarzyć, że zbiór danych powodujących problem zostanie zapomniany i prawdopodobnie na zawsze utracony. Dlatego z reguły nie stosuje się ECT u osób młodych.

– I zastosowano ECT? – zapytałam, bo w aktach nie znalazłam na ten temat żadnej wzmianki.

– Nie. W chwili, gdy uznałem, że nie ma innej możliwości, pewnego dnia na zajęciach z psychodramy zdarzył się mały cud.

Przerwałyby ponownie zapalić fajkę.

– Na czym polegała ta psychodrama? – spytałam.

– Niektóre czynności przywoływane są z pamięci mechanicznie jako swoisty rodzaj rozgrzewki. Podczas tej konkretnej sesji pacjenci ustawieni byli w rzędy i mieli naśladować kwiaty. Tulipany, żonkile, stokrotki, cokolwiek przyszło im do głowy. Każdy mógł pokazać jakiś dowolnie wybrany kwiat. Wiele można się dowiedzieć o pacjencie na podstawie takiego wyboru. Wtedy Al po raz pierwszy wziął udział w zajęciach. Zrobił pętlę z ramion i pochylił głowę – doktor Masterson usiłował to pokazać, ale przypominał bardziej słonia niż kwiat. – Kiedy terapeuta zapytał go, jakim

jest kwiatem, Al odpowiedział, że fiołkiem. Nic nie powiedziałam, czując coraz większą litość dla tego zagubionego chłopca, którego wspomnienie przywołaliśmy.

– Oczywiście, pierwszym wnioskiem, jaki się nasuwał, było to, że Al przedstawiał myśli swojego ojca o nim – ciągnął Masterson, przecierając chusteczką okulary. – Ostre, kpiące uwagi pod adresem wrażliwości Ala, jego zniewieściałych cech. Ale to było coś więcej. – Założył okulary z powrotem na nos i spokojnie popatrzył na mnie. – Wie pani o znaczeniach, jakie Al przypisywał barwom?

– Mniej więcej.

– Fiołek to też kolor.

– Tak, głęboki fiolet – przytaknęłam.

– Powstaje z połączenia niebieskiego oznaczającego depresję i czerwonego oznaczającego gniew. Kolor siniaków, kolor bólu. To kolor Ala. To jest kolor, który, jak sam powiedział, promieniował z jego duszy.

– To kolor pasji – zauważyłam. – Bardzo intensywny.

– Al Hunt był bardzo intensywnie czującym młodym człowiekiem, pani doktor. Wie pani, że wierzył, iż jest jasnowidzem?

– Nie – odparłam lekko zakłopotana.

– Jego magiczne myślenie dotyczyło jasnowidztwa, telepatii, przesądów. Nie trzeba dodawać, że wszystko to nasilało się w chwilach silnego stresu. Wtedy wierzył, że ma zdolność czytania w cudzych myślach.

– A miał?

– Miał dużą intuicję. – Znowu wyjął zapalniczkę. – Muszę przyznać, że jego odczucia często się sprawdzały, i to był jeden z jego problemów. Wyczuwał, co myśleli lub czuli inni, i czasami jakby posiadał niewyjaśnioną wiedzę *a priori* o tym, co ktoś zrobi albo już zrobił. Kłopoty zaczęły się, jak już pani wspomniałem w naszej rozmowie telefonicznej,

kiedy przybrało to postać projekcji. Al za bardzo się w to angażował. Zatracał siebie na rzecz innych, wpadał w paranoję, częściowo dlatego, że jego własne *ego* było tak słabe. Przybierał niczym woda formy tego, co sobą wypełniał. Mówiąc stereotypami, uosabiał wszechświat.

– To niebezpieczne – zauważyłam.

– Co najmniej. Jak widać, nie żyje.

– Pana zdaniem uważał, że wczuwa się w sytuację innych?

– Zdecydowanie.

– To przeczy diagnozie, jaką mu postawiono – powiedziałam. – Chorzy z osobowością na granicy normy na ogół są obojętni na otoczenie.

– Ale to była część jego magicznego myślenia. Al to, co nazywał przytłaczającą go empatią dla innych, obwinał swoją niezaradność społeczną i zawodową. Naprawdę wierzył, że czuje i nawet doświadcza cudzego bólu, że zna psychikę innych, jak już mówiłem. W zasadzie Al nie potrafił żyć w społeczeństwie.

– Pracownicy szpitala Metropolitan mówili o nim, że bardzo troszczył się o pacjentów, gdy pracował tam jako pielęgniarz.

– To mnie nie dziwi. Był pielęgniarzem na izbie przyjęć. Nie przetrwałby na oddziale, gdzie pacjenci długo leżą. Al potrafił być bardzo uważający, jak długo nie musiał się do nikogo zbliżać, wchodzić z tą osobą w prawdziwe relacje.

– To by wyjaśniało, dlaczego mógł zdobyć tytuł magistra, ale potem nie potrafił funkcjonować w dziedzinie praktycznej psychoterapii – przypomniałam.

– Właśnie.

– A jego stosunki z ojcem?

– Były nieprawidłowe, chorobliwe. Pan Hunt to twardy, apodyktyczny człowiek. Jego wizja wychowania syna to zmuszanie go do męskości. Al po

prostu nie był przygotowany emocjonalnie do tego, żeby znieść poniżanie, znęcanie się nad nim, psychiczne ćwiczenia wytrzymałości, które miały przygotować go do życia. Z pewnością to dla pani nie nowina, że wielu homoseksualistów jest synami silnych brutalni, którzy jeżdżą pikapami z półką na broń i z nalepioną na zderzak flagą konfederatów.

Pomyślałam o Marinie. Wiedziałam, że ma dorosłego syna. Ale aż do tej chwili nie uderzyło mnie, że Marino nigdy nie opowiada o swoim jedynaku, który mieszka gdzieś na zachodzie.

– Sugeruje pan, że Al był homoseksualistą?

– Sugeruję, że miał za mało wiary w siebie, za bardzo czuł się niedopasowany i przez to nie potrafił nawiązywać kontaktów, tworzyć intymnych związków o jakimkolwiek charakterze. Z tego, co wiem, nigdy nie miał partnera homoseksualnego. – Jego twarz była nieodgadniona, spoglądał ponad moją głowę i pykał fajkę.

– Co wydarzyło się wtedy na zajęciach z psychodramy, doktorze? Co to za mały cud, o którym pan wspominał? To naśladowanie fiołka?

– To rozbiło skorupę – powiedział – ale cudem była gwałtowna wymiana zdań między nim a jego ojcem, który w jego wyobraźni siedział na krześle pośrodku pokoju. Gdy dialog stawał się coraz bardziej ożywiony, terapeuta wyczuł, co się dzieje, usiadł na krześle i zaczął odgrywać rolę ojca Ala. Ala tak wciągnęła to rozmowa, że był jak w transie. Nie odróżniał rzeczywistości od wyobraźni i w końcu wybuchnął.

– Jak to wyglądało? Użył przemocy?

– Wybuchnął niepohamowanym płaczem – odpowiedział doktor Msterson.

– Co mówił jego „ojciec”?

– Atakował go w typowy sposób, krytykował, mówił, jaki jest beznadziejny, bezwartościowy jako mężczyzna, jako istota ludzka. Al był

nadwrażliwy. To też po części było przyczyną jego zagubienia. Sądził, że jest wrażliwy na uczucia innych, a tak naprawdę interesował się tylko sobą.

– Czy Al miał przydzielonego opiekuna społecznego? – zapytałam, przeglądając akta. Nie znalazłam żadnych wpisów dokonanych przez terapeutów.

– Oczywiście.

– Kto to był? – Wyglądało na to, że w aktach brakuje kilku stron.

– Terapeuta, o którym właśnie mówiłem – odpowiedział obojętnym tonem.

– Ten, który prowadził psychodramę?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Czy on nadal tu pracuje?

– Nie – powiedział Masterson. – Jim już tu nie pracuje.

– Jim? – zainteresowałam się.

Zaczął wysypywać z fajki wypalony tytoń.

– Jak ma na nazwisko i gdzie jest teraz?

– Przykro mi to mówić, ale Jim Barnes zginął w wypadku samochodowym wiele lat temu.

– Ile lat temu?

Doktor Masterson znowu zaczął przecierać okulary.

– Chyba osiem, dziewięć lat temu.

– Jak to się stało i gdzie?

– Nie pamiętam szczegółów.

– To bardzo smutne – powiedziałam, jakby ta sprawa przestała mnie interesować.

– Czy mam rozumieć, że Al Hunt jest podejrzanym w pani sprawie?

– Są dwie sprawy. Dwa zabójstwa.

– Rozumiem. Dwie sprawy.

– Co do pańskiego pytania, nie do mnie należy uważać kogoś za podejrzanego. To zadanie policji. Ja zbieram informacje o Alu Huncie, by ustalić, czy miał myśli samobójcze.

– Czyżby były co do tego wątpliwości? Przecież się powiesił, prawda? Czy to mogło być coś innego niż samobójstwo?

– Był dziwnie ubrany. Koszula i bokserki – odpowiedziałam rzeczowo. – Takie rzeczy zawsze budzą podejrzenia.

– Sugeruje pani uduszenie podczas masturbacji? – zdziwiony uniósł brwi – przypadkową śmierć, kiedy...

– Ja tylko staram się wyeliminować tę kwestię, na wypadek jakichkolwiek wątpliwości.

– Rozumiem. Na wszelki wypadek. Gdyby jego rodzina zakwestionowała to, co pani umieści w akcie zgonu.

– Z różnych przyczyn.

– Czy naprawdę ma pani wątpliwości co do tej śmierci? – zmarszczył czoło.

– Nie – odparłam. – Myślę, że odebrał sobie życie, panie doktorze. Myślę, że taki miał zamiar, kiedy schodził do piwnicy, i że mógł zdjąć spodnie, kiedy zdjął pasek. Ten pasek, na którym się powiesił.

– W porządku. Pozwoli pani, że dodam coś jeszcze. Al nigdy nie wykazywał skłonności do przemocy. Jediną osobą, którą kiedykolwiek krzywdził, o ile mi wiadomo, był on sam.

Wierzyłam mu. Byłam też przekonana, że przemilczał wiele rzeczy, że jego luki w pamięci i niejasności były świadome. Jim Barnes, pomyślałam. Jim Jim.

– Jak długo Al tu przebywał? – zmieniłam temat.

– Chyba cztery miesiące.

- Czy kiedykolwiek był na oddziale psychiatrii sądowej?
- W naszym szpitalu nie ma takiego oddziału. Mamy oddział zwany Backhall dla pacjentów z psychozami, cierpiących na delirium tremens, niebezpiecznych dla samych siebie. Nie trzymamy tu przestępców.
- Czy Al kiedykolwiek był na tym oddziale?
- To nie było konieczne.
- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – powiedziałam, wstając. – Gdyby pan przesłał mi kserokopie tych akt, byłabym wdzięczna.
- Z przyjemnością – uśmiechnął się szeroko, ale nie patrzył na mnie. – Proszę dzwonić, jeśli jeszcze coś mógłbym dla pani zrobić.

Miałam uczucie pewnego niedosytu, gdy wracałam długim, pustym korytarzem do głównego holu, jednak instynkt powstrzymywał mnie od zapytania o Frankiego czy nawet wymienienia tego imienia. Backhall. Pacjenci z psychozami albo z delirium tremens. Al Hunt mówił o rozmowach z pacjentami zamkniętymi na oddziale psychiatrii sądowej. Czyżby to był wytwór jego wyobraźni? W Valhalla nie było takiego oddziału. Jednak mimo to mógł istnieć ktoś o imieniu Frankie zamknięty na oddziale Backhall. Może stan Frankiego się poprawił i przeniesiono go na oddział, gdy Al był pacjentem? Może Frankie wyobrażał sobie, że zamordował matkę albo pragnął to zrobić?

Frankie zatłukł swoją matkę polanem z kominka. Zabójca zabił Cary'ego Harpera fragmentem metalowej rury.

Kiedy dotarłam do biura, było ciemno i strażnicy już wyszli.

Usiadłam przy biurku i ustawiłam krzesło tak, by siedzieć twarzą do komputera. Po wystukaniu kilku komend miałam przed sobą bursztynowy ekran i kilka chwil później patrzyłam na informacje o Jimie Barnesie. Dziewięć lat temu, dwudziestego pierwszego kwietnia, miał wypadek samochodowy w hrabstwie Albermarle. Przyczyną zgonu były „rany

głowy”. Poziom alkoholu we krwi wynosił jeden i osiem promila – niemal dwa razy tyle, ile wynosi dopuszczalny limit. Wykryto też obecność leków antydepresyjnych. Jim Barnes najwyraźniej był alkoholikiem.

W biurze analityka komputerowego w dalszej części korytarza na stoliku w kącie niczym Budda stała stara maszyna do mikrofilmów. Moje zdolności w tej dziedzinie nigdy nie były wybitne. Po niecierpliwych poszukiwaniach wśród klisz znalazłam potrzebną rolkę i jakoś udało mi się założyć ją do przeglądarki. Wyłączyłam światła i obserwowałam przepływający strumień niewyraźnych, drukowanych liter. Oczy zaczynały mnie już boleć, gdy wreszcie znalazłam opis tej sprawy. Klisza cicho skrzypiała, gdy obracałam pokrętko i umieszczałam ręcznie pisany policyjny raport tak, by znalazł się w centrum ekranu. Około dziesiątej czterdzieści pięć w piątek rano Barnes z dużą szybkością jechał swoim BMW z 1973 roku trasą I-64 na wschód. Kiedy prawym kołem zjechał z asfaltu, skręcił za bardzo w lewo i wjechał w pas zieleni, na którym przeokoziółkował. Dalej znalazłam pierwszy raport lekarza sądowego. W części przeznaczony na komentarze ktoś o nazwisku doktor Brown napisał, że zmarły tego popołudnia został zwolniony z pracy w szpitalu Valhalla, gdzie był zatrudniony jako opiekun społeczny. Kiedy około siedemnastej opuszczał szpital, był podobno niezwykle roztrzęsiony i rozgniewany. Barnes w chwili śmierci nie był żonaty i miał zaledwie trzydzieści jeden lat.

Raport lekarza sądowego wymieniał dwóch świadków, z którymi zapewne dr Brown rozmawiał. Jednym z nich był dr Masterson, a drugim pracownica szpitala, Jeanie Sample.

Czasem rozpracowywanie zabójstwa to jak szukanie drogi w obcym mieście. Jeśli jakaś ulica wygląda choć trochę obiecująco, wchodzi się w nią. Może droga, na którą wejdziemy, przy odrobinie szczęścia doprowadzi w końcu do głównego traktu. W jaki sposób zmarły przed dziewięciu laty

terapeuta mógłby mieć coś wspólnego z niedawnym morderstwem Beryl Madison i Cary'ego Harpera? Czułam jednak, że istnieje między tymi sprawami jakiś związek.

Nie miałam ochoty wypytywać personelu doktora Mastersona, zresztą i tak mogłabym się założyć, że już ostrzegł tych, którzy mieli coś do powiedzenia, że gdybym dzwoniła, mają być uprzejmi... i milczeć. Następnego dnia, w sobotę, wciąż pochłonięta tą sprawą, zadzwoniłam jednak do kliniki Hopkinsa z nadzieją, że zastanę doktora Ismaila. Zastałam go, a on potwierdził moją hipotezę. Próbki pobrane z żołądka Sterling Harper i próbki jej krwi wykazały, że krótko przed śmiercią zażyła levomethorphan, którego poziom wynosił osiem miligramów na litr krwi – za dużo, by przeżyć, i za dużo na przypadek. Odebrała sobie życie, i zrobiła to w sposób, który w zwykłych okolicznościach pozostałby niewykryty.

– Czy wiedziała, że dextromethorphan i levomethorphan w rutynowych badaniach toksykologicznych wyglądają jak dextromethorphan? – zapytałam.

– Nie przypominam sobie, że bym z nią o tym rozmawiał, ale bardzo interesowały ją szczegóły dotyczące leczenia i stosowanych leków. Możliwe, że dowiedziała się więcej w naszej bibliotece. Pamiętam, że zadawała wiele pytań, gdy po raz pierwszy przepisałem jej levomethorphan. To było kilka lat temu. Ponieważ to lek eksperymentalny, była ciekawa, może trochę zaniepokojona...

Słuchałam jednym uchem, gdy wyjaśniał i bronił swoich hipotez. Nigdy nie mogłabym udowodnić, że panna Harper celowo zostawiła buteleczkę z syropem wykrztuśnym w miejscu, w którym ją znalazłam. Byłam jednak przekonana, że tak właśnie zrobiła. Chciała umrzeć z godnością, nie wywołując krytycznych komentarzy, ale nie chciała umierać w samotności.

Odłożyłam słuchawkę i zrobiłam sobie filiżankę gorącej herbaty. Chodziłam po kuchni tam i z powrotem, zatrzymując się co jakiś czas, by spojrzeć przez okno na pogodny grudniowy poranek. Sammy, jedna z kilku białych wiewiórek w Richmond, znowu plądrował mój karmnik dla ptaków. Przez moment patrzyliśmy na siebie. Jego owłosione policzki podrygiwały nerwowo, spod łap pryskało ziarno, a sztywny biały ogon wyginał się na kształt znaku zapytania na tle błękitnego nieba. Poznaliśmy się ubiegłej zimy, gdy stałam przy oknie i obserwowałam jego powtarzające się próby zeskoczenia z gałęzi, które niezmiennie kończyły się tym, że ześlizgiwał się powoli po stromym dachu karmnika, rozpaczliwie wyciągając łapy w powietrze. Po wielu takich upadkach na twardą ziemię Sammy w końcu zrozumiał, o co w tym chodzi. Co jakiś czas rzucałam mu garść orzeszków i wreszcie doszło do tego, że gdy go dłużej nie widziałam, zaczynałam odczuwać niepokój, po którym następowało uczucie radości i ulgi, kiedy znów się pojawiał.

Wyposażona w notes i pióro usiadłam przy kuchennym stole i wykręciłam numer do szpitala Valhalla.

– Poproszę panią Jeanie Sample. – Nie przedstawiłam się.

– Czy to pacjentka? – natychmiast zapytała recepcjonistka.

– Nie. Ona u was pracuje... – udałam zakłopotaną – w każdym razie tak myślę. Nie widziałam Jeanie od lat.

– Proszę chwileczkę poczekać.

Po chwili kobieta wróciła.

– Nie mamy w spisie nikogo o tym nazwisku.

Do licha. Jak to możliwe? Myślałam intensywnie. Numer telefonu podany na raporcie lekarza sądowego przy jej nazwisku był numerem szpitala. Czyżby Brown się pomylił? Dziewięć lat temu. W ciągu

dziewięciu lat wiele mogło się zdarzyć. Jeanie Sample mogła się przeprowadzić. Mogła wyjść za mąż.

– Przepraszam – powiedziałam do telefonu – Sample to jej nazwisko panińskie.

– Zna pani jej aktualne nazwisko?

– A niech to. Powinnam znać...

– Jean Wilson? Zamilkłam z niepewnością.

– Jest u nas Jean Wilson – ciągnął głos – jedna z terapeutek zajęciowych. Proszę poczekać – odeszła na bardzo krótką chwilę. – Tak, jej pierwsze nazwisko to Sample. Ale nie pracuje w weekendy. Będzie w pracy w poniedziałek o ósmej rano. Czy mam jej coś przekazać?

– Czy jest jakaś możliwość, żebym się z nią skontaktowała?

– Nie wolno nam podawać numerów domowych – w jej tonie wyczułam podejrzliwość. – Jeśli poda mi pani swoje nazwisko i numer, mogę spróbować się z nią skontaktować i poprosić, żeby do pani zadzwoniła.

– Niestety, nie będę długo pod tym numerem – pomyślałam chwilę i wreszcie odezwałam się bardzo rozczarowanym głosem. – Spróbuję zadzwonić, jak znowu tu przyjadę. I mam nadzieję, że mogę do niej napisać na adres szpitala.

– Tak, proszę pani, oczywiście.

– A jaki jest ten adres?

Podyktowała mi adres szpitala.

– A imię jej męża?

Cisza.

– Chyba Skip – usłyszałam po chwili.

To może być zdrobnienie od Leslie, pomyślałam.

– Skip lub Leslie Wilson – mruknęłam, jak bym to zapisywała. – Dziękuję pani bardzo.

Był jeden Leslie Wilson w Charlottesville, jak poinformowano mnie w biurze numerów, jeden L.P. Wilson i jeden L.T. Wilson. Zaczęłam dzwonić. Mężczyzna, który odebrał pod numerem L.T. Wilsona, powiedział, że „Jeanie” załatwia sprawy na mieście i będzie w domu za godzinę.

Wiedziałam, że jako obca osoba zadająca pytania przez telefon niczego się nie dowiem. Jeanie Wilson najpierw będzie chciała naradzić się z doktorem Mastersonem, a to zakończy sprawę. Ale już trudniej jest odmówić komuś, kto niespodziewanie pojawia się osobiście w drzwiach, zwłaszcza gdy ów osobnik przedstawia się jako naczelny lekarz sądowy i potwierdza to swoją odznaką.

Jeanie Sample Wilson w dzinsach i czerwonym swetrze nie wyglądała na trzydzieści lat. Była energiczną brunetką z ciepłym spojrzeniem i mnóstwem piegów na nosie. Długie włosy związała w koński ogon. W pokoju, do którego drzwi były otwarte, na dywanie siedzieli dwaj mali chłopcy i oglądali kreskówki w telewizji.

– Jak długo pracuje pani w Valhalla? – zapytałam.

Zawahała się.

– Chyba dwanaście lat.

Poczułam taką ulgę, że nieomal głośno odsapnęłam. Jeanie Wilson pracowała tam nie tylko dziewięć lat temu, gdy zwolniono Barnesa, ale też dwa lata wcześniej, kiedy pacjentem był Al Hunt.

Stała w drzwiach. Na podjeździe był tylko jeden samochód oprócz mojego. To znaczyło, że jej mąż wyszedł. To dobrze.

– Badam sprawę zabójstwa Beryl Madison i Cary’ego Harpera – powiedziałam.

Źrenice jej oczu rozszerzyły się.

– Ale czego chce pani ode mnie? Nie znałam ich...

– Mogę wejść?

– Oczywiście. Przepraszam. Proszę, proszę do środka.

Usiadłyśmy w niewielkiej kuchni z linoleum na podłodze i szafkami w kolorze białym i naturalnej sosny. Panował tu nienaganny porządek. Na lodówce równiutko ustawione stały pudełka z płatkami zbożowymi, na blatach duże słoje wypełnione ciasteczkami, ryżem i makaronem. Zmywarka była włączona i w całej kuchni pachniało ciastem, które właśnie się piekło.

Postanowiłam bezceremonialnością przełamać niechęć mojej rozmówczynie.

– Pani Wilson. Jedenaście lat temu Al Hunt był pacjentem szpitala Valhalla, a niedawno był też podejrzanym we wspomnianych sprawach. Znał Beryl Madison.

– Al Hunt? – wyglądała na zdumioną.

– Pamięta go pani? – spytałam.

Potrząsnęła przecząco głową.

– I mówi pani, że pracuje w Valhalla dwanaście lat?

– W zasadzie to jedenaście i pół.

– Jak już mówiłam, Al Hunt był tam pacjentem jedenaście lat temu.

– To mi nic nie mówi...

– W ubiegłym tygodniu popełnił samobójstwo – powiedziałam.

Teraz już całkiem straciła pewność siebie.

– Rozmawiałam z nim krótko przed jego śmiercią. Jego opiekun zginął w wypadku drogowym dziewięć lat temu. Jim Barnes. Chcę o nim porozmawiać.

Jej szyję oblał rumieniec.

– Myśli pani, że jego samobójstwo miało coś wspólnego z Jimem?

Odpowiedź na to pytanie była niemożliwa.

– Jak mi wiadomo, kilka godzin przed śmiercią Jim Barnes został zwolniony z pracy w szpitalu – ciągnęłam. – Pani nazwisko... to znaczy nazwisko panińskie... jest wymienione w raporcie lekarza sądowego.

– Tam były... były jakieś wątpliwości – wyjąkała. – Czy był to wypadek, czy samobójstwo. Byłam przesłuchiwana. To był koroner czy ktoś inny... nie pamiętam, ale jakiś mężczyzna do mnie zadzwonił.

– Doktor Brown?

– Nie pamiętam nazwiska.

– Dlaczego chciał z panią rozmawiać?

– Chyba dlatego, że byłam jedną z osób, które jako ostatnie widziały Jima Barnes'a żywego. Sądzę, że ten doktor zadzwonił do recepcji, a Betty odesłała go do mnie.

– Betty?

– Wtedy była recepcjonistką.

– Chciałabym, żeby powiedziała mi pani wszystko, co pani pamięta na temat zwolnienia Jima Barnes'a – powiedziałam, gdy wstała, żeby zajrzeć do piekarnika.

Kiedy wróciła, była trochę spokojniejsza. Nie wyglądała już na zdenerwowaną. Teraz wyglądała na rozgniewaną.

Powiedziała:

– Może nie powinno się źle mówić o zmarłych, ale Jim nie był miłym człowiekiem. Sprawiał poważne problemy i powinien zostać zwolniony dużo wcześniej, niż się to stało.

– Jakie to były problemy?

– Pacjenci mówią wiele rzeczy. Często nie są bardzo... no... wiarygodni. Ciężko jest odróżnić prawdę od fantazji. Doktor Masterson, inni terapeuci od czasu do czasu otrzymywali skargi, ale nic nie dało się udowodnić, aż

pewnego dnia doszło do incydentu w obecności świadka. To było rano tego dnia, kiedy Jima zwolniono i miał ten wypadek.

– To pani była świadkiem tego incydentu? – zapytałam.

– Tak – z zaciśniętymi ustami patrzyła gdzieś w bok.

– Przechodziłam przez hol, bo szłam do doktora Mastersona w jakiejś sprawie, kiedy Betty mnie zawołała. Pracowała w recepcji, obsługiwała centralę, już pani mówiłam... Tommy, Clay, ściszcie ten telewizor!

Wrzaski w sąsiednim pokoju jeszcze bardziej się nasiliły – słychać było przełączanie kanałów telewizyjnych.

Pani Wilson wstała ociężale, żeby zajrzeć do synów. Usłyszałam stłumione odgłosy łagodnych klapsów, po których telewizor pozostał na jednym kanale. Postaci z kreskówek krzyczały na siebie głosami brzmiącymi jak pistolety maszynowe.

– Na czym skończyłam? – zapytała po powrocie do kuchni.

– Mówiła pani o Betty – przypomniałam jej.

– A tak. Przywołała mnie skinieniem ręki i powiedziała, że dzwoni matka Jima. Rozmowa międzymiastowa i wydawało się, że to coś ważnego. Nigdy się nie dowiedziałam, o co chodziło, co to był za telefon. Ale Betty poprosiła, żebym zawołała Jima. Był na psychodramie, a te zajęcia odbywają się w sali balowej. Wie pani, Valhalla posiada salę balową, którą wykorzystujemy do różnych celów. Sobotnie potańcówki, różne imprezy, przyjęcia. Jest tam scena, taki podest dla orkiestry. To jeszcze z czasów, kiedy był tam hotel. Wsunęłam się od tyłu i gdy zobaczyłam, co się dzieje, nie mogłam uwierzyć – w oczach Jeanie Wilson płonęła złość – stałam tam i patrzyłam. Jim był do mnie zwrócony plecami i był na tej scenie z... nie wiem... pięcioma, sześcioma pacjentami. Siedzieli na krzesłach obróceniu w taki sposób, że nie widzieli, co robił z tą pacjentką. Młodą dziewczyną. Nazywała się Rita. Miała może trzynaście lat. Kiedyś została zgwałcona

przez ojczyrna. Nigdy się nie odzywała, była funkcjonalnie nierna. Jim zmuszał ją do odegrania tego wydarzenia.

– Gwałtu? – spytałam spokojnie.

– Cholerny drań. Przepraszam. Ale nie mogę o tym zapomnieć.

– To zrozumiałe.

– Potem twierdził, że nie robił nic nieodpowiedniego. Niech to, łągał jak z nut. Wszystkiemu zaprzeczył. Ale ja to widziałam. Dobrze wiedziałam, co robił. Odgrywał rolę jej ojczyrna, a Rita była tak przerażona, że nawet nie drgnęła. Siedziała jak skamieniała. Pochylał się nad nią, patrzył w oczy i mówił niskim głosem. W sali balowej jest dobra akustyka, więc wszystko słyszałam. Rita była bardzo rozwinięta, dojrzała jak na swój wiek. Jim pytał ją: „Czy to właśnie robił, Rito?” Powtarzał to pytanie, dotykając jej. Pieścił ją, jak pewnie robił to jej ojczyrnem. Wymknęłam się. Nie wiedział, że to widziałam, dopóki kilka minut później wraz z doktorem Mastersonem nie poruszyliśmy w jego obecności tej sprawy.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego doktor Masterson nie chciał rozmawiać ze mną o Jimie Barnesie. Może też z tego samego powodu brakowało stron w aktach Ala Hunta. Gdyby coś takiego wyszło na jaw, nawet po tylu latach, reputacja szpitala poważnie by ucierpiała.

– I podejrzewa pani, że Jim Barnes robił to już wcześniej? – zapytałam.

– Niektóre z wcześniejszych skarg wskazywałyby, że tak było – odparła Jeanie Wilson z błyskiem w oczach.

– Zawsze z dziewczętami?

– Nie zawsze.

– Mieliście też skargi od męskich pacjentów?

– Tak. Od jednego z młodych chłopców. Tylko że wtedy nikt nie potraktował tego poważnie. On i tak miał problemy ze swoją seksualnością, prawdopodobnie był molestowany czy coś takiego. Dokładnie taki typ, na

którego Jim mógł zwrócić uwagę, bo któż by uwierzył słowom biednego chłopaka?

– Pamięta pani, jak się ten pacjent nazywał?

– O Boże – zmarszczyła brwi – to było tak dawno – zamyśliła się. – Frank... Frankie. Tak, pamiętam, jak niektórzy pacjenci mówili do niego Frankie. Nie pamiętam jego nazwiska.

– Ile miał lat? – czułam, jak serce zaczyna mi bić coraz mocniej.

– Nie wiem. Siedemnaście, osiemnaście.

– Co pani o nim wie? – zapytałam. – To ważne. Bardzo ważne.

Czasomierz piekarnika wyłączył się, więc pani Wilson wstała, żeby wyjąć ciasto. Przy okazji zajrzała do synów. Kiedy wróciła, zaczęła się zastanawiać.

– Chyba jakiś czas był na oddziale Backhall, zaraz po przyjęciu. Potem przeniesiono go na pierwsze piętro, na oddział męski. Prowadziłam z nim terapię zajęciową – myślała intensywnie, palcem wskazującym dotykając podbródka. – Pamiętam, że bardzo dobrze sobie radził. Robił dużo skórzanych pasków, miedziorytów. Uwielbiał robić na drutach, co było raczej niezwykle. Męscy pacjenci na ogół nie robią na drutach, nie chcą. Wolą przedmioty ze skóry, robią zapalniczki i takie rzeczy. On był bardzo twórczy i naprawdę miał zdolności. I jeszcze coś. Jego pedanteria. Był obsesyjnie porządny, zawsze sprzątał po sobie miejsce pracy, zbierał resztki z podłogi. Jakby mu przeszkadzało, że coś nie jest w porządku, nie jest czyste – urwała i podniosła na mnie wzrok.

– Kiedy zgłosił skargę na Jima Barnes'a? – zapytałam.

– Niedługo po tym, jak zaczęłam tam pracować – zawahała się, głęboko zamyślona. – Zdaje się, że Frankie był w Valhalla zaledwie koło miesiąca, kiedy coś powiedział o Jimie. Myślę, że powiedział to innemu pacjentowi –

przerwała, a jej ładnie wygięte łuki brwi drgnęły, gdy zmarszczyła czoło. – I to właśnie ten drugi pacjent zgłosił to doktorowi Mastersonowi.

– Pamięta pani, kim był ten pacjent? Ten, któremu Frankie o tym powiedział?

– Nie.

– Czy to mógł być Al Hunt? Mówiła pani, że właśnie wtedy zaczęła pani pracę w Valhalla. Hunt był tam pacjentem jedenaście lat temu, wiosną i latem.

– Nie pamiętam takiego pacjenta.

– Byli w podobnym wieku.

– Zaraz... – gdy popatrzyła na mnie, w jej oczach widziałam niewinną ciekawość. – Frankie miał przyjaciela, innego nastolatka. Tak, pamiętam. Blondyn. Ten chłopiec był blondynem, bardzo nieśmiały, cichy. Ale nie pamiętam, jak się nazywał.

– Al Hunt był blondynem – zauważyłam.

Nie odpowiedziała.

– O Boże – westchnęła po chwili.

– Był spokojny, nieśmiały... – podpowiadałam jej.

– O, mój Boże – powtórzyła. – To w takim razie na pewno on! I to on popełnił samobójstwo w ubiegłym tygodniu?

– Tak.

– Czy to on wspomniał pani o Jimie?

– Wspomniał o kimś, kogo nazwał Jim Jim.

– Jim Jim – powtórzyła. – No... nie wiem...

– Co stało się z Frankiem?

– Nie był w szpitalu długo, tylko dwa czy trzy miesiące.

– Wrócił do domu?

– Tak sędę – powiedziała. – Ale coś się stało z jego matką. Zdaje się, że mieszkał z ojcem. Matka zostawiła go, gdy był mały... jakaś taka tam była historia. Tak naprawdę to pamiętam tylko, że jego sytuacja rodzinna nie była wesoła. Ale to samo można by powiedzieć o większości naszych pacjentów – westchnęła. – Boże. Coś takiego. Od lat nie myślałam o tamtych sprawach. Frankie – potrząsnęła głową – ciekawe, co się z nim dzieje.

– Nie wie pani?

– Nie mam pojęcia – patrzyła na mnie dość długo i chyba zaczynała rozumieć. Widziałam strach narastający w jej oczach. – Dwie osoby zamordowane. Myśli pani, że Frankie...

Nic nie powiedziałam.

– Nigdy nie był gwałtowny, przynajmniej gdy ja z nim pracowałam. W zasadzie był nawet bardzo delikatny.

Czekała, a ja nadal milczałam.

– To znaczy, dla mnie był bardzo grzeczny i miły, obserwował mnie bardzo uważnie, robił wszystko, co mu kazałam.

– Czyli panią lubił – powiedziałam.

– Zrobił dla mnie szalik. Teraz sobie przypomniałam. Czerwono-biało-niebieski. Całkiem o nim zapomniałam. Co z nim zrobiłam? – Ucichła na chwilę. – Pewnie podarowałam go Armii Zbawienia albo komuś innemu. Nie wiem. Frankie... tak... myślę, że miał do mnie słabość – roześmiała się nerwowo.

– Proszę pani, jak Frankie wyglądał?

– Wysoki, szczupły, z ciemnymi włosami – na chwilę przymknęła oczy. – To było tak dawno – znowu patrzyła na mnie. – Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nie pamiętam też, by miał wyjątkowo miłą aparycję. Wie

pani, może bym go lepiej zapamiętała, gdyby był bardzo przystojny albo bardzo brzydki. Dlatego myślę, że był dość przeciętny.

– Czy w szpitalu mają jakieś jego zdjęcia w aktach?

– Nie.

Znowu milczenie. Po chwili popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Jąkał się – powiedziała powoli, ale z przekonaniem.

– Słucham?

– Czasami się jąkał. Pamiętam. Jak Frankie był nadmiernie podniecony czy zdenerwowany, jąkał się.

Jim Jim.

Al Hunt powiedział dokładnie to, co miał na myśli. Kiedy Frankie opowiadał mu o tym, co zrobił lub usiłował zrobić Barnes, na pewno był zdenerwowany, roztrzęsiony. Jąkał się więc. Jąkał się za każdym razem, gdy opowiadał Huntowi o Jimie Barnesie. Jim Jim!

Dopałam pierwszego automatu telefonicznego, jaki napotkałam po wyjściu z domu Jeanie Wilson. A Marino poszedł sobie na kręgle.

Rozdział czternasty

Poniedziałek przyniósł chmury, których złowieszcza szarość zasnuwała całe wzgórze wraz z sylwetką szpitala Valhalla. W samochód Marina uderzał silny wiatr, a kiedy zatrzymaliśmy się przed szpitalem, na przednią szybę zaczęły spadać drobne płatki śniegu.

– Psiakrew – mruknął, gdy wysiedliśmy – jeszcze tego nam było trzeba.

– To na pewno przelotne opady – uspokoiliam go, wzdrygając się, gdy lodowate płatki dosięgły mojego policzka. Pochyliliśmy głowy pod wiatr i biegiem ruszyliśmy w stronę wejścia.

Doktor Masterson czekał już na nas w holu. Za wymuszonym uśmiechem kryła się twarz surowa jak kamień. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, obrzucając się nawzajem czujnym wzrokiem niczym wrogo nastawione koty, a ja nie zrobiłam nic dla złagodzenia napięcia, bo miałam już dość gierki tego psychiatry. Posiadał informacje, które były nam potrzebne. Mógł nam ich udzielić, otwarcie współpracując z nami albo na mocy nakazu sądowego. Wybór należał do niego. Ruszyliśmy za nim prosto do jego gabinetu. Tym razem zamknął drzwi.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, gdy tylko usiadł.

– Potrzebujemy więcej informacji – odparłam.

– Oczywiście. Ale muszę pani wyznać – mówił, jakbyśmy byli w gabinecie sami – że nie bardzo wiem, co jeszcze mogę powiedzieć o Alu Huncie, by pani pomóc. Przejrzała już pani jego akta, a ja powiedziałem wszystko, co pamiętam...

– Cóż, jesteśmy tu, żeby pobudzić pańską pamięć – przerwał mu Marino, wyjmując paczkę papierosów. – I bynajmniej nie Al Hunt jest przedmiotem naszego zainteresowania.

– Nie rozumiem.

– Bardziej interesuje nas jego kumpel. – Co za kumpel? – Masterson obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Mówi coś panu imię Frankie?

Masterson zaczął przecierać okulary i doszłam do wniosku, że jest to jego ulubiony sposób, by zyskać czas do namysłu.

– Był tu pacjent w tym samym czasie co Al Hunt. Dzieciak o imieniu Frankie – dodał Marino.

– Niestety, nie pamiętam.

– Może pan sobie pamiętać albo nie, niech pan tylko powie, kim jest ten Frankie.

– Mamy w Valhalla trzysta miejsc, poruczniku – odpowiedział. – Nie jestem w stanie pamiętać każdego, kto tu przebywał, zwłaszcza tych, których pobyt był dość krótki.

– Czy to ma znaczyć, że Frankie nie był tu długo? – podchwycił Marino.

Masterson sięgnął po fajkę. Widziałam w jego oczach złość, że powiedział więcej, niż zamierzał.

– To nic nie znaczy, poruczniku – zaczął powoli ugniatać tytoń w fajce – ale jeśli powie mi pan coś więcej o tym pacjencie... tym młodym człowieku, którego nazywa pan Frankie... może coś sobie przypomnę. Wie pan o nim coś więcej niż to, że był „dzieciakiem”?

W tym momencie uznałam za stosowne włączyć się do rozmowy.

– Mamy powody sądzić, że Al Hunt w czasie pobytu tutaj miał przyjaciela, kogoś, kogo nazywał Frankie. Al powiedział mi o nim, gdyśmy rozmawiali. Podejrzewamy, że ten chłopak mógł po przyjęciu do szpitala

przebywać na oddziale Backhall, a potem zostać przeniesiony na inne piętro, gdzie poznał Ala. Frankie był wysoki, ciemnowłosy, szczupły. Lubił robić na drutach, co jak sądzę, nie jest częste u mężczyzn.

– Czy to wszystko powiedział pani Al Hunt? – zapytał Masterson obojętnie.

– Frankie był też pedantycznie czysty – dodałam, ignorując pytanie.

– Obawiam się, że zainteresowanie robotkami ręcznymi nie jest czymś, na co mogłam zwrócić uwagę – skomentował, zapalając fajkę.

– Możliwe też, że miał skłonność do jąkania się w sytuacjach stresowych – ciągnęłam, panując nad własnym zniecierpliwieniem.

– Hm. Może ktoś ze zdiagnozowaną wymową spastyczną. To mogłoby być punkt wyjścia...

– Punkt wyjścia dla pana to przestać mydlić nam oczy tymi bzdurami – gwałtownie odezwał się Marino.

– Doprawdy, panie poruczniku – Masterson uśmiechnął się z wyższością – pańska wrogość jest nieuzasadniona.

– A jakże. Pańskie zachowanie też jest nieuzasadnione. Ale może mi przyjść ochota, żeby to zmienić, przynieść panu nakaz i wsadzić pański tyłek za kratki za współudział w morderstwie. Czy to brzmi lepiej? – Marino wpatrywał się w swojego rozmówcę ze złością.

– Chyba mam już dosyć pańskich impertynencji – odpowiedział Masterson spokojnie. – I nie znoszę gróźb.

– A ja nie znoszę, jak się mnie robi w konia – odparował Marino.

– Kim jest Frankie? – spróbowałam jeszcze raz.

– Zapewniam panią, że tak z marszu nie umiem na to odpowiedzieć. Ale jeśli zechce pani chwilę poczekać, zobaczę, co da się wydobyć z komputera.

– Dziękuję – powiedziałam. – Poczekamy.

Masterson jeszcze na dobre nie zamknął drzwi, kiedy Marino burknął:

– Co za palant.

– Marino – powiedziałam ze znużeniem.

– Przecież tu nie ma aż tyle dzieciaków. Mogę się założyć, że siedemdziesiąt pięć procent pacjentów to ludzie po sześćdziesiątce. No więc tacy młodzi powinni wryć się w pamięć, no nie? On dobrze wie, kim jest Frankie, pewnie mógł by nam nawet podać numer jego buta.

– Może.

– Tu nie ma żadnych „może”. Mówię ci, że ten facet robi nas w konia.

– I będzie to robił, dopóki będziesz go do siebie zrażał.

– Gadanie – wstał i podszedł do okna za biurkiem Mastersona. Rozsunął zasłony i patrzył na ponure przedpołudnie. – Nienawidzę, gdy ktoś mnie okłamuje. Przysięgam, że go przyszpilę, jak będę musiał. To mnie najbardziej spienia u psychiatrów. Mogą trzymać u siebie nawet Kubę Rozpruwacza i nic ich to nie obchodzi. Będą nas okłamywać, wsadzą tego bydlaka do łóżka i będą go karmić łyżeczką, jakby był jakimś honorowym gościem – przerwał i po chwili dodał nie na temat: – Przynajmniej śnieg przestał padać.

Nim usiadł z powrotem, powiedziałam:

– Trochę przesadziłeś, grożąc mi współudziałem w morderstwie.

– Ale go poruszyło, nie?

– Daj mu szansę zachować twarz.

Wpatrywał się ponuro w zasłonę w oknie i palił papierosa.

– Chyba już zrozumiał, że udzielenie nam pomocy jest w jego interesie – dodałam.

– Ale w moim interesie nie jest zabawa z nim w kotka i myszkę. Nawet teraz, gdy my tu sobie gadamy, Frankie Psychol łązi po ulicach i coś mu się roi w tej łepetynie, taka bomba zegarowa gotowa wkrótce wybuchnąć.

Pomyślałam o moim spokojnym domu w spokojnej dzielnicy, o naszyjniku Cary’ego Harpera wiszącym na gałce moich drzwi i o sapiącym głose na mojej sekretarce. „Naturalne czy tlenione?...” Dziwne. Zastanawiałam się nad znaczeniem tego pytania. Czemu to dla niego ważne?

– Jeśli to Frankie jest zabójcą – powiedziałam cicho – nie mam pojęcia, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Sparacino.

– Zobaczmy – mruknął, zapalając kolejnego papierosa i gniewnie wpatrując się w drzwi.

– Jak to „zobaczmy”?

– Zawsze mnie zdumiewa, jak jedna rzecz prowadzi do drugiej – odpowiedział zagadkowo.

– Co? Jakie rzeczy prowadzą do innych?

Spojrzał na zegarek i zaklął.

– Gdzie on do licha polazł? Na obiad?

– Miejmy nadzieję, że szuka akt Frankiego.

– Miejmy nadzieję.

– Jakie rzeczy prowadzą do innych? – Wróciłam do zadanego wcześniej pytania. – Co masz na myśli? Mógłbyś być bardziej konkretny?

– Ujmijmy to tak – powiedział. – Mam nieodparte wrażenie, że gdyby nie ta cholerna książka Beryl, wszyscy troje jeszcze by żyli. A i Hunt pewnie też by żył.

– Tego nie byłabym pewna.

– Oczywiście, że nie. Ty zawsze jesteś tak diabelnie obiektywna. Więc to moje własne zdanie, dobra! – Popatrzył na mnie i potarł zmęczone oczy, a twarz mu się zaróżowiła. – Mam takie przeczucie, w porządku? Coś mi mówi, że Sparacino, ta książka, wszystko to jest powiązane. To połączyło zabójcę z Beryl, a potem jedno prowadziło do drugiego. Potem ten drań

zabija Harpera. Następnie Sterling Harper zażywa tyle tabletek, że słońca by powaliło, żeby nie wałęsać się po tym ogromnym domu sama, zżerana przez raka. A potem Hunt zwisa na rurze w tych swoich cholernych szortach.

Szybko przemknęło mi przez myśl pomarańczowe włókno o szczególnym kształcie trójlistnej koniczyny, a także maszynopis, Sparacino, Jeb Price, syn senatora Partina, pani McTigue i Mark. Były to części łamigłówki, której nie potrafiłam ułożyć. W jakiś niewyjaśniony sposób pozornie niezwiązani ze sobą ludzie i wydarzenia skupili się w kształt Frankiego. Marino miał rację. Jedna rzecz zawsze prowadzi do innej. Morderstwo nigdy nie wyłania się z próżni. Podobnie jak wszystko, co złe.

– Masz jakąś teorię na temat tego, jakie dokładnie mogłoby być to powiązanie? – zapytałam.

– Nie. Nie mam pojęcia – odpowiedział, ziewając właśnie w chwili, gdy w drzwiach pojawił się Masterson, który wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Z satysfakcją zauważyłam, że trzymał pod pachą stos teczek.

– No więc – powiedział chłodno, nie patrząc na nas – nie znalazłem nikogo o imieniu Frankie. Zakładam, że mogło to być przezwisko. Wyciągnąłem więc akta na podstawie daty leczenia, wieku i rasy. Mam tutaj dokumentacje sześciu białych mężczyzn, z wyjątkiem Ala Hunta, którzy byli naszymi pacjentami w interesującym was okresie. Są to osoby w wieku od trzynastu do dwudziestu czterech lat.

– Może pozwoli nam pan je przejrzeć, a sam wypali sobie przez ten czas fajkę. – Marino był nieco mniej bojowo nastawiony, ale niewiele.

– Wolałbym wam przedstawić tylko ich historie choroby, z uwagi na tajemnicę lekarską. Jeśli któryś was zainteresuje, dokładnie obejrzymy jego akta. Może być?

– Może być – powiedziałam, zanim Marino zdążył się przeciwstawić.

– Pierwszy przypadek – zaczął Masterson, otwierając teczkę z samej góry – to dziewiętnastolatek z Highland Park, Illinois, przyjęty w grudniu 1978 roku. Nadużywanie narkotyków, głównie heroiny – obrócił kartkę – 173 cm wzrostu, waga ponad 77 kg, brązowe oczy, brązowe włosy. Leczenie trwało trzy miesiące.

– Al Hunt został przyjęty dopiero w kwietniu następnego roku – przypomniałam mu – więc nie mogli być pacjentami w tym samym czasie.

– Tak, ma pani rację. Moje przeoczenie. Możemy go więc wykluczyć – odłożył teczkę na bok, a ja posłałam Marinowi ostrzegawcze spojrzenie. Po jego czerwonej jak burak twarzy poznałam, że jest bliski wybuchu.

Masterson otworzył drugą teczkę i zaczął:

– Dalej mamy czternastoletniego chłopca, jasne włosy, niebieskie oczy, 160 cm wzrostu, 52 kilogramy. Przyjęty w lutym 1979 roku, wypisany sześć miesięcy później. Apatia, złudzenia fragmentaryczne. Zdiagnozowany jako schizofrenia dezorganizująca lub hebefreniczna.

– Mógłby pan wyjaśnić, co to u licha znaczy? – zapytał Marino.

– Niespójne, dziwaczne zachowania, skrajne odcięcie się od otoczenia i inne zaburzenia. Na przykład – przerwał, by obrócić kartkę – wychodził rano na przystanek, ale nie zjawiał się w szkole i pewnego razu znaleziono go siedzącego pod drzewem i rysującego dziwaczne, pozbawione sensu wzory w notesie.

– Tak, tak. I teraz jest pewnie słynnym artystą mieszkającym w Nowym Jorku – mruknął Marino z sarkazmem. – Czy jego imię to Frank, Franklin, albo coś na F?

– Nie. Nic takiego.

– No to kto następny?

– Następny jest dwudziestodwulatek z Delaware. Rude włosy, szare oczy, e..., 178 cm, 68 kg. Przyjęty w marcu 1979 roku, wypisany w

czerwcu. Zdiagnozowany jako cierpiący na syndrom urojeń organicznych. Czynniki wpływające to epilepsja oraz nadużywanie marihuany. Wśród komplikacji wymieniane są: nastroje dysforyczne oraz próba samokastracji w reakcji na urojenie.

– Co znaczy „dysforyczne”? – spytał Marino.

– Niespokojne, nerwowe, depresyjne.

– I to wszystko przed czy po tym, jak próbował zamienić się w eunucha?

Doktor Masterson zaczął tracić cierpliwość i nie mogłam go o to winić.

– Następny – powiedział Marino, jakby prowadził musztrę.

– Czwarty pacjent to osiemnastoletni mężczyzna, czarne włosy, brązowe oczy, 175 cm, 65 kg. Przyjęty w maju 1979 roku, diagnoza: schizofrenia paranoidalna. Jego historia choroby – obrócił stronę i sięgnął po fajkę – zawiera niekontrolowane wybuchy gniewu i niepokoju, wątpliwości co do tożsamości seksualnej i wyraźny strach, by nie być postrzeganym jako homoseksualista. Zestaw jego psychoz miał prawdopodobnie związek z kontaktem z homoseksualistą w toalecie...

– Niech pan poczeka – gdyby Marino mu nie przerwał, ja bym to zrobiła. – Musimy o nim porozmawiać. Jak długo był w Valhalla?

Masterson zapalał fajkę. Nie śpiesząc się, przejrzał dokumentację i odpowiedział:

– Dziesięć tygodni.

– To znaczy, że był tu w tym czasie co Al Hunt.

– Zgadza się.

– Czyli ktoś zbliżył się do niego w toalecie i to mu wywróciło pod sufitem. Co się stało? Jakie psychozy? – pytał Marino.

Doktor Masterson obracał kartki. Przecierając okulary, odpowiedział:

– Epizodyczne urojenia wielkościowe. Wierzył, że Bóg każe mu robić pewne rzeczy.

– Jakie rzeczy? – zapytał Marino, pochylając się do przodu.

– Nie mam tu nic szczególnego, tyle że wypowiadał się w mętny sposób.

– I był paranoidalnym schizofrenikiem? – zapytał Marino.

– Tak.

– Zechce pan to wyjaśnić? A jakie są jeszcze symptomy?

– W klasycznej postaci – odpowiedział Masterson – występują takie objawy jak urojenia wielkościowe czy halucynacje o podniosłym charakterze. Może wystąpić urojona zazdrość, skrajna intensywność stosunków interpersonalnych, kłótność i w niektórych przypadkach gwałtowność.

– Skąd pochodził? – spytałam.

– Maryland.

– Niech to – burknął Marino – mieszkał z obojgiem rodziców?

– Z ojcem.

– Jest pan pewien, że to była schizofrenia paranoidalna, a nie niezróżnicowana?

To rozróżnienie było istotne. Cierpiący na schizofrenię niezróżnicowaną często wykazują niezorganizowane zachowania. Na ogół nie są w stanie zaplanować przestępstwa i nie dać się złapać. Szukana przez nas osoba była na tyle zorganizowana, że potrafiła je zaplanować i przeprowadzić, a także uniknąć schwytania.

– Raczej tak – odparł Masterson. Po chwili dodał obojętnym tonem: – Co ciekawe, imię tego pacjenta brzmi Frank. – Wręczył mi teczkę i oboje z Marino szybkośmy ją przejrżeli.

Frank Ethan Aims, albo Frank E., czyli prawdopodobnie „Frankie”, opuścił szpital pod koniec lipca 1979 roku, a niedługo potem, jak podawała

notatka doktora Mastersona z tamtego okresu, uciekł z domu w Maryland.

– Skąd pan wie, że uciekł z domu? – zapytał Marino, podnosząc wzrok na psychiatrę. – Skąd pan wie, co się z nim działo po opuszczeniu szpitala?

– Jego ojciec do mnie zadzwonił. Był bardzo zdenerwowany – powiedział Masterson.

– I co?

– Niestety, niewiele mogliśmy zrobić. Frank był już pełnoletni, poruczniku.

– Czy pamięta pan, żeby ktokolwiek zwracał się do niego „Frankie”? – spytałam.

Potrząsnął głową.

– A czy Jim Barnes był opiekunem społecznym Franka Aimsa?

– Tak.

– A czy Frank Aims miał jakieś scysje z Jimem Barnesem?

Zawahał się.

– Podobno.

– Na jakim tle?

– Podobno na tle seksualnym. I na miłość boską, widzi pani, że próbuję wam pomóc. Mam nadzieję, że będzie pani o tym pamiętać.

– Jasne – wtrącił Marino – pamiętamy o tym. To znaczy, nie planujemy ani nie rozsyłamy informacji do prasy.

– A więc Frank znał Ala Hunta – powiedziałam.

Masterson znowu się zawahał. Jego twarz była bardzo poważna.

– Tak, to Al wysunął zarzuty.

– Bingo – mruknął Marino.

– Co to znaczy, że Al Hunt wysunął zarzuty? – zapytałam.

– To znaczy, że poskarżył się jednemu z naszych terapeutów – odparł Masterson, a w jego tonie wyczułam nutę asekuracji. – Podczas jednej z

naszych sesji zwrócił się też do mnie. Pytaliśmy Franka, ale on nie chciał nic powiedzieć. To był bardzo skryty, zamknięty w sobie młody człowiek. Nie mogłem poczynić żadnych kroków, opierając się tylko na tym, co mówił Al. Bez współpracy Franka te zarzuty były tylko pogłoskami.

Marino i ja milczeliśmy.

– Przykro mi – powiedział Masterson, już całkiem zdenerwowany – ale nie mogę wam pomóc, jeśli chodzi o miejsce pobytu Franka. Nie wiem nic więcej. Ostatni raz miałem kontakt z jego ojcem jakieś siedem, osiem lat temu.

– Z jakiego powodu? – zainteresowałam się.

– Pan Aims zadzwonił do mnie.

– Po co?

– Chciał się dowiedzieć, czy nie mam o nim jakichś wiadomości.

– A miał pan? – zapytał Marino.

– Nie, przykro mi to mówić, ale Frank nigdy się do mnie nie odezwał.

– Dlaczego pan Aims chciał dowiedzieć się czegoś o Franku? – postawiłam zasadnicze pytanie.

– Chciał go znaleźć, myślał, że może mu podpowiem, gdzie go szukać. Bo zmarła jego matka. To znaczy matka Franka.

– Gdzie zmarła i jak się to stało? – zapytałam.

– We Freeport, Maine. Naprawdę nie znam szczegółów.

– Śmiercią naturalną? – zapytałam.

– Nie – odpowiedział Masterson, unikając mojego wzroku. – Jestem prawie pewien, że nie.

Marino nie potrzebował wiele czasu, żeby się wszystkiego dowiedzieć. Zadzwonił na policję we Freeport. Według ich raportów 15 stycznia 1983 roku, późnym popołudniem, pani Wilma Aims została pobita na śmierć przez „włamywacza”, który widocznie czekał na nią w domu, gdy wróciła

ze sklepu. Gdy zmarła, miała czterdzieści dwa lata. Była drobną kobietą z niebieskimi oczami i tlenionymi włosami. Zabójcy nie schwytano.

Nie miałam wątpliwości, kim był ów rzekomy włamywacz. Marino zresztą też.

Powiedział:

– Więc może Hunt naprawdę był jasnowidzem? Wiedział, że Frankie pozbył się matki. Przecież to się stało długo po ich wspólnym zapuszkowaniu w wariatkowie.

Bezmyślnie obserwowaliśmy sztuczki wiewiórki Sammy wokół karmnika dla ptaków. Kiedy Marino odwiózł mnie ze szpitala do domu, zaprosiłam go na kawę.

– Jesteś pewien, że Frankie nie pracował w myjni Ala w ciągu ostatnich kilku lat? – spytałam.

– Nie przypominam sobie żadnego Franka ani Frankiego Aimsa w ich księgach.

– Mógł zmienić nazwisko.

– Pewnie tak zrobił po zabiciu matki. Podejrzewał, że policja może go szukać. – Sięgnął po kawę.

– Problem polega na tym, że nie mamy żadnego aktualnego opisu, a takie miejsca jak Masterwash to molochoy, przez które przewijają się tłumy pracowników. Pracują kilka dni, tydzień, miesiąc. Wyobrażasz sobie, ilu białych mężczyzn jest wysokich, szczupłych i z ciemnymi włosami? Mogę przeglądać nazwiska, ale brak mi danych.

Byliśmy tak blisko, a jednocześnie tak bardzo daleko. Obłąd.

– Te włókna wskazywałyby na myjnię. Hunt pracował w myjni, z której korzystała Beryl, i możliwe, że znał jej zabójcę. Rozumiesz, co mówię, Marino? Hunt wiedział, że Frankie zabił matkę, bo Hunt i Frankie mogli być w kontakcie po wyjściu ze szpitala. Frankie mógł pracować w myjni

Hunta, może nawet niedawno. Może Frankie zwrócił uwagę na Beryl, kiedy przyprowadziła samochód do umycia.

– Tam jest trzydziestu sześciu pracowników. Wszyscy prócz jedenastu są czarni, a wśród tych jedenastu jest sześć kobiet. Zostaje więc ilu? Pięciu? Troje z nich nie ma jeszcze dwudziestki, to znaczy, że mieli osiem, dziewięć lat, kiedy Frankie był w szpitalu. Czyli odpadają. Pozostali trzej też nie pasują z różnych innych przyczyn.

– Z jakich różnych innych przyczyn? – spytałam.

– Na przykład zostali zatrudnieni w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, nie pracowali tam, kiedy Beryl przyprowadzała swój samochód. Nie wspomnę, że ich wygląd zupełnie nie odpowiada temu, czego szukamy. Jeden jest rudy, jeden konus prawie tak niski jak ty.

– Miły jesteś.

– Będę szukał dalej – powiedział, odwracając się od karmnika dla ptaków, podczas gdy Sammy obserwował nas swoimi oczkami w różowych obwódkach. – No a ty?

– Co ja?

– Czy w twoim biurze wiedzą, że jeszcze tam pracujesz? – zapytał Marino, dziwnie mi się przyglądając.

– Wszystko jest pod kontrolą.

– Nie byłbym taki pewien.

– Ale ja jestem.

– Jeśli o mnie chodzi – Marino nie dawał za wygraną – to myślę, że nie robisz najlepiej.

– Nie będzie mnie w biurze jeszcze parę dni – oznajmiłam stanowczym tonem. – Muszę znaleźć maszynopis Beryl. Ethridge mnie ponagla. I musimy się dowiedzieć, co tam jest. Może to jest ogniwo, o którym mówiłeś.

– Tylko pamiętaj o moich zasadach.

Wstał od stołu.

– Jestem ostrożna – zapewniłam go.

– Już się więcej nie odezwał?

– Nie. Żadnych telefonów. Żadnego znaku. Nic. – Ale pamiętaj, że do Beryl też nie dzwonił codziennie.

Nie musiał mi przypominać. Nie chciałam, żeby znowu zaczynał.

– Jeśli zadzwoni, powiem po prostu: „Halo, Frankie. O co chodzi?”

– Słuchaj. To nie żarty – zatrzymał się w korytarzu i zwrócił w moją stronę – Żartowałaś, prawda?

– Oczywiście – uśmiechnęłam się i poklepałam go po plecach.

– Ja mówię serio. Nie próbuj robić nic takiego. Jak go usłyszysz na sekretarce, nie podnoś słuchawki...

Marino zmarł z przerażenia, gdy otworzyłam drzwi.

– Psiaaaaakrew...! – Wyszedł na ganek, idiotycznie chwytając za broń, i miotał się jak szaleniec.

Gdy spojrzałam tam, gdzie on, zaniemówiłam. Chłodne zimowe powietrze rozdzierał trzask i szum płomieni.

W centrum tego piekła, którego płonące języki przeszywały czarne niebo, rozpadał się samochód Marina. Płomienie tańczyły, wyciągały się w górę, jakby chciały dosięgnąć księżycy. Chwyciłam Marina za rękaw i wciągnęłam z powrotem do domu właśnie w chwili, gdy w oddali rozległo się wycie syreny i eksplodował zbiornik z paliwem. Za oknami salonu zajaśniało, gdy kula ognia wystrzeliła w niebo, zapalając bukszpany na skraju mojej posesji.

– O, Boże! – krzyknęłam, gdy zgasło światło.

Marino chodził po dywanie tam i z powrotem, a jego duża postać wyglądała w ciemnościach jak rozszalały byk gotów do ataku. Wyjął swój

nadajnik i zaczął przeklinać.

– Cholerny drań! A to skurczysyn!

Pożegnałam się z Marinem wkrótce po tym, jak odholowano stopioną kupę złomu, jaka pozostała po jego ukochanym nowym samochodzie. Chciał zostać u mnie na noc, ale ja upierałam się, że kilka jednostek patrolowych przed moim domem wystarczy. Nalegał, żebym się przeniosła do hotelu, ale ja nie chciałam ruszać się z miejsca. On musiał zająć się swoim wrakiem, a ja moim. Moja ulica i podwórko pokryte były mieszanką wody i sadzy, a w domu na parterze unosił się śmierdzący dym. Skrzynka na listy na końcu podjazdu do mojego domu wyglądała jak poczerniała zapałka, straciłam też około sześciu bukszpanów i tyleż drzew. Poza tym, chociaż wzruszyła mnie troska Marina, potrzebowałam samotności.

Było już dobrze po północy i właśnie rozbierałam się przy świeczce, kiedy zadzwonił telefon. Głos Frankiego wdarł się do mojej sypialni niczym trujące opary zanieczyszczające powietrze. Oddychałam powoli, czując, jak przestaje być bezpieczna we własnym domu.

Usiadłam na krawędzi łóżka i wpatrywałam się tępo w automatyczną sekretarkę. W gardle czułam gorzki smak, a serce jak oszalałe obijało się o żebra.

– ...Szkoda, że nie mogłem zostać, żeby to zobaczyć. To było impo–ponujące, Kay, prawda? To było coś. Nie podoba mi się, kiedy przyjmujesz w domu innych mę–mężczyzn. Teraz wiesz. Teraz wiesz.

Taśma zatrzymała się i zaczęło migać światełko informujące o przyjętej wiadomości. Zamknęłam oczy. Oddychałam powoli i głęboko, a serce wciąż łomotało jak szalone. Na ścianach wyginały się cienie płomienia świecy. Czemu akurat mnie się to przytrafia?

Wiedziałam, co mam zrobić. To samo, co zrobiła Beryl Madison. Zastanawiałam się, czy czuję taki sam strach jak ona, gdy opuszczała

myjnię, zobaczywszy wyskrobane na drzwiach serce. Nie byłam w stanie opanować drżenia rąk, gdy otwierałam szufladę szafki nocnej i wyjmowałam z niej książkę telefoniczną. Kiedy już zarezerwowałam bilet, zadzwoniłam do Bentona Wesleya.

– Nie radzę ci tego robić, Kay – powiedział, natychmiast całkiem rozbudzony. – Nie, w żadnym wypadku. Posłuchaj mnie, Kay...

– Nie mam wyboru, Benton. Chciałam tylko, żeby ktoś wiedział. Możesz poinformować Marina, jeśli chcesz. Ale nie przeszkadzaj mi. Proszę. Ten maszynopis...

– Kay...

– Muszę go znaleźć. Myślę, że on jest właśnie tam.

– Kay! Źle myślisz.

– Słuchaj – podniosłam głos – co mam robić? Czekać tu, aż ten drań postanowi wyważyć mi drzwi albo wysadzić samochód? Jeśli tu zostanę, zginę. Jeszcze na to nie wpadłeś?

– Masz przecież alarm. Masz broń. Nie może wysadzić samochodu z tobą w środku. Marino dzwonił. Powiedział mi, co się stało. Są przekonani, że ktoś oblał szmatę benzyną i wepchnął ją do baku. Znaleźli ślady wytrycha. Otworzył...

– Jezu, Benton. Nie słuchasz mnie...

– To ty posłuchaj. Proszę, Kay, wysłuchaj mnie. Załatwię ci obstawę, każę komuś jechać z tobą, dobrze? Jedna z naszych agentek...

– Dobranoc, Benton.

– Kay!

Odłożyłam słuchawkę i nie odebrałam telefonu, gdy po chwili to on do mnie zadzwonił. Słuchałam jego protestów, które nagrywały się na sekretarkę. Krew pulsowała mi w tętnicy szyjnej, bo przypomniały mi się tamte obrazy: syczący samochód Marina, gdy płomienie walczyły ze

strugami wody z wijących się po ulicy węży strażackich. Kiedy znalazłam małe zwęglone ciało na końcu podjazdu, coś wewnątrz mnie drgnęło. Bak w samochodzie Marina musiał eksplodować w chwili, gdy Sammy akurat zeskakiwał z drutu elektrycznego. Szaleńczo szukał schronienia. Przez ułamek sekundy jego łapki dotykały równocześnie uziemionego transformatora i głównej linii. Dwadzieścia tysięcy wolt przepłynęło przez jego drobne ciało, paląc je na węgiel.

Włożyłam go do pudełka po butach i zakopałam w ogrodzie, bo myśl o ujrzeniu tych zwęglonych resztek w świetle dnia była nie do zniesienia.

Gdy skończyłam się pakować, prądu jeszcze nie było. Zeszłam na dół, gdzie sączyłam brandy i paliłam papierosa, dopóki nie przestałam się trząść. Mój ruger na blacie baru połyskiwał w świetle lampy naftowej. Nie poszłam do łóżka. Nie patrzyłam na szczątki mojego podwórka, gdy otwierałam drzwi i z torbą objijającą się o nogi, przez kałuże wody biegłam do samochodu. Na mojej ulicy nie widziałam żadnego patrolu. Kiedy krótko po piątej nad ranem dojechałam na lotnisko, natychmiast weszłam do toalety i wyjęłam rewolwer z torebki. Po rozładowaniu zapakowałam go do walizki.

Rozdział piętnasty

W samo południe schodziłam z pokładu samolotu na spalone słońcem lotnisko w Miami.

W holu lotniska zatrzymałam, się, żeby kupić „Herald” i filiżankę kawy. Znalazłam mały stolik, na wpół zasłonięty palmą w doniczce, i tam zdjęłam zimową kurtkę i podciągnęłam rękawy. Byłam cała mokra, pot spływał mi po plecach i pod pachami. Oczy szczypały mnie z braku snu, bolała mnie głowa, a to, co znalazłam w gazecie, wcale nie poprawiło mi nastroju. Na pierwszej stronie, w lewym dolnym rogu widniało duże zdjęcie strażaków gaszących płonący samochód Marina. Na zdjęciu widać było strugi wody, tumany dymu i płonące drzewa przed moim domem, a towarzyszył mu następujący tekst:

Eksplozja samochodu policyjnego

Strażacy z Richmond gaszą pożar samochodu detektywa wydziału zabójstw. Wczoraj wieczorem samochód stanął w płomieniach na spokojnej ulicy w dzielnicy mieszkalnej. W chwili wybuchu ford LTD był pusty. Nie ma ofiar. Podejrzewa się podpalenie.

Dobrze chociaż, że nie napisano, przed czyim domem i dlaczego zaparkowany był samochód. Pomyślałam, że mimo to moja matka rozpozna miejsce po fotografii i będzie próbowała się do mnie dodzwonić.

Powie pewnie:

– Chciałabym, żebyś wróciła do Miami, Kay. Richmond to takie straszne miejsce. A nowe biuro naczelnego lekarza sądowego jest tutaj takie ładne... jak na filmach.

Dziwne, że nigdy nie przyszło jej do głowy, że w moim rodzinnym mieście z hiszpańskojęzycznymi mieszkańcami w dowolnym roku jest więcej zabójstw, strzelanin, handlu narkotykami, zamieszek na tle rasowym, gwałtów i kradzieży niż w Wirginii i całej Wspólnocie Brytyjskiej razem wziętych.

Postanowiłam, że zadzwonię do niej później. Wybacz mi, Panie, ale nie mam teraz sił z nią rozmawiać.

Pozbierawszy swoje rzeczy, zgasłam papierosa i zanurzyłam się w gąszcz barwnych ubrań, toreb ze sklepów wolnocłowych i obcych języków. Cały ten tłum zmierzał po odbiór bagaży. Torebkę trzymałam bezpiecznie pod pachą.

Nie mogłam pozwolić sobie na relaks aż do chwili, gdy kilka godzin później mknęłam wynajętym samochodem po Siedmiomilowym Moście. Wkrótce jechałam dalej na południe, mając po jednej stronie Zatokę Meksykańską, a po drugiej Ocean Atlantycki, i próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatnio byłam w Key West. Podczas wszystkich moich wizyt z Tonym u mojej rodziny w Miami, nigdy nie braliśmy pod uwagę możliwości odwiedzenia tego miejsca. Byłam prawie pewna, że ostatnim razem jechałam tą trasą z Markiem.

Jego miłość do plaż, wody i słońca była odwzajemniona. Jeśli możliwe jest faworyzowanie niektórych przez naturę, to Mark właśnie do takich faworytów należał. Nie bardzo pamiętałam, kiedy to było, a już tym bardziej, dokąd jechaliśmy, gdy spędził tydzień z moją rodziną. Pamiętałam natomiast wyraźnie jego luźne białe kąpielówki i ciepło jego dłoni trzymającej moją podczas spacerów po chłodnym, wilgotnym piasku.

Pamiętałam niezwykłą biel jego zębów kontrastującą z opaloną skórą, wigor i niepohamowaną radość w jego oczach, gdy szukał muszli i zębów rekinów, a ja uśmiechałam się pod szerokim rondem kapelusza. Przede wszystkim nie mogłam zapomnieć, że kochałam tamtego młodego mężczyznę bardziej, niż sądziłam, że można kochać.

Co go zmieniło? Ciężko było mi przyjąć, że przeszedł na stronę wroga, w co wierzył Ethridge i z czym musiałam się pogodzić. Mark zawsze był rozpieszczony. Zawsze czuł się uprawniony do wszystkiego, a wynikało to z tego, że był wspaniałym synem wspaniałych rodziców. Cieszył się urokami życia, ale nigdy nie był nieuczciwy. Nigdy nie był okrutny. Nie mogłabym nawet powiedzieć, że protekcyjnie traktował tych, którzy mieli w życiu mniej szczęścia, ani że wykorzystywał tych, którzy ulegali jego urokowi. Jego jedynym prawdziwym grzechem było to, że nie dość mnie kochał. Z odległej perspektywy mojego wieku średniego byłam w stanie mu to wybaczyć. Nie mogłam mu jednak wybaczyć nieuczciwości. Nie mogłam mu wybaczyć upadku, zamiany w człowieka gorszego niż ten, którego niegdyś szanowałam i podziwiałam. Nie mogłam mu wybaczyć, że nie jest już tamtym Markiem.

Minęłam Szpital Marynarki Wojennej USA i jechałam dalej wzdłuż wybrzeża bulwarem Roosevelta. Wkrótce kluczyłam wśród ulic Key West w poszukiwaniu Duval. Słońce malowało wąskie uliczki na biało, a na chodniku tańczyły cienie tropikalnych roślin poruszanych lekką bryzą. Pod błękitnym ciągnącym się w nieskończoność niebem rosły olbrzymie palmy i drzewa mahoniowe, które rozłożystymi ramionami soczystej zieleni osłaniały domy i sklepy, podczas gdy bugenwille i hibiskusy przymilały się chodnikom i gankom, ofiarowując im jaskrawą czerwień i fiolet. Powoli mijałam ludzi w sandałach i szortach oraz mnóstwo motorowerów.

Natomiast prawie nie widziałam dzieci, a i liczba mężczyzn wydała mi się nieproporcjonalna.

La Concha okazała się wysokim różowym budynkiem sieci Holiday Inn, przestronnym, z typowymi w takich miejscach roślinami tropikalnymi. Nie miałam problemów z rezerwacją miejsca, chyba dlatego, że sezon turystyczny zaczyna się tutaj dopiero w trzecim tygodniu grudnia. Gdy zostawiłam samochód na opustoszałym parkingu i weszłam do dziwnie pustego holu, przypomniało mi się, co mówił Marino. Nigdy w życiu nie widziałam tylu par jednej płci naraz. Oczywiście było, że pod pozorami zdrowia i żywotności tej maleńkiej wysepki tli się silne ognisko choroby. Gdziekolwiek spojrzalam, zdawało mi się, że widzę umierających. Nie czułam strachu, że zarażę się żółtaczką czy AIDS, gdyż już dawno przywykłam do myśli o potencjalnym zagrożeniu chorobami często spotykanymi w mojej pracy. Nie przeszkadzali mi też homoseksualiści. Im byłam starsza, tym bardziej skłaniałam się ku pogładowi, że miłości można doświadczać na wiele sposobów.

Kiedy recepcjonista zwrócił mi kartę kredytową, poprosiłam, by wskazał drogę do wind, i udałam się do pokoju na czwartym piętrze. Rozebrałam się do bielizny, wślizgnęłam do łóżka i spałam całe czternaście godzin.

Następny dzień był równie pogodny, jak poprzedni. Ubrałam się jak przeciętny turysta, z tą tylko różnicą, że w torebce miałam załadowanego rugera. Zadanie, jakie sobie wyznaczyłam, polegało na przeszukaniu tej wyspy, liczącej jakieś trzydzieści tysięcy mieszkańców i znalezieniu dwóch mężczyzn, których znałam tylko jako P.J. i Walt. Wiedziałam z listów Beryl z końca sierpnia, że byli to jej przyjaciele i że mieszkali w domu, w którym ona wynajmowała pokój. Nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie stoi ten

dom i jak się nazywa, i liczyłam tylko na to, że ktoś w restauracji Louiego naprowadzi mnie na ślad.

Ruszyłam, ściskając w ręku mapę kupioną w hotelowym sklepie z pamiątkami. Minęłam szereg sklepów i restauracji z werandami, które przypominały Dzielnicę Francuską w Nowym Orleanie. Minęłam wystawy dzieł sztuki na chodnikach, butik z egzotycznymi roślinami, jedwabiem, słodyczami i zatrzymałam się na skrzyżowaniu, żeby przyjrzeć się jaskrawożółtym wagonikom pociągu wożącego turystów po mieście. Zaczynałam rozumieć, dlaczego Beryl Madison nie chciała opuszczać Key West. Z każdym krokiem Frankie ze swoimi groźbami oddalał się coraz bardziej. Gdy skręcałam w lewo w South Street, był już tak odległy jak surowa grudniowa aura w Richmond.

Restauracja Louiego mieściła się w budynku, który był kiedyś domem mieszkalnym, na rogu ulic Vernon i Waddell. Drewniane podłogi lśniły czystością, stoliki nakryte były nienagannie czystymi lnianymi obrusami i udekorowane pięknymi świeżymi kwiatami. Przeszłam za kelnerem przez klimatyzowaną salę na werandę, gdzie oślepił mnie błękit wody stykającej się z niebem i zachwyił widok palm i wiszących koszy z kwitnącymi kwiatami, których woń mieszała się z zapachem morza. Niemal pod samymi stopami rozpościerał się ocean, a przy samym brzegu stał rząd przycumowanych żaglówek. Zamawiając rum z tonikiem, myślałam o listach Beryl i o tym, czy siedzę w miejscu, w którym je pisała.

Większość stolików była zajęta. Czułam się jednak wyłączona z tłumu, bo mój stolik niemal przylegał do balustrady. Po lewej miałam cztery stopnie prowadzące w dół na szeroki podest, gdzie niewielka grupa młodych kobiet i mężczyzn kręciła się przy barze. Obserwowałam silnego młodego Latynosa w żółtych opiętych kąpielówkach, który wrzucił niedopałek papierosa do wody, po czym wstał i przeciągnął się leniwie.

Podszedł kupić następną kolejkę piwa do brodatego barmana, który poruszał się jak człowiek zmęczony pracą i już niemłody.

Nim zjadłam sałatkę i zupę z małży, grupa młodzieży zeszła po schodach i z hałasem wbiegła do wody. Wkrótce płynęli w kierunku przycumowanych łodzi. Zapłaciłam rachunek i podeszłam do barmana. Siedział rozparty w krześle i czytał książkę.

– Co mam podać? – powiedział przeciągle, wstając niechętnie i wsuwając książkę pod ladę.

– Czy sprzedaje pan papierosy? – zapytałam – bo nie widziałam tu automatu.

– Tak – wskazał kilka paczek za swoimi plecami.

Gdy dokonałam wyboru, położył paczkę na ladzie i zażądał astronomicznej sumy dwóch dolarów. Napiwek w wysokości pięćdziesięciu centów nie zrobił na nim szczególnego wrażenia. Spoglądał na mnie wrogo zielonymi oczami, twarz miał spaloną słońcem, a gęstą, ciemną brodę rozjaśniała siwizna. Wyglądał na człowieka, który wiele przeszedł, i miałam wrażenie, że mieszka w Key West od dość dawna.

– Pozwoli pan, że o coś zapytam? – powiedziałam.

– To chyba bez znaczenia, bo już pani zapytała – odpowiedział.

Uśmiechnęłam się.

– Racja. Ale chciałabym zadać jeszcze jedno pytanie. Jak długo pan tu pracuje?

– Piąty rok. – Sięgnął po szmatkę i zaczął wycierać ladę.

– To musiał pan znać młodą kobietę o imieniu Straw. – Pamiętałam z listów Beryl, że nie używała tu swojego prawdziwego imienia.

– Straw? – powtórzył, marszcząc czoło i nie przestając polerować lady.

– To przezwisko. Blondynka, szczupła, bardzo ładna. Przychodziła tutaj latem prawie codziennie. Siedziała przy jednym ze stolików i pisała.

Przestał polerować blat i wbił we mnie ten swój nieprzyjazny wzrok.

– Czemu to panią interesuje? To pani znajoma?

– Jest moją pacjentką. – To było jedyne określenie, jakie wydało mi się niezbyt zniechęcające i nie do końca nieprawdziwe.

– Co? – unióśł gęste brwi – pacjentką? Jest pani jej lekarzem?

– Zgadza się.

– No. Niewiele może już pani dla niej zrobić. Przykro mi to mówić, pani doktor – opadł na swoje krzesło i oparł się, czekając na odpowiedź.

– Wiem o tym – powiedziałam. – Wiem, że nie żyje.

– Tak. To był szok, jak o tym usłyszałem. Parę tygodni temu pojawiły się tu gliny ze swoimi pałkami i kajdankami. Powiem pani to, co moi kumple powiedzieli im. Nikt tutaj nie ma pojęcia, co się z nią stało. Była naprawdę spokojna. Prawdziwa elegancka dama. Siadywała o tam – wskazał pusty stolik niedaleko miejsca, w którym stałam. – Spędzała tam wiele czasu i nie wścibiała nosa w cudze sprawy.

– Czy ktoś z was poznał ją bliżej?

– Pewnie – wzruszył ramionami. – Wszyscy wypiliśmy razem kilka drinków. Miała słabość do Corony z limoną. Ale nie powiedziałbym, że ktoś tutaj znał ją naprawdę. To znaczy, nie wiem, czy ktokolwiek wiedział na przykład, skąd pochodziła, poza tym, że z zimnych okolic.

– Z Richmond w Wirginii – powiedziałam.

– Wie pani – ciągnął – przewija się tu wiele ludzi. Key West to miejsce, w którym można pozostać niezauważonym. Jest tu też wielu głodujących artystów. Straw nie różniła się od innych... no, może tylko tym, że inni nie kończą zamordowani. Cholera – podrapał się po brodzie i powoli potrząsnął głową – to aż trudno sobie wyobrazić. Sama myśl zwała człowieka z nóg.

– Jest wiele pytań bez odpowiedzi – stwierdziłam, zapalając papierosa.

– Wierzę. Jak na przykład, czemu pani pali. Myślałem, że lekarze powinni wiedzieć lepiej.

– To okropnie niezdrowy nałóg. Naprawdę wiem o tym lepiej niż ktokolwiek. Myślę też, że mógłby mi pan zrobić rum z tonikiem, bo prócz palenia lubię też pić. Wstrząśnięty Barbancourt poproszę.

– Cztery, osiem, jaki ma być?

– Dwadzieścia pięć, jeśli macie.

– Nie. Dwudziestopięcioletnie można zdobyć tylko na wyspach. Takie, że aż wyciskają łzy.

– No to najlepszy, jaki macie.

Wskazał palcem butelkę za swoimi plecami. Znajome szkło bursztynowej barwy, etykieta z pięcioma gwiazdkami. Rum Barbancourt, który dojrzewał w beczkach piętnaście lat, taki sam, Jak ten, który znalazłam w kuchni u Beryl.

– Świetnie – powiedziałam.

Nagle ożywiony i uśmiechnięty, wstał z krzesła i ze zręcznością zonglera rzucił się na butelki. Bez używania miarki odmierzył pokaźny łyk haitańskiego złota, do którego dodał musującego toniku. Na zakończenie zdecydowanym ruchem rozkroił limonę, która wyglądała, jakby dopiero co została zerwana, wycisnął z niej sok do mojego drinka i zatknął skórkę wokół krawędzi szklanki. Wytarł ręce w ręcznik wsunięty za pas znoszonych dżinsów, przysunął do mnie papierową serwetkę i postawił swoje dzieło sztuki. Był to bez wątpienia najlepszy rum z tonikiem, jaki kiedykolwiek miałam w ustach, i nie omieszkałam mu tego zakomunikować.

– To na koszt firmy – powiedział, odsuwając banknot dziesięciodolarowy, który chciałam mu podać. – Lekarz, który pali i zna się

na rumie, według mnie jest w porządku – sięgnął pod ladę i wyjął własną paczkę papierosów.

– Mam po dziurki w nosie słuchania tych przemądrzałych bzdetów o paleniu i w ogóle – ciągnął, zapalając zapałkę. – Wie pani, o co chodzi? Sprawiają, że człowiek się czuje jak jakiś kryminalista. Ja zawsze mówię: żyj i daj żyć innym. To moje motto.

– Tak. Dobrze to rozumiem. – Oboje zaciągnęliśmy się długo i mocno.

– Zawsze znajdą coś, żeby człowieka osądzać. No, wie pani, co człowiek je, co pije, z kim chodzi na randki.

– Ludzie naprawdę potrafią być bardzo stronniczy i niemili – odparłam.

– Święte słowa.

Usiadł z powrotem za ladą, a ja czułam, jak słońce przypieka mi głowę.

– No dobra. Czyli jest pani lekarzem Straw. A czego pani tu szuka, jeśli mogę spytać?

– Przed jej śmiercią zaistniało wiele niejasnych okoliczności – powiedziałam. – Mam nadzieję, że jej przyjaciele mogliby wyjaśnić mi pewne sprawy...

– Chwileczkę – przerwał mi i wyprostował się w krześle. – Jak mówi pani „lekarz”, to o jakim lekarzu pani myśli?

– Badałam ją...

– Kiedy?

– Po śmierci.

– Cholera. To znaczy, że jest pani z firmy pogrzebowej? – spytał z niedowierzaniem.

– Jestem patologiem sądowym.

– Czyli koroner?

– Mniej więcej.

– No, niech mnie – otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów – tego to bym się nie domyślił.

Nie bardzo wiedziałam, czy to komplement, czy wręcz przeciwnie.

– Czy zawsze wysyła się... jak to się nazywa?... patologa sądowego takiego jak pani, żeby zdobywał informacje?

– Nikt mnie nie wysłał. Przyjechałam z własnej inicjatywy.

– Dlaczego? – zapytał, znowu patrząc na mnie podejrzliwie. – Przebyła pani niemałą drogę.

– To, co ją spotkało, bardzo mnie poruszyło.

– To znaczy, że nie gliny panią przysłały?

– Gliniarze nie są upoważnieni, żeby mnie gdziekolwiek wysłać.

– Dobrze – roześmiał się. – To mi się podoba.

Sięgnęłam po swojego drinka.

– Banda łobuzów. Uważają się za młodych Rambo – zgasił papierosa. – Przyszli tu w tych cholernych gumowych rękawicach. O Boże. Wyobraża pani sobie, jak to wyglądało przy naszych klientach? Przyszli porozmawiać z Brentem... był jednym z naszych kelnerów. Człowiek jest umierający, i co oni robią? Te dupki zakładają maski chirurgiczne i stoją trzy metry od niego... jakby był trędowaty... żeby wypytać o jakieś bzdury. Słowo daję, że nawet gdybym coś wiedział o śmierci Beryl, słowa bym im nie powiedział.

To imię zaskoczyło mnie tak samo jak jego. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, widziałam, że zdaje sobie sprawę z wagi tego, co powiedział.

– Beryl? – spytałam.

Cicho oparł się o krzesło.

– Wiedział pan, że nazywała się Beryl? – nie dawałam za wygraną.

– Mówiłem już, że byli tu gliniarze, zadawali pytania, mówili o niej. – Zapalił kolejnego papierosa, unikając mojego wzroku. Mój przyjaciel barman nie umiał kłamać.

– Rozmawiali z panem?

– Nie. Jak zobaczyłem, co się dzieje, byłem bardzo mało mówny.

– Dlaczego?

– Mówiłem już. Nie lubię glin. Mam barracudę, takie poobijane żelastwo, jest u mnie, odkąd pamiętam. Z jakichś przyczyn zawsze muszą się mnie cześcić. Wymachują tymi swoimi legitymacjami, trwonią siły na dźwiganie wielkich gnatów i najróżniejszych zakazów, jakby się uważali za gwiazdy telewizyjnego serialu albo co.

– Znał pan jej imię, gdy tu była – powiedziałam cicho. – Wiedział pan, że nazywała się Beryl Madison, jeszcze zanim przybyła tu policja.

– I co, jeśli tak? O co tyle hałasu?

– Trzymała to w tajemnicy – odparłam z przejęciem. – Nie chciała, żeby ktokolwiek tutaj wiedział, kim jest. Nie mówiła nikomu, jak się nazywa. Płaciła za wszystko gotówką, nie używała kart kredytowych, czeków, niczego, co mogłoby pomóc w jej odnalezieniu. Była przerażona. Uciekała. Nie chciała umrzeć.

Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie. Proszę. Mam wrażenie, że był pan jej przyjacielem.

Wstał, nic nie mówiąc, i wyszedł z za baru. Odwrócony do mnie plecami zaczął zbierać puste butelki i różne śmieci, jakie młodzi klienci zostawili na podeście.

W milczeniu sączyłam swojego drinka i patrzyłam na morze. W oddali opalony mężczyzna rozwijał błękitny żagiel. Liście palm szeleściły na wietrze, a przy brzegu rzucał się na fale czarny labrador.

– Żulu – mruknęłam pod nosem, obserwując psa.

Barman przerwał swoją robotę i popatrzył na mnie.

– Co pani powiedziała?

– Żulu – powtórzyłam. – Beryl pisała o Żulu i o waszych kotach w jednym ze swoich listów. Twierdziła, że bezpańskie zwierzęta jedzą u Louiego lepiej niż niejeden człowiek.

– Jakie listy?

– Kiedy tu była, napisała kilka listów. Znaleźliśmy je w jej sypialni. Pisała, że ludzie tutaj stali się dla niej jak rodzina. Uważała to miejsce za najpiękniejsze na świecie. Wolałabym, żeby w ogóle nie wracała do Richmond. Wolałabym, żeby tu została.

Mój głos brzmiał jakby wydawał go ktoś obcy, obraz przed oczami się rozmywał. Męczące sny, stres i rum – wszystko to zaczęło dawać się we znaki. Tę odrobinę krwi, która jeszcze docierała mi do mózgu, zdawało się wysuszać słońce.

Kiedy barman wreszcie wrócił na swoje miejsce, odezwał się cicho:

– Nie wiem, co pani powiedzieć. Ale tak, byłem jej przyjacielem.

Zwracając się w jego stronę, powiedziałam:

– Dziękuję. Chciałabym myśleć, że ja też byłem jej przyjacielem. Że jestem jej przyjacielem.

Z zakłopotaniem spuścił wzrok, ale zdążyłam jeszcze zauważyć łagodniejszy wyraz na jego twarzy.

– Człowiek nigdy nie przewidzi, kto jest w porządku, a kto nie. Bardzo trudno to dzisiaj rozpoznać, to jedno jest pewne.

Znaczenie tych słów dopiero po chwili przedarło się przez moje zmęczenie.

– Czy pytał już ktoś o Beryl... ktoś, kto nie jest w porządku? Ktoś inny niż policja? Ktoś oprócz mnie?

Nalał sobie coli.

– Był ktoś? Kto? – powtórzyłam, nagle zaniepokojona.

– Nie wiem, jak się nazywał – napił się dużym haustem. – Jakiś taki przystojniak. Młody, koło dwudziestki. Ciemne włosy, eleganckie ciuchy, firmowe okulary przeciwsłoneczne. Jakby dopiero co zszedł z wybiegu dla modeli. To chyba było dwa tygodnie temu. Powiedział, że jest prywatnym detektywem czy coś takiego.

Syn senatora Partina.

– Pytał, gdzie mieszkała Beryl podczas pobytu tutaj – ciągnął.

– Powiedział mu pan?

– No nie, nawet z nim nie gadałem.

– A ktoś inny mu powiedział?

– Mało prawdopodobne.

– Czemu to mało prawdopodobne? I czy masz zamiar w końcu mi się przedstawić?

– To mało prawdopodobne, bo wiedziałem to tylko ja i mój kumpel. A przedstawię się, jeśli pani mi się przedstawi.

– Kay Scarpetta.

– Miło mi poznać. Nazywam się Peter. Peter Jones. Dla przyjaciół P.J.

P.J. mieszkał dwie ulice dalej w maleńkim domku całkowicie zarośniętym przez tropikalne rośliny. Zarośla były tak gęste, że pewnie nie domyśliłabym się, iż stoi wśród nich dom z odrapanymi ścianami, gdyby niezaparkowana na podwórzu barracuda. Jeden rzut oka na samochód wyjaśnił mi, czemu jego właściciel miał ciągłe kłopoty z policją. Było to jedno wielkie graffiti na zbyt dużych kołach, ze spoilerami, dodatkowymi lampami, uniesionym tyłem, pokryte wzorami jakby wprost z psychodelicznych halucynacji w barwach lat sześćdziesiątych.

– To moja maskotka – powiedział P. J., uderzając pieszczotliwie w maskę.

– Faktycznie się wyróżnia – zauważyłam.

– Mam go, odkąd skończyłem szesnaście lat.

– I powinieneś zatrzymać na zawsze – powiedziałam szczerze, schylając się, by pod gałęziami przejść za nim do chłodnego cienia.

– To żadne luksusy – rzekł przeproszającym tonem, otwierając drzwi. – Tylko dodatkowa sypialnia i łazienka na górze. Tam mieszkała Beryl. Pewnie kiedyś znowu to wynajmę. Ale jestem dość wybredny, jeśli chodzi o lokatorów.

Pokój dzienny był zagracony mieszaniną starych sprzętów. Była tam kanapa i krzesło w brzydkich odcieniach różu i zieleni, kilka najróżniejszych lamp zrobionych z dziwacznych rzeczy, jak muszle i korale, oraz niski stolik z czegoś, co wcześniej prawdopodobnie było dębowymi drzwiami. Wszędzie porozrzucane były malowane kokosy, rozgwieżdżone gazety, buty, puszki po piwie, a w wilgotnym powietrzu czuć było stęchliznę.

– Skąd Beryl wiedziała, że masz pokój do wynajęcia? – zapytałam, siadając na kanapie.

– Z baru – odpowiedział i włączył kilka lamp. – Kilka pierwszych dni mieszkała w Ocean Key, całkiem miłym hotelu na Duval. Chyba się zorientowała, że jeśli chce zostać tu dłużej, będzie ją to sporo kosztowało. – Usiadł na krześle obwieszonym jakimiś ubraniami. – To był może trzeci raz, kiedy przysła do Louiego na obiad. Zamawiała tylko sałatkę i siedziała, wpatrując się w morze. Wtedy nad niczym nie pracowała. Tylko siedziała. Jej zachowanie było trochę dziwaczne. To znaczy, siedziała tak wiele godzin, prawie całe popołudnie. W końcu... już mówiłem, że to było chyba, jak przysła trzeci raz... zeszła do baru, oparła się o balustradę i patrzyła przed siebie. Chyba zrobiło mi się jej żal.

– Czemu? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że wyglądała na taką zagubioną. Załamana czy coś takiego. To było widać. Zagadałem do niej. Nie była z tych łatwych, jak je nazywam, o nie.

– Nie zawierała łatwo znajomości – potwierdziłam.

– Ciężko jak diabli było z nią uciąć sobie pogawędkę. Zadałem jej kilka prostych pytań, w rodzaju „Pani tu pierwszy raz?” albo „Skąd pani jest?”. Takie tam pytania. I na niektóre w ogóle nawet nie odpowiadała. Jakby mnie tam nie było. Ale to było zabawne. Coś mi kazało się jej trzymać. Zapytałem, co lubi pić. Zaczęliśmy rozmawiać o różnych trunkach. To jakby ją rozluźniło, zainteresowało. Potem pozwoliłem jej spróbować kilka specjalności zakładu. Najpierw Coronę z limoną, potem taki Barbancourt, jaki zrobiłem tobie. To było naprawdę coś.

– O, nie wątpię, że to ją rozluźniło – zauważyłam.

Uśmiechnął się.

– No, racja. To było dość mocne. Zaczęliśmy sobie popijać i rozmawiać i wtedy właśnie zapytała mnie o pokoje do wynajęcia w okolicy. Powiedziałem jej, że mam taki pokój, i zaprosiłem, aby go później obejrzała, jeśli jest zainteresowana. To była niedziela, a w niedzielę zawsze kończę trochę wcześniej.

– I przyszła tego wieczora? – dociekałam.

– Zaskoczyło mnie to. Nie wiem, czemu myślałem, że nie przyjdzie. Ale przyszła, bezbłędnie trafiła. O tej porze już Walt był w domu. Zwykle aż do zmierzchu sprzedawał swój towar na placu. Przyszedł chwilę przed nią i wszyscy troje zaczęliśmy gadać. Potem poszliśmy na spacer po Starym Mieście i skończyliśmy w Sloppy Joe's. Była pisarką i jak się ożywiła, to opowiadała i opowiadała o Hemingwayu. Trzeba przyznać, że głowę miała nie od parady.

– Walt sprzedawał srebrną biżuterię? – spytałem. – Na placu Mallory?

- Skąd wiesz? – zapytał zaskoczony.
- Z listów Beryl – przypomniałam mu. Chwilę spoglądał gdzieś w dal w milczeniu.
- Wspominała też Sloppy Joe’s. Mam wrażenie, że bardzo lubiła ciebie i Walta.
- Tak... w trójkę umieliśmy obalić trochę piw – podniósł jakieś czasopismo z podłogi i rzucił je na stolik.
- Może byliście jej jedynymi przyjaciółmi.
- Beryl była wyjątkowa – spojrzał na mnie – była wyjątkowa. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś takiego i pewnie już nie spotkam. Jak się już przebrnęło przez ten mur wokół niej, okazywała się wspaniałą kobietą. Inteligentna jak diabli – powiedział jeszcze raz, odchylając głowę na oparcie krzesła i podnosząc wzrok na odrapany sufit. – Uwielbiałem słuchać, jak opowiadała. Potrafiła dobierać słowa ot tak – strzelił palcami – bez żadnego trudu. Ja bym takich rzeczy nigdy nie powiedział, nawet gdybym myślał dziesięć lat. Moja siostra jest taka sama. Uczy w szkole w Denver. Literatury. Ja nigdy nie byłem zbyt bystry w tych sprawach. Zanim zostałem barmanem, robiłem dużo rzeczy. Na budowie, w murarstwie, stolarstwie. Trochę zajmowałem się ceramiką, ale ledwie starczało mi na chleb. Przyjechałem tu dla Walta. Poznaliśmy się w Missisipi. Na dworcu autobusowym, dasz wiarę? Zaczęliśmy rozmawiać, przejechaliśmy razem całą trasę do Luizjany. Dwa miesiące później wylądowaliśmy tutaj. To takie dziwne – popatrzył na mnie – to było prawie dziesięć lat temu. I po tym wszystkim został mi tylko ten śmietnik.
- Przecież masz jeszcze dużo przed sobą, P. J. – powiedziałam delikatnie.
- A jakże – zwrócił twarz ku sufitowi i zamknął oczy.
- Gdzie jest teraz Walt?

– W Lauderdale, tak ostatnio słyszałem.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam.

– Cóż, zdarza się. Co mogę powiedzieć?

Chwilę panowała cisza i wreszcie uznałam, że nadszedł czas, by zaryzykować.

– Beryl pisała tutaj książkę.

– Racja. Kiedy się z nami nie włóczyła po mieście, pracowała nad tą przeklętą książką.

– Ta książka zniknęła.

Nie odpowiedział.

– Ten niby prywatny detektyw, o którym wspomniałeś, i wiele innych osób bardzo się nią interesuje. Wiesz już chyba o tym.

Wciąż nie odpowiadał. Nie otwierał oczu.

– Wiem, P.J., że nie masz podstaw, by mi ufać, ale chociaż wysłuchaj – ciągnęłam niskim głosem. – Muszę zaleźć ten maszynopis, to, nad czym tutaj pracowała. Podejrzewam, że nie zabrała go do Richmond, gdy wyjeżdżała z Key West. Pomożesz mi?

Otworzył oczy i wbił we mnie wzrok.

– Z całym szacunkiem, doktor Scarpetta, ale dlaczego? Dlaczego miałbym złamać obietnicę?

– Obiecałeś, że nigdy nie powiesz, gdzie to jest? – zapytałam.

– Nieważne, co obiecałem. Ja pierwszy zadałem pytanie – odparł.

Wzięłam głęboki oddech i pochylając się do przodu, opuściłam wzrok na brudny skudlony dywan pod stopami.

– Nie znam dobrego powodu, dla którego miałbyś złamać obietnicę daną przyjacielowi, P.J. – powiedziałam.

– Chrzanisz. Nie prosiłabyś mnie, gdybyś nie miała powodu.

– Czy Beryl mówiła ci o nim? – zapytałam.

– O tym draniu, co ją napastował?

– Tak.

– Tak, wiem o nim – nagle wstał. – Nie wiem, jak ty, ale ja napiję się piwa.

– Też poproszę – powiedziałam, przekonana, że nie powinnam odrzucać jego gościnności.

Gdy wrócił z kuchni, wręczył mi zroszoną butelkę lodowatej Coronny. W długiej szyjce pływał kawałek limony. Smakowało wspaniale.

P.J. usiadł i zaczął mówić.

– Straw, to znaczy Beryl, chyba mogę ją tak nazywać, bała się jak diabli. Jeśli mam być szczery, to kiedy się dowiedziałem, co się stało, wcale nie byłem zaskoczony. To znaczy, bardzo mnie zabolalo, ale nie byłem zdziwiony. Mówiłem jej, żeby została. Mówiłem, że może nie płacić, może zostać. Walt i ja... no... może to było dziwaczne... ale już było tak, jakby była naszą siostrą. I ten gnojek wmieszał się też w moje życie.

– Co? – zapytałam, zdziwiona jego nagłym wybuchem złości.

– Jak usłyszeliśmy, co się stało... Nie wiem... zmienił się. Walt się zmienił. Nie twierdzą, że jej śmierć była jedyną przyczyną. Mieliśmy swoje problemy. Ale to jakoś go zmieniło. Oddalił się, przestał mówić. I nagle, pewnego dnia wyjechał. Po prostu zniknął.

– Kiedy to było? Kilka tygodni temu, kiedy dowiedzieliście się wszystkiego od policji, kiedy przyszli do Louiego?

Skinął głową.

– W moje życie też się wmieszał – powiedziałam. – Niezle mnie nastraszył.

– Jak to? Jaki to ma związek z tobą? Chyba że przysporzyło ci trochę problemów zawodowych?

– Przeżywam koszmar Beryl – z trudem wykrztusiłam to z siebie.

Przełknął łyk piwa, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Właśnie chyba też uciekam... z tej samej przyczyny co ona.

– Cholera, nic już nie rozumiem – powiedział, potrząsając głową. – O czym ty mówisz?

– Widziałeś zdjęcie na pierwszej stronie dzisiejszego „Heralda”? – zapytałam. – Pożar samochodu policyjnego w Richmond.

– Tak – odparł skonsternowany. – Chyba sobie przypominam.

– To było przed moim domem. Ten detektyw był w moim domu, rozmawiał ze mną, kiedy podpalono mu samochód. To nie pierwsza rzecz, jaka się wydarzyła. On mnie też prześladowa.

– Ale kto, na miłość boską? – zapytał, chociaż widać było, że wie.

– Morderca Beryl – powiedziałam z trudem.

– Człowiek, który potem zabił opiekuna Beryl, Cary’ego Harpera. Może ci o nim wspominała.

– Wiele razy. Cholera. Nie wierzę.

– Proszę cię, P.J., pomóż mi.

– Nie wiem jak – nagle stał się tak niespokojny, że poderwał się z krzesła i zaczął chodzić tam i z powrotem. – Ale dlaczego ten bydlak teraz uczeplił się ciebie?

– To urojona zazdrość. Obsesja. Jest paranoicznym schizofrenikiem. Chyba nienawidzi wszystkich, którzy kojarzą mu się z Beryl. Nie wiem dlaczego, P.J. Ale muszę się dowiedzieć, kto to jest. Muszę go znaleźć.

– Ja nie wiem, kim on jest. Ani gdzie jest. Gdybym wiedział, znalazłbym go i urwał mu ten głupi łeb!

– P.J., potrzebuję tego maszynopisu.

– A co ma do tego wszystkiego maszynopis? – zaproponował.

Powiedziałam mu więc. Opowiedziałam o Carym Harperze i jego naszyjniku. O telefonach i włóknach i o pisanej przez Beryl autobiografii, o

której kradzież zostałam oskarżona. Trzęsąc się w duszy ze strachu, wyjawiałam wszystko, co tylko mi się przypomniało. Nigdy dotąd, ani razu, nie omawiałam szczegółów sprawy z nikim innym poza policjantami czy prawnikami. Gdy skończyłam, P.J. w milczeniu wyszedł z pokoju. Wrócił z wojskowym plecakiem, który położył mi na kolanach.

– Masz – powiedział. – Przysięgam na Boga, że nigdy bym tego nie zrobił. Przepraszam, Beryl – mruknął – przepraszam.

Otworzyłam plecak i ostrożnie wyjęłam około tysiąca zadrukowanych stron z ręcznie dopisanymi notatkami na marginesach i cztery dyskietki komputerowe, wszystko razem spięte grubymi gumkami.

– Prosiła, żeby nigdy nikomu tego nie dawać, gdyby coś jej się stało. Obiecałam.

– Dziękuję, Peter. Niech ci Bóg wynagrodzi – powiedziałam.

Po chwili zapytałam go jeszcze o jedno.

– Czy Beryl wspominała o kimś, kogo nazywała „J”?

Stał spokojnie, wpatrując się w swoje piwo.

– Ja.

– Nie rozumiem.

– „J” oznacza „ja”. Pisała listy do samej siebie.

– Te dwa listy, któreśmy znaleźli – powiedziałam – te z podłogi w sypialni, te, w których pisała o tobie i Walcie, były adresowane do „J”.

– Wiem – odrzekł, przymykając oczy.

– Skąd wiesz?

– Wiedziałem, gdy powiedziałaś o Żulu i kotach. Wtedy poznałem, że czytałaś te listy. I uznałem, że jesteś w porządku, że mówisz prawdę.

– To znaczy, że ty też czytałaś te listy? – mruknęłam. – Te, któreśmy znaleźli, to kserokopie.

– Bo wszystko spaliła – powiedział, wzdychając głęboko.

– Ale książki nie spaliła.

– Nie. Powiedziała mi, że nie wie, dokąd potem pojedzie ani co zrobi, jeśli on nadal tam będzie, jeśli nadal będzie ją ścigał. Miała do mnie zadzwonić i powiedzieć, dokąd mam wysłać tę książkę. A gdyby się nie odezwała, miałem zatrzymać ją i nie dawać nikomu. No i już nie zadzwoniła. Już nigdy nie zadzwoniła – odwrócił ode mnie twarz i otarł oczy. – Ta książka była jej nadzieją. Nadzieją na przeżycie. – Po chwili dodał drżącym głosem: – Ciągle miała nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

– A co właściwie spaliła?

– Pamiętnik – odparł. – Tak chyba można by to nazwać. Listy pisane do samej siebie. Mówiła, że to była jej terapia, i nie chciała, żeby ktokolwiek je czytał. Były bardzo osobiste... najbardziej skryte myśli. Przed wyjazdem spaliła wszystkie listy oprócz dwóch.

– Tych dwóch, które widziałam – niemal wyszeptałam. – Dlaczego? Dlaczego nie spaliła tych dwóch?

– Bo chciała, żebyśmy je z Waltem mieli.

– Na pamiątkę?

– Tak – powiedział, sięgając po piwo i ocierając łzy z oczu – taki kawałek jej, zapis tego, co myślała, jak tu była. Dzień przed wyjazdem, wtedy, kiedy spaliła listy, poszła zrobić ksero tych dwóch. Zachowała sobie kopie, a nam dała oryginały. Powiedziała, że to nas w jakiś sposób zintegruje... takiego słowa użyła. Dopóki będziemy mieć te listy, wszyscy troje w myślach będziemy zawsze razem.

Gdy odprowadził mnie do drzwi, odwróciłam się i zarzuciłam mu ramiona na szyję, by tym uściskiem wyrazić wdzięczność.

Wracałam do hotelu przy zachodzie słońca, podziwiając coraz szerszy pas ognia na niebie, tu i ówdzie przysłonięty liśćmi palm. Gwarne grupki

przechodniów kierowały się ku barom przy Duval, a powietrze przesycone było muzyką, śmiechem i blaskiem świateł. Maszerowałam sprężysto, z przewieszonym przez ramię wojskowym plecakiem. Pierwszy raz od tygodni byłam szczęśliwa, niemal w stanie euforii. I zupełnie nieprzygotowana na to, co czekało mnie w hotelu.

Rozdział szesnasty

Nie przypominałam sobie, żebym zostawiła włączone światło. Uznałam więc, że to pokojówka, która zmieniała pościel i opróżniała popielniczki, zapomniała zgasić lampkę. Zamknęłam się od wewnątrz i nuciłam sobie pod nosem, idąc do łazienki, gdy zauważyłam, że nie jestem sama.

Mark siedział przy oknie. Na dywanie obok jego krzesła leżała otwarta aktówka. W tej krótkiej chwili, kiedy wahałam się, nie wiedząc, w którą stronę skierować krok, nasze oczy spotkały się i nawiązały nieme porozumienie. Czułam, jak ogarnia mnie strach i serce podchodzi mi do gardła.

Blady, w szarym garniturze, wyglądał, jakby przyjechał prosto z lotniska. Na łóżku leżała jego torba podróżna. Gdyby miał wykrywacz emocji, z pewnością teraz włączyłby się i wył jak oszalały. Przysłał go Sparacino. Pomyślałam o rewolwerze w torebce, ale wiedziałam, że nie mogłabym wycelować broni w Marka Jamesa ani nacisnąć spustu, gdyby do tego doszło.

- Jak tu wszedłeś? – zapytałam tępo, nie ruszając się z miejsca.
- Jestem twoim mężem – oznajmił i wyjął z kieszeni klucz do mojego pokoju.
- Ty draniu – syknęłam, a serce zabiło mi mocniej.
- Pobladł i odwrócił wzrok.
- Kay...
- O Boże. Ty draniu!
- Kay. Przysłał mnie Benton Wesley. Proszę.

– Wstał z krzesła.

Obserwowałam go zaskoczona, gdy wyjmował z torby małą buteleczkę whisky. Przeszedł obok mnie do barku i zaczął wrzucać lód do szklanek. Jego ruchy były spokojne i wyważone, jakby bardzo się starał, żeby mnie nie denerwować. Wydawał się też bardzo zmęczony.

– Jadłaś już? – zapytał, wręczając mi drinka.

Minęłam go i obojętnie rzuciłam plecak i torebkę na toaletkę.

– Umieram z głodu – powiedział, rozpinając kołnierzyk koszuli i zdejmując krawat. – Musiałem się cztery razy przesiadać. Od śniadania jadłem tylko orzeszki.

Milczałam.

– Zamówiłem już dla nas kolację – ciągnął. – Zanim przyniosą, zgłodniejesz.

Odwróciłam się do okna i patrzyłam na fioletowo-szare chmury nad ulicami Starego Miasta. Mark odsunął krzesło, zdjął buty i oparł stopy o krawędź łóżka.

– Powiedz mi, jak będziesz gotowa wysłuchać wyjaśnień – powiedział, potrząsając lodem w szklance.

– I tak nie uwierzę w ani jedno twoje słowo – odpowiedziałam chłodno.

– Rozumiem. Płacą mi za to, żebym kłamał. Stałem się w tym naprawdę dobry.

– Tak, stałeś się w tym naprawdę dobry – powtórzyłam jak echo. – Jak mnie znalazłeś? Nie wierzę, że Benton ci powiedział. Nie wie, gdzie się zatrzymałam, a na tej wyspie jest pewnie z pięćdziesiąt hoteli i tyle samo pensjonatów.

– Zgoda. Na pewno jest tyle, ale wystarczył jeden telefon, żeby cię znaleźć.

Zrezygnowana usiadłam na łóżku.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyciągnął złożony folder turystyczny. Podał mi go, mówiąc.

– Poznajesz?

Był to ten sam folder, który Marino znalazł w sypialni Beryl Madison. Jego kserokopia została włączona do akt sprawy. Ten sam folder, który czytałam mnóstwo razy i o którym przypominałam sobie dwa dni wcześniej, kiedy postanowiłam uciec do Key West. Na jednej stronie wymieniono restauracje i atrakcje turystyczne oraz sklepy, a na odwrocie zamieszczono plan miasta i reklamy, wśród których znajdowała się reklama wybranego przeze mnie hotelu.

– Bentonowi udało się mnie złapać dopiero wczoraj – opowiadał Mark. – Był niespokojny, powiedział, że przyleciałaś tutaj, i chciał cię odnaleźć. Zdaje się, że w aktach sprawy Beryl jest ksero tego folderu. Założył, że na pewno je widziałaś i możliwe, że nawet sobie odbiłaś. Doszliśmy do wniosku, że mogłaś to wykorzystać.

– Gdzie go zdobyłeś? – zwróciłam folder Markowi.

– Na lotnisku. Tak się składa, że ten hotel jest jedynym tam wymienionym. To było pierwsze miejsce, w które zadzwoniłem. Mieli rezerwację na twoje nazwisko.

– W porządku. Czyli nie jestem dobrym konspiratorem.

– Bardzo słabym.

– Skoro już musisz wiedzieć, to faktycznie stąd zaczerpnęłam pomysł noclegu – przyznałam ze złością. – Tyle razy przeglądałam papiery Beryl, że zapamiętałam ten folder. Pamiętałam reklamę Holiday Inn na Duval. Chyba zwróciłam na to uwagę dlatego, że zastanawiałam się, czy nocowała tu zaraz po przyjeździe do Key West.

– A nocowała? – Uniósł swoją szklanekę.

– Nie.

Kiedy wstał, żeby napełnić nasze szklanki, ktoś zapukał do drzwi. Serce zabiło mi mocniej, a Mark natychmiast sięgnął za plecy i spod marynarki wyjął pistolet 9 mm. Trzymając go przed sobą, wyjrzał przez wizjer. Wsunął broń z powrotem za pas spodni na plecach i otworzył drzwi. Przyniesiono nam kolację. Kiedy Mark płacił młodej dziewczynie gotówką, ta uśmiechnęła się radośnie i powiedziała:

– Dziękuję, panie Scarpetta. Mam nadzieję, że będzie państwu smakowało.

– Dlaczego zameldowałeś się jako mój mąż? – zażądałam wyjaśnień.

– Będę spał na podłodze. Ale nie możesz być tu sama – odparł, ustawiając talerze na stole przy oknie. Potem otworzył butelkę wina. Zdjął marynarkę i rzucił ją na łóżko, a pistolet położył w zasięgu ręki, na toaletce obok mojego plecaka.

Poczekaliśmy, aż usiadziemy, i dopiero wtedy zapytałam go o broń.

– Brzydki mały potwór, ale może to mój jedyny przyjaciel – odpowiedział, krojąc stek. – A jeśli już przy tym jesteśmy, to rozumiem, że masz swoją trzydziestkę ósemkę przy sobie, może w tym plecaku na toaletce.

– W torebce, skoro tak cię to interesuje – burknęłam. – I skąd wiesz, że mam trzydziestkę ósemkę?

– Od Bentona. Powiedział też, że ostatnio dostałaś pozwolenie na noszenie broni przy sobie i wywnioskował, że raczej się bez niej nie ruszasz. – Spróbował wina i dodał: – Niezłe.

– Czy Benton podał ci też mój rozmiar ubrań? – zapytałam, zmuszając się do jedzenia.

– Nie musiał. Nadal nosisz ósemkę, wyglądasz tak samo jak w Georgetown. Właściwie to nawet lepiej.

– Byłabym ci naprawdę wdzięczna, gdybyś przestał zgrywać szarmanckiego skurczysyna i powiedział mi, skąd w ogóle znasz Bentona Wesleya, że nie wspomnę o przywileju odbywania z nim tylu narad na mój temat.

– Kay – odłożył widelec, gdy napotkał mój gniewny wzrok – znam Bentona dłużej niż ty. Jeszcze na to nie wpadłaś? Czy muszę to wypisać kredą na kominie?

– Tak, napisz to wielkimi literami, bo nie wiem, w co wierzyć. Już sama nie wiem, kim jesteś. Nie ufam ci. Prawdę mówiąc, to w tej chwili trzęsę się ze strachu przed tobą.

Oparł się plecami o krzesło i z tak poważnym wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niego nie widziałam, powiedział:

– Kay, przykro mi, że się mnie boisz. Przykro mi, że mi nie ufasz. I naprawdę ma to sens, ponieważ bardzo niewiele osób wie, kim naprawdę jestem, a są chwile, że chyba sam nie do końca to wiem. Nie mogłem powiedzieć ci tego wcześniej, ale już jest po wszystkim – przerwał na chwilę. – Benton uczył mnie w Akademii na długo przed tym, nim ty go poznałaś.

– Jesteś agentem? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak.

– Nie. – Czuję, że tracę grunt pod nogami. – Nie! Nie mam zamiaru ci uwierzyć!

Wstał bez słowa, podszedł do telefonu i wybrał numer.

– Chodź tu – powiedział, patrząc na mnie.

Podał mi słuchawkę.

– Halo? – natychmiast rozpoznałam ten głos.

– Benton? – odezwałam się.

– Kay? Nic ci nie jest?

- Mark tu jest – odparłam. – Znalazł mnie. Nie, nic mi nie jest.
- Dzięki Bogu. Jesteś w dobrych rękach. On ci wszystko wytłumaczy.
- Na pewno. Dziękuję, Benton. Do widzenia.

Mark odebrał ode mnie słuchawkę i odłożył ją. Kiedy wróciliśmy do stołu, długo na mnie patrzył, nim ponownie się odezwał.

– Po śmierci Janet rzuciłem praktykę prawniczą. Ciągłe nie wiem dlaczego, ale to bez znaczenia. Pracowałem w terenie, jakiś czas w Detroit, potem w ścisłej konspiracji. To, że pracuję dla Orndorff & Berger, to kłamstwo.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że Sparacino też pracuje dla federalnych? – powiedziałam, drżąc.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział, unikając mojego wzroku.

– Mark, w co on jest zamieszany?

– Jego drobne występki to oszukiwanie Beryl Madison, manipulowanie jej honorariami, podobnie jak robił to z innymi klientami. I jak już ci mówiłem, wykorzystywał ją do prowokowania Cary’ego Harpera, by wywołać aferę, która miała zastąpić reklamę... to też już robił wcześniej wiele razy.

– Czyli w Nowym Jorku mówiłeś prawdę.

– Nie wszystko było prawdą. Nie mogłem powiedzieć ci wszystkiego.

– Czy Sparacino wiedział wtedy, że lecę do Nowego Jorku? – zadałam pytanie, które dręczyło mnie od tygodni.

– Tak. Zorganizowałem to na pozór po to, żeby wydobyć od ciebie więcej informacji i przekonać cię, byś z nim porozmawiała. Wiedział, że nigdy byś się nie zgodziła na spotkanie z nim. Zaofiarowałem się więc, że cię sprowadzę.

– Jezu – mruknęłam.

– Myślałem, że mam wszystko pod kontrolą. Myślałem, że mnie nie podejrzewa, dopóki nie weszliśmy do restauracji. Tam uświadomiłem sobie, że wszystko na nic.

– Dlaczego?

– Bo kazał mnie śledzić. Od dawna wiedziałem, że ten młody Partin to jeden z jego szpicli. W ten sposób zarabia na czynsz, kiedy akurat nie występuje w mydlanych operach, reklamach telewizyjnych albo reklamach bielizny. Widocznie Sparacino zaczął mieć jakieś podejrzenia.

– Dlaczego wysłał Partina? Nie wiedział, że go rozpoznasz?

– Sparacino nie wiedział, że wiem o Partinie. Kiedy zobaczyłem Partina w restauracji, wiedziałem już, że Sparacino wysłał go, by sprawdzić, czy naprawdę się z tobą spotkam, tak jak posłał faceta o nazwisku Jeb Price, żeby przeszukał twoje biuro.

– Chcesz powiedzieć, że Jeb Price też jest dorabiającym aktorem?

– Nie. Aresztowaliśmy go w New Jersey w ubiegłym tygodniu. Jakiś czas nie będzie nikogo niepokoił.

– Przypuszczam, że twoja znajomość z Diesnerem z Chicago to też było kłamstwo.

– Ten człowiek to legenda. Ale nigdy go nie spotkałem.

– I pewnie twoja wizyta u mnie w domu też była częścią gry, tak? – Z trudem powstrzymywałam łzy.

Napełnił kieliszki winem i odpowiedział:

– Tak naprawdę to nie jechałem wtedy z Waszyngtonu. Właśnie przyleciałem z Nowego Jorku. Sparacino wysłał mnie, żebym cię wybadał i dowiedział się jak najwięcej o sprawie Beryl.

Sączyłam wino w milczeniu, próbując odzyskać równowagę.

Po chwili zapytałam:

- Czy on jest zamieszany w to morderstwo?
- Z początku mnie to dręczyło – odparł – zastanawiałem się, czy przypadkiem rozgrywki Sparacina z Harperem nie zaszły za daleko, czy to nie Harper wściekł się i zamordował Beryl. Ale Harper został zamordowany, czas mijał, a ja nie widziałem nic, co wskazywałoby, że Sparacino ma coś wspólnego z tymi morderstwami.
- Może się obawiał, że policja przejrzy jej rachunki i wyjdzie na jaw, że jej zeznania o honorariach były fałszowane?
- Może. Wiem na pewno, że szuka tego maszynopisu. Jego wartość jest niekwestionowana. Ale poza tym, sam nie wiem.
- A ten proces? Jego wendeta przeciwko prokuratorowi generalnemu?
- Wywołał duży rozgłos – odpowiedział Mark. – Sparacino nienawidzi Ethridge’a, byłby zachwycony, gdyby mógł go upokorzyć albo nawet usunąć ze stanowiska.
- Scott Partin był tutaj – poinformowałam go. – Był tu nie tak dawno i wypytywał o Beryl.
- Ciekawe – powiedział tylko i włożył kolejny kęs mięsa do ust.
- Jak długo pracujesz ze Sparacinem?
- Ponad dwa lata.
- O Boże.
- Biuro zaaranżowało to bardzo dokładnie. Wszedłem w to jako Paul Barker, prawnik szukający pracy i szybkiego zarobku. Zrobiłem wszystko, co trzeba, żeby złapał haczyk. Oczywiście, sprawdzał mnie i jeśli coś mu się nie zgadzało, pytał mnie o to. Przyznałem, że używam nieprawdziwego nazwiska, że jestem chroniony przez Program Ochrony Świadców. To dość zagmatwane i trudne do wyjaśnienia, ale faktem jest, że Sparacino uwierzył, że byłem zamieszany w nielegalne interesy w Tallahassee, że

mnie nakryli i że w zamian za złożenie zeznań federalni dali mi nową tożsamość i stworzyli przeszłość.

– A byłeś zamieszany w nielegalne interesy? – zapytałam.

– Nie.

– Ethridge uważa, że byłeś – powiedziałam. – I że byłeś w więzieniu.

– To mnie nie dziwi. Prawnicy bardzo chętnie współpracują z FBI. Na papierze Mark James, którego kiedyś znałaś, wygląda bardzo źle. Prawnik, który przeszedł na drugą stronę, został pozbawiony prawa wykonywania zawodu i spędził dwa lata w więzieniu.

– Mam rozumieć, że związek Sparacina z Orndorff & Berger to tylko przykrywka? – zapytałam.

– Tak.

– Co się za nią kryje? Musi być coś więcej niż nieuczciwe chwyt reklamowe.

– Sądzimy, że zajmuje się praniem brudnych pieniędzy. Pieniądzy z handlu narkotykami. Podejrzewaliśmy też, że ma związki z przestępczością zorganizowaną w kasynach. Wplątani są w to politycy, sędziowie, prokuratorzy. Sieć jest niewiarygodna. Wiemy o tym już dość długo, ale to niebezpieczna sprawa, kiedy jedna część systemu sprawiedliwości występuje przeciwko innej. Potrzebowaliśmy niepodważalnego dowodu winy. I dlatego zostałem w to włączony. Im więcej odkrywałem, tym więcej było do odkrycia. Z trzech miesięcy zrobiło się sześć, potem rok i jeszcze jeden.

– Nie rozumiem. Przecież jego firma jest legalna.

– Nowy Jork to dla Sparacina jego własny mały kraj. Ma władzę. Orndorff & Berger wie bardzo mało o jego działalności. Ja nigdy nie pracowałem dla tej firmy. Nie znają nawet mojego nazwiska.

– Ale Sparacino zna. Słyszałam, jak zwracał się do ciebie „Mark”.

– Tak, wie, jak się naprawdę nazywam. Mówiłem ci, że byli bardzo ostrożni. Całkiem sprawnie zmienili moją przeszłość, stworzyli na papierze osobę, w której nie rozpoznałabyś dawnego Marka Jamesa – urwał i uśmiechnął się sztucznie. – Sparacino i ja umówiliśmy się, że w twojej obecności będzie się do mnie zwracał „Mark”. Poza tym cały czas byłem Paul. Pracowałem dla niego. Jakiś czas mieszkałem z jego rodziną. Byłem jego lojalnym synem, a przynajmniej on tak myślał.

– Wiem, że w Orndorff & Berger nigdy o tobie nie słyszeli – wyznałam. – Próbowałam do ciebie dzwonić do Nowego Jorku i do Chicago, i nikt nie znał twojego nazwiska. Zadzwoiłam do Diesnera i on też nie wiedział, kim jesteś. Może ja niezbyt umiejętnie się ukrywam, ale ty jako szpieg jesteś równie nieudolny.

Milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział:

– Biuro musiało mnie wprowadzić, Kay. Ty się pojawiłaś i zacząłem coraz bardziej ryzykować. Zaangażowałem się emocjonalnie, ponieważ ty byłaś w to zaangażowana. Byłem głupi.

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

– Wypij wino i obejrzyj wschód księżyca nad Key West. To będzie najlepsza odpowiedź.

– Ale, Mark – powiedziałam, w tym momencie już beznadziejnie w jego władzy – jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem.

– Na pewno jest jeszcze wiele rzeczy, których nie rozumiesz i może nigdy nie zrozumiesz. Tyle się wydarzyło przez te lata, że nie da się tego nadrobić w jeden wieczór.

– Mówiłeś, że Sparacino napuścił cię na mnie, żeby zdobyć informacje. Skąd wiedział, że mnie znasz? Powiedziałeś mu?

– Wspomniał o tobie, jak tylko usłyszeliśmy o zamordowaniu Beryl. Powiedział, że jesteś naczelnym lekarzem sądowym w Wirginii. Wpadłem

w panikę, nie chciałem, żeby zaczął tobą manipulować. Uznałem, że będzie lepiej, jak ja go zastąpię.

– Doceniam twoją galanterię – zauważyłam ironicznie.

– Masz powody – patrzył mi w oczy. – Powiedziałem mu, że kiedyś chodziliśmy ze sobą. Chciałem, żeby przekazał mi ciebie. I tak się stało.

– I to wszystko?

– Chciałbym tak myśleć, ale obawiam się, że moje motywy nie były tak jednoznaczne.

– Jednoznaczne?

– Chyba kusiła mnie możliwość zobaczenia cię.

– Tak powiedziałeś.

– Nie kłamałem.

– A teraz kłamiesz?

– Przysięgam na Boga, że teraz cię nie okłamuję – powiedział.

Nagle uświadomiłam sobie, że wciąż mam na sobie koszulkę polo i szorty, włosy w nieładzie i spływam potem. Przeprosiłam go na chwilę i poszłam do łazienki. Pół godziny później wyszłam opatulona w mój ulubiony szlafrok frotte i zastałam Marka śpiącego głębokim snem na moim łóżku.

Kiedy usiadłam obok niego, ziewnął i otworzył oczy.

– Sparacino to bardzo niebezpieczny człowiek – powiedziałam, powoli przeczesując palcami jego włosy.

– Oczywiście – zgodził się Mark, ziewając.

– Przysłał tu Partina. Nie bardzo wiem, skąd wiedział, że Beryl tu była.

– Bo dzwoniła stąd do niego, Kay. Wiedział to od dawna.

Skinęłam głową, nie bardzo zdziwiona. Beryl mogła być zależna od Sparacina, ale widocznie zaczęła tracić do niego zaufanie. Inaczej zostawiłaby maszynopis u niego, a nie pod opieką barmana zwanego P.J.

– Co on by zrobił, gdyby wiedział, że tu jesteś? – zapytałam cicho. – Co zrobiłby Sparacino, gdyby wiedział, że ty i ja jesteśmy razem w tym pokoju i prowadzimy tę rozmowę?

– Byłby piekielnie zazdrosny.

– Nie wygłupiaj się.

– Prawdopodobnie by nas zabił, gdyby sądził, że uda mu się z tego wywinąć.

– Mógłby się z tego wywinąć?

Przyciągnął mnie bliżej siebie i niemal dotykając ustami mojej szyi szepnął:

– O, co to, to nie.

Rano, gdy obudziło nas słońce, znowu się kochaliśmy, a potem wtuleni w siebie spaliśmy aż do dziesiątej.

Kiedy Mark brał prysznic i golił się, ja myślałam o nowym dniu. Nigdy jeszcze barwy nie były tak czyste ani słońce nie świeciło tak wspaniale na tej małej wyspie Key West. Wyobraziłam sobie, że kupuję mieszkanie, w którym ja i Mark kochamy się do końca życia. Jeżdżę na rowerze, czego nie robiłam od dzieciństwa, znów gram w tenisa i rzucam palenie. Staram się utrzymywać lepsze stosunki z rodziną i często zapraszam do siebie Lucy. Regularnie chodzimy do Louiego i zaprzyjaźniamy się z P.J. Patrzę na promienie słońca tańczące nad wodą i modłę się za kobietę zwaną Beryl Madison, której straszliwa śmierć nadała mojemu życiu nowy sens i nauczyła mnie znowu kochać.

Po późnym śniadaniu, które zjedliśmy w pokoju, wyjęłam z plecaka maszynopis Beryl. Mark przyglądał się z niedowierzaniem.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał.

– Tak. Dokładnie to, o czym myślisz – odpowiedziałam.

– Kay, na Boga, gdzie go znalazłaś? – Wstał od stołu.

– Zostawiła go u przyjaciela.

Po chwili zgarnęliśmy pościel na jedną stronę, żeby uformować z niej wygodne oparcie, położyliśmy maszynopis między sobą i opowiedziałam Markowi o mojej rozmowie z P.J.

Rano przeszło w popołudnie, a my nie wychodziliśmy z pokoju, jeśli nie liczyć wnoszenia brudnych naczyń na korytarz i zastępowania ich kanapkami i przekąskami, które zamawialiśmy, gdy czuliśmy głód. Bardzo mało odzywaliśmy się do siebie podczas czytania stronic opisujących życie Beryl Madison. Książka była wspaniała, niejedną raz wycisnęła mi z oczu łzy.

Beryl była rajskim ptakiem niesionym przez burzę, wielobarwnym strzępkiem czepiającym się gałęzi okrutnego życia. Kiedy zmarła jej matka, ojciec sprowadził do domu kobietę, która odnosiła się do niej z niechęcią. Nie będąc w stanie poradzić sobie z otaczającym ją światem, Beryl stworzyła sobie swój własny świat. Pisanie było jej sposobem uporania się z losem, talentem, który rozwinął się w niej jak zdolności manualne u głuchych czy słuch u niewidomych. Potrafiła składać ze słów świat, który odbierałam smakiem, węchem i dotykiem.

Jej związek z Harperami był równie silny, jak obłąkany. Kiedy wreszcie zamieszkali razem w baśniowej posiadłości nad rzeką niezliczonych marzeń, te trzy wybuchowe osobowości utworzyły chmurę gradową o niewiarygodnej sile destrukcji. Cary Harper kupił i odrestaurował ten wielki dom dla Beryl, i właśnie tam, w znanej mi sypialni na górze, pewnej nocy pozbawił ją dziewictwa. Miała wtedy zaledwie szesnaście lat.

Kiedy rano nie zeszła na śniadanie, Sterling Harper weszła na górę sprawdzić, co się dzieje. Beryl leżała skulona w pozycji embrionalnej na łóżku i płakała. Niezdolna, by stawić czoło faktowi, że jej sławny brat

zgwałcił jej przybraną córkę, panna Harper walczyła z demonami tego domu, zaprzeczając faktom sama przed sobą. Nigdy nie rozmawiała o tym z Beryl ani nie próbowała interweniować, tylko delikatnie przymykała swoje drzwi na noc i spała bardzo niespokojnie.

Harper nie zaniechał molestowania Beryl, trwało ono tygodniami. Z wiekiem odwiedzał ją coraz rzadziej, aż wreszcie przestał wraz z otrzymaniem Nagrody Pulitzera, która stała się początkiem niemocy twórczej powodowanej nocnym pijaństwem i innymi wybrykami, jak choćby zażywanie narkotyków. Kiedy odsetki z honorariów i spadku nie były już w stanie zaspokoić jego zachcianek, zwrócił się do swojego przyjaciela, Josepha McTigue. Dzięki jego zdolnościom sytuacja finansowa Harpera poprawiła się na tyle, że stał się „nie tylko znowu wypłacalny, ale dostatecznie zamożny, by stać go było na najlepszą whisky kupowaną całymi skrzynkami i kokainę, kiedy tylko miał ochotę”.

Beryl pisała, że po jej wyprowadzce panna Harper namalowała portret wiszący nad kominkiem, portret dziecka odartego z niewinności, którym – świadomie czy też nie – chciała wiecznie dręczyć Harpera. Pił coraz więcej, pisał mniej i cierpiał na bezsenność. Zaczął odwiedzać gospodę Culpepera, a jego siostra podtrzymywała ten zwyczaj, gdyż mogła wykorzystywać ten czas na telefoniczne spiskowanie z Beryl przeciwko niemu. Ostatecznym ciosem stał się dla niego dramatyczny akt nieposłuszeństwa Beryl, która za namową Sparacina postanowiła zerwać umowę.

Był to jej sposób walki o prawo do własnego życia oraz – jak sama to określiła – „utrwalenia piękna mojej przyjaciółki, Sterling, poprzez przetykanie tych stron wspomnieniami o niej niczym polnymi kwiatami”. Beryl zaczęła pisać swoją książkę niedługo po tym, jak u panny Harper zdiagnozowano raka. Łącząca je więź była nierozwalna, ich miłość bezgranicznie głęboka.

Oczywiście były też długie dygresje dotyczące jej twórczości i źródeł inspiracji. Przytaczała fragmenty swoich wcześniejszych dzieł, co mogłoby wyjaśniać obecność fragmentu maszynopisu na toalecie w sypialni po jej zamordowaniu. Trudno jednak było to stwierdzić na pewno. Trudno było wywnioskować, co kłębiło się w jej myślach. Widziałam jednak, że jej książka była niezwykła i wystarczająco skandalizująca, by Cary Harper się jej bał, a Sparacino pragnął ją zdobyć.

Nie znalazłam jednak na tych stronicach czytanych tamtego popołudnia nic, co świadczyłoby o strachu przed Frankiem. W całym maszynopisie nie było najmniejszej wzmianki o gehennie, która zakończyła się jej śmiercią. Może nie chciała o tym myśleć. Może miała nadzieję, że z czasem to minie.

Zbliżałam się do końca książki, gdy nagle Mark położył mi dłoń na ramieniu.

– Co? – z trudem oderwałam wzrok od czytanej strony.

– Kay, popatrz na to – powiedział, lekko stukając palcem w stronicę, którą położył przede mną.

Był to początek rozdziału dwudziestego piątego, strona, którą już przeczytałam. Dopiero po chwili zorientowałam się, co przeoczyłam. To była bardzo czysta kserokopia, a nie oryginalny wydruk z komputera, jak wszystkie pozostałe.

– Chyba mówiłaś, że to jedyny egzemplarz.

– Tak mi się zdawało – odparłam, zbita z tropu.

– Może zrobiła ksero i te dwie strony jej się pomyliły.

– Na to wygląda – zauważyłam. – Ale gdzie w takim razie jest tamta?

Nie natknęliśmy się na nią.

– Nie mam pojęcia.

– Sparacino na pewno jej nie ma?

– Raczej wiedziałbym, gdyby miał. Przewróciłem jego biuro do góry nogami podczas jego nieobecności, to samo zrobiłem u niego w domu. Poza tym sądzę, że by mi powiedział, przynajmniej wtedy, gdy uważał, że jesteśmy kumplami.

– Chyba powinniśmy porozmawiać z P.J.

Okazało się, że P.J. miał tego dnia wolne. Nie było go u Louiego ani w domu. Zmierzch już zapadał, kiedy wreszcie znaleźliśmy go w Sloppy Joe's. Był już wtedy nieźle ululany. Chwyciłam go przy barze za rękę i zaprowadziłam do stolika.

W pośpiechu udzielałam mu wyjaśnień:

– To Mark James, mój przyjaciel.

P.J. skinął głową i wzniosł smukłą butelkę piwa do pijackiego toastu. Zamrugał, jakby chciał przejrzeć na oczy, a równocześnie z wyraźnym podziwem spoglądał na mojego muskularnego towarzysza. Mark jakby tego nie zauważał.

Próbując przekrzyczeć tłum gości i orkiestrę, powiedziałam do P.J.:

– Czy Beryl zrobiła kopię maszynopisu?

Zaczerpnął łyk piwa i kiwając się w takt muzyki, odpowiedział:

– Nie wiem. Jeśli nawet, to nigdy mi o tym nie mówiła.

– Ale czy to możliwe? – nalegałam. – Czy mogła to zrobić wtedy, kiedy kopiowała listy dla was?

Wzruszył ramionami. Po skroniach spływał mu pot, twarz miał czerwona. P.J. nie był zwyczajnie pijany, był zalany w trupa.

Mark przyglądał mu się obojętnie, a ja spróbowałam jeszcze raz:

– Miała ze sobą ten maszynopis, kiedy poszła skopiować listy?

– Je, je, je – P.J. chropawym barytonem zawtórował orkiestrze i zaczął wystukiwać rytm o krawędź stołu.

– P.J.! – krzyknęłam.

– Co jest? – zaprotestował, nie spuszczając wzroku ze sceny – to mój ulubiony kawałek.

Oparłam się więc wygodnie i pozwoliłam mu odśpiewać ulubioną piosenkę. Podczas przerwy w występie powtórzyłam pytanie. P.J. opróżnił butelkę, po czym odpowiedział z zadziwiającą jasnością:

– Pamiętam tylko tyle, że Beryl wzięła wtedy ze sobą plecak. Dałem go jej, żeby miała w czym nosić swoje rzeczy. Poszła do Copy Cat czy gdzieś indziej i na pewno miała plecak przy sobie. Czyli tak – wyjął papierosy – mogła mieć w plecaku książkę. I mogła zrobić jej kopię, kiedy kopiowała listy. Wiem tylko, że zostawiła mi to, co dałem ci... no... kiedy to było?

– Wczoraj – podpowiedziałam.

– Niech ci będzie. Wczoraj – przymknął oczy i znowu zaczął stukać w stół.

– Dziękuję, P.J. – powiedziałam.

Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi, gdyśmy wychodzili. Z trudem przepchnęliśmy się ku wyjściu, gdzie czekało nas świeże nocne powietrze.

– To się nazywa bezowocność działań – powiedział Mark, gdy wracaliśmy do hotelu.

– Nie wiem, ale dla mnie to brzmi sensownie, że Beryl skopiowała maszynopis, kiedy robiła odbitki listów. Nie mogę sobie wyobrazić, by zostawiła książkę u P.J., jeśli nie miała drugiego egzemplarza.

– Teraz, gdy go poznałem, też nie mogę sobie tego wyobrazić. P.J. nie wygląda na solidnego strażnika.

– Ale jest. Tylko dzisiaj trochę go poniosło.

– Jest całkiem ugotowany.

– Może to przez tę moją wizytę.

– Jeśli Beryl skopiowała ten maszynopis zabrała go z sobą do Richmond

– Mark głośno myślał – to musiał go ukraść ten, kto ją zabił.

– Frankie – powiedziałam.

– Co mogłoby wyjaśniać, dlaczego potem wybrał Cary’ego Harpera. Nasz przyjaciel Frankie poczuł się zazdrosny, myśl o Harperze w sypialni Beryl doprowadzała go do szaleństwa... do jeszcze większego szaleństwa. To, że Harper chodził codziennie do gospody, było w książce.

– Wiem.

– Frankie mógł to przeczytać. Wiedział, jak go znaleźć, i uznał, że to będzie najlepszy moment, żeby go zaskoczyć.

– Czy może być lepszy moment niż ten, gdy ofiara jest na rauszu i wysiada z samochodu w ciemnej alejce gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc? – powiedziałam.

– Dziwi mnie, że nie zawziął się też na pannę Harper.

– Może nie zdążył.

– Racja. Nie miał okazji – zgodził się ze mną Mark. – Oszczędziła mu kłopotu.

Ująwszy się za ręce, szliśmy dalej w milczeniu. Nasze buty delikatnie stuknęły o chodnik, a morską bryza lekko pochylała drzewa. Chciałam, żeby ta chwila trwała wiecznie. Bałam się rzeczywistości, której musieliśmy stawić czoło. Dopiero, kiedy byliśmy już w pokoju i popijaliśmy wino, zadałam to pytanie:

– I co teraz, Mark?

– Waszyngton – powiedział, odwracając się w stronę okna. – Jutro. Złożę raport, przydzielą mi inne zadanie – wziął głęboki oddech. – Nie wiem, co będę robił potem.

– A co chcesz robić potem? – spytałam.

– Nie wiem, Kay. Kto wie, gdzie mnie pošlą? – wpatrywał się w ciemność za oknem. – A wiem, że ty nie opuścisz Richmond.

– Nie mogę wyjechać z Richmond. Nie teraz. Praca to moje życie.

– Zawsze tak było – powiedział. – Dla mnie praca też jest życiem. Mamy więc mało miejsca na dyplomację.

Jego słowa i wyraz twarzy raniły mi serce. Wiedziałam, że ma rację. Gdy spróbowałam znów się odezwać, poczułam łzy.

Obejmowaliśmy się mocno, aż zasnął w moich ramionach. Powoli wysunęłam się z jego objęć, wstałam i podeszłam do okna, gdzie usiadłam i zapaliłam papierosa. Moje myśli obsesyjnie wracały do niektórych spraw, aż świt rozróżowił niebo.

Długo stałam pod prysznicem. Gorąca woda uspokajała mnie i umacniała w podjętej decyzji. Gdy odświeżona i ubrana wyszłam z łazienki, Mark zamawiał śniadanie.

– Wracam do Richmond – oznajmiłam stanowczym tonem, siadając na łóżku obok niego.

Zmarszczył czoło.

– To nie najlepszy pomysł, Kay.

– Znalazłam maszynopis, ty wyjeżdżasz i nie chcę czekać tu sama, aż zjawi się Frankie, Scott Partin czy sam Sparacino – wyjaśniłam.

– Nie znaleźli jeszcze Frankiego. To zbyt ryzykowne. Załatwię ci tu ochronę albo jedź do Miami. To najlepsze wyjście. Mogłabyś trochę pomieszkać z rodziną.

– Nie.

– Kay...

– Mark, Frankie mógł już wyjechać z Richmond. Mogą go jeszcze długo nie złapać. Mogą go nigdy nie znaleźć. I co, mam się na zawsze ukrywać na Florydzie?

Oparł się o poduszki i nie odpowiedział. Ujęłam jego dłoń.

– Nie mogę pozwolić, żeby moje życie, moja praca tak nagle się urwały. Nie chcę żyć w ciągłym strachu. Zadzwoń do

Marina, żeby odebrał mnie z lotniska.

Chwycił moje dłonie i objął je swoimi. Popatrzył mi w oczy i powiedział:

– Wróć ze mną do Waszyngtonu. Albo możesz na jakiś czas zostać w Quantico.

Potrząsnęłam głową.

– Nic mi się nie stanie. Przytulił mnie.

– Nie mogę zapomnieć, co stało się z Beryl. Ja też nie mogłam.

Po pożegnalnym pocałunku na lotnisku w Miami odeszłam od niego szybkim krokiem, a on nie odwrócił się za siebie. Niemal całą podróż przespałam, wyczerpana fizycznie i psychicznie. Obudziłam się tylko na chwilę, gdy musiałam się przesiąść w Atlancie.

Marino spotkał mnie przy wyjściu. Ten jeden raz zdawał się wyczuwać mój nastrój i cierpliwie milcząc szedł za mną przez terminal. Świąteczne dekoracje i wystawy sklepów na lotnisku jeszcze bardziej mnie przygnębiły. Wcale nie cieszyłam się z nadchodzących Świąt. Nie wiedziałam, ani jak, ani kiedy znów spotkamy się z Markiem. Co gorsza, kiedy stawiałam się z Marinem po odbiór bagażu, godzinę przyglądaliśmy się najróżniejszym torbom przesuwanym się leniwie po pasie. Podczas gdy ja coraz bardziej traciłam cierpliwość, Marino zdążył mi opowiedzieć, co działo się pod moją nieobecność. W końcu zgłosiłam zaginięcie bagażu. Po przebrnięciu przez męczącą procedurę wypełniania szczegółowego formularza wsiadłam do samochodu i ruszyłam do domu. Marino jak kiedyś jechał tuż za mną.

Ciemna deszczowa noc łaskawie osłaniała zniszczenia przed moim domem, gdy zatrzymywaliśmy się na podjeździe. Marino zdążył mnie już uprzedzić, że gdy byłam poza miastem, nie udało im się namierzyć Frankiego.

Po dokładnym sprawdzeniu przy świetle latarki, czy z zewnątrz domu nie widać wybitych okien lub innych śladów włamania, Marino wprowadził mnie do środka. Zapalił światła w każdym pomieszczeniu, zaglądał do szaf, a nawet pod łóżka.

Szliśmy do kuchni z zamiarem zaparzenia kawy, kiedy odezwała się jego krótkofalówka.

– Dwa piętnaście, dziesięć trzydzieści trzy...

– Cholera! – krzyknął Marino, wyciągając odbiornik z kieszeni marynarki.

Dziesięć trzydzieści trzy to kod oznaczający „Mayday”. Sygnały radiowe niczym pociski przesywały powietrze. Samochody patrolowe odpowiadały jak startujące odrzutowce. Jakiś policjant potrzebował pomocy w sklepie z narzędziami całkiem niedaleko mojego domu. Najwyraźniej został postrzelony.

– Siedem zero siedem, dziesięć trzydzieści trzy – warknął Marino do operatora, śpiesząc do drzwi.

– Do diabła! Walters! Przecież to jeszcze dzieciak! – Wybiegł na deszcz, klnąc pod nosem. Odwrócił się jeszcze i krzyknął do mnie: – Pozamykaj się. Zaraz sprowadzę tu kilku policjantów!

Niecierpliwie kręciłam się po kuchni, aż wreszcie usiadłam przy stole. Popijałam szkocką, wsłuchując się w deszcz bębniący po dachu i szybach. Moja walizka zginęła, a w niej była trzydziestka ósemka. Byłam tak zmęczona, że zapomniałam powiedzieć o tym Marinowi. Zbyt roztrzęsiona, by położyć się spać, przejrzałam maszynopis Beryl, który na szczęście miałam w bagażu podręcznym, i sączyłam drinka w oczekiwaniu na przybycie policjantów.

Przed samą północą zadzwonił dzwonek u drzwi. Podskoczyłam na krześle.

Wyjrzałam przez wizjer, spodziewając się policjantów, których obiecał sprowadzić Marino. Ujrzałam jednak bladego młodego mężczyznę w ciemnej pelerynie i w czapce jakiegoś uniformu. Wyglądał na zmarzniętego i zmoczonego, gdy skulony przyciskał do piersi podkładkę z przypiętymi doń dokumentami.

– Kto tam? – krzyknęłam.

– Firma kurierska Omega z lotniska Byrd – odpowiedział. – Mam pani walizkę.

– Dzięki Bogu – powiedziałam, wyłączając alarm, i otworzyłam drzwi.

Zniewalający strach przeszył mnie w chwili, gdy mężczyzna postawił w korytarzu moją walizkę, a ja nagle sobie przypomniałam. Nagle przypomniałam sobie, że na formularzu zgłoszenia zaginięcia bagażu podałam adres biura, a nie domowy!

Rozdział siedemnasty

Spod czapki z daszkiem wystawały skąpe kosmyki ciemnych włosów. Mężczyzna nie patrzył mi w oczy, gdy mówił:

– Proszę tu podpisać.

W głowie kłębiły mi się najróżniejsze myśli, kiedy podsunął mi coś do podpisania.

„Przyjechali później z lotniska, bo linia lotnicza zgubiła bagaże pana Harpera”.

„...Naturalne czy tlenione, Kay?”.

„To było po tym, jak dostarczono te bagaże...”.

„Wszyscy oni już odeszli”.

„W ubiegłym roku dostaliśmy włókno pod każdym względem identyczne z tym pomarańczowym, kiedy Roya poproszono o zbadanie śladów pobranych z boeinga 747...”.

„To było po tym, jak dostarczono te bagaże!”.

Powoli wyjęłam długopis i podkładkę z kartką z wyciągniętej do mnie dłoni w brązowej skórzanej rękawiczce.

Głosem, którego sama nie rozpoznałam, poprosiłam:

– Mógłby mi pan otworzyć tę walizkę? Nie mogę nic podpisać, póki nie sprawdzę, czy wszystko się znalazło.

Przez moment na jego bladej twarzy widać było konsternację. Jego źrenice rozszerzyły się i opuścił wzrok na walizkę. Uderzyłam tak szybko, że nie miał czasu na uchylenie się przed ciosem. Krawędź podkładki wbiła mu się w szyję, a ja w tej samej chwili odskoczyłam jak dzikie zwierzę. Dotarłam aż do jadalni, nim usłyszałam jego kroki. Serce prawie wyskakiwało mi z piersi, gdy biegłam do kuchni. Omijając kuchenny blat, ledwie utrzymałam równowagę na gładkiej powierzchni linoleum. Chwilę później zdejmowałam gaśnicę ze ściany przy lodówce. Gdy tylko wpadł do kuchni, prysnęłam mu w twarz dławiącym strumieniem proszku. Natychmiast zasłonił twarz dłońmi i wtedy usłyszałam brzęk padającego na podłogę noża. Porwałam z piecyka żeliwną patelnię i wymachując nią jak rakieta tenisową, uderzyłam go mocno w brzuch. Sapiąc zgiął się w pół, a ja zamachnęłam się znowu, tym razem celując w głowę. Ale on się cofnął. Usłyszałam chrupnięcie chrząstki pod płaską żelazną powierzchnią. Wiedziałam, że zламаłam mu nos i może wybiłam kilka zębów. To go jednak nie powstrzymało. Opadł na kolana i kaszląc, oślepiiony proszkiem z gaśnicy, jedną ręką złapał mnie za kostkę u nogi, a drugą wyciągnął w kierunku noża. Cisnęłam w niego patelnią, kopnęłam nóż i rzuciłam się do ucieczki. Biodrem zawadziłam przy tym o ostrą krawędź stołu, a ramieniem uderzyłam o framugę drzwi.

Roztrzęsiona, szlochająca, zdołałam jakoś wygrzebać z walizki rewolwer i włożyć do bębena dwa naboje. W tym momencie Frankie był już niemal na mnie. Słyszałam szum deszczu i jego rżący oddech. Tylko kilka centymetrów dzieliło nóż od mojego gardła, kiedy trzecie naciśnięcie spustu wreszcie spowodowało wystrzał. W ogłuszającej eksplozji gazu i płomieni Silvertip rozerwał mu brzuch, odrzucając go trochę w tył i powalając na podłogę. Wpatrując się we mnie, z twarzą zalaną krwią, usiłował usiąść. Próbował coś powiedzieć, gdy słabnącą ręką podnosił nóż.

Dzwoniło mi w uszach. Drżącymi dłońmi wycelowałam ponownie i posłałam drugą kulę, tym razem w klatkę piersiową. Czułam zapach prochu zmieszany ze słodkim zapachem krwi, gdy oczy Frankiego Aimsa traciły blask.

Potem się rozkleiłam. Płakałam głośno, podczas gdy deszcz i wiatr mocno uderzały o ściany domu, a krew Frankiego wsiąkała w wypolerowaną podłogę. Płakałam i czułam, jak drży każda komórka mojego ciała. Poruszyłam się dopiero przy piątym dzwonku telefonu.

– Marino. O Boże, Marino! – Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć.

Wróciłam do pracy dopiero, kiedy ciało Frankiego Aimsa opuściło już kostnicę, a jego krew zmyta ze stalowego stołu przepłynęła rurami i wtopiła się w cuchnące ścieki miejskiej kanalizacji. Nie żałowałam, że go zabiłam. Żałowałam, że w ogóle się urodził.

– Wygląda na to – powiedział Marino, szukając mnie za przytłaczającą stertą papierków na moim biurku – że Frankie przyjechał do Richmond w październiku ubiegłego roku. Przynajmniej od tego czasu wynajmował mieszkanie na Redd Street. Dwa tygodnie później znalazł sobie pracę jako doręczyciel zagubionych bagaży. Omega ma umowę z lotniskiem.

Nie odezwałam się. Otwierałam kolejny list nadający się do kosza.

– Pracownicy Omegi jeżdżą własnymi samochodami, i to był problem, z którym Frankie gdzieś tak w styczniu musiał się uporać. W jego wozie z osiemdziesiątego pierwszego nawaliła przekładnia i nie miał forsę na naprawę. Podejrzewam, że właśnie wtedy poprosił Ala Hunta o przysługę.

– Czy wcześniej utrzymywali ze sobą kontakt? – zapytałam. Czułam się wyczerpana, rozkojarzona i na pewno słychać to było w moim głosie.

– Tak – odpowiedział Marino – w to nie wątpię ani ja, ani Benton.

– Czemu tak sądzicie?

– Po pierwsze, Frankie, jak się okazuje, półtora roku temu mieszkał w Butler w Pensylwanii. Przejrzeliśmy rachunki telefoniczne starego Hunta z ostatnich pięciu lat... trzyma to wszystko na wypadek kontroli. Wynika z nich, że w czasie, kiedy Frankie był w Pensylwanii, Huntowie otrzymali pięć rozmów na ich koszt z Butler. Rok wcześniej były rozmowy telefoniczne z Dover w Delaware, a jeszcze rok wcześniej sześć rozmów z Hagerstown, Maryland.

– To Frankie dzwonił?

– Jeszcze to sprawdzamy. Ale jestem prawie pewien, że Frankie dzwonił do Ala od czasu do czasu. Prawdopodobnie opowiedział mu, co zrobił swojej matce. Dlatego Al tyle wiedział, kiedy z tobą rozmawiał. Żaden z niego jasnowidz. Powtarzał tylko, co usłyszał od swojego świrniętego kumpla. A im bardziej Frankie stawał się szalony, tym bardziej zbliżał się do Richmond. I wreszcie trach! Rok temu przyjeżdża do naszego pięknego miasta i resztę znasz.

– A co z myjnią Hunta? – zapytałam. – Bywał tam?

– Kilku pracowników twierdzi, że ktoś odpowiadający opisowi Frankiego zaglądał tam od czasu do czasu, mniej więcej od stycznia. W pierwszym tygodniu lutego, według rachunków znalezionych w jego mieszkaniu, zrobił remont kapitalny silnika za pięćset dolarów, które prawdopodobnie dostał od Ala Hunta.

– Nie wiecie, czy Frankie był w myjni akurat wtedy, gdy Beryl przyprowadziła swój samochód?

– Domyślam się, że tak się właśnie stało. Pierwszy raz zauważył ją, kiedy w styczniu dostarczył bagaże Harpera do domu państwa McTigue. Zobaczył ją znowu jakieś dwa tygodnie później, kiedy przyszedł prosić Ala o pożyczkę. To dla niego jak znak z niebios. Może widział ją też na lotnisku... kręcił się tam cały czas, zbierając bagaże czy kto wie co jeszcze.

Mógł ją też zobaczyć, kiedy leciała do Baltimore na spotkanie z panną Harper.

– Myślisz, że Frankie opowiedział Huntowi o Beryl?

– Tego się nie dowiemy. Ale nie byłbym zaskoczony. To by mogło wyjaśnić, dlaczego Hunt się powiesił. Czuł, że to nastąpi... to, co jego koleżka w końcu zrobił Beryl. Potem Harper zostaje zabity. Hunt pewnie czuł się winny jak diabli.

Rozsuwałam zalegające na biurku papiery w poszukiwaniu datownika, który przed chwilą miałam w ręku. Przy każdym ruchu czułam ból na całym ciele, i zaczęłam poważnie myśleć o prześwietleniu prawego ramienia. Co do mojej psychiki, nie byłam pewna, czy ktokolwiek mógłby coś poradzić. Czułam się tak, jakbym nie była sobą. Właściwie sama nie wiedziałam, co czuję, z wyjątkiem tego, że trudno mi było usiedzieć na miejscu. Nie potrafiłam się zrelaksować.

– Część urojeń Frankiego polegała na personifikowaniu jego spotkań z Beryl i przypisywaniu im głębokich znaczeń. Widzi Beryl w domu państwa McTigue. Widzi ją w myjni. Widzi ją na lotnisku. To naprawdę mogło go poruszyć.

– No. Myśli, że to Bóg do niego przemawia, że daje mu znaki, że coś go łączy z tą piękną blondynką.

W tym momencie weszła Rose. Odebrałam od niej pilną wiadomość i dołączyłam do stosu na biurku.

– Jaki kolor miał jego samochód? – zapytałam, otwierając kolejną kopertę. Jego samochód stał przed moim domem. Widziałam go, gdy przyjechała policja, gdy cały mój teren pulsował czerwonymi światłami. Nic jednak nie zostało mi w pamięci. Pamiętałam bardzo mało.

– Granatowy.

– I nikt nie pamięta granatowego mercury lynx przed domem Beryl?

Marino potrząsnął głową.

– Po zmierzchu, zwłaszcza gdy wyłączył światła, auto nie rzucało się w oczy.

– Fakt.

– A wtedy, kiedy zabił Harpera, prawdopodobnie zatrzymał się gdzieś przy drodze i dalej poszedł pieszo. – Przerwał na chwilę. – Tapicerka na siedzeniu kierowcy była przegniła.

– Co takiego? – spytałam, podnosząc wzrok znad listu, który właśnie przeglądałam.

– Przykrył je kocem, który pewnie zwinął z któregoś samolotu.

– Źródło pomarańczowego włókna?

– Przeprowadzą testy. Ale myślimy, że tak.

Ten koc ma pomarańczowoczerwone prążki, a Frankie pewnie na nim siedział, jak jechał do domu Beryl. To by wyjaśniało wątek terrorystyczny. Jakiś pasażer podczas lotu używał koca, jak Frankie. Facet się przesiadł i pomarańczowe włókno trafiło do samolotu, który porwano w Grecji. Jakiś nieszczęsny żołnierz kończy z tym samym rodzajem włókna przylepionym do krwi. Masz pojęcie, ile włókien jest przenoszonych z samolotu do samolotu?

– Trudno sobie wyobrazić – zgodziłam się, zastanawiając się równocześnie, czym sobie zasłużyłam na taką ilość ulotek reklamowych, przysyłanych na moje nazwisko. – To pewnie też tłumaczy, skąd Frankie miał na ubraniu tyle włókien. Pracował z bagażami. Chodził po całym lotnisku, mógł nawet wchodzić do wnętrza samolotów. Kto wie, co tam robił, i jakie drobiny zbierał.

– Pracownicy Omegi noszą mundurowe koszule – zauważył Marino. – Beżowe. Z dynełu.

– Ciekawe.

– Powinnaś to wiedzieć – powiedział, przyglądając mi się uważnie – był w takiej, kiedy go zastrzeliłaś.

Nie pamiętałam. Pamiętałam tylko ciemną pelerynę i jego twarz, zakrwawioną i pokrytą białym proszkiem z gaśnicy.

– W porządku. Jak dotąd, wszystko rozumiem. Nie rozumiem jednak, jak Frankie zdobył numer telefonu do Beryl. Był przecież zastrzeżony. I skąd wiedział, że wraca z Key West wieczorem dwudziestego dziewiątego października? I skąd do diabła wiedział, kiedy ja wróciłam?

– Komputery. Wszystkie informacje o pasażerach, łącznie z rozkładem lotów, numerami telefonów i adresami, są w komputerach. Możemy się tylko domyślać, że Frankie zaglądał do komputerów, gdy któreś ze stanowisk było puste, może późno w nocy albo wcześniej rano. Lotnisko było dla niego jak dom. Z nikim nie rozmawiał o swoich planach, nikt też nie zwracał na niego uwagi. Nie był rozmowny, prawdziwy zakompleksiony nieudacznik, taki, co przemyka się cicho jak kot.

– Według testu na inteligencję – zauważyłam, wciskając datownik w wyschniętą poduszkę z tuszem – jego inteligencja była powyżej przeciętnej. Marino nie odpowiedział.

– Miał ponad sto dwadzieścia punktów – dodałam.

– Tak, tak – mruknął zniecierpliwiony.

– Tylko ci mówię.

– Gadanie. Ty naprawdę traktujesz te testy poważnie?

– Są dobrym wskaźnikiem.

– Nie są wyrocznią.

– Racja, nie powiedziałabym, że testy na iloraz inteligencji są wyrocznią – zgodziłam się.

– Może i lepiej, że nie znam swojego ilorazu.

- Mógłbyś zrobić sobie test. Nigdy nie jest za późno.
- Mam nadzieję, że jest wyższy niż moje wyniki w kręglach. To wszystko, co mam do powiedzenia.
- Mało prawdopodobne. Chyba że jesteś marnym graczem.
- Ostatnio byłem.

Zdjęłam okulary i przetarłam oczy. Ból głowy tak mi dokuczał, że byłam przekonana, iż nigdy już nie minie.

Marino mówił dalej:

- Obaj z Bentonem podejrzewamy, że Frankie zdobył numer Beryl z komputera i potem śledził jej trasy podróży. Pewnie wiedział, że w lipcu poleciała do Miami... wtedy, gdy odkryła to serce wyryte na drzwiach auta.
- Jakież hipotezy, kiedy mógł to zrobić? – przerwałam mu, przysuwając kosz na śmieci bliżej siebie.

– Kiedy latała do Baltimore, zostawiała samochód na lotnisku. Ostatnim razem spotkała się z panną Harper na początku lipca, niecały tydzień przed tym, jak odkryła to wyryte serce.

- Czyli mógł to zrobić, kiedy jej samochód był zaparkowany na lotnisku.
- Co o tym sądzisz?
- Myślę, że to brzmi bardzo prawdopodobnie.
- Zgadza się.

– Potem Beryl ucieka do Key West. – Cały czas walczyłam z korespondencją. – A Frankie sprawdza w komputerze rezerwację powrotną. Stąd dokładnie wiedział, kiedy wraca.

– Wieczorem dwudziestego dziewiątego października – powiedział Marino. – I Frankie wszystko zaplanował. Łatwizna. Miał dostęp do bagaży i prawdopodobnie przejrzał je, kiedy były ładowane na przenośnik. Zobaczył torbę z nazwiskiem Beryl i ukradł ją. Później ona zgłasza zaginięcie swojej brązowej skórzanej torby.

Nie musiał dodawać, że dokładnie ten sam manewr Frankie zastosował wobec mnie. Wiedział, kiedy wracam z Florydy. Zabrał moją walizkę. Potem pojawił się pod moimi drzwiami, a ja go wpuściłam.

Gubernator zapraszał mnie na przyjęcie tydzień temu. Przypuszczam, że Fielding poszedł zamiast mnie. Zaproszenie wylądowało w koszu.

Marino opowiadał ze szczegółami, co policja znalazła w mieszkaniu Frankiego Aimsa.

W jego sypialni była torba Beryl z jej zakrwawioną bluzką i bielizną. W kufrze, który służył jako stół obok łóżka, znajdowały się czasopisma pornograficzne i torebka drobnego śrutu, którym Frankie wypełnił kawałek rury, żeby zadać cios w głowę Harpera. Znalezione też kopertę z drugim zestawem dyskietek Beryl, zabezpieczonych kawałkami sztywnego kartonu, oraz jej maszynopis wraz z pierwszą stroną rozdziału dwudziestego piątego z oryginału, który czytaliśmy z Markiem.

Benton Wesley uważał, że Frankie siadywał w łóżku i czytał jej książkę, pieszcząc ubrania, które miała na sobie w chwili morderstwa. Może tak było. Na pewno wiedziałam tylko to, że Beryl nie miała żadnych szans. Kiedy Frankie pojawił się przed jej drzwiami, miał jej skórzaną torbę i przedstawił się jako kurier. Nawet gdyby go skojarzyła z tym wieczorem, gdy przyniósł bagaże Cary'ego Harpera do domu państwa McTigue, to i tak nie miała powodów, by coś podejrzewać – tak jak ja nic nie podejrzewałam, póki nie otworzyłam drzwi.

– Gdyby go nie wpuściła – mruknęłam. Mój nożyk do otwierania listów zniknął. Gdzie u diabła się podział?

– Nic dziwnego, że go wpuściła – odpowiedział Marino. – Frankie wygląda oficjalnie, uśmiecha się, ma na sobie koszulę i czapkę Omegi. Ma jej torbę, a to znaczy, że ma też jej maszynopis. Poczula ulgę. Jest wdzięczna. Otwiera drzwi, wyłącza alarm i zaprasza go do środka...

– Ale dlaczego znowu włączyła alarm? Ja też mam alarm przeciwwłamaniowy. I też czasami przychodzą różni dostawcy. Jeśli alarm jest włączony, gdy taki ktoś podjeżdża, wyłączam go i otwieram drzwi. Jeśli komuś na tyle ufam, że zapraszam go do środka, to przecież nie włączam alarmu tylko po to, żeby go natychmiast wyłączać, a potem znów włączyć po wyjściu tej osoby.

– Zdarzyło ci się kiedyś zamknąć kluczyki w samochodzie? – Marino patrzył na mnie uważnie.

– A co to ma do rzeczy?

– Odpowiedz.

– Oczywiście, że tak. – Znalazłam nożyk do listów. Był na moich kolanach.

– Jak się to dzieje? W nowych samochodach są najróżniejsze przyrządy zabezpieczające przed taką sytuacją.

– Racja. I tak się staram je wszystkie opanować, żeby wykonywać wszystkie czynności bez zastanowienia. Tylko że po zamknięciu drzwi widzę, że kluczyki zwisają w stacyjce.

– Mam przeczucie, że Beryl zrobiła dokładnie to samo. Myślę, że miała obsesję na punkcie tego systemu alarmowego. Pewnie był włączony cały czas, miała już odruch wciskania tych guziczków w chwili, gdy zamykała drzwi – na chwilę odwrócił wzrok i popatrzył na moją szafę z książkami. – Jednak to dziwne. Zostawia broń w kuchni, ale ustawia alarm po wpuszczeniu drania do domu. Widać z tego, jaka była wystraszona i znerwicowana.

Rozprostowałam raporty z badań toksykologicznych i wraz ze stosem aktów zgonu odsunęłam je na bok. Spojrzawszy na wieżę mikrodyktand obok mikroskopu, znowu poczułam się przybita.

– Jezu – jęknął wreszcie Marino. – Mogłabyś posiedzieć spokojnie, przynajmniej póki nie wyjdę? Zwariuję przez ciebie.

– To mój pierwszy dzień w pracy po przerwie – przypomniałam mu. – Co ja na to poradzę. Spójrz na ten bałagan. – Przesunęłam dłonią nad biurkiem. – Jakby mnie tu rok nie było. Miesiąc potrwa, zanim to wszystko nadrobię.

– Daję ci czas do ósmej wieczorem. Potem wszystko wróci do normy.

– Wielkie dzięki – odpowiedziałam raczej ostro.

– Masz dobrych pracowników. Umieją sobie radzić, kiedy cię nie ma. Więc o co ci chodzi?

– O nic. – Zapaliłam papierosa i odgarnęłam jeszcze jakieś papiery w poszukiwaniu popielniczki.

Marino przysunął ją bliżej mnie.

– Przecież to nie znaczy, że nie jesteś tu potrzebna.

– Nie ma ludzi niezastąpionych.

– No pewnie. Wiedziałem, że to ci chodzi po głowie.

– Nic mi nie chodzi po głowie. Jestem po prostu trochę rozkojarzona – powiedziałam, sięgając na półkę po lewej po terminarz. Rose wykreśliła z niego wszystko do końca przyszłego tygodnia. Potem miały być Święta. Czułam się tak, jakbym za chwilę miała się rozpłakać, i nie wiedziałam dlaczego.

Marino pochylił się do przodu, żeby strząsnąć dym z papierosa, i zapytał cicho:

– Jaka jest ta książka Beryl?

– Złamie ci serce i napełni je radością – powiedziałam, czując wilgoć w oczach. – Jest niezwykła.

– No to mam nadzieję, że zostanie wydana. To ją jakoś... utrzyma przy życiu... wiesz, o co chodzi.

– Wiem bardzo dobrze – wzięłam głęboki oddech. – Mark zobaczy, co da się zrobić. Podejrzewam, że trzeba będzie to zorganizować od nowa. Sparacino na pewno nie będzie już prowadził interesów Beryl.

– Chyba że spoza krat. Mark chyba powiedział ci o tym liście.

– Tak. Powiedział.

Jeden z listów Sparacina do Beryl, który Marino znalazł w jej domu po jej śmierci, nabrał nowego znaczenia, kiedy Mark przeczytał go, znając już książkę Beryl.

To miłe, Beryl, że Joe pomógł Cary’emu. Cieszę się tym bardziej, że to ja poznałem ich ze sobą, kiedy Cary kupił ten wspaniały dom. Nie, nie widzę w tym nic niezwykłego. Joe był jednym z najbardziej hojnych ludzi, jakich miałem przyjemność poznać. Czekam na dalsze wiadomości.

Ten krótki akapit powiedział nam całkiem dużo, choć Beryl pewnie o niczym nie miała pojęcia. Naprawdę wątpiłam, by Beryl zdawała sobie sprawę, że wymieniając nazwisko Joe McTigue’a wkracza na niebezpieczny teren podejrzanych interesów Sparacina, które obejmowały liczne fikcyjne korporacje zakładane po to, by ułatwić pranie brudnych pieniędzy. Mark był przekonany, że McTigue wiedział o nielegalnej działalności Sparacina i że pomoc finansowa udzielona Harperowi też nie była całkiem zgodna z prawem. Ponieważ Sparacino nigdy nie widział maszynopisu Beryl, obsesyjnie bał się tego, co nieświadomie mogła tam wyjawić. Kiedy maszynopis zginął, chęć zdobycia go stała się jeszcze silniejsza.

– Pewnie dzień śmierci Beryl uznał za swój szczęśliwy dzień – ciągnął Marino. – No wiesz, ona już nie zaprotestuje, kiedy on powyrzuca z książki

wszystko, co wskazywałoby na jego podejrzaną działalność. Potem spokojnie sprzedaje książkę i zarabia krocie. No bo kto nie chciałby się dowiedzieć, co było przedmiotem takiego zamieszania? Nie powiem już, do czego to wszystko zmierzało... prawdopodobnie zdjęcia ciał Harperów miały się ukazać w jakimś brukowcu...

– Sparacino nigdy nie dostał tych zdjęć zrobionych przez Jeba Price’a – przypomniałam mu. – Dzięki Bogu.

– Tak czy inaczej chodzi o to, że po tym całym zamieszaniu nawet ja pomknąłbym do księgarni, żeby kupić tę przeklętą książkę, a nie kupiłem żadnej książki od jakichś dwudziestu lat.

– Szkoda – mruknęłam. – Czytanie to coś wspaniałego. Powinieneś spróbować.

Oboje podnieśliśmy głowy, gdy weszła Rose, tym razem z długim białym pudełkiem obwiązanym luksusową czerwoną wstążką z kokardą. Zaskoczona, rozejrzała się, i nie znalazłszy wolnego miejsca na biurku, włożyła mi pudełko w dłoń.

– Co to ma...? – mruknęłam, całkiem zbita z tropu.

Odsunęłam krzesło, położyłam niespodziewany podarek na kolanach i zaczęłam rozwiązywać satynową wstążkę. Rose i Marino obserwowali mnie. W pudełku były dwa tuziny wysmukłych róż, lśniących niczym czerwone klejnoty zawinięte w zielony cieniutki papier. Pochyliłam się, zamknęłam oczy i napawałam się ich delikatnym zapachem. Potem zajrzałam do małej białej koperty wetkniętej do środka.

*Gdy życie staje się twarde,
twardziele jadą na narty.
W Aspen po Bożym Narodzeniu.
Połam nogi i przyjeźdź.*

Kocham cię. Mark.
